



INGER  
**FRIMANSSON**

MISTRZYNI SZWEDZKIEGO KRYMINAŁU

**WYSPA NAGICH** KOBIEC

*Poruszająca opowieść  
o tajemnicach rodzinnych  
i zakazanej miłości*



INGER  
FRIMANSSON

# WYSPA NAGICH KOBIET

Przełożyła  
Grażyna Pietrzak-Porwisz



*Śrubokręt w jego dłoni, krótka, żółta rękojeść,  
śrubokręt w jego  
uniesionej do ciosu  
dłoni.*

*Jak wszedł niczym w masło, jak rozległ się charkot,  
jak urwał się  
i ucichł.*

*Tak ucichł, w końcu ucichł.*

*Gorąca, czerwona mgła przed oczami i nad dłońmi  
pokrytymi drobnym, rzadkim meshkiem.*

*Jak trysnęło z przeciągłym sykiem  
niczym gejzer.*

*Mężczyzna bronił się, lecz bez siły,  
bo siły zabrakło.*

*Upadł na biurko,  
uderzając skronią o ostry kant.*

*A każde dziecko wie, że skroń  
trzeba chronić. Bo za nią jest mózg  
i wszystko, co się w nim dzieje.*

*I znowu uniesiony do ciosu śrubokręt,  
jak zanurzył się w nagiej szyi,  
jak zacharczało, zarzęziło,  
zabulgotało.*

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

## POD KONIEC WRZEŚNIA

OBUDZIŁA go o świcie. Jej głos był szorstki, zniekształcony nocnym snem.

– Tobias... Wstawaj, już czas. Wiatr ustał.

Leżał z dłonią zaciśniętą w pięść i ręką zgiętą nad głową pod nienaturalnym kątem. Gdy usłyszał jej głos, pięść wystrzeliła przed siebie, jakby w samoobronie. Palce trafiły prosto w ścianę. Zaklął jeszcze przez sen:

– Idę, do jasnej cholery.

W sieni paliło się światło, przez materiał koszuli nocnej widział prześwitujące zarysy jej mocnej sylwetki. Gdy wstał, opadła mu na oczy grzywka. Czuł utrzymującą się ostrą woń zwierząt, tkwiącą w każdym źdźble włosa, wżartą głęboko w każdy por skóry.

Ta sama woń biła od niej, poczuł ją od razu, gdy tylko przyjechał w czwartek. Zapewne nie była świadoma tego, że ją roztacza.

– Ubiorę się. – Głos nadal nie należał do niej, nie był zwyczajnym głosem Sabiny, brzmiał ociężale i zrzedliwie. Schody stękały pod jej ciężarem, słyszał jej oddech.

– Dobra, już idę – szepnął w pustą przestrzeń pokoju.

Tobias podniósł żaluzję i rozsunął zasłonki. Trawę pokrywał szron, panował ostry, przenikliwy ziąb. Spał przyciśnięty do ściany, przy akompaniamencie lekkiego szumu pompy grzewczej. Leżał tuż przy wielkiej tętnicy krwiobiegu domu, chłonąc jego żywe ciepło.

Zapach własnego ciała, silny i swojski, mieszał się teraz z wonią zwierząt; całe powietrze przesyciły ich wyziewy i odgłosy.

Jego zapach był mu teraz obcy.

Odczuwał pulsujący niesmak.

Stał na podłodze wyprostowany, lecz zmęczony. Pozbierał swoje ubrania. W pokoju były te same tapety, z szerokimi srebrzystobiałymi bordiurami pomiędzy ornamentami. Ciężkie, staroświeckie meble, sofa obita materiałem. Nikt nie wytrzymał dłużej na wybrzuszonym siedzisku,

a kąt zapiecka urągał anatomii. Jako dziecko Tobias pełzał pomiędzy bajecznymi drzewami wzorów, koniuszkami palców skrobał zmechaconą aksamitną powierzchnię.

Sofę można było rozłożyć do spania. Korzystali z niej z Görel tuż po ślubie, milcząc podczas aktu jak zakłęci, z zapartym tchem. Görel nigdy nie czuła się dobrze w tym domu, nawet gdy byli sami. Nieznajome odgłosy i trzaski sprawiały, że sztywniała. Zrywała się z krzesła i krążyła nerwowo pomiędzy oknami.

– Tobi, wiem, że tam ktoś jest! Ktoś chce tu wejść!  
Próby uspokajania jej pozbawiały go sił.

Psy zdążyły się zorientować, że ludzie już powstawali. Ich mroczne, spokojne ujadanie oznaczało, że go rozpoznawały. Nic nie uchodziło ich uwagi, nagle wyciągały szyje, zadzierały do góry pyski, wydając z siebie jakieś praodgłosy przypominające wycie wilków. Jakiś człowiek na skraju lasu! Sarna!

Trzymano je najczęściej w boksie dla psów. Bynajmniej nie dla umilania sobie czasu – służyły do ochrony i polowania, a także do pilnowania bydła.

Sabina stała w kuchni, już ubrana w zielone spodnie od dresu i sweter z przydługimi rękawami. Choć podwinęła je za łokcie, wciąż opadały. Smarowała ręce kremem, wcierała i wmasowywała.

– Zaraz będzie kawa.

Tobias skinął głową. Usiadł na krześle tuż przy oknie, słyszał jej pięty szurające po chodniczku. Pudełko z margaryną Bregott z wystającym z niej upačkanym nożem, pasztetowa w plasterkach, posklejana i wysuszona na brzegach. Sabina kroїła pomidory, ich nasionka ślizgały się w soku.

– Mogę ugotować owsiankę, fajnie rozgrzewa bebechy.

– Owsiankę? O nie, za cholerę. Matka wmuszała to we mnie bez przerwy, gdy byłem mały.

Jej plecy przy blacie, włosy zaplecione w mocny, skręcony warkocz, wijący się i lśniący ciepłem.

– Spałeś dobrze? – zapytała.

– Owszem.

– A łóżko jest wystarczająco wygodne? Dla kogoś takiego jak ty?

– Dla kogoś takiego jak ja? Daj spokój!

Oczy niczym skośne kreski pośród całej bladeści.

– No wiesz, pewnie jesteś przyzwyczajony do lepszych warunków,

występowałaś w telewizji, i w ogóle.

Nie miał ochoty wdawać się w tę dyskusję. Przytaszczyła dla niego ze strychu łóżko polowe i dała dodatkowy materac. Prawdę mówiąc, sypiał już wygodniej, ale wzruszyły go jej starania. Powoli rozsmarował margarynę na kromce razowca i rozdzielił kilka plasterków pasztetowej. Podniósł wzrok, słysząc drapanie w drzwi. Twarz Sabiny przybrała łagodny, serdeczny wyraz, spojrzała na niego z uśmiechem.

– Nauczył się, załatwia się na dworze.

Pod drzwiami czekał szczeniak golden retrievera. Z takiego psa nie będzie raczej pożytku, kupił jej go stary, bo marzyła o jakimś miłym zwierzątku. Poszła otworzyć, po podłodze przeciągnął podmuch lodowatego porannego powietrza. Piesek przeskoczył próg, pazury drapały o podłogę. Sabina przykucnęła. Dłoń trzymająca łebek była duża i płaska.

– Jak go nazwałaś? – zapytał.

– Mówiłam ci, Frett.

– Fred?

– Frett. Masz kłopoty ze słuchem?

– Frett? Przecież to rodzaj tchórza<sup>1</sup>.

– Co takiego?

– To inna nazwa tchórza.

– Akurat takie imię przyszło mi do głowy. Jest w sam raz, nie za długie.

Reaguje, gdy się go woła, od razu przybiega.

Klapnęła naprzeciw niego z szeroko rozstawionymi nogami, z psem w objęciach. Jasne łapki opierały się o jej rękę. Tobias poczuł się dziwnie onieśmielony. Miał wrażenie, że Sabina oczekuje, iż coś powie, że wydobędzie z siebie jakieś nienaturalne dla niego dźwięki.

– Frett – powiedział z namysłem. Piesek poruszył uszami.

– Małe psiaki są takie cudne – zaszcebiotała Sabina.

– Owszem.

Pociągała za ciepłe płatki uszu szczeniaka.

– Lwiątko też są cudne – wyrwało mu się – nie mówiąc już o maleńkich tygryskach.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki. Adam też wstał, był nieogolony, a strąki włosów przylegały mu płasko do karku. Podeszedł prosto do stołu i opadł z głuchym plaśnięciem obok matki. Pies wydał z siebie ostre szczeknięcie. Adam obrzucił go rozkojarzonym spojrzeniem.

– Przestraszyłeś go – stwierdziła Sabina. – Wiesz, że przy zwierzętach

trzeba zachowywać się spokojnie, nie wolno się tak rzucać.

– Jestem głodny.

– Przesuń się, żebym mogła przejść.

Podniósł się z trudem, a Sabina przecisnęła się obok niego i puściła psa na podłogę. Zwierzak natychmiast zaczął bawić się rolką po papierze toaletowym.

– Będziemy we trójkę – ty, ja i Adam – usłyszał jej głos dochodzący od kuchenki. – Dołącz do nas jeszcze Hardy, może go pamiętasz – Hardy Lindström. – Zniżyła głos. – Czasem nam pomaga. Niełatwo kogoś zwerbować, nikt nie ma czasu. A poza tym świetnie radzi sobie z Adamem. Ma taki pomysł na...

Odwróciła się, rzucając spojrzenie w stronę Adama.

– Coś w rodzaju występów.

Jakiś obraz w pamięci: wysoki, żyłasty mężczyzna z fryzurą à la Jezus. Gdy Tobias był tu poprzednim razem, facet przyjechał vespą. Wyciągnął śmiało rękę na powitanie, lecz nie był zbyt skory do rozmowy.

– Hardy jest moim menedżerem – oznajmił Adam, dla odmiany zupełnie normalnym głosem. Przełamał kawałek chrupkiego chleba, wytarł nim pieczołowicie wnętrze pudełka margaryny, po czym oblizwał do czysta koniuszkiem języka.

– Przestań, do cholery! – upomniął go Tobias.

– Co się dzieje? – Sabina przyniosła dzbanek z kawą. – Tobias, chcesz kawy, masz ochotę na dolewkę?

Skinął głową.

– Jakie znowu występy? Chodzi o te wygłupy z Elvisem?

Adam położył na stole rękę, szeroką i szaroblada w świetle jarzeniówki.

– Posiłujemy się?

– Daj spokój, idioto, nie przy śniadaniu.

Że też się nie powstrzymał, powinien okazać więcej cierpliwości. Z Adamem było coś nie tak, ale to przecież nie jego wina. Opóźniony w rozwoju, coś w tym rodzaju. Chodził do szkoły specjalnej w mieście, lecz Tobias wątpił, czy tam się czegokolwiek nauczył. Chłopak ledwo umiał nabazgrać swe nazwisko. Miał kompletnego fioła na punkcie Elvise Presleya i uwielbiał ubierać się w połyskujące spodnie z nitowanymi paskami. Głos miał melodyjny i piękny. Nauczył się wszystkich piosenek Elvise i śpiewał je świetnie.

– A ten Hardy jest teraz wolny? – rzucił w stronę pleców Sabiny. – Nie ma żadnej roboty?



– No wiesz, pracował w tartaku, ale była redukcja etatów i musieli zwolnić piętnaście osób.

– Przyjdzie tutaj?

– Spotkamy się przy pomoście. Dopijcie kawę, a ja skoczę na górę i zajrzę do Carla Sigvarda.

– A jak on się dzisiaj czuje? – Tobias wykonał gest w stronę sufitu. Sabina pokręciła głową.

– Często nie może zasnąć z bólu. Ale nie chce też zażywać tych swoich tabletek. Wiesz, jaki jest, zawsze gardził lekami.

– Że też ten stary musi być tak cholernie uparty. Myślałem, że ludzie z wiekiem mądrzeją, ale jego to najwyraźniej nie dotyczy. Ile on ma teraz lat? Siedemdziesiąt pięć?

– Nie wiesz, ile lat ma twój ojciec? Nie pamiętasz, że trzeciego sierpnia skończył siedemdziesiąt jeden? Niecałe dwa miesiące temu.

Tobias upił kawy, była gorzka i gorąca.

– Tak czy inaczej, jest zbyt stary, żeby pracować. Normalni ludzie przechodzą na emeryturę w wieku sześćdziesięciu pięciu lat albo i wcześniej, jeśli tylko pojawia się taka możliwość.

Siedziała w kucki przy psie.

– Twój ojciec nigdy się nie zestarzeje, jest nie do zdarcia – zauważyła spokojnie.

Tobias stał na ganku. Chłodne powietrze drażniło nozdrza, było minus jeden. Wokół panowała niezmacona cisza i całkowity bezruch. Niektóre krzewy się pokurczyły w nocy, liście czarnej porzeczki stwardniały i pozwijały się. Tobias zapalił papierosa i powędrował wzrokiem ku ściernisku. Słońce właśnie przebijało się swoimi promieniami, podejmując spóźnioną próbę ogrzania ziemi. Był koniec września, brzozy już pożółkły i zaczęły gubić liście. Szron nadal pokrywał ogrodzenie. Na pobliskiej drodze zadudnił autobus do Räcklinge jadący w asyście kilku mniejszych samochodów. Kierowcy przymierzali się do wyprzedzania, Tobias widział ich sylwetki. Psy ujadają ociężale, nadal ospałe, choć był już ranek.

Nagle poczuł, że ktoś go klepnął pomiędzy łopatki. Obrócił się i zobaczył Adama: kurtka w kratę, postawiony kołnierz, zadowolenie na twarzy.

– *Love me tender* – zanucił chłopak; pomiędzy jego zębami tkwiły resztki jedzenia.

– Uspokój się, do cholery! A gdzie matka?

Zwalisty, toporny chłopak wykonał kilka zadziwiająco zgrabnych kroków tanecznych, wysuwając do przodu miednicę. Poruszał nią rytmicznymi szarpnięciami.

– *In the g... hetto!*

Sabina już szła w ich stronę razem z Billym, owczarkiem border collie do zaganiań zwierząt. Mieli około dwudziestu młodych baranów, które spędziły całe lato na pastwiskach na wyspie Skamön. Teraz należało sprowadzić je do domu. Mogły znosić niskie temperatury, ale nie towarzyszącą ciągłym opadom deszczu wilgoć, od której mogły nabawić się zapalenia płuc. Właściwie należało je zabrać z wyspy co najmniej tydzień wcześniej, ale na przeszkodzie stanął silny wiatr. Dopiero teraz nastąpiła odpowiednia pogoda, zrobiło się zimno, ale bezwietrznie.

No i jeszcze ta historia ze starym. Wypadek zupełnie zakłócił rytm codziennej krzątania w tym domu.

Zajęli miejsca w samochodzie. Tobias siedział z tyłu razem z psem, Adam na miejscu obok kierowcy. Było ciasno, mało miejsca na nogi. Prowadziła Sabina. W aucie śmierdziało benzyną.

– Cieknie skądś paliwo? – zapytał Tobias, wychylając się w stronę Sabiny. Gdyby chciał, mógłby oprzeć podbródek na jej obojczyku. – Cuchnie jak cholera.

– No tak, to przez kanister. Zanim przyszło mi do głowy, żeby go jakoś przymocować, trochę z niego wyciekło.

Wyjechała na drogę. Asfalt połyskiwał, a słońce rozświetliło całe ściernisko. Choć wszystko dookoła było skąpane w ciepłych promieniach, marzyły mu koniuszki palców. Tobias pożyczył kombinezon ojca, który zamierzał narzucić na swoje ciuchy, gdy dotrą nad wodę. Głaskał owłosione psie łapy, rozgrzewając sobie w ten sposób palce. Zwierzę przyglądało mu się życzliwie.

– Jak je zwabimy na tratwę?

– Masz na myśli tryki?

– Tak.

– Nie wolno ich przestraszyć, bo będzie trudno nad nimi zapanować, mogą zareagować histerycznie. A to jest zaraźliwe – jeśli jedno zwierzę się przestraszy, pozostałe też wpadną w popłoch. Mogą rozleźć się po całej wyspie i nigdy nie pozbieramy ich do kupy.

– A nie spietrają się, jak tylko zobaczą, że schodzimy na ląd?

– Raczej nie, z natury są ciekawskie. Zresztą zaglądamy do nich, staramy się to robić raz na tydzień. Choćby po to, żeby sprawdzić, czy nie przytrafiło się im coś złego – mogą gdzieś ugrzęznąć albo wpaść do wody. Jeden tryk zaklinował się kiedyś głową pomiędzy gałęziami i nie był w stanie się wydostać, był zupełnie wycieńczony całą tą szamotaniną. Carl Sigvard musiał się podczołgać i go uwolnić. Po tym wszystkim stał się nadzwyczaj potulny.

– Kto? Ojciec czy tryk?

Zaśmiała się miękko.

Jechali za ciężarówką załadowaną surowcem drzewnym z Viks Kvarnlunda. Adam szarpnął Sabinę za rękę.

– Wyprzedzaj, wyprzedzaj!

Pacnęła go w policzek.

– Wiesz, że nie wolno mnie szarpać, gdy prowadzę! Mówiłam ci tysiące razy; kiedy to wreszcie do ciebie dotrze? Adam, to niebezpieczne, możemy wjechać do rowu!

Wielgachny chłopak zatkał. Sabina zmiękła.

– No przecież zaraz będziemy na miejscu, nie ma sensu wyprzedzać. Myślisz, że Hardy już na nas czeka?

Adam czknął i ucichł.

– *Love me tender* – usłyszeli po chwili niewyraźne pomruki. – *Love me true*.

Że też ona to wytrzymała, przemknęło Tobiasowi przez myśl. Adam był przerośniętym dzieckiem. Groteskowy, nigdy nie będzie normalny. A ona już zawsze będzie musiała go kontrolować, nie tak jak inni rodzice dorastających dzieci. Jej odpowiedzialność wygaśnie dopiero wraz ze śmiercią jednego z nich.

Pamiętał, jak się wprowadzili do ich domu, Adam i Sabina. Kiedy to było? Z dziesięć lat temu? Adam miał wtedy siedemnaście lat. Stary zgodził się przyjąć go pod swój dach. Spodziewał się, że chłopak pomoże w gospodarstwie na pewno był bardzo silny, a liczyła się każda para rąk. Zwłaszcza że Tobias nie zamierzał kontynuować tradycji rodzinnej i przejąć gospodarstwa.

Spotkał Sabinę na wiejskiej imprezie. Towarzystwo Regionalne organizowało w tamtym czasie potańcówki, które cieszyły się takim powodzeniem, że zjeżdżali tam nawet ludzie z większych miejscowości, z różnych okolic.

Stary miewał przygodne znajomości, ale nie znalazł partnerki, z którą

chciałby dzielić dom. Do czasu, aż pojawiła się Sabina.  
Adam wchodził w skład tego pakietu.

Zbliżali się do jeziora Fagerlängen upstrzonego wysepkami. Jako dziecko Tobias miał małą starą łódź wiosłową, którą mógł pływać po okolicy. Nie było wtedy mowy o kamizelkach ratunkowych, nikt się nie cackał z dziećmi, a mimo to jakoś sobie radził. Owszem, zdarzyło mu się parę razy chlupnąć do wody, ale pływać umiał, więc wystarczyło wciągnąć się z powrotem na łódkę i wysuszyć ubranie na słońcu.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Za żadne skarby nie pozwoliłby Klarze nawet wejść samej do wody. Ludzie tak się zmieniają, gdy zostają rodzicami, stają się tacy przewrażliwieni.

Dotarli na miejsce. Przed nimi rozpościerała się nieruchoma, lśniąca tafla jeziora. Chłód wyciskał łzy z oczu. Przed włożeniem kombinezonu Tobias schował się za jedną z szop rybackich i wysikał się. Kombinezon był sztywny i niewygodny. Tobias roztarł sobie dłonie, czemu towarzyszył suchy, szeleszczący odgłos. Wyterł też nos.

Tratwa była przycumowana do pomostu. Zbudowano ją z drewnianych odpadów i kilku starych zbiorników na ropę, które stary dostał tanio, bo miały być oddane do odkażenia. Używano jej dwa razy do roku. Najpierw wiosną, gdy trzeba było przewieźć zwierzęta na wyspę, a potem jesienią, gdy wracały do domu. Pastwisko na wyspie było dobrej jakości. Stary dzierżawił część tamtejszej ziemi. Złożył nawet kiedyś ofertę wykupu całej wyspy, lecz do transakcji nie doszło.

Tobias szedł w kierunku tratwy. Sabina stała pochylona nad silnikiem, wlewała paliwo przez brudny, sfatygowany lejek. Adam zdążył już wejść na pokład i trzymał się poręczy.

– Zimno mi! – oznajmił naburmuszony. – Zostawiłem rękawiczki na schodach.

Sabina otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili zza rybackich szop wyłonił się mężczyzna. Nie słyszeli go wcześniej, musiał tam stać i czekać. Zapewne ukradkiem podglądał przebiegającego się Tobiasa, który poczuł niesmak na tę myśl. Mężczyzna miał dwadzieścia pięć-trzydzieści lat. Stawiał duże kroki; wzrok wbity w ziemię, ręce schowane głęboko w kieszeniach skórzanej kurtki. Przez ramię miał przewieszony duży wojskowy plecak. Hardy Lindström we własnej osobie – Tobias teraz go rozpoznał. Jasne, kręcone włosy pod kapeluszem, krótka, intensywnie żółta

bródka, sprawiająca wrażenie farbowanej.

– O, jak dobrze, że jesteś, Hardy! – zawołała Sabina, a w jej głosie pobrzmiwał jakiś błagalny ton. Wreszcie udało jej się uruchomić silnik, który dławił się i prychał. Hardy skinął głową. Przerzucił chude nogi przez poręcz i znalazł się na tratwie. Podleciał do niego pies, który zaczął go obwąchiwać, ale nie zaszczekał. Hardy odsunął go stopą. Czarne buty miał zawiązane nad kostką, a spodnie włożone w cholewy.

– Serwus, Adam, jak leci? – zapytał.

Lewy policzek Adama, tuż pod okiem, drgnął w tiku nerwowym. Chłopak zarechotał, z kącika ust trysnęła ślina.

– Jak leci? – powtórzył za Hardym. – W porządku, chłopie, w porządku! Czadowo!

Hardy dopiero w tym momencie zaszczycił Tobiasa spojrzeniem. Sabina kierowała tratwą, manewrując dużą platformą pomiędzy pomostami.

– Fajnie, że zgodziłeś się nam pomóc! – krzyknęła z dłońmi ślizgającymi się po kierownicy.

– Widzę, że już macie pomagiera. Profesjonalista ze Sztokholmu, co? Ktoś, kto się na tym zna?

– Chyba widzisz, że to Tobias. Spotkaliście się przecież już wcześniej.

Hardy odsunął się na bok i zapalił papierosa, osłaniając go ręką. Nawet nie próbował nikogo poczęstować. Zapałka kołysała się przez chwilę na powierzchni wody, zanim zniknęła, wciągnięta przez wiry. Zaciągnął się łąpczywie kilka razy, po czym podszedł do Adama i poklepał go po plecach, waląc tak mocno, jak wcześniej Adam Tobiasa. Adam otrząsnął się.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytała Sabina.

– Co masz na myśli?

– No, tak w ogóle.

– Pod kontrolą.

– A twoja matka?

– Z tego, co wiem, nic jej nie dolega.

Tobias szukał jej wzroku, ale była pochłonięta sterowaniem, próbując utrzymać kurs na Skamön. Była to największa wyspa na jeziorze, lecz niezamieszкана, nie było tam nawet domków letniskowych.

– Skamön – jaka popieprzona nazwa<sup>2</sup> – burknął, głównie po to, by zmienić temat i w ten sposób przyjść w sukurs Sabinie. Pomyślał z obrzydzeniem o swoim głosie, zabrzmiał w nim jakiś ton przypominający starego, z którym nie chciał się utożsamiać.

W oczach Hardy'ego pojawił się błysk.

– Wiesz, dlaczego nazywa się Skamön?

Tobias nie odpowiedział.

– Dawno temu wywożono tam dziwki. Mężatki, które zadawały się z innymi facetami. Wywozili je tam tak samo jak my dzisiaj zwierzęta. Do tego nagusieńkie, jak je Pan Bóg stworzył. Na pewno wołałyby być zwierzętami. Kurwy jebane.

– Kurwy jebane – powtórzył Adam, któremu znowu drgnął policzek w tiku.

– Przestań – mruknęła Sabina.

– To prawda. Umierały śmiercią głodową, o ile wcześniej się nie potopiły albo nie zamarzły. Nie wolno im było wziąć ze sobą ani ubrań, ani jedzenia.

– To tylko stara bujda – stwierdził Tobias. – Naprawdę w to wierzysz?

Hardy wysunął podbródek, żółta broda podskoczyła.

– Ludzie znaleźli tam niejedno w szczelinach i rozpadlinach. Ja zresztą też. Mogę ci pokazać.

– Przecież to typowa wędrowna legenda! Jak ta o pizzy i szczurze.

Nad oleistą powierzchnią wody unosił się terkot silnika. Skamön była coraz bliżej. W sitowiu przycupnęły nieruchomo perkozy. Tobias widział ich połyskliwe bursztynowe oczy. Sezon lęgowy dawno się skończył, nie musiały już niczego chronić. Wkrótce zgubią swe charakterystyczne bokobrody i rozwiną zimowe upierzenie.

Na myśl o zimie poczuł ściśnięcie w żołądku. Musi jak najszybciej zakasać rękawy, zabrać się do pisania książki. Musi postarać się o pieniądze. Dwuletnie stypendium z fundacji literackiej Författarfonden straci ważność z końcem roku. Teraz powinien udowodnić, że dobrze zainwestowali, przyznając mu stypendium. Musi się wykazać.

– Trzymajcie się! – ostrzegła Sabina. – Przybijamy.

Tratwa zaryła z mocnym szarpnięciem prosto w piasek. Sabina wciągnęła dolną wargę. Na twarzy wykwitły jej rumieńce, spod chustki wystawał warkocz.

– Wiecie, co macie robić – mruknęła. – Tylko powoli i spokojnie, a wszystko pójdzie jak z płatka.

GDYBY nie ta historia z nogą...

Stał na poddaszu z widłami. Wcześniej wspinał się i skakał jak kozica, to wyprostowany, to na czworakach. Jego stare członki były nadal jak z gumy, nie straciły nic ze swojej sprężystości.

Nagle zdarzyło się coś niespodziewanego.

Dzień był deszczowy, ale niezbyt zimny. Późny sierpień, bez spiekoty, deszczowo i ciepławo. Istniało ryzyko, że cały plon szlag trafi, bo padało ponad cztery tygodnie. Może tak właśnie myślał: cała ta harówka na darmo, gnijące zboże, młockarnia osuwająca się w błocie, zbyt ciężka, by prowadzić ją po śliskim wzniesieniu. Być może właśnie tego rodzaju myśli zaburzyły tego ranka jego koncentrację. Bo nagle grunt usunął mu się spod gumiaków, nie czuł już pod stopami podłoża i spadł. Ostatnią rzeczą, jaka do niego dotarła, był trzask własnej czaszki uderzającej o cementową podłogę.

Twarz pochylającej się nad nim Sabiny była nieco rozmazana, opuchnięte wargi rozwarte. Mimo bólu dostrzegł, że drży. Za jej plecami Adam, jego wyprostowany, sztywny kark. „Mamo, mamo” – powtarzał głucho. Sabina nie zareagowała, chociaż raz jej uwaga nie była całkowicie pochłonięta chłopakiem. Klęczała w oborniku, jej koniuszki palców zbliżały się, by zaraz się cofnąć, jakby w obawie, że on się rozsypie, jeśli go dotknie. Odpłynął znowu, mimo wszystko zachowując resztki świadomości, bo później okazało się, że coś jednak pamiętał. Pamiętał szczegóły: jak płynął ponad przegrodami niczym na kołyszącym się materacu, takim nadmuchiwany, rzucany na wodę. Unosił się ponad Sabina, nad jej zaokrąglonymi ramionami; plecy przygarbione, zgięte w pałąk. Włosy ukryte pod chustką, którą zawsze miała na sobie, gdy wychodziła do zwierząt. Widział też, jak stoi w sieni przed lustrem, jak ją owija i wiąże, spłowiwały kwiatowy wzór. Jej spojrzenie w lustro, gdy sądziła, że nikt nie patrzy. Jej spojrzenie, pełne lubieżności i zadowolenia.

Dawał jeszcze radę.

Minie jeszcze sporo lat, zanim utraci siły.

Zwykł myśleć w taki właśnie sposób.

Z daleka doleciał przenikliwy dźwięk syren. Wtedy otworzył oczy. Sabina siedziała przy nim nadal, obok niej Adam, który opadł na kolana. Widział jego obwisłe, nalane policzki.

Chciał ją o coś zapytać albo raczej zbesztać:

Nie rób niepotrzebnego zamieszania, po co w ogóle dzwoniłaś? Po co ta karetka na sygnale i cały ten cyrk?

Chciał powiedzieć coś w tym rodzaju. Jednak z jego ust nie wydobył się najmniejszy dźwięk. Wtedy poczuł w głowie pierwsze oznaki zamętu.

Przyjechały dwie panienki w czerwonych kombinezonach. Dwie dziewczyny; pomyślał, że są z miasta, że mają małe, czyste stopki i że mogą się poślizgnąć na zwierzęcych odchodach. Kliniczna woń olejków. Słodka, kliniczna woń miasta.

Z pewnym trudem ułożyły go na noszach. Najpierw myślał, że zranił się tylko w głowę, jednak teraz dotarło do niego, że uszkodził też inne części ciała. Jedna noga, lewa, była taka dziwna, bezwładna.

– Jak pan się nazywa, czy może pan powiedzieć, jak pan się nazywa?

Jasna grzywka dziewczęcia. Jak mógłby zapomnieć swoje nazwisko?

– Nazywa się Carl Sigvard Elmkvist – włączyła się Sabina. Widząc go na noszach, uświadomiła sobie, w jak fatalnym jest stanie, i nie mogła już powstrzymać łez.

Uniesione brwi dziewczyny.

– Chciałam usłyszeć to od niego. Carl Sigvard, czy wie pan, jaki dziś jest dzień?

Jedna wielka żenada! Żenada jak cholera. A do tego ten przeklęty gówniarz stał w przejściu jak jakiś kloc. Jego ochryple wycie – domagał się od Sabiny pociechy, natychmiast; w przeciwnym razie dostałby napadu szału, nie udałoby się jej nad nim zapanować.

Nie pamiętał już, jak go wieźli do szpitala. Tylko czekanie na wąskiej, chybotliwej pryczy. Ludzie na krzesłach wzdłuż korytarzy, lśnienie słońca na błyszczącej, zakurzonej podłodze.

W końcu doczekali się lekarza. Rany boskie, jaki młokos! Stał nad nim w białym fartuchu, z zaróżowionymi policzkami.

– Zawdzięcza pan życie swojej świetnej kondycji fizycznej.

Pamiętał, że wszystko go drażniło i wnerwiało. Jakby chciał zrzucić winę za wypadek na kogoś innego, a nie na własną niezgłowatość.

Spędził w szpitalu ponad tydzień. Zoperowali mu kręgosłup i nogę. Miał pęknięcia i złamania. A nie był z tych, którym przytrafiają się wypadki. Wcześniej był w szpitalu tylko jeden jedyny raz – gdy urodził się Tobias.



ZESZLI na ląd. Sabina nie spuszczała wzroku z Adama, palec przyciśnięty do ust: „Ciiiicho”. Pies ich nie odstępował, pomagał już wcześniej przy zwierzętach i czekał na polecenia.

– Zostańmy na razie tu, niech same się pokażą – rzuciła Sabina.

Usiadła na pniu, który leżał przewrócony w trawie. Pies przycupnął tuż przy niej, nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w jej usta. Po kilku minutach zaszemrało listowie, zaczęły pojawiać się owce. Nieufne, lecz zaciekawione, z ich nozdrzy wydobywały się kłęby pary.

Tobias oparł jedną stopę o kamień. Włożył własne gumowce, które przywiózł z miasta. Używał ich nadzwyczaj rzadko, musiał odszukać je w piwnicy. Poruszał trochę palcami marznących stóp. Stał i patrzył, jak zwierzaki coraz bardziej się ośmielają, na ich brązowo-białą sierść. Ich sapanie skojarzyło mu się z odgłosami wydawanymi przez balony, pojawiające się nagle, wysypujące się na całe niebo; no i te dźwięki – spokojne, regularne oddechy, podobne do odgłosów wydawanych przez rodzące kobiety, kontrolowany, dokładnie wyważony oddech. Kątem oka widział Adama, skupienie na jego twarzy. Widniało na niej napięcie, bo był świadom, bo jego ociężały mózg kojarzył, że powinien o czymś pamiętać. Jego spojrzenie utkwione było w palec matki: „Cicho, Adam, ciiiicho”.

Pierwszy tryk stał już na piasku, kawałek od Sabiny. Zaparł się kopytami, wyciągnął szyję, wilgotny siwy pysk przybliżył do głowy Sabiny, która zmarszczyła czoło i prychnęła. Czyżby przyciągnął go wesoły wzór na chustce, może myślał, że to coś jadalnego? Sabina siedziała wyprostowana na pniu, ręce na kolanach, czerwone z zimna, rękawice zsunęły się na ziemię. W stronę oczekujących zmierzał już kolejny pysk. Sabina poruszyła stopą, a wtedy zwierzęta wzdrygnęły się i odskoczyły. Sabina uśmiechnęła się.

– Aniołki – powiedziała cicho. – Ale jesteście ciekawskie.

Hardy przeliczył zwierzęta.

– Doliczyłem się dziewiętnastu.

– Powinno być dwadzieścia, ostatni na pewno zaraz się pojawi, zorientuje się, że pozostałe zniknęły.

Tratwa była gotowa, rozłożyli wcześniej deski, które utworzyły stabilny trap. Hardy zszedł z powrotem i zagroził boki, wbijając w ziemię kije. Usłyszeli jego głucho przekleństwa – w niektórych miejscach glina była za

twarda.

– Myślę, że chcą już wracać do domu – wyjaśniła Sabina. – Gdyby było inaczej, nie pojawiłyby się tu tak szybko. Na pewno tęsknią za ciepłem.

– Nie spieszyłyby się tak, gdyby wiedziały, co je czeka – rzucił sucho Tobias.

– Racja. Ale takie jest życie.

– Antrykot albo befszytk tatarski.

– Nie można myśleć w ten sposób, bo inaczej człowiek sobie z tym nie poradzi.

Adam chrząknął i podniósł rękę, wskazując w stronę zagajnika.

– Jest tam, jest tam!

Kopyta odrywały się od podłoża, stadko przerażonych zwierząt rozproszyło się w podskokach. Zatrzymały się jednak z wysuniętym do przodu ciałami, z uszami nastawionymi do wyławiania dźwięków.

Sabina westchnęła.

– Dobrze, że nam powiedziałaś – skomentowała. – Staraj się jednak trzymać ręce mocno przyciśnięte do boków, o tak, nie wymachuj, bo spłoszysz zwierzęta. Chyba nadeszła pora, żebyśmy się rozdzielili.

Pies stał z uniesionym ogonem, kaździuteńki mięsień biało-czarnego tułowia był nastawiony na pracę. Gdy Sabina dała mu znak, natychmiast ruszył, wystrzelił jak z procy w zarośla. Usłyszeli trzask łamanych gałązek, pojedyncze beknięcia, ostre, lecz nie podszyte paniką. Zwierzęta miały trzy lata, dwa razy spędziły na wyspie letnie miesiące; może pamiętały ciepło zagród i napawające poczuciem bezpieczeństwa odgłosy przeżuwania wydawane przez pozostałych członków stada chrupiących siano.

Nie chcemy wam zrobić krzywdy, pomyślał Tobias, na pewno jeszcze nie teraz. No, dalej, chłopaki, jazda na pokład!

Z pomocą psa udało im się skierować zwierzęta prosto na ogrodzenie, a potem na trap. Powoli i spokojnie. Tobias spodziewał się, że tętent kopyt zwierząt wbiegających na pomost przerazi te, które były z tyłu, ale nic takiego nie nastąpiło. Dźwięk rozpląnął się w ścisłości parujących ciał. Tobias poszedł za nimi i zagonił je na rufę. Zbiły się w ciasną gromadkę i wpatrywały w niego łagodnymi oczami. Naszła go ochota, by przyłożyć dłoń do któregoś ciepłego, krągłego brzucha, ale byłoby to nierozsądne, na pewno wywołałoby popłoch wśród zwierząt.

Sabina brodziła w wodzie sięgającej cholewek gumiaków.

– Tobias, brakuje jednego. Musimy go poszukać. Możecie pójść razem z Hardym, a ja tu zostanę i popilnuję?

- A gdzie właściwie podział się Hardy?
- Poszedł już, w tamtym kierunku. Weź ze sobą psa. A my tu zostaniemy na posterunku.

Nie był przyzwyczajony do takiej ciszy. Przystanął za występem skalnym i wstrzymał oddech. Pies gdzieś pobiegł, może do Hardy'ego. Należał do kierującej się popędami i pierwotnymi instynktami rasy, która za wszelką cenę musi trzymać stado w ryzach.

Nagły, bębniący gdzieś ponad jego głową odgłos sprawił, że aż podskoczył. Dziecioł. Odchylił do tyłu głowę i uchwycił wzrokiem czerwono-czarne mignięcie piór. Dziecioł czarny, skojarzył. Nauczycielka w trzeciej klasie nie odpuściła, dopóki nie nauczyli się rozróżniać co najmniej dziesięciu gatunków ptaków. Jednak nigdy nie wzięła ich akurat na tę wyspę. Wtedy też pasaly się tu młode zwierzęta, a ona bała się krów. Bała się krów, a mimo to zatrudniła się na zapadłej wsi. Jak ona się nazywała? Nie mógł sobie przypomnieć. Kobieta wdała się potem w romans z pastorem, co wywołało skandal, gdyż ten był żonaty i miał czworo dzieci.

Co się właściwie stało z tą nauczycielką?

Bo pastor otrzymał, tak czy inaczej, odpuszczenie grzechów. Nadal przemawiał w niedziele z ambony i uczył konfirmantów, jakby nic się nie stało. A co z młodą nauczycielką? Tobiasowi przypomniało się, co Hardy powiedział o Skamön. Mimowolnie zaczął odczuwać lekkie podniecenie. Stał z napiętymi ramionami, drżąc z ciągnącego od ziemi przenikliwego chłodu, który zasklepiał się wokół jego ciała, wdzierał przez podeszwy gumiaków i przenikał wyżej ku pieszczelom.

Muszę się rozruszać, przemknęło mu przez głowę. Muszę zacząć szukać, bo inaczej nie będziemy mogli wrócić do domu.

Wspinał się po śliskim zboczach, pokonał kilka rozpadlin skalnych, opadł na kolana i zerknął w dół. Obcy dźwięk – krótkie, przerwane beknięcie. Jest, to brakujący tryk. Brązowo-biały, leżał poniżej wciśnięty pomiędzy kamienie. Gdy dostrzegł Tobiasa, zaczął rzucać łbem i wydawać z siebie odgłosy.

Spokojnie, spokojnie! Tobias zaparł się piętami o mech, zjechał kawałek po piasku, w końcu podciągnął się na łokciach. Zwierzę miało poważne obrażenia, prawdopodobnie złamało nogę. Gdyby nie to, zerwałoby się i uciekło. Tobias mógł teraz bez problemu podejść i dotknąć go. Przyłożył dłoń do twardego, płaskiego czoła, które wyglądało niczym gwiazda – biała,

zatopiona w brązowej sierści.

– Co z tobą, kolego? – zapytał niepewnie. – Skręciłeś nogę?

Nie, wiedział, że jest znacznie gorzej, było to widać na pierwszy rzut oka. Dotknął rogu, gładkiego i ciepłego. – Spokojnie, spokojnie!” – powtórzył. Duży łeb obrócił się – rozszerzone nozdrza, woń przerażenia.

– Jasny gwint, jak ty to sobie teraz wyobrażasz, jak mamy cię wziąć do domu, skoro tak narozrabiałeś?

Nagły ruch u jego boku, łeb tryka odskoczył tak mocno, że musiał zwolnić uchwyt. Wszystko przez psa, który ich zwęszył. Tobias chwycił za obrozę, zmuszając psa do siadu. Zwierzak dyszał i cichutko skomlał.

Teraz przemawiał do psa:

– No i co powinniśmy zrobić? Jesteś już doświadczony, masz jakiś pomysł?

Pies przekrzywił łeb i wyglądał, jakby się zastanawiał. Pysk półotwarty, w środku wilgotny, różowy, rozdygotany jęzor. Uniósł łeb i zaszczekał.

Hardy schodził zboczem. Kapelusz zsunięty do tyłu, o sznurek biegnący wokół denka zaczęła się ulistniona gałązka. Najwyraźniej też się przewrócił – kolana jego spodni były mokre i ubłocone.

Podszedł od razu do leżącego zwierzęcia i kopnął je w bok. Baran ryknął głucho.

– Wstawaj! – wrzasnął Hardy.

Tobias puścił psa. Poczował pieczenie w okolicy żołądka.

– Do kurwy nędzy, co ty wyrabiasz?! Nie widzisz, że jest ranny?

Hardy utkwiał w twarzy Tobiasa lodowato niebieskie oczy.

– A skąd wiesz, może jesteś weterynarzem, co?

– Nie trzeba weterynarza, żeby dostrzec, że zwierzę jest ranne.

– Czasem im się po prostu nie chce, nie mają ochoty się ruszyć.

Hardy znowu podniósł nogę i wymierzył kolejnego kopniaka. Tobias zerwał się z miejsca.

– Dlaczego jesteś tak cholernie agresywny? Weź się trochę opanuj!

Ku jego zdziwieniu Hardy odsunął się na bok. Wyłowił paluchami z kieszonki na piersi pomiętego papierosa. Zapalił, wydmuchnął dym.

– Musimy się zastanowić, co robić. Powoli i rozsądnie. – Tobias zrobił gest w stronę leżącego zwierzęcia. – Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Nie wątpię, że je znajdziesz – prowokował go Hardy.

– Nie rozumiem, dlaczego się tak zachowujesz. Nastąpiłem ci na odcisk?

Hardy wyszczerzył zęby w uśmiechu, wargę zjechała na brodę. Zdjął

kapelusz, dostrzegł gałązkę, oderwał ją szybkim pociągnięciem.

Stali tak przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Hardy pomału wypuszczał dym nozdrzami. Grzbiet jego nosa był jakiś dziwny, wyglądał na pęknięty. Jakby dostał kiedyś po pysku, a nos nie zagoił się tak, jak trzeba. Stał przed Tobiasem i poruszał szczękami, jakby coś przeżuwał.

– No to co pan weterynarz powie? – wypluł z siebie.

– Odpieprz się wreszcie! Zbierajmy się stąd, Sabina czeka.

Zanim zdążył zareagować, Hardy znalazł się z powrotem przy zwierzęciu i kopnął je w ogon.

– Wstawaj, ty pieprzona kreaturo, nie udawaj! Spieszmy się, kapujesz, panu weterynarzowi się spieszy!

Tobiasowi uderzyło do głowy gorąco, oczy przesłoniła czerwona mgła. Chciał podbiec do zwierzęcia, ale poślizgnął się na mokrej trawie i omal nie upadł. Hardy kiwał się na piętach.

– To tylko taki test – oznajmił ze spokojem. – Chciałem sprawdzić, czy nie udaje.

– Kurna, jesteś zdrowo szurnięty.

– O, nie tylko weterynarz, ale jeszcze doktor od głowy!

Tobias odwrócił się i zaczął wspinać się na górę, pełzając, dygocząc na całym ciele. Nagle zrobiło mu się gorąco. Pot lepił mu się na plecach, pod pachami i wzdłuż brzucha. Czuł za sobą obecność psa, ale gdy się obejrzał, zwierzak zdążył zeskoczyć z powrotem do Hardy'ego. Chciał go przywołać, zwabić do siebie, lecz jego wargi były sztywne niczym kawałek kory. Uderzenia serca dudniły w gardle, rozchodziły się aż po bębunki uszu, jak ciężki, duszący szum. Podczołgał się na sam skraj i odwrócił głowę. Hardy stał i patrzył za nim. Plecak odstawił na bok. Pociągnął ostatni raz papierosa i wyrzucił niedopałek.

Tobias ruszył dalej. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, zaczął biec. Palila go wściekłość, miał ochotę wykrzyczeć z siebie wszystko. Zbliżając się do brzegu jeziora, zwolnił, świadom, że nie powinien wywoływać paniki. Sabina stała na tratwie, patrząc w drugą stronę. Za jej plecami zwierzęta tworzyły gęstą brązowo-białą ścianę. Któreś zabeczało, a Tobias miał wrażenie, że słyszy odbijające się gdzieś w głębi wąwozu echo.

W tym momencie Sabina się odwróciła i dostrzegła go. W jej oczach rozbłysnął niepokój. Tobias przygładził włosy, by doprowadzić je do ładu i się uspokoić. Podrapał się po szyi.

– Tobias, co się dzieje?

Na jej bladej twarzy widniało przerażenie.

– Co się stało?

Zanim zdążył odpowiedzieć, z lasu dobiegł głośny huk. Odgłos wystrzału, który sprawił, że pies zaczął wyc.

ZADZWONIŁ telefon. Carl Sigvard leżał pogrążony w letargu, wszystko przez te pigułki, które bez przerwy wmuszała w niego Sabina. Zasychało mu od nich w gardle, czuł się otumaniony.

Poszukał po omacku słuchawki. Sabina przyniosła wcześniej przedłużacz i postawiła telefon na stoliku nocnym obok jego łóżka.

– Nie mogę tu ciągle dulceć, muszę przecież doglądać zwierząt.

Wyrażała się czasem w nieco dziwny sposób, z jej ust padały słowa, których nikt już od dawna nie używał.

Czuł teraz chłodny bakelit w dłoni. Kurna, do tego wszystkiego ma jeszcze gorączkę!

– Elmkvist – rzucił niewyraźnie. Język puchł od tego leżenia i zatykał usta.

Cienki, dziewczęcy głosik.

– Cześć, mówi Klara.

– To ty, Klaro? Z tej strony dziadek.

– Przecież wiem.

– Aha. Poznałaś mnie.

Zachichotała sztucznie.

– Czujesz się już lepiej?

– Jasne, o wiele lepiej.

– Jest tata?

– Nie.

– Nie ma go?

– Jest na Skamön, wszyscy pojechali tam rano po zwierzęta. A która jest teraz godzina?

– Dziesiąta czterdzieści dziewięć.

Nigdy nie przyswoił sobie tych nowych sposobów odczytywania godziny. Dziesiąta czterdzieści dziewięć, musiał się zastanowić, co to oznacza.

– Nie jesteś w szkole? – zapytał.

– Jestem, ale teraz mamy przerwę, dzwonię z komórki.

– Aha.

– Dzwoniłam wcześniej na komórkę taty, ale jest ciągle wyłączona.

– Możliwe. – Odchrząknął. – Wszystko u ciebie w porządku, Klaro?

– Tak, spoko.

– Mam poprosić Tobiasa, żeby zadzwonił do ciebie, jak wróci?

– Nie trzeba, to nic ważnego. Zadzwonię później.

Na chwilę zapadła cisza. Pomyślała, że to przecież kosztuje, że dzwonienie z komórki jest drogie. Na pewno płaci za nią Tobias albo matka dziewczyny, Görel. Chociaż ona raczej nie jest przy forsie. Jego syn zresztą też nie.

– Co robisz, dziadku? – usłyszał. Równocześnie dobiegł go narastający za jej plecami szum. Była na szkolnym podwórku, przerwa właśnie się kończyła.

– Leżę w łóżku, ale już niedługo wstanę.

– To dobrze. Zdrowiej! Muszę już kończyć.

No to cześć, Klarusia. Klarusia Milusia. Dobrze, że nie powiedział tego głośno, bo poczułaby się zażenowana. Była już za duża na takie dziecinne rymowanki. Ile to ona ma lat? Czternaście, piętnaście? Nie była już berbeciem, choć nadal miała cienki, delikatny głosik, przypominający zresztą głos Görel.

Przekręcił się na bok, z dużym wysiłkiem udało mu się odłożyć słuchawkę. Poczuł znowu ćmiący ból w plecach, dokuczało mu to ciągle leżenie. Zupełnie wbrew jego naturze, całe życie był przecież ruchliwy i aktywny. Zanikną mu mięśnie, jeśli jeszcze poleży tak dłużej. Zaczęły już wiotczeć, a nogi wyglądały jak pędy ziemniaków: cienkie, mieniające się sinymi plamami. Przez kilka pierwszych dni miał założone podkolanówki uciskowe – w szpitalu mówili, że po to, by zapobiec zatorom. Pod tymi podkolanówkami zaczęły mu się kurczyć mięśnie, wszystko słabło.

Gdy Sabina ściągnęła z niego te szmaty, wyłoniło się coś, co nie należało do niego. Siedziała przy nim z rozpuszczonymi włosami; nagle odwróciła swój mały nosek w szybkim grymasie.

– Co jest?

– Powinam ci chyba umyć kulasy. Pewnie minie trochę czasu, zanim będziesz mógł pójść pod prysznic.

Carl Sigvard przymknął oczy. Nagle poczuł, że nie może dłużej znieść widoku tego pokoju i tych wszystkich tak dobrze znanych przedmiotów. Nie był przyzwyczajony do przyglądania się im w świetle dziennym, wyglądały na zniszczone i zużyte. Jak, nie przymierzając, on sam! Tapety ze śladami zeszłorocznego, zimowego przecieku. Krzesło z żółtym szlafrokiem Sabiny. Obraz nad komodą; zauważył teraz, że wisi krzywo. Motyw też nie napawał optymizmem: ściśnięta, mała, kryta strzechą kurna chata i śnieg z prześwitami obnażającymi glebę. Nieurodzajną i wymagającą, jak w



rzeczywistości.

Przywiozła go ze sobą Svava, matka Tobiasa. Dlaczego nie zdjął go ze ściany? Obraz przedstawiał jakąś zapadłą islandzką wieś, może jakieś rodzinne gospodarstwo. Słyszał pogłoski, że Svava wróciła do kraju i zeszła się z jakimś zeszkapiałym Islandczykiem. Na pewno spędzają wieczory na śpiewaniu w duecie: „ridum, ridum” i tak dalej. Ci cholerni Islandczycy przy każdej okazji tylko rozdzierają gęby i śpiewają. Kiedyś byli u nich z wizytą jej bracia, nie robili nic poza brzdąkaniem na gitarze i wyciem. Jedzenie nie pojawiała się na stole, bo Svava nie miała czasu. Wybijała nogą rytm, poruszała biodrami i nie była już tą samą kobietą co zwykle.

*Taaag*. Naśladował sposób, w jaki odpowiadała. „Jesteś tam, Svava? *Taaag*”. Teraz już jej tu nie było, a on miał to gdzieś. Sam leżał niczym worek zgniłej brukwi, zamiast być na dworze, a jego płuca domagały się gwałtownie powietrza.

Próbował przywołać obraz Sabiny, jej ciała, gdy wstawiała z łóżka, jak wyrzucała do góry ręce, a włosy opadały splątaną kaskadą na plecy. Cienka, biała koszula, spod której prześwitywały piersi z brązowymi otoczkami, dużymi i bardziej zaznaczonymi, niż widywał u innych kobiet. Swego czasu ssał je i gryzł, lubił leżeć z policzkiem przyciśniętym do jej brzucha. Tak, ssał ją niczym cielak.

Nadal była piękna. Inaczej niż wtedy, gdy ją spotkał – teraz piękno płynęło bardziej z wnętrza. Minęło już dziesięć lat. Do tamtego momentu mieszkał sam od listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Właśnie wtedy Svava zabrała syna i zniknęła.

Początkowo miał wątpliwości. Czy przyjąć do domu kogoś, kto nie znał jego zwyczajów, kto wtryniałby się z jakimiś nowościami. Zainteresowanych kobiet nie brakowało, naprawdę nie. Jednak dopiero gdy spotkał Sabinę, zdobył się na odwagę. I to pomimo tego siedemnastoletniego inwalidy, którego wszędzie ciągała ze sobą, który do tego wszystkiego też miał z nimi zamieszkać. Bez matki nie dałby sobie rady, bo był słaby na umyśle, pozostał na poziomie dziecka. Jego ciało osiągnęło jednak wzrost i siłę dorosłego mężczyzny.

Przez pierwszy miesiąc dzielili pokój z chłopakiem.

– Musimy przyzwyczajać go krok po kroku, bądź cierpliwy, Carlu Sigvardzie.

Zawsze używała jego imienia w całości, żadnych zdrobnień typu Kalle

czy Sigge. Tak zwracała się do niego Svava, ale Sabina nigdy. Gdy Sabina wymawiała jego imię, brzmiało ono pięknie.

Adam dostał pokój w głębi domu, ten, który służył Svavie jako szwalnia. Sabina każdego wieczoru przygotowywała łóżko – wysuwała spód sofy, rozkładała koce i pościel. Nawet spała, trzymając tego niedojdę w objęciach. Adam ssał swój wielki kciuk, na jego twarzy wykwitał zarost, a spod brwi błyskały świdrujące oczy.

– Musimy sprawić, by poczuł się tutaj bezpiecznie – wyjaśniła. – Jeśli poświęcimy na to trochę czasu, obiecuję, że potem będzie inaczej.

Nie myliła się. Znała dobrze chłopaka, czy też raczej faceta. Nosiła go w swoim łonie, urodziła go, a on ssał jej piersi, podobnie jak potem Carl Sigvard. Dziwne, ale ta myśl pozostawiała go obojętnym – że najpierw ssały je obwisłe wargi chłopaka, a później jego własne.

Z czasem okazało się, że Adam jest silny i można go nakłonić do wykonywania różnych prac. Jeśli powiedziało się to we właściwy sposób, poprosiło, wyjaśniło, a potem okazywało wdzięczność. Wtedy można było liczyć na to, że zrobi coś następnym razem, na przykład przyniesie drewna albo, tak jak teraz, pomoże przy zwierzętach.

Niepokoił go ten Hardy, lecz byli zmuszeni go nająć. W tym człowieku było coś nieprzyjemnie śliskiego, ale nie mogli sobie pozwolić na odrzucenie jego pomocy. Znalezienie kogoś do pracy graniczyło z cudem. Hardy to prawdziwy krętacz i kanciarz, ot co. Przez jakiś czas nie było go w wiosce, bo siedział w więzieniu. Dla nikogo nie było to tajemnicą, choć jego matka, Ann-Mari, próbowała ludziom wciskać kit, że syn chodzi do szkoły w Göteborgu. Carl Sigvard dziwił się, że Sabina pozwala Adamowi zadawać się z Hardym. Nie komentował tego głośno, bo czasami pozbycie się chłopaka wiecznie uczonego maminej spódnicy było mu na rękę. Choć było oczywiste, że Hardy nie jest odpowiednim dla niego towarzyszem. Carl Sigvard odczuwał instynktowną niechęć na myśl, że musi prosić tego człowieka o pomoc.

Wiedział dokładnie, co teraz myśli sobie Tobias. Tato, czas już sobie odpuścić. Nie dociera to do ciebie? Ale syn na pewno nie powiedziałby tego głośno, na pewno nie na tyle, by usłyszał to Carl Sigvard. Nadal odczuwał respekt przed ojcem. Dlatego też przyjechał, gdy go potrzebowali, odrywając się od tej swojej ważnej skrobaniny.

Tobias zaglądał do niego na górę, żeby pogadać, tylko przez pierwsze dwa dni. Zapewne obawiał się docinków ojca. Carl Sigvard miał przed oczami, jak syn stoi na progu, wita się, jęka, jakby zaraz chciał zawrócić i

zbiec z powrotem na dół.

– Podejdźże do mnie, żebym cię widział!

Szczupła twarz i ta grzywka – czarna, zachodząca na oczy. Jakby miał coś do ukrycia, jakby chciał zasłonić się przed spojrzeniami innych. Był podobny do matki. Te rumieńce, które znieńcka wykwiwały na szyi, gdy czuł się przyparty do muru. Szpara pomiędzy zębami, kości policzkowe.

Spoczywał w objęciach Svavy niczym jakieś nomadzie dziecko, zanim go rozwinęła z powijaków.

– Jest podobny do twojego ojca na zdjęciu – stwierdziła – tym, które wisi w pokoju.

Sam nie dostrzegwał tego podobieństwa. Siedział w napięciu, pochylony, z nowo narodzonym synem na kolanach, trzymał jego główkę w stulonych dłoniach.

Czy on jest na pewno mój? – przemknęło mu przez myśl. Dlaczego Svava tak zwraca uwagę na te podobieństwa? Że dziecko było podobne do niej, nie było najmniejszej wątpliwości. Carl Sigvard nie miał takiej karnacji i takich rysów.

W miarę jak chłopak rósł, wątpliwości Carla się ulatniały.

Jednak Svava wyprowadziła się i zabrała dziecko ze sobą. Chłopiec nie miał wtedy jeszcze dziesięciu lat.

PODMUCH wiatru przeciągnął ponad taflą wody, zmieniając jej barwę. Wcześniej była przezroczysta jak kryształ, a teraz stała się szara i pomarszczona. Tobias odwrócił się i ujrzał oczy Sabiny, też szare, rozbiegane.

– Co to było? – szepnęła, pociągając za węzeł chustki, jakby nagle miała trudności ze złapaniem oddechu.

W tym momencie zobaczyli psa, czarnego, skradającego się, zmierzającego w ich kierunku nie prostą drogą, lecz zakosami.

– Billy! – przykucnęła, wabiąc go do siebie. Podniosła głos, wrzasnęła: – Do nogi!

Wśród stojących z tyłu owiec zapanowało poruszenie, kotłowały się i wierciły tak, że rozkołysały mocno tratwę. Pies przysiadł z odwróconym łbem, jakby nic nie słyszał. Po chwili podniósł się i zaczął dreptać w kółko po piasku.

– Billy! Do nogi! – wrzasnął Adam głosem zduszonym jak u zwierzęcia.

– On strzelił – rzucił Tobias, chwytając za rękaw Sabiny. – Słyszałaś, to na pewno on.

Skinęła z roztargnieniem głową.

– To tamten tryk?

Z jego miny wyczytała potwierdzenie.

– Więc jest ranny?

– Nie mógł wstać. Był połamany, ale żył.

– Mogliśmy sprowadzić weterynarza.

– Nie sądzę, żeby zdołał pomóc.

Pomiędzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka irytacji.

– Chodzi o to, że to oznacza masę kłopotów. Któreś z nas musi wrócić i zająć się mięsem. A w zamrażarkach nie ma już miejsca, więc trzeba będzie spróbować to sprzedać. I to migiem.

– Czy nasz poczciwy Hardy nie jest nazbyt samowolny? Nie powinien był zapytać nas, a zwłaszcza ciebie, o zdanie, zanim pociągnął za spust?

– Może – odparła krótko. – Na pewno chciał skrócić męki zwierzęciu.

– Skrócić męki! Niezły eufemizm! Szkoda, że nie widziałaś, co on wyrabiał. Sabina, ten facet mi się nie podoba. Coś z nim jest nie tak, o tutaj.

– Tobias popukał się knykciami w czoło.

– Myślisz, że mamy jakiś wybór? – syknęła. – Że czeka kolejka chętnych

do pomocy?

– A co z innymi, którzy zostali zwolnieni z tartaku? Nie było wśród nich normalnego, przyzwoitego człowieka?

– Po prostu tak wyszło i padło na Hardy’ego. Ma swoje wady, ale poza tym świetnie sobie radzi. I ma dobrą rękę do Adama. Jest jedyną osobą, która sprawia, że Adam czuje się jak normalny człowiek.

– Hardy to sadysta. Nie pojmuję, dlaczego mu ufasz!

Nie słuchała, tylko perorowała dalej:

– Z tobą jest na pewno inaczej, możesz sobie pozwolić na dobieranie towarzystwa. Jak jesteś niezadowolony ze swego wydawcy, możesz sobie poszukać innego. Ale u nas tak nie jest. Tylko że ty jakoś nie możesz tego pojąć.

Tobias poczuł pieczenie na karku, u nasady włosów. Zadrżał z zimna. Zza skał wyłonił się Hardy. Plecak przerzucony przez ramię, papieros w ustach. Pies również go zauważył. Położył się płasko na ziemi i zaczął pełzać w kierunku tratwy. Ten widok był jakiś nierzeczywisty.

Hardy wskoczył na pokład. Strzelił palcami, a pies wślizgnął się za nim. Zaskowyczał i położył się obok jednego ze zbiorników.

– Co jest z tym psem? – zapytała Sabina.

– Nie mam pojęcia – odparł Hardy. – To nie mój pies, nie wiem, co mu dolega.

Pochyliła się i pogładziła psa po szyi. Polizał ją po ręce.

– Słyszeliśmy strzały – rzuciła.

– No i?

– To ty strzelałeś?

– Tak.

– Więc było to konieczne?

– O co ci biega? Myślisz, że pociągam za spust bez potrzeby?

– Nie o to mi chodziło.

– No to o co?

– Ech, nic takiego. Ale myślę, że powinniśmy tu wrócić.

– Przydałoby się.

– Ale ja raczej nie zdążę, będę zajęta cały dzień. Musimy zapędzić zwierzaki do zagród, ostrzyć je i w ogóle oporządzić. Bez tego nie uda się ich sprzedać.

Wykonała gest w stronę oblepionych przyschniętym błotem boków zwierząt.

– Trudno dostać dobrą cenę za mięso, musi być cholernie czyste, wręcz

sterylne, bo inaczej nikt nie zapłaci tyle, ile jest warte.

Hardy zarechotał.

– Masz przecież do pomocy eksperta ze Sztokholmu, na pewno sobie poradzicie.

Tobias stał z rękami w kieszeniach. Poczuł, jak sztywnieją, a następnie zaciskają mu się palce. Znowu ten gniew, ta kipiąca wściekłość. Wydawało mu się, że już nauczył się radzić sobie z emocjami, że się uodpornił. Nakładał przecież warstwę ochronną za warstwą. Nie dać się sprowokować, nie oddawać, nie odgrywać się.

Postanowił wykorzystać do tego pisanie. Przekuwał uczucia w słowa – dzięki temu poprawiał sobie samopoczucie, a do tego zarabiał pieniądze.

Jego ostatnia książka, powieść kryminalna, sprzedała się w ponad siedmiu tysiącach egzemplarzy. Dzięki niej się przebił. Wreszcie – po czterech książkach o nędznych nakładach. Ta ostatnia została wydana nawet w formacie kieszonkowym. Przed wyjazdem był w kiosku i przyglądając się jej na wystawie, czuł pulsujące zadowolenie. Wyłuszczonego tytuł *Noc*, pod spodem jego nazwisko, nieco mniejszą czcionką, kursywą. Tobias Elmkvist. Okrągłe, grube litery. Jego nazwisko. Stał przed kioskiem jak anonimowy czytelnik i napawał się widokiem okładki, na której widniały zamglone światła taksówki.

To ja napisałem książkę, która tu leży, pomyślał, płacąc za papierosy. Ale nie macie o tym pojęcia, cholerne ptasie mózdzki.

A gdyby wiedzieli? I tak mieliby to gdzieś...

Sabina uruchomiła po kilku próbach silnik i wspólnymi siłami odbili od brzegu. Zwierzęta kręciły się po pokładzie i zanieczyściły całą platformę. Nie okazywały jednak paniki.

Hardy przewiesił się przez reling, zaciągając się raz po raz papierosem. Kapelusz miał naciągnięty na czoło. Jego profil był kanciasty, jakby wyrzeźbiony w drewnie. Na brodzie żółte włoski, tak grube, że można by je policzyć.

– Jakiej użyłeś broni? – Tobias musiał zapytać.

Hardy skinął głową w stronę plecaka.

– Tam sztucer na łosie raczej by ci się nie zmieścił.

– Raczej nie.

– Więc nosisz broń przy sobie?

– Tobias... – zaczęła Sabina, lecz przerwała na widok zbliżającej się do nich łódki z silnikiem zaburtowym.

– Pilnujcie zwierząt! – nakazała głosem, z którego przebijała teraz

stanowczość. – Może nami pohuścić.

Zagonienie stadka do obory poszło nadspodziewanie sprawnie. Pies spisał się świetnie. Dziewiętnaście zwierzaków znajdowało się teraz pod dachem, umieszczonych w jednej podłużnej zagrodzie. Zachowywały się spokojnie, najwyraźniej zniosły transport bez szwanku. Trzeba było je teraz pozamykać w pojedynczych boksach i zgolić z nich wełniane runo. Owce kwalifikowane jako zwierzęta mięsne z chowu ekologicznego nie mogły być brudne i zarośnięte, bo nie chciały ich potem przyjmować ubojnie.

Tobias nadal miał na sobie niebieski kombinezon roboczy ojca. Czapkę nałożył od przodu, naciągając ją mocno na czoło i upychając pod nią grzywkę. Uwierała go, ale nie miała regulacji. Wiedział, że potem dopadnie go ból głowy, który już się czaił, uciskając gdzieś w głębi, by potem pojawić się w pełnym rozkwicie. Rozkwitający ból głowy? Niezbyt udana metafora.

Zostali z Sabiną sami. Hardy popłynął z powrotem na wyspę, tym razem małą łódką. Zabrał ze sobą Adama, mieli zająć się mięsem martwego tryka.

Tobiasa zalała fala ulgi na myśl, że uniknie dalszej konfrontacji z Hardym, że nastąpił *titme-out*.

Trzymał w ręce wiązkę siana. Należało teraz zwabić po kolei młode barany, sprowokować je, by wystawiły nieforemne łby z rogami i uszami, po czym przesunąć kratę tak, by znalazły się w potrzasku. Te zwierzęta cechował nadzwyczajny spryt, trudno je było przechytrzyć kilka razy z rzędu, nawet gdy marzyły tylko o suchym, pachnącym sianie. Jeśli udawało im się odskoczyć, jeśli nie zdążyły całkiem wystawić rogów i zorientowały się, o co chodzi, należało odczekać dłużej z następną próbą, bo były dość pamiętliwe.

Sabina czekała w gotowości z golarką. Na jej twarzy osiadła niczym puder warstewka plew. Zamek kombinezonu rozsunął się nieco, a Tobiasowi mignął między jej piersiami błyszczący złoty wisiołek w kształcie połączonych dłoni. Wcześniej go nie zauważył, sądził, że Sabina nie przepada za biżuterią. Miała też teraz na głowie czapkę z daszkiem, naciśniętą na chustkę, niezbędną do ochrony przed brudnymi ogonami. Tobiasa trafił wcześniej taki ogon, gdy tylko zdjął czapkę. Ból był tak silny, że wycisnął mu łzy z oczu. Nie mówiąc już o paprochach i grudkach błota, które przykleiły mu się do włosów.

– No to dawaj – rzuciła Sabina. – Temu aniołkowi aż ślinka cieknie.

Duży łeb przecisnął się już prawie przez kraty, lecz utknął jednym rogiem pomiędzy prętami. Gdy wysunął się długi jęzor, Tobias podsunął

rękę z wiązką siana. Kusił i wabił, aż oba rogi przeszły przez pręty. Sabina natychmiast opuściła i zasunęła kratę. Zwierzę zabeczało ze zdumienia, ale nie próbowało się wyrwać i zaczęło z zadowoleniem przeżuwać. Toporne, mielące szczęki. Tobias wysunął dłoń i podrapał zwierzę pomiędzy rogami.

– Uważaj, kabel się obluzował! – zawołała Sabina, a Tobias schylił się i wcisnął porządnie wtyczkę do kontaktu. Po twarzy Sabiny spływały strużki potu, widniały na niej smugi kurzu i złuszczonego zwierzęcego naskórka.

Gdy tryk znalazł się we właściwym miejscu, ostrzygła mu nogi i tył, potem ogon i brzuch. Płaty runa opadały lekko niczym łupinki, układając się na ryflowanej podłodze, gdzie deptały je kopyta i brudziły odchody. Strzyżenie najwyraźniej nie było bolesne, nie przeszkadzało, chyba nawet nie łaskotało. Tobias obserwował dłonie Sabiny – opalone, pulchne, niezwykle silne.

Ni stąd, ni zowąd stanął mu przed oczami pewien obraz.

Jak ona z ojcem.

Nie.

Szybko odpędził tę wizję.

Tryk był już całkiem ostrzyżony. Tobias wycisnął mu na czoło nieco czerwonego tuszu Griseplus, tego samego, którym znakowano pokryte lochy. Zwierzę spłoszyło się – wystraszyło się teraz, choć było już po wszystkim.

– Głuptas – prychnął Tobias. Sabina się roześmiała.

Sabina wypożyczyła na kilka miesięcy knura, który od przyjazdu Tobiasa zdążył już pokryć ponad połowę macior. Knur drzemał teraz u boku swojej najnowszej zdobyczy. Ogromny czarno-różowy samiec przełożył racicę przez grzbiet maciory, trzymając ją jakby w objęciach.

– Musisz to koniecznie zobaczyć! – zawołał Tobias do Sabiny, która stanęła na palcach, by zajrzeć do boksów.

– Rzeczywiście wygląda to uroczo. Wyobraź sobie, że poprzedniego knura musieliśmy oddać do rzeźni, bo już nie dawał rady. Wyprztykał się.

– Tak czy inaczej, miał piękną śmierć. Albo raczej ostatnie chwile.

– Właśnie.

Tobias zrobił parę kroków w głąb przejścia. Zerkał do boksów, w których brykały prosiaki. Gdy miały sześć tygodni, oddzielano je od matek. Były niczym małe, ciekawskie, dokazujące dzieci. Wciąż hałasowały, lecz łatwo się płoszyły. Zrywały się i przewieszały przez zagrody, obserwując go oczami zadziwiająco podobnymi do ludzkich. Nie rozpoznawały go, jego ruchów ani głosu. Owszem, dorastał w tym gospodarstwie, ale one nie mogły



go znać.

A on stał się od tamtej pory innym człowiekiem.

– Bierzemy się za następnego?! – zawołała Sabina.

– Jasne.

Zapach amoniaku drażnił nozdrza. Tobias wyobraził sobie, jak wchodzi późnym wieczorem pod prysznic, staje w strumieniach wody i szoruje się do czysta, dopóki skóra niemal nie zacznie odrywać się od ciała. Wiedział jednak, że i tak nie pozbędzie się całkiem zwierzęcej woni.

Ojciec odwiedził ich kiedyś w Södertälje. Razem z Sabina. Było to w połowie lat dziewięćdziesiątych, przyjechali w związku z jakąś szopką podczas targów w Älvsjö, na wystawę rolniczą. Stary sprawił sobie nawet na tę okazję garnitur i granatowy płaszcz. Ale ta woń i tak unosiła się wokół nich. Sabina była z ojcem od niedawna, dopiero co wprowadziła się do niego. Miała na sobie czerwoną sukienkę, a Tobias zauważył, że ma ładny biust, i to spostrzeżenie go zawstydziło. Goście zostali wtedy u nich na noc, spali w sypialni. Oni sami przenieśli się do pokoju Klary. Görel była akurat wtedy w dość dobrej formie, pamiętał, że przyrzadziła pyszną zapiekankę rybną i upiekła chleb z kminkiem.

A co zrobili wtedy z Adamem?

Zwierzętami opiekował się wówczas zaufany sąsiad, Erik Malmfeldt. Wtedy był jeszcze w pełni sił, ale potem wypadł z gry, trafił po wylewie do ośrodka opieki.

A Adam?

Odwrócił się w stronę Sabiny, spojrzał na golarkę w jej dłoni, jak przebija się przez brązowo-białą sierść, jak runo opada niczym puch.

Wyłączyła aparat.

– No i jak to wygląda? Wystarczy, jak myślisz?

– Jeszcze tylko trochę przy ogonie i będzie gotowe.

Zgolila pozostałości.

– Możesz go oznaczyć.

Ostrożnie wycisnął płamę farby na czoło pałaszującego tryka. Zwierzak stał spokojnie podczas strzyżenia, cały czas ruszając pyskiem i przeżuując. Gdy tylko Tobias odsunął kratę, baran nabrał wigoru. Cofnął się bezładnie, omal nie poślizgnąwszy się na odchodach, a potem dołączył w nerwowych podskokach z powrotem do stadka.

– Ile jeszcze zostało? – zapytał Tobias.

– Nie wiem, ostrzygliśmy może pięć albo sześć.

Skierowała spojrzenie ku gromadce zwierząt, próbując policzyć

czerwone plamy.

– Pewnie miałbyś już ochotę na kawę?

– Nie da się ukryć.

– To zrobmy sobie przerwę. I tak powinnam zajrzeć do twojego ojca.

Do twojego ojca. Nie do Carla Sigvarda, tylko do ojca. Jakby chciała coś zaznaczyć, tylko co? Przesunął się do przejścia i omal nie nadepnął jednego z rezydujących w oborze kotów. Ten syknął i czmychnął pomiędzy zakurzone kanki na mleko.

Wyszli razem na podwórze. Szron zdążył stopnieć, przy ścianie domu spływały strużki i krople wody. Przeszli obok boksu dla psów, z którego Sabina wypuściła szczeniaczka Fretta. Przygarnęła go jedna z suczek elkhunda. Piesek pokicał w ich stronę chwiejnymi podskokami, lecz ni stąd, ni zowąd przysiadł i zaczął siusiać. Tobiasa rozśmieszył ten widok.

– Zobacz, susia jak stara babcia. Ej, Frett, podnieś nogę, nie załapałeś jeszcze, że jesteś facetem?

– Przecież on jest taki malutki – rzekła Sabina, podnosząc szczeniaczka.

– Świetnie sobie poradziłeś, mały, świetnie!

Tobias zaparzył kawę, a Sabina poszła na piętro. Słyszał dobiegające stamtąd odgłosy – jej mamrotanie i szorstkie burknięcia starego. Leżenie działało ojcu na nerwy, nie nawykł do spędzania czasu w domu. Niesprawny i bezradny niczym wyrzucona na brzeg foka.

– Podejdźże, żebym mógł cię zobaczyć!

Tobias zwlekał z pójściem na górę, nie miał siły na konfrontację z niewypowiedzianymi pytaniami. Wystarczyło, że zgodził się im pomóc przez parę dni, bo znaleźli się w podbramkowej sytuacji. Nie miał najmniejszej ochoty narażać się na humory ojca.

– Podejdźże, żebym mógł cię zobaczyć!

Żadna zachęta ani tym bardziej prośba. Raczej rozkaz.

O książce nie wspomniał ani słowem. Tobias wysłał ją mu, podobnie jak poprzednie. Z dedykacją na stronie tytułowej.

Ojcu – z pozdrowieniami od autora.

Przy wcześniejszych okazjach stary przynajmniej dziękował. Równocześnie dobitnie zaznaczając, że jest zbyt zajęty, by cokolwiek czytać.

– Pod wieczór człowiek ledwo może ustać na nogach. Pobudka bladym

świttem, a potem przez cały dzień tylko harówka. Twoje życie wygląda inaczej.

Miał już na końcu języka, że ojciec sam wybrał sobie taki los.

Nie chciał jednak go prowokować i dawać wciągnąć się w kłótnie.

Sabina schodziła z powrotem na dół, jej pięty sunęły po stopniach schodów.

– Najgorzej jest z wypróżnianiem – powiedziała przyciszonym głosem.

– Pożyczyliśmy z przychodni taki specjalny basen, ale wiesz, on ma opory.

Poczuł przypływ złości.

– No to zrób mu lewatywę – rzucił.

– Po co ta głupia uwaga? – Stała przed nim, ssąc palec, jakby go sobie przygniotła.

– Przepraszam, to było niepotrzebne. Kawa jest gotowa. Zamierzałaś rozmrozić te drożdżówki w mikrofalce?

Skinęła potakująco głową.

– Zaniosę mu kawę.

Gdy wróciła z góry, usiedli każde po swojej stronie stołu. Kąciki jej ust wyginał lekki grymas udręczenia. Tobias ugryzł drożdżówkę, która była tak gorąca, że omal się nie oparzył.

– Dawno nie jadłem domowych wypieków – rzucił pojednawczo.

Podniosła wzrok.

– Tak myślałam.

– Smaczne.

– Jak sobie w ogóle radzisz z jedzeniem?

– Ech, różnie to bywa. No wiesz, jak człowiek jest sam...

– A co z Klarą? Chyba mieszka czasem u ciebie?

– Teraz już coraz rzadziej. Ale jak jest u mnie, muszę brać się w garść.

– No a co z Görel, co u niej?

– Ciężko.

– Ale jakoś sobie radzi? Ma przecież pod opieką nastolatkę, sama wiem coś o tym.

– Görel faszeruje się tabletkami uspokajającymi, inaczej by sobie nie poradziła. Ale jej relacje z Klarą są w porządku. Proponowałem nawet córce, żeby wpadała do mnie częściej, ale nie chce. Spędza sporo czasu u dziadków.

Mają duży dom w Pershagen, takiej dzielnicy dla samej śmietanki towarzyskiej.

– Aha. – Sabina upiła kawy. Nad jej górną wargą połyskiwał drobny meszek.

– A co tam masz? – wyrwało mu się, gdy zerknął na złotą ozdobę w kształcie połączonych dłoni.

– O co ci chodzi?

– O ten wisiołek na szyi.

– Ach, wisiołek. Prawda, że ładny? Dostałam go na urodziny od twojego ojca. Jest cudowny.

– Ciekawe. Mój stary i taki cholernie romantyczny gest... Nie podejrzewałam go o to.

Milczała, wpatrując się w blat stołu, przesuując kciukiem wzdłuż nitek bieżnika. Chwycił ją mocno za rękę.

– Skaleczyłaś się? – Podniósł i obrócił jej dłoń. Jeden z paznokci był wykrzywiony i siny.

– Nic takiego, przytrzasnęłam go sobie trochę.

– Sabina...

Usłyszeli stukanie w podłogę na górze. Zabrała powoli rękę.

– Muszę do niego zajrzeć. Ma silne bóle.

BYLI już w domu. Dlaczego nikt do niego nie zagląda? Dlaczego Sabina nie przyniosła na górę tacy z pićem, ciastem i cholera wie czym jeszcze? Mogliby razem wypić kawę. Nic z tego. Wcisnęła mu tylko do ręki kubek, kubek z jakąś pieprzoną reklamą środka ochrony roślin. Siedział w łóżku, pił kawę, siorbiąc i rozlewając. Całe szczęście, że wyniosła gdzieś ten cholerny nocnik; kto, do kurwy nędzy, sra do czegoś takiego?

Sabina, do cholery, powinnaś być przy mnie!

Pielęgniarka rejonowa, nowa, młoda i nieporadna, zostawiła mu oparte o ścianę kule. Powinna się domyślić, że nie będzie z nich korzystał. Nie był w stanie oprzeć się na tej pieprzonej nodze, mało nie pękły mu plecy, aż trzasnęło z hukiem w całym pokoju. Spocił się pod pachami i zbierało mu się na wymioty.

Sabina stała przed nim w spodniach od dresu.

– Kochany, kochany mój! – Jej pieszczotliwe słowa spływały ku niemu, ku poduszce, na której leżał, odbijając się niczym piłeczki.

– Zabierz to, nie dam rady.

Zaklinał się, miał czerwone pręgi, musiała mu pomóc się wydostać. Jej dłonie wsunięte pod pierzynę paliły mu pośladki, naga, umęczoną skórę.

– To co zrobimy, Carl Sigvard? Jezu, co robić?

– Cholera wie.

– Musisz się wypróżnić! Jeśli tego nie zrobisz, będzie tylko gorzej!

– Wszystko byłoby dobrze, gdybym mógł załatwiać się tam, gdzie zwykle.

Zaszywał się zawsze w wychodku, staroświeckim przybytku. Potrzebował spokoju do takich intymnych spraw. Zwłaszcza gdy w chałupie dudniła hałaśliwa muzyka Adama, na cały regulator. Nawet matce nie udawało się uciszyć tego jazgotu.

– Może pielęgniarka coś poradzi? – zaproponowała Sabina. – Poproszę, żeby tu przyszła, na pewno ma jakiś środek, przecież teraz jest tyle różnych zmyślnych rzeczy. Na pewno nie jesteś jedyną osobą z tego rodzaju problemami.

Próbowała się z tego śmiać. Rzucił wściekle gazetą, tak że się rozleciała.

– Co robicie tam na dole?

– O co ci chodzi?

– Co tam robicie?

– Dopiero wróciliśmy, byliśmy przecież na wyspie.

– Jak bym nie wiedział.

Zamilkł i skierował wzrok ku oknu. Było słonecznie, widział jaskrawe kolory.

– Zwierzęta są już w domu – powiedziała ostrożnie. – Wszystkie, poza jednym trykiem, który został na Skamön.

– Został?

– Tak, niestety.

– Co się stało, utonął czy co?

Wciągnęła dolną wargę; trzymając ją pomiędzy zębami, nabrała powietrza.

– Nie.

– To co się stało?

– Hardy musiał go zastrzelić. Pojechał tam z Adamem, zajmą się mięsem. Będziemy musieli się go pozbyć, popytam sąsiadów.

– Dlaczego musiał go zastrzelić? Był pokiereszowany?

– Tak.

– Sześć tysięcy koron wyrzucone w błoto.

– Ależ nie. Pogadam też z ludźmi z gospody, kupują chętnie mięso na czarno, robili to już nie raz.

Leżał przez chwilę w milczeniu, gapiąc się w sufit i na gładki klosz lampy. Zauważył pęknięcie, którego nie dostrzegł wcześniej.

– To Hardy jest teraz na wyspie? – zapytał po chwili.

Pokiwała głową.

– Razem z Adamem. Tobias wrócił ze mną. Pomaga mi przy strzyżeniu owiec.

– Aha.

– Zrobiliśmy sobie teraz przerwę na kawę.

– Słuchaj... – Irytowały go te nagłe przeskoki, wcześniej mu się to nie zdarzało, kontury się zamazywały, widział Sabinę podwójnie. – Nie moglibyście zajrzeć do mnie potem razem z Tobiasem? Nie moglibyście posiedzieć ze mną trochę? Cholery dostaję od tego leżenia, gęby nie mam do kogo otworzyć.

Pogładziła go po podbródku, a w jego oczach wezbrały łzy.

– Jasne, Carl Sigvard. Przyjdziemy, ale później, teraz nie ma na to czasu. Kochanie, chyba rozumiesz, że mamy kupę roboty. Zajrzymy do ciebie wieczorem.

Przełknął ślinę, gardło było sztywne, jakby ściśnięte mocnym skurczem.

– MUSZĘ zadzwonić w kilka miejsc – oznajmiła Sabina. – Wiesz, chodzi o to mięso, trzeba spróbować je sprzedać.

– Aha.

– Mógłbyś w tym czasie odciągnąć od knura tę lochę i wpuścić nową? Spryskaj trochę jej bok czerwonym tuszem. Nie zapomnij, to ważne, żeby znowu nie pokrył tej samej. Powinien oszczędzać siły.

– Jasne. Ile obsługuje dziennie? Jedną?

– Nie, ze trzy. Jest teraz w pełni formy.

– To tak jak ja! – zażartował, żałując tego w tej samej chwili.

Sabina zaśmiała się perliście.

– No cóż, skoro jesteś synem swojego ojca...

Tobias wciągnął na nogi gumowce, ale gdy był już gotów do wyjścia, pomyślał o swoim telefonie komórkowym. Był od rana wyłączony, a to chyba niezbyt rozsądne. Przecież w każdej chwili mogą zadzwonić z wydawnictwa. Zarówno Görel, jak i Klara wiedziały, gdzie go szukać. Marit zresztą też. Jeśli pojawiłoby się coś pilnego, zadzwoniłyby na telefon stacjonarny. Ale wydawnictwo... Mogliby mieć do przekazania jakąś dobrą wiadomość, że na przykład ostatnia książka znalazła się na liście bestsellerów. Albo że telewizja przymierza się do jej ekranizacji. Albo że otrzymał nominację do nagrody za najlepszą powieść kryminalną roku. Nigdy nic nie wiadomo.

Komórka spoczywała w kieszeni marynarki. Wziął ją ze sobą na werandę i włączył. Telefon zaczął od razu brzęczeć, więc przyszyły jakieś wiadomości. Najlepiej będzie od razu je odsłuchać.

Frett wymknął się za nim i ruszył w pogoń za unoszonym przez wiatr liściem. Zasięg w Kvarnberdze pozostawiał wiele do życzenia. Tobias krążył chwilę, zanim słupek na wyświetlaczu zasygnalizował, że można się połączyć. Wcisnął trzy razy dwójkę i przyłożył rękę do drugiego ucha, by nic mu nie umknęło. Otrzymał trzy nowe wiadomości. Na pierwszym nagraniu słyhać było tylko trzaski i odgłos rozłączania, druga wiadomość była od Klary.

„Cześć, tato, to ja, dlaczego ten dinks jest zawsze wyłączony, gdy dzwonię? Ściskam i całuję”.

Nic więcej. Musi pamiętać, żeby zadzwonić do niej wieczorem, bo teraz była na pewno w szkole.

Trzecią wiadomość odebrano „dzisiaj o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt

cztery”. Rozpoznał nosowy, szybki głos Marit, który często brzmiał, jakby była zdenerwowana, choć w rzeczywistości nie była.

„Cześć, Tobias. Jak tam pobyt wśród krasul? Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o mnie. Tęsknię za tobą”.

Byli w mniej lub bardziej stałym związku od dokładnie dwóch lat. Pracowała jako asystentka w Bibliotece Miejskiej w Södertälje, a poznali się, gdy zadzwoniła do niego z pytaniem, czy nie zechciałby wygłosić w bibliotece wykładu, tuż po wydaniu zbiorku nowel *Studnie bliskości*. Tak, tytuł był lekko odjechany, co wkrótce sobie uświadomił. Poetycki, ciekawy, lecz nieco szalony. Pomimo dobrych recenzji sprzedano nie więcej niż dwieście egzemplarzy. Trudno było się z tego utrzymać. Na szczęście Fundacja Literacka też zdawała sobie z tego sprawę i przyznała mu w następnym roku dwuletnie stypendium.

Pomysł pisania powieści kryminalnych podsunął mu jego wydawca, Titus Bruhn. Uznał, że w nowelach Tobiasa są wątki, które można rozwinąć – dramatyczne sytuacje, dające pożywkę fantazji portrety ludzi i relacje pomiędzy nimi. Titus zaoferował mu nawet zaliczkę, której zresztą nie przyjął. Propozycja wpłynęła jednak zdecydowanie dobrze na jego samoocenę.

Tobias zapalił papierosa i wybrał numer do pracy Marit. Odebrała natychmiast.

– Biblioteka w Södertälje, Marit Stenhägg.

– Serwus, maleńka. To ja.

– O, Tobias! Cześć!

– Cześć!

– Dostałeś moją wiadomość? Dlaczego masz wyłączoną komórkę?

– Chyba rozumiesz, że tu nie jest jak w mieście. Jestem w buszu, a w buszu jest cholernie kiepski zasięg.

– Tak? Dziwne, przecież to chyba nie jest aż takie odludzie.

– Nie, ale zasięg jest tak czy inaczej słaby.

– Jak się czujesz, Tobias? Co słychać?

Czuł w głowie zadziwiającą pustkę.

– W porządku, wszystko pod kontrolą – wykrztusił wreszcie.

– No i?

– No i co?

– Kiedy wrócisz do domu?

– Właściwie nie wiem. Na pewno zostanę tu jeszcze kilka dni.

Zniżyła głos, brzmiała teraz infantylnie:



– Tęsknię za tobą, chcę, żebyś już wrócił.

– Ja też tęsknię – odpowiedział mechanicznie, po czym ruszył przed siebie. Po kilku krokach jej głos zaniknął. Wyłączył komórkę, zaciągnął się papierosem ostatni raz, po czym zdusił niedopałek w błocie.

Gdy tylko wszedł do obory, zorientował się, że ktoś tam jest. Nie umiałby wyjaśnić dlaczego, po prostu to czuł. Włożył czapkę z daszkiem, krążył dookoła i rozglądał się. Prosiaki hałasowały jak zawsze.

Nikogo nie dostrzegł. Pomyślał, że jednak przeczucie go zawiodło, ale w chwili gdy zamierzał wejść do boksu knura, na podłogę padł cień. Z wrażenia aż podskoczył.

– Cześć, Tobias – usłyszał kobiecy głos. – O Boże, chyba cię przestraszyłam, przepraszam, nie chciałam.

Kobieta była w jego wieku. Miała jaskrawoczerwone, farbowane włosy, obcięte na punka. Oczy mocno umalowane, podobnie jak usta. W tym otoczeniu wyglądało to niedorzecznie, przeleciało mu przez głowę określenie „dysonans”. Owalna twarz sprawiała przyjazne wrażenie. Przy lewej skroni widniała cienka, blada blizna. Kobieta wyciągnęła dłoń, którą on pochwycił, zdumiewając się siłą jej uścisku.

– No cóż, myślałem, że jestem tu sam – usprawiedliwił się.

– Dowiedziałam się, że przyjechałeś z wizytą, więc pomyślałam, że wpadnę na chwilę.

Kim ona jest, psiakrew, kto to? Prawdopodobnie jakaś koleżanka ze szkoły. Postanowił zrobić dobrą minę do złej gry i udawać, że ją pamięta. W przeciwnym razie ludzie zaczęliby gadać, że Tobias Elmkvist zaczął zadzierać nosa, odkąd pokazali go w telewizji. I tym podobne farmazony.

– Pewnie słyszałaś, że ojciec miał wypadek. Musiałem przyjechać mu pomóc.

Uśmiechnęła się.

– To urocze. A jak on się czuje?

– Niespecjalnie. Ma już swoje lata, powinien był już dawno sobie odpuścić. Ale jest wyjątkowo upartym staruchem, za nic nie chce się poddać.

– Ech, wcale nie jest takim staruchem. Uważam, że wygląda rześko. Całkiem młodo.

– No tak, może i racja.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś! Nie widzieliśmy się chyba ze sto lat. Oglądałam cię oczywiście w telewizji. Gapię się w ekran, a tu nagle: o rany,

przecież to mój kolega ze szkoły. Poznałam cię od razu, nic a nic się nie postarzałeś.

– Ty też nie – wydusił z siebie.

Roześmiała się zadowolona i wzięła go pod rękę.

– Niesamowite, mamy w naszej wiosce celebrytę. Kto by się spodziewał?

– Nie przesadzaj, jakiego tam celebrytę. To tylko kilka książek.

– Jak to nie, jakie tam tylko? Wyobraź sobie, że czytałam też o tobie w magazynie „Allers”. Fajną masz córkę. Ma na imię Klara?

– Tak.

– Wiesz co, czytałam twoje książki. Ostatniej jeszcze nie zdążyłam, ale kupiłam ją, jak byłam w mieście. Właściwie nie lubię kryminałów, ale pomyślałam, że skoro ty go napisałeś... Tak naprawdę...

Włożyła rękę do kieszeni, z której wyłowiła kieszonkowy egzemplarz *Nocy*.

– Chciałam cię prosić o dedykację. O ile nie masz nic przeciwko temu. Może nie masz w zwyczaju podpisywać wydań kieszonkowych, tylko takie porządniejsze, w twardej oprawie.

Była, jak podejrzewał, koleżanką ze szkoły. Przynajmniej jakaś wskazówka. Ociągając się, sięgnął po książkę.

– Oczywiście, że podpiszę. – Jego mózg pracował z rozpaczliwym wysiłkiem, po prostu musi sobie przypomnieć, jak ona się nazywa. – Skoczę do domu po długopis.

– Nie trzeba, mam ze sobą.

Kobieta wręczyła mu długopis. Tobiasz wyszedł na zewnątrz i stanął pod drzwiami. Wyszła za nim.

– Co mam napisać? – zapytał.

– Coś miłego.

W tym momencie z domu wyszła Sabina. Piesek wybiegł jej naprzeciw, a ona pochyliła się, widział jej falujące, miękkie biodra. Z psem w objęciach ruszyła w stronę obory.

Sabina uratowała go z opresji.

– Cześć, Ingelise, ty tutaj?

Ingelise, kurczę blade! No jasne! Chodziła do klasy wyżej, teraz sobie przypomniawszy. Kanciasta blondyneczka z dużymi zębami. Czasem przychodziła nawet do nich do domu, pomagała matce przy koniach. Jak mógł ją zapomnieć?

– Przyszłam po dedykację, skoro Tobiasz zaszczycił nas wizytą. Czytałaś,

Sabina?

– Jeszcze nie zdążyłam. Mam książkę na stoliku nocnym. Nie wiem, czy się odważę, to pewnie jakaś przerażająca historia.

Tobias zastanawiał się chwilę i już miał zacząć pisać. Wtedy kobieta powstrzymała go, chwytając za rękę.

– Teraz piszę swoje imię przez „z”. I-n-g-e-l-i-z-e.

– Dlaczego?

– A dlaczegoż by nie? Tak jest bardziej *cool*. Nie brzmi tak nijako, nie jest takie szwedzkie.

– Dobrze, jak chcesz.

*Dla Ingelize, z ciepłymi myślami*, napisał. *Od autora i przyjaciela Tobiasa*.

– Nie chciałabyś kupić trochę mięsa? – zapytała Sabina. – Musieliśmy ubić tryka na Skamön.

Ingelize pokręciła głową.

– Jestem przecież wegetarianką.

– O kurde, zapomniałam. No cóż, jakoś się go pozbędziemy.

Od drogi dobiegły ich odgłosy silnika. Stary opel Sabiny wjechał na podwórze. Za kierownicą siedział Hardy, obok Adam.

– Muszę lecieć do domu – oznajmiła Ingelize. – Zajrzyj do mnie kiedyś, Tobi. Mam stadko koni islandzkich. Moglibyśmy urządzić sobie przejażdżkę. Miałbyś ochotę?

Tobias potaknął.

– Pewnie, czemu nie?

– Skorzystam wtedy z okazji i poproszę cię o podpisanie pozostałych książek. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– *Sure*.

Adam szedł przez błoto, kołysząc się. Trzymał wyciągnięte przed siebie zaciśnięte dłonie i wydawał urywane, charkotliwe dźwięki.

– Adam, co ci jest, zrobiłeś sobie krzywdę? – Sabina podbiegła do niego, jej oczy były szeroko rozwarte niepokojem.

Na sękatych dłoniach Adama widniały brązowe plamy zaschniętej krwi. Miał też ślady krwi na twarzy.

– *Jack the Ripper* – wybełkotał.

– *Ripper*, idioto! – Stał teraz przy nich Hardy; kapelusz miał zsunięty na czoło.

– Hardy, co mu jest, co się stało?

– Był przecież ze mną. Wiesz, że przy mnie nie stanie mu się żadna krzywda.

– Idź się opłukać wodą z węża! – Sabina dała synowi lekkiego kuksańca. Adam zarechotał. Usta w pół otwarte, z jednego kącika ściekała strużka śliny.

– Adam chce wam coś pokazać – oznajmił Hardy.

Adam przystanął, trzymając niezdarnymi dłońmi coś, co było niewidoczne. Drżały mu nozdrza.

– Pokaż Tobiasowi! – zachęcał Hardy. – Pokaż mu, jaki masz skarb!

Adam się zawahał. Spojrzał na Hardy'ego, kiwał się chwilę, po czym wydał zduszony, piskliwy odgłos.

– No, zrób to! – powtórzył przyjaźnie Hardy. – Idź i pokaż Tobiasowi, co tam masz!

Olbrzymie cielsko poruszyło się powoli. Język omiatał usta, przeciągał po przebarwionych zębach. Nagle twarz Adama wykrzywił grymas obrzydzenia. Chłopak wyciągnął ręce jak najdalej.

– O co chodzi, do cholery? – Tobias wyprostował plecy, poczuł po wewnętrznej stronie policzków posmak metalu. – Co on tam ma?

W tym momencie Adam załkał i zwymiotował. Prosto w dół, na klatkę piersiową, na kurtkę. Ramiona trzymał nadal w tej samej pozycji, daleko od torsu.

– No nie, Adam, przestań! – Hardy się roześmiał. – Na wyspie byłeś większym chojrakiem.

– Synu, co tam masz? Pokaż, otwórz dłonie i pokaż mi! – Sabina podeszła do chłopaka, zaczęła wycierać go chusteczką. – Pokaż, otwórz dłonie i pokaż mamie!

Jednak duże dłonie Adama zacisnęły się w kurczowym uścisku. Sabina musiała co najmniej przez minutę gładzić go po plecach, tulić i przekonywać – dopiero wtedy trochę się rozluźnił. Palce wreszcie rozwarły się szarpanymi ruchami i wtedy zobaczyli. Na uwalanej dłoni leżało duże, gapiące się oko. Spoczywało na krwawej grudce galaretowatych błon, widać było wyraźnie żyłki i zaczep mięśni, odcięty tak, że wyglądał niczym uchwyt. Do oka przyczepiony był fragment powieki, z długimi, zlepionymi rzęsami na skraju. Źrenica straciła swój normalny kolor i przybrała nieokreślony szarozielonkawy odcień.

Adam oddychał urywanie, całe jego ciało dygotało. Nagle odrzucił od siebie oko i zaczął sucho łkać.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przy oku znalazł się Frett.

Powąchał je i nagle połknął jednym kęsem.

– O kurna! – krzyknął Hardy. – To się nazywa zrobić coś w okamgnieniu!

– Co wy wyrabiacie? – szepnęła Sabina, gdy w końcu udało jej się uspokoić Adama i pomóc mu obmyć krew w oborze. Chłopak płukał teraz wężem dłonie, napełniał je wodą i pozwalał jej spływać. Przestał już płakać, lecz nadal wyglądał jak zbity pies.

– No co, pomagał mi ćwiartować mięso – powiedział Hardy z irytacją. – A może nie mieliśmy tego robić?

– Ale po co to oko? Komu to było potrzebne? Wiesz przecież, jaki Adam jest wrażliwy.

– Cholera, też mi problem, to tylko zwierzęce oko!

– To niesmaczne, Hardy, po prostu niesmaczne.

– Był zaciekawiony. Próbowałem go pouczyć trochę anatomii. Podobało mu się. Pokazałem mu serce, jelita i kilka innych pikantnych szczegółów. Przecież to ciekawe jak cholera. Chyba każdy człowiek powinien wiedzieć takie rzeczy.

– Gdzie jest mięso? – zapytała sztywno Sabina.

– W samochodzie.

– Mógłbyś odwieźć je do Johanssona, do gospody? Niech na razie tam zostanie.

Hardy zdjął kapelusz. Spocone włosy przylegały do głowy.

– Teraz?

– Zdążysz?

– Dobra, ale potem dasz mi kasę.

– Jutro, Hardy, będziesz musiał niestety poczekać. Jutro pójde do banku, dzisiaj już zamknięte, jest za późno.

Hardy rozłożył ręce.

– No to mnie urządziłaś.

– Spiesz ci się?

– Kurna, poczekam, nie mam wyboru.

Włożył kapelusz i ruszył przed siebie.

Tobiasz spojrział na Sabinę. Dostrzegł w jej twarzy coś nowego, jakby przebłysk strachu, nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Poczul impuls, by przyciągnąć ją do siebie, przytulić, by ją chronić.

Sabina zdążyła jednak oddalić się w stronę obory.

– Adam, przestań już lać tę wodę! – zawołała. – Powiedziałam przestań, wystarczy!

ZAPOMNIAŁA już, że z niego taki przystojniak. W jej wspomnieniach był nieśmiałym pętkiem z czarnymi, strąkowatymi włosami, prostymi jak drut. Ani wcześniej, ani potem nie widziała u nikogo takich prostych włosów. Nadal były proste i czarne, bez oznak łysiny. Ile on może mieć lat? Powinien skończyć czterdziestkę. Tak, zgadza się. Był od niej rok młodszy, a ona za kilka tygodni skończy czterdzieści dwa.

Ingelize skręciła w drogę prowadzącą do domu, do Östra Kvarnberga. Rzuciła okiem na zupełnie nowy szyld, zamówiony w mieście. W obramowaniu składającym się z sasanek i podków był namalowany napis *U Ingelize. Konie islandzkie*. Pomysł był jej, uznała, że wygląda to profesjonalnie.

Byłoby fajnie, gdyby Tobias zechciał się wybrać na przejażdżkę. Jeździ przecież dobrze konno, przynajmniej kiedyś tak było. Tak naprawdę to, że zajmowała się profesjonalnie końmi, było zasługą jego matki. To Svava dawno temu wzbudziła w niej zainteresowanie tymi zwierzętami. Ingelize nie pamiętała już, jak to się zaczęło, ale w zasadzie codziennie jeździła rowerem do Elmkvistów, by pomagać przy sprzątanii stajni i oporządzaniu koni. Svava miała dwa duże konie półkwi i jednego północnoszwedzkiego o imieniu Trolle. Był do rany przyłóż. Właśnie nim zajmowała się Ingelize i na nim nauczyła się jeździć.

– Masz rękę do koni – chwaliła ją Svava. – Nie o każdym można to powiedzieć.

Rozpierała ją duma.

W dorosłym życiu spełniła swoje marzenie. Jej rodzice nie byli najmłodszy, gdy się urodziła, oboje przekroczyli dobrze czterdziestkę. Była jedynaczką. Gdy zmarli kilka lat temu, przejęła gospodarstwo. Zaczęła od dwóch koni islandzkich, ale już po pół roku zaczęła powiększać stadko, które liczyło teraz piętnaście sztuk. Jazda konna stała się bardzo popularna. Ingelize przyjmowała grupy zorganizowane i osoby prywatne. Latem urządziła obóz jeździecki, a przez kilka wieczorów w tygodniu prowadziła szkółkę. Było wiele młodych dziewczyn chętnych do pomocy, na takiej samej zasadzie, jak ona kiedyś pomagała matce Tobiasa.

Od Svavy wiele się nauczyła. Kobieta była oswojona z końmi od dziecka. Ingelize pamiętała, jak Svava z sentymentem opowiadała jej o koniach na Islandii, o ich specyficznym usposobieniu i temperamencie.

– Wolałabym mieć tutaj konie islandzkie – wyjaśniała. – Ale nie sądzę, by się tu zaaklimatyzowały. Słyszałam historie o takich koniach, które sprowadzono tutaj albo do Niemiec czy Danii. Dręczą je insekty, dostają letniej egzemy, po prostu cierpią. Nie chciałabym ich na to narażać.

Po jakimś czasie Svava zniknęła, razem z Tobiasem. Gdy któregoś dnia Ingelize podjechała rowerem pod jej dom, stała przed nim mała ciężarówka. Nikogo nie było widać. Ostrożnie odchyliła plandekę przykrywającą platformę. Zobaczyła kilka krzeseł i białą komodę, która stała wcześniej w sieni. Zaniepokojona poszła do stajni. Konie były w swoich boksach, weszła do Trolle i zaczęła go oporządzać. Cały czas towarzyszyło jej uwierające poczucie, że dzieje się coś złego.

Po chwili usłyszała głosy. Ktoś krzychał, mężczyzna. Przestraszyła się i odskoczyła w stronę ściany, upuszczając na słomę zgrzebło. Spłoszyła tym zwykle spokojnego Trolle, który zaczął przebierać wielkimi kopytami i postawił jedno prosto na jej stopę.

Ciężarówka odjechała, a Ingelize nadal stała w tym samym miejscu, walcząc z napływającymi łzami. Ojciec Tobiasa wrzeszczał coś za samochodem, jego głos brzmiał obco i agresywnie. Nie rozróżniała słów, sama miała ochotę krzycheć i rzucić się na słomę. Uświadomiła sobie, że coś się kończy. Kończy nieodwracalnie.

Stojąc nadal w stajni, usłyszała płacz dorosłego mężczyzny. Wstrzymała oddech i skuliła się, nie chcąc, by ją zauważył. Lamentował, krzychał, jęczał. W końcu sobie poszedł. Wsiadł na traktor i pojechał gdzieś w pole.

Ingelize miała złamaną kość stopy, która napuchła tak, że nie mogła sięgnąć buta. Teraz, trzydzieści lat później, stopa była nadal lekko zdeformowana i Ingelize z trudem dobierała obuwie.

Po jakimś tygodniu zebrała się na odwagę i pojechała do stajni. Wtedy już wiedziała od rodziców, co się stało. Svava Elmkvist miała już dosyć swojego faceta i przeprowadziła się do Södertälje. Zabrała ze sobą Tobiasa.

Oczywiście krążyły na ten temat różne plotki, jak zwykle w takiej dziurze. To była wada mieszkania na wsi. Ingelize spędziła wiele lat w Göteborgu, ale nigdy się tam nie zaaklimatyzowała na dobre. Cały czas tkwiła w niej tęsknota za bliskością przyrody.

Gdy jej mąż, Jens, został posłem, szybko podjęła decyzję. Mniej więcej w tym samym czasie zmarli jej rodzice. Jens wciąż był w rozjazdach, a ona miała teraz własne sprawy i nie musiała tkwić w domu, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Kupiła wszystkie książki Tobiasa i czytała je jakby w nadziei, że znajdzie

w nich coś znajomego. Jakaś postać, środowisko, jakieś szczegóły. Podobał jej się jego sposób pisania, odnosiła wrażenie, że zbliżyła się do niego poprzez lekturę. Jedna z powieści zawierała historię pewnego romansu z wątkami erotycznymi. Nigdy wcześniej nie myślała o Tobiasie jako o mężczyźnie, w jej oczach nadal był małym chłopcem wskakującym na konia, wciskającym tak mocno pięty w ich boki, że stawały dęba i ruszały z kopyta. W podobny sposób chłopcy z podwórek Göteborga startowali na swoich rowerach i motorowerach.

Matka opowiedziała jej o jego żonie. Czy są po rozwodzie? Zapewne. Jego kobieta była istnym dziwadłem. Na imię miała chyba Görel. Paradowała zimą w cienkich, białych strojach. Podawała dłoń omdlewającym ruchem, a palce miała wilgotne i lodowate nawet w pełni lata, podczas fali upałów.

– Musi mieć jakieś zaburzenia w odczuwaniu temperatury – mawiała matka Ingelize. – U niej jest na opak, nie tak jak u zwykłych ludzi. Gdy jest zimno, jej jest gorąco i na odwyrtkę. Szkoda, że nie widziałaś jej kapeluszy, takich z szerokimi rondami, jak na starych filmach. Teraz przecież kobiety wcale nie noszą kapeluszy, przynajmniej przypinanych spinkami do włosów. Kiedyś spotkałam ją po drodze nad jezioro, akurat zerwała różę, którą chciała przymocować do ronda kapelusza. Poprosiła mnie o pomoc, bo pokłuła sobie palce. Przecież jej nie znałam, na pewno nie na tyle. I to jej spojrzenie, te oczy – szkoda, że ich nie widziałaś. Ingelize, Tobias na pewno nie jest z nią szczęśliwy.

W artykule, który czytała, nie wspomniano o Görel. Natomiast na jednym ze zdjęć Tobias siedział przy komputerze razem ze swoją córką Klarą. Też czarnowłosa, wyglądała jak młoda Eskimoska.

Ingelize wyjęła książkę i otworzyła ją z nadzieją. Przeczytała, co napisał, poczuła dumę. Którego powinna dać mu konia? Może Hábróka? Dwunastoletni, niepozbawiony temperamentu, modelowy töltowiec. A może spokojniejszą Bleikję? Powinna się zastanowić.

Nie miała natomiast wątpliwości, że chce się jeszcze z nim zobaczyć.



ZOBACZ, co znalazłam w szopie, spójrz, Carlu Sigvardzie!

Widocznie sobie przysnął, a teraz przy jego łóżku stała Sabina. Było jasno, o szybę okna obijała się brzęcząca mucha, ospale i ociężałe. Do pokoju wpadały promienie słońca.

– O co chodzi? – wymamrotał.

– Znalazłam taki stary stolik do łóżka, na którym można na przykład postawić tacę.

No tak. Rozpoznał ten stolik, sam go przecież sklecił. Dla Svavy, na wypadek gdyby musiała dłużej odpoczywać po porodzie. Mogłaby sobie leżeć i jeść w łóżku, taki był jego zamysł. Jednak sprzęt okazał się niepotrzebny, bo Svava bardzo szybko stanęła na nogi.

Pamiętał, że była wzruszona jego gestem.

Pomalował stolik na czerwono, korzystał z niego potem Tobias podczas swych licznych przeziębień. Pamiętał, jak syn leżał w łóżku, jego zmęczone, rozgorączkowane oczy. W pościeli pełno kredek.

Pamiętasz? Tobias ciągle chorował.

Nie, to przecież nie Svava, tylko Sabina. Ona nie może tego pamiętać, ma wystarczająco własnych spraw na głowie.

– A, to ten stary stolik – mruknął i pozwolił jej wstawić go sobie do łóżka, nad swoimi obolałymi biodrami.

– Mógłbyś korzystać z niego, przyda się.

– Nie myśl sobie, że zostanę tu do końca życia – odburknął.

– Wcale tak nie myślę.

Chodziła, kołysząc się, ale inaczej niż kiedyś. Chodziła jak kobieta w ciąży. Wiedział, że jej regularne krwawienia już ustały.

– No a co z mięsem? – zapytał.

– Jakoś je sprzedam. Na razie jest u Johanssonów.

Wyszła z pokoju i ruszyła szykować jedzenie. Stolik został na łóżku. Obiecała mu, że zbiorą się u niego na obiad i zjedzą razem. Usłyszał na schodach kroki, tym razem inne, nie takie zwyczajne, lecz skradające się, niepewne. Kroki Tobiasa.

Drzwi otwarte na oścież. Wszedł z tacą, talerzami i sztucami.

– Cześć – rzucił jakby trochę nieśmiało.

Carl Sigvard skinął głową.

– Może postawisz to tu, na stoliku?

– Jasne.

– Myślisz, że mi odbiło, co? Bo domagam się, żebyście zjedli ze mną obiad.

Tobias szarpnął swą chudą szyję, grzywka podskoczyła.

– Wcale nie. Rozumiem, że czujesz się samotny.

– Wsuń trochę stolik. Weź krzesło, ubrania możesz położyć na drugim łóżku.

Brzdęk naczyń i nierdzewnej stali.

– Głodny jesteś? – zapytał Tobias.

– Głodny jak głodny. Znasz to powiedzenie: kto nie pracuje, ten nie je.

– Tato!

– A co, może tak nie jest?

– Kurde, przecież ty napracowałeś się tyle, że starczy na całe życie.

– Podejź do mnie. Podejź, żebym cię widział.

Zbliżył się niechętnie, ramiona opuszczone. Długie palce – palce pisarza.

– Tobias, cieszę się, że znalazłeś czas, by do nas przyjechać.

– E tam, nie ma o czym mówić. To oczywiste, że trzeba pomóc.

– To wcale nie jest tak cholernie oczywiste. Chcę, żebyś wiedział, że to doceniam.

Musiał odwrócić głowę, bo pod powiekami zapiekły łzy. Do kurwy nędzy, robi się z niego prawdziwa beksa. Można by pomyśleć, że z rozpędu dostał jeszcze wylewu. Podobnie jak jego sąsiad, Erik Malmfeldt. Wylew – to brzmiało jak wyrok, choć nie musiało nim być. Chociaż Erik... Carl Sigvard odwiedził go zaraz po przeprowadzce tamtego do ośrodka opieki Kastanjegården. Cholerny Erik, facet wielki jak dąb, a rozplakał się jak dziecko. Wciągał gwałtowne hausty powietrza, nie był już w stanie mówić. Siedział z gołymi stopami wciśniętymi w kapcie.

Czy z nim będzie to samo? Czy nadejdzie taki dzień, że nie będą mu już potrzebne gumki?

O nie, takiego wała!

Chłopak stał, trzymając się kurczowo wezgielowa łóżka. Jakby potrzebował podpórki. Gdy stał bokiem, widać było wyraźne podobieństwo do matki. Budowa i profil Svavy. A gdyby był córką? Czy byłaby z niej wykapaną matka?

Odchrząknął, po czym rzucił:

– Wiesz, Klara dzwoniła wcześniej.

– Tak, dzwoniła tutaj?

- Owszem, ale powiedziała, że to nic pilnego.
- Aha.
- Jak często ją widzisz?
- Często. Co najmniej raz w tygodniu.
- Chyba sporo urosła, co? Na pewno jest już młodą damą.

Tobias prychnął.

– Damą jak damą. Owszem, wchodzi w okres dojrzewania, to prawda. Jest cholernie humorzasta.

Svava też taka była – cholernie humorzasta. Walila garami o płytki, czasem ciepnęła szklanką o podłogę. Któregoś razu tak się wściekła, że wyrzuciła całą niedzielną pieczeń.

A co teraz? Siedzi sobie gdzieś w śnieżnej brei i podśpiewuje. To swoje „ridum, ridum”.

- Miałaś jakieś wiadomości od matki?
- Czasem rozmawiamy przez telefon. Wydaje się, że wszystko u niej w porządku.

Ciekawe, czy ma nowego faceta?

Tak szczerze, wcale go to nie interesowało. Już nie.

Pościel była ciepła, pełna zagnieceń i okruszków. Zaczął się wiercić, próbując zmienić pozycję. Noga mu ścierpła, czuł kłucie i mrowienie. Tobias pochylił się nad nim.

- Mogę ci w czymś pomóc?
- Eee, nie. Ale chciałbym cię o coś zapytać. Mogę? Jesteś zadowolony z życia w Södertälje? Mam nadzieję, że to pytanie cię nie wkurza. Jesteś zadowolony z takiego życia?

Tobias wzdrygnął się, ale pozostał na swoim miejscu. Okręcał na palcu nitkę, która zwisała ze swetra.

- Pewnie. Jestem zadowolony. Żyje mi się świetnie.
- No proszę, nawet świetnie.

Przełknął ślinę i pokiwał głową.

- Aha, no to już wiemy – świetnie!
- Tato, wybrałem sobie takie życie, podobnie jak ty wybrałeś swoje. Trzeba zrobić najlepszy użytek z tego, co się wybrało.

– Wybrało! Też mi coś! Za moich czasów chodziło raczej o poczucie obowiązku.

Tobias zrobił kilka kroków i odwrócił się plecami. Stał z uniesionymi rękami przy oknie.

- Rozmawialiśmy o tym już kiedyś – zauważył głucho. – Myślałem, że

ta dyskusja jest zakończona.

– Jasne. Rozmawialiśmy, masz rację.

Sabina zawołała z kuchni, a Tobias od razu się wymknął, właściwie uciekł.

– Powinienem jej pomóc. Jedzenie jest już na pewno gotowe.

Można było przynajmniej pogadać, ale Tobias był taki przeczulony, taki drażliwy. Odziedziczył to po matce. Z nią też nie dało się dyskutować. Lisie oczka, nos zadarty, całymi dniami ani słowa. Leciąca do swoich koni, czasem nawet sypiała w stajni na ławie, na którą kładła dywanik z gałganków. Zostawiała go w łóżku samego.

Nie wiedział, jak ją udobruchać. Czy zachowywała się tak z jego powodu? W samym środku sianokosów leciał do miasta, by kupić dla niej prezent – koszulę nocną, wazon, rzeczy, jakie podobają się kobietom. Żeby tylko ją obłaskawić. Długo chowała urazę i szybko wpadała w gniew.

Sabina była inna. Można by powiedzieć, że zmienił kobietę na lepszą. Gdyby tylko Sabina nie ciągała wszędzie za sobą tego niewydarzonego pokraki.

Leżał i przysypiał, choć nic był wcale zmęczony. Był tak długo przykuty do łóżka, że już nie miał siły na czuwanie. Jego ciało usychało, bo nie do tego zostało stworzone – jego ciało było stworzone do życia.

Svava okrakiem na koniu. Chłopiec w jej objęciach, pomiędzy jej gołymi, błyszczącymi kolanami.

– Bądź ostrożna, trzymaj go porządnie! – Stał tam, przekrzykując wiatr.

Tętent kopyt na drewnianym moście. Grzywa oplatająca dłonie.

– Tatko, zobacz, co już umiem!

POWIETRZE na piętrze było gęste i ubogie w tlen. Zanim rozłożyła jedzenie na talerze, stracił apetyt. Carl Sigvard pólleżał w łóżku, Sabina podłożyła mu pod plecy poduszki, wspólnymi siłami wzięli go pod ramiona i podciągnęli. Z pościeli unosiła się woń chorego, starego ciała. Ojciec leżał ze ściągniętym brwiami, które zrobiły się krzaczaste, ze sztywnymi, powyginanymi włoskami. Tobias zaczął zauważać takie też u siebie. Pierwsze oznaki starzenia się. Pojawiły się również we włosach – białe pasemka w czarnej czuprynie.

Brązowa fasola z kielbasą faluńską. Czy to odpowiednia dieta dla kogoś z problemami jelitowymi? Kto wie, może pokarm tego rodzaju akurat wprawi w ruch całą maszynę. Tobias przeprowadził wcześniej inspekcję wychodka, by sprawdzić, czy można zabrać tam ojca. Schludnie i czysto, na podłodze chodniczek, na ścianie wyblakłe zdjęcie rodziny królewskiej, wycięte dawno temu z jakiejś popołudniówki. Dzieci pary królewskiej były jeszcze małe, najmłodsze siedziało na kolanach Sylwii. W rogu wychodka stało kilka worków niegaszonego wapna, które usuwało odór i larwy much.

Carl Sigvard przesiadywał tam, by się pozbierać i odzyskać siły, kartkując stare roczniki pisma „Land”. Była to jego ostoja. Ale nie ma mowy o tym, by podjechać tam wózkiem inwalidzkim.

Sabina rozłożyła mu na piersiach ręcznik.

– Czy tak jest dobrze? – zapytała.

Siedziała przygarbiona, z warkocza wystawały splątane włosy. Złoty wisiołek kołysał się rytmicznie.

– Częstuj się, Tobias!

Podawała mu miskę z fasolą, ale odmówił.

– Domowe jedzenie! – rzucił ojciec.

– Wiem, ale nie jestem zbyt głodny.

– Naprawdę? – Ojciec przeżuwał głośno. – Na szczęście nie brakuje jedzenia, przynajmniej na razie. Trzeba to docenić.

W pokoju Adama coś zadudniło. Sabina podniosła się, ale usiadła z powrotem, gdy tylko hałas ucichł.

– A on nie je obiadu? – zapytał Carl Sigvard.

– Dostał wcześniej kanapki. Mówi, że jest zmęczony. Nie jest w najlepszej formie.

– To przez tego Hardy’ego... – zaczął Tobias.

Widelec starego zatrzymał się w połowie drogi do ust.

– O co chodzi?

– E tam, nic takiego.

– Tobias nie jest nim zachwycony – oznajmiła Sabina z lekkim grymasem napięcia wokół ust.

Ojciec posłał jej szelmowskie spojrzenie.

– Nie znam chyba nikogo, kto specjalnie zachwycałby się Hardym. Ja też pomyślałem, że mógł, do cholery, poczekać, aż wezwiemy weterynarza, zamiast od razu strzelać.

– Myślę, że właściwie ocenił sytuację. Pomagał nam przecież wcześniej.

– Co to w ogóle za typek ten Hardy? – zapytał Tobias.

– Syn Ann-Mari, pamiętasz ją? Tej, która była kiedyś z Gustavem. Duża, zażywna kobitka, w każdym razie w tamtych czasach. Przypominasz sobie? Czasem przychodziła do nas, gdy matka potrzebowała pomocy. Była niezła, podkuwała konie jak, nie przymierzając, prawdziwy facet. Ale gdy zaczął się kręcić koło niej ten Gustav, nauczyła się jeszcze innych rzeczy, takich, w jakich zwykle wiodą prym faceci.

– Czego się nauczyła? Bzykania czy co?

Ojciec rzucił Tobiasowi niechętnie spojrzenie.

– Picia alkoholu! Jej synalek źle na tym wyszedł, bo chyba nieraz oberwał tęgie lanie. Jak podrósł, zaczął robić małe przekręty, a potem już raczej większe, skoro trafił do paki. Ostatnio odsiedział karę za oszustwo.

– Chcesz może mleka? – przerwała Sabina, podnosząc dzbanek nad szklanką ojca.

– Tak naprawdę wolałbym piwko!

– To chyba nie najlepszy pomysł w kombinacji z lekarstwem. Pójdę po nie od razu, żebyśmy nie zapomnieli.

Na dole, w kuchni, próbował przyprzeć ją do muru.

– Dlaczego ciągle bronisz tego Hardy'ego? Nie widzisz, że facet jest walnięty?

– Tobias – próbowała się wywinąć.

– Pomyśl o tej historii z Adamem! O tym, co kazał mu zrobić. To była zresztą szykana wymierzona we mnie. Uwziął się na mnie, cholera wie dlaczego. Przecież nic mu nie zrobiłem. Facet jest po prostu chory!

– Nie mówmy już o Hardym.

– Niby dlaczego?

Odwróciła się w jego stronę, w rękach miała szklankę i szczotkę do naczyń. Dłonie ociekały wodą.

– Naprawdę muszę ci to wyjaśniać? To jedyny człowiek, który wywiera dobry wpływ na Adama. Wspominałam ci o tym już wcześniej, myślałam, że zrozumiesz. Może zabrzmiało to dziwnie, ale on odnosi się do mojego syna z szacunkiem. Adam w jego obecności staje się kimś innym, tylko wtedy czuje, że jest coś wart.

– Jest coś wart, bo nosi przy sobie zwierzęce oczy? Nie zauważyłaś, że tak naprawdę wcale mu się to nie podobało? Sabina, nie dociera to do ciebie?

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać – przerwała mu, wracając do zmywania naczyń.

Poczuł, że musi natychmiast wyjść, zaczerpnąć powietrza, od razu, już! Piekła go skóra na głowie i pod pachami. Miał powyżej uszu uporczywego maglowania tych wszystkich problemów, miał dosyć Sabiny, ojca, ich życia. Musi jak najszybciej wracać do domu, do swoich spraw.

– Wychodzę na chwilę – próbował nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. – Przejdę się tylko.

– Dobrze – odparła bezdźwięcznie Sabina.

Stał na podwórzu. Nagle odczuł podniecenie. Obejrzał się szybko za siebie i ruszył w kierunku obory, po czym skręcił za rogiem w stronę ustronnego miejsca ojca.

Kurna, co mi jest, co się ze mną dzieje?

Ostrożnie przyciągnął do siebie drzwi i zamknął skobelek. Gdy opuszczał dzinsy, spoglądała na niego z łagodnym uśmiechem para królewska.

„Sabina” – rozbrzmiewało w jego głowie. Imię brzmiało obco, było nie na miejscu. Sabina, to przecież nie tak, to nie możesz być ty. Do kurwy nędzy, tylko nie ty!

Jednak to jej obraz miał przed oczami, gdy krew odpłynęła i poczuł tryskający skurcz rozkoszy.

WYTARŁ SIĘ i wrzucił papier do otworu, posypał kilkoma łopatkami wapna. Nikt niczego nie zauważył.

Czuł w ustach nieprzyjemny posmak. Miał ochotę na coś słodkiego, na pastylki z miodem lub drażetki Emser.

Odbija mi, pomyślał. Kompletnie mi odwaliło.

Widział tam w ciemnościach zarysy jej ust, namiętnie rozchylonych, widział wilgotne zęby i mieniący się pomiędzy piersiami wisiołek. Jego paznokcie wbite w jej ciało, tak że obojgu sprawiało to ból. Stała z plecami przywartymi do ściany, lecz po chwili odwróciła się i pochyliła do przodu. Chwyciła rękami za ławę i wypięła w jego stronę swe szerokie, jasne pośladki. A on? W jego fantazji miała na sobie spódnicę i opuszczone, zwijające się pończochy, grube jak frotowe podkolanówki. Jego dłonie zawędrowały pod spódnicę, a ona nie robiła nic, by go powstrzymać. Zadarł spódnicę wyżej na biodra, a ona stała tak z wypiętą krągłą pupą, niczym zwierzątko. Oddech świszczwał mu w piersi, kłuł w płucach niczym drobne kolce; przylgnął do niej, próbował wejść, lecz musiał przesunąć ją jeszcze odrobinę do góry, aż wreszcie znalazł dojście do ciepłego, ciasnego przesmyku, w którym próbował pozostać jak najdłużej, lecz wcale nie trwało to długo, wcale nie. Niczym czerwona, falująca zasłona; gdyby ktoś nadszedł w tym momencie, nawet by mu to nie przeszkadzało, bo teraz był już w niej i nic, absolutnie nic nie mogło go powstrzymać.

Potem zrobiło mu się zimno. Bluza lepiła mu się do pleców. Zadygotał cały. Zapiął guziki i ruszył przed siebie. Psy tkwiły nieruchomo niczym posągi, gdy je mijał. Nie ujadły, bo widziały go już tyle razy, że zdążyły się do niego przyzwyczaić i nie traktowały go jak zagrożenia.

Jak zagrożenia.

Muszę wracać jak najszybciej do domu, pomyślał. Panuje tu niezdrowa atmosfera, całe to miejsce jest jakieś chore.

Szedł główną drogą, szybko. Przed wyjściem wciągnął pospiesznie na nogi gumowce, a po chwili zorientował się, że zapewne będzie miał otarcia na piętach. Skarpetki opadały, tworząc małe wałeczki pod stopą. Musiał przystawać wiele razy, by je podciągać.

Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo zmieniło barwę na bladoróżową,



z szarymi prześwitami. W oddali, za polami odznaczały się spiczaste kontury lasu. Przyszły mu na myśl grzyby – Marit często mówiła, że uwielbia wyprawy do lasu. Raz nawet wybrali się w okolice Gnesty i Stjärnhov, jednak za późno, bo wszystko było już wyzbierane do cna. Marit znalazła jedynie cztery maleńkie kurki. Tobias nie znalazł nic, marzyły mu stopy i stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Bo właśnie wtedy poczuł przypływ inspiracji albo przynajmniej czegoś, co mogło się w inspirację przerodzić. W takich momentach wolał samotność, a Marit to zauważyła i poczuła się dotknięta.

Następna książka? Skąd, na razie miał tylko mgliste pomysły. Stawiał coraz krótsze kroki, momentami się zatrzymywał, zwracając twarz ku słońcu. Czuł, że mózg zwinął mu się w kłębek, skurczył się; wyobrażał sobie, jak spoczywa wewnątrz za kością czołową, ściśnięty do rozmiarów orzecha włoskiego. W jaki sposób można przywołać inspirację? Owszem, czasem się udawało, w jego salonie, który był zarazem gabinetem, gdy siedział tyłem do okna, słuchając sączącego się z głośników *Mesjasza Händla* lub *Oratorium na Boże Narodzenie* – i palce zaczynały raptem swą wędrówkę po klawiaturze. W takich momentach potrzebował całkowitego odosobnienia – nie wolno mu było odbierać telefonu ani wystawać w oknie wychodzącym na znajdujące się poniżej szkolne podwórko i przyglądać się dzieciakom w puchowych kurtkach, nasłuchiwać ich nawoływań i okrzyków. Obserwowanie gonitw i zabaw na boisku dawało mu wytchnienie, jednak nie czegoś takiego potrzebował, gdy tworzył.

Dawno temu pisywał wiersze, brał udział w słamach poetyckich, podczas których czytano je na głos w mrocznych piwnicznych lokalach, ze świeczkami wetkniętymi w szyjki butelek. Słuchacze oceniali wiersze, przyznając punkty. Zdarzało się, że nie zostawiano na nim suchej nitki, ale bywało też, że zostawał wyróżniony i ogłaszany zwycięzcą. Pierwsza nagroda w dziedzinie poezji – co za absurd!

Jednak w przyszłości powinien poświęcić się czemuś bardziej konkretnemu, a nie zajmować czymś tak oderwanym od rzeczywistości. Musi pracować dalej nad stworzonym przez siebie rozwiązującym zagadki morderstw detektywem Leo Pullmanem. Powinien wymyślić dla niego jakieś nowe, solidne wyzwanie. Pojedzie za kilka dni do domu i zajmie się tym na poważnie. Titus Bruhn już nalegał: „Musimy znać termin, by wszystko zaplanować, mniej więcej na kiedy możesz być gotowy?”. Tobias skłamał, że jest już w trakcie pisania, a Titus sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Może masz nawet roboczy tytuł?

Przy drodze widniał szyld. *U Ingelize. Konie islandzkie* i strzałka kierująca w prawo.

*U Ingelize. Konie islandzkie.* Wypowiedział głośno nazwę, wysykując „s” i „z”. „Ingeliizzze”.

Stała na podwórku, jakby na niego czekała. Miała na sobie kombinezon i jaskrawoczerwoną czapkę z daszkiem. Na jego widok ściągnęła ją z głowy.

– O, już jesteś! Jezu, jak się cieszę! – W jej głosie pobrzmiwały zadowolenie i entuzjazm.

– Cześć.

– Skończyliście na dzisiaj?

Potwierdził skinieniem głowy.

– To tutaj urzędujesz?

– Tak. Chodź, oprowadzę cię.

Stajnia była schludna, z bielonymi ścianami. Dwie nastolatki czyściły boksy. Dostrzegł tylko jednego, ponuro wyglądającego konia.

– To Álfkona – poinformowała Ingelize. – Ma uraz kopyta, robimy jej ciepłe kompresy. Pozostałe konie są na dworze.

Tobiasz podszedł do boksu. Klacz zbliżyła się ostrożnie i wystawiła łeb. Poglądził długi pysk, wciągając nozdrzami woń zwierzęcia. Dawno nie siedział na koniu. Był kilka razy w odwiedzinach u matki na Islandii i wtedy wybierali się razem na krótsze lub dłuższe przejażdżki.

– To co, przejedziemy się? – zapytała Ingelize.

– A nie jest na to zbyt późno?

– E tam!

Wzruszył ramionami, ni stąd, ni zowąd poczuł się niepewnie.

Ingelize najwyraźniej to dostrzegła.

– Pożyczę ci kask i porządne buty. Jeśli chcesz, weź Bleikję, jest w sam raz dla kogoś, kto długo nie jeździł.

Przynieśli uzdy i rzemienie, po czym ruszyli na wygon. W oddali pasło się stadko koni. Po chwili przywoływania udało im się złapać dwa z nich. Bleikja była żółtawą klaczą z ciemną grzywą i ogonem. Poprowadził ją z powrotem do stajni. Ingelize przyniosła siodła i trzęzle. Dla siebie przygotowała deresza.

W siodłami stały rzędami buty jeździeckie, a w szafie leżały kaski. Przymierzał je, dopóki nie znalazł odpowiedniego rozmiaru.

– Mamy tutaj dobre trasy jeździeckie – oznajmiła Ingelize, zaciągając o jeszcze jedną dziurkę popręg. Chociaż teraz Krajowy Związek Rolników

zaczyna się stawiać, chcą wprowadzić ograniczenia w korzystaniu z *allemansrätten*<sup>3</sup>.

– A to dlaczego?

– Z obawy przed zniszczeniami.

– Nie masz własnej ziemi?

– Moja nie wystarcza.

– A co na to Carl Sigvard?

– On nie zgłaszał zastrzeżeń. Ale mamy w tej okolicy kilku prawdziwych gderaczy. Na przykład Fredriksson. Znasz go?

– Kojarzę go, ale słabo.

– Jest nieźle wpięprzony. Postawił ogrodzenie i szlabany. Niedługo pewnie zaminuje cały las.

Ingelize przebrała się wcześniej w bryczesy i krótką brązową zamszową kurtkę. Zauważył, że miała ładną figurę. Siedziała wdzięcznie w siodle, robiąc kilka rundek po podwórzu. Tobias poszedł w jej ślady.

– No i jak, w porządku? – zwróciła się do niego z uśmiechem.

– Spoko!

Pierwszy kawałek jechali stępa.

– Jako dziecko byłeś cholernie dobrym jeźdźcem – pochwaliła go.

– E, nie jestem pewien.

– Ależ tak, byłeś świetny. Jak mawiała Svava, urodziłeś się niemal na końskim grzbiecie. Ech, uwielbiałam przebywać w waszym domu. Twoja mama była taka fajna, mogłam siedzieć w stajni do woli.

– Aha.

– To była prawdziwa idylla. Ale każda idylla prędzej czy później pryska jak bańka mydlana.

– Zabrzmiało to jakoś fatalistycznie.

– Ale jest w tym chyba trochę prawdy, nie sądzisz?

– Może.

Po chwili zapytał, czy jest mężatką.

– Tak. Mój mąż, Jens, jest posłem Partii Centrum. Ugrupowania na wymarcu. Ale się nie poddaje.

– Nie macie dzieci?

Pokręciła głową.

– Jakoś się nie złożyło.

– Masz przecież swoje konie. – Sam się zorientował, jak niezręcznie to zabrzmiało.

Milczała chwilę. Jechali poboczem głównej drogi, więc od czasu do czasu mijał ich z dudnieniem jakiś samochód. Zwierzęta nie reagowały, w przeciwieństwie do koni półkrwi, które spłoszyłyby się na widok pojazdu albo nawet stanęły dęba na widok powiewającej kartki papieru.

Ingelize obróciła się w jego stronę.

– Słuchaj, a dokąd się wtedy przeprowadziliście? Gdy zniknęliście tak nagle, bez słowa?

– Do Södertälje – odparł krótko.

– Nikt nie miał pojęcia, co się stało. Jednego dnia wszystko było jak zwykle, a następnego nagle... trach! Dla mnie to był prawdziwy szok.

Nie wiedział, co odpowiedzieć; Może jednak zorientowała się, że wkroczyła na grząski grunt, bo nie czekając na odpowiedź, popędziła konia, który przeszedł w tölt. Bleikja również przyspieszyła, nawet nie musiał nic robić. Po chwili wjechali do lasu. W głębi czuć było silną woń butwienia i pomimo panującego tam mroku zauważył, że liście zaczęły już zmieniać barwę. Deresz przyspieszył i przeszedł w galop, a koń Tobiasa postępował za nim niczym cień.

Droga prowadziła stromo pod górę i przypomniał sobie wzgórze, na którym często bawił się w dzieciństwie. Nie był tam od tamtej pory, nawet z Görel czy z Klarą. Nie miał ochoty pokazywać im tego miejsca. Na górze mogło być niebezpiecznie, szczyt opadał stromo i urwiście prosto do zatoki Mörkviken. Poczul nagłe ukłucie strachu. A gdyby nie udało im się zatrzymać koni? Chociaż one instynktownie omijały niebezpieczne miejsca. Ale równie dobrze mogły wpaść w popłoch i zaślepione strachem popędzić prosto ku zgubie.

Wzgórze nazywało się Stupan – Urwisko. Dawno, dawno temu przywlekali się tu starzy ludzie, którzy nie mieli już siły pracować, obawiający się, że staną się ciężarem dla rodziny. Przychodzili tu i rzucali się ze skały. W dole, osiemdziesiąt merów poniżej, znajdowały się głębokie, czarne wody Mörkviken. Powiadano, że ciała staruszków roztrzaskiwały się o skały, zanim się potopiły. Prawdopodobnie była to tylko wędrowna legenda, jak ta o kobietach ze Skamön. A jednak w tej zatoce było coś złowieszczonego. Tobias pamiętał pewne przedwiośnie, kiedy to pod jakimś mężczyzną, jadącym po zamarznętej tafli wody sankami fińskimi, załamał się lód. Po jakimś czasie odnaleźli go nurkowie. Wyciągnięto go i położono na brzegu. Ten człowiek nazywał się Berggren i był szwagrem sklepikarza. Tobias pamiętał go jako wesołego, rubasznego mężczyznę, który grywał na harmonii podczas tańców. Gdy zdarzył się ten wypadek, Tobias chodził do

pierwszej klasy. Jeszcze teraz miał w pamięci późniejsze koszmary – twarz topielca, wgrzające się weń stworzenia. Uczniowie rozmawiali o tym w szkole na przerwach, prześcigając się w przytaczaniu drastycznych szczegółów.

Na wzgórzu zeszli z koni, pozwalając im odpocząć. Słońce niemal zniknęło za horyzontem, ale zmrok jeszcze nie zapadł. W oddali zapaliły się światła masztu radiowego, widzieli jego jaskrawe, czerwone lampki.

– Mieszkać w takim miejscu! – Ingelize wykonała zamaszysty gest w stronę połyskującej, nieruchomej tafli wody. Z tego punktu, z góry, widział wyraźnie Skamön i okalające ją drobne wysepki.

– O tak – odparł.

– Nie tęsknisz za tym, Tobiasz?

– Owszem, zdarza się. Ale teraz żyję inaczej.

– Mieszkasz nadal w Södertälje?

– Tak. Mam mieszkanie własnościowe – dwa pokoje z kuchnią, w ładnej, spokojnej okolicy. Z dobrą lokalizacją – do stacji pociągu podmiejskiego dochodzi się w pięć minut.

– Żyjesz samotnie?

– Tak jakby.

– Tak jakby?

– Spotykam się z pewną kobietą.

– Ale nie mieszkacie razem?

– To jakaś zgaduj-zgadula czy co?

Roześmiała się z zażenowaniem.

– Jasne, że nie. Przepraszam.

Zobaczył, że spłoszyła, i zrozumiał, że był niepotrzebnie opryskliwy.

– Nie mieszkamy razem – próbował zatrzeć złe wrażenie. – Ona chyba chciała, ale ja jeszcze do tego nie dojrzałem.

Natychmiast pożałował tego, co powiedział. Ingelize stała i grzebała czubkiem buta w mchu. Koń trącał ją pyskiem po plecach.

– Nie stój tak blisko skraju! – upomniał ją. – Byli tu już tacy, co gruchnęli w dół.

– Wiem. Ale musisz przyznasz, że to cudowne miejsce. Przyjeżdżamy tu ze zorganizowanymi grupami. Chyba ci wspominałam, że prowadzę turystykę konną. Mam klientów z Linköping i z Västervik. Zabieramy ze sobą kawę i kanapki i urządzamy tu sobie pikniki.

– A ile taka impreza kosztuje?

– Zależy, ile to trwa. Ale dla ciebie wszystko jest gratis. Możesz u mnie

jeździć do woli.

– Aha. No to dzięki.

– No, po starej znajomości. Co sądzisz, tak na marginesie, o Bleikii?

– Podoba mi się. Odwrócił się i pogładził zwierzę po ciepłym pysku.

Klacz dobierała się do jego kieszeni, sprawdzając, czy jest w nich cukier. Żałował, że nie może jej nic dać.

– Jeśli tylko będziesz miał ochotę, możesz też wypróbować inne konie.

– Za kilka dni wracam do domu.

– Tak szybko? Szkoda.

– Tak uważasz?

– Owszem. Miło jest mieć z kim pogadać. Zwłaszcza z kimś, kogo się zna z dawnych czasów.

Zaprosiła go też do domu. Nigdy wcześniej nie był w środku, najwyżej wchodził do sieni przy okazjach, gdy jako mały chłopiec sprzedawał kwiatki majowe<sup>4</sup>. Pamiętał matkę Ingelize i to, że wydawała mu się stara. Teraz dziwiło go, że nie rozpoznał Ingelize, ale rzeczywiście zmieniła się z wyglądu. Nie była wcale podobna do tej wiotkiej nastolatki, która kiedyś pomagała jego matce przy koniach.

Postawiła na stole butelkę wina i talerz małych, twardych ciastek.

– No, jak twój zadek zniósł przejażdżkę?

– W porządku.

– Zobaczymy, co powiesz jutro. Ja przecież jeżdżę codziennie. Ale gdybym tylko zrobiła sobie jakąś przerwę, to na bank miałabym po powrocie zakwasy.

Rozejrzał się po pokoju. Jedną ze ścian pokrywał regał z książkami. Dostrzegł kilka popularnych tytułów, Ingelize należała zapewne do jakiegoś klubu książki. Poza tym było sporo literatury fachowej, segregatorów i oficjalnych sprawozdań. Na parapetach stały rośliny z postrzępionymi liśćmi. Gdy się ich dotykało, po pokoju roznosiła się mocna woń. Görel też miała takie. Nazywała je „babskimi wypierdkami”.

Ingelize podniosła kieliszek.

– Na zdrowie! – wzniosła toast. – Witamy na prowincji!

– Dzięki.

– Nadal jesteś świetnym jeźdźcem. Pod koniec gnałeś niczym wichur.

Roześmiał się.

– To chyba tak samo jak z umiejętnością jazdy na rowerze. Zostaje na całe życie.

Szybko piła wino. Jej kieliszek był niemal pusty, podczas gdy on ledwie zdążył upić łyk.

– Chciało mi się pić – wyjaśniła, odnotowawszy jego spojrzenie. Wstała i podeszła bosą do stolika, na którym stało radio tranzystorowe. Wcisnęła palcem wskazującym klawisz „on”, włączając muzykę. Wróciła pływającym krokiem.

– A słyszałeś kiedyś, jak Adam śpiewa? – zapytała, przeciągając palcami po włosach. – Jest niewiarygodnie dobry. To zaskakujące jak na takiego chłopaka.

– Owszem, kiedyś go słyszałem. Świetnie umie naśladować.

– Brzmi zupełnie jak sam Elvis. Szkoda, że cię nie było, gdy zaśpiewał kilka kawałków w wieczór świętojański. Występował na starym podeście tanecznym. Był naprawdę cholernie dobry. Szkoda, że jest taki... – Pokazała na głowę.

– Tak na marginesie, znasz tego Hardy’ego? – zapytał.

– Znam, jak znam. W takiej wiosce prawie wszyscy jakoś się tam znają. Tu nie można mieć tajemnic. Sam zresztą wiesz.

– No to co z niego za gość?

– Zeszło mu się na manowce, ale mam wrażenie, że zaczyna stawać na nogi. Nie, właściwie go nie znam. W każdym razie nie tak dobrze. Czasem biorę go do pomocy przy różnych rzeczach. Teraz robi dla mnie padok, może zauważyłeś. Ale pewnie pamiętasz jego matkę. Sporej postury, przygarbiona, chodzi w taki charakterystyczny sposób.

Ingelize skuliła się i zrobiła kilka kroków, naśladowując człapiący chód.

– Kiedyś jeździła po wsiach i podkuwała konie, pewnie pamiętasz. Ludzie gadają, że widać już u niej objawy demencji. Myślę, że alkohol rozmiękczył jej mózg.

– Podobno siedział w pace?

– Hardy?

– Tak.

– No i co z tego? Każdy człowiek może pobiłdzić w życiu.

Tobias pociągnął łyk wina. Było chłodne i smaczne.

– Chyba nie zapałał do mnie sympatią – rzucił ostrożnie.

– Myślę, że to tylko taka poza. Ma po prostu niską samoocenę, a ty jesteś przecież znanym pisarzem. A on... Sam rozumiesz. W pewien sposób... zagrażasz mu.

W trakcie rozmowy zmieniła miejsce. Siedziała teraz na oparciu jego fotela.

- Jakie to uczucie być takim celebrytą?
- Daj spokój, nie jestem żadnym celebrytą.
- Pokazywali cię przecież w telewizji.
- W telewizji można pooglądać wielu idiotów.
- Ale mimo wszystko. Wiesz co, jedno mnie zastanawia. Skąd ludzie biorą pomysły na pisanie? W jaki sposób wymyślają te rzeczy?
- Wykorzystują swoją fantazję.
- A postaci z twoich książek? Sprawiają wrażenie tak rzeczywistych.
- Dzięki za dobrą ocenę.
- Te postaci też wymyśliłeś?
- Jasne.
- Tobiasz, a nie mógłbyś pisać tutaj?
- Tutaj?
- Nie miałam na myśli tego pokoju, tylko w ogóle naszą miejscowość.
- Dlaczego pytasz?
- Tak mi tylko przyszło do głowy. Przydałby mi się partner w firmie, ktoś, kto zna się na koniach. Nawet jest tu wolny dom, Marii Vesterberg i jej faceta. Mógłbyś się tam przeprowadzić. Chociażby na próbę, żeby sprawdzić, czy to miałyby sens. No i mógłbyś pracować u mnie na pół etatu, a na drugie pół byś pisał.



ZAGALOPOWAŁA się, wyszło to niezręcznie. Tak prosto z mostu. Zupełnie zeszywniał w fotelu. Należał raczej do ludzi, z którymi należy postępować dyplomatycznie. Nastrój od razu prysł. Jej propozycja zabrzmiała, jakby zaprosiła go od razu do swojej sypialni.

– No nie, na mnie już czas – rzucił, zrywając się z fotela niczym sprężyna. Grzywka opadała mu na oczy, przyplaszczona od kasku.

– Co ty, nawet nie dopijesz?

Wyciągnął do niej dłoń. Trzymała ją w mocnym uścisku, nagle nie wiedząc, co powiedzieć.

– Przejazdka była fajna – pochwalił ją, ale wił się jak piskorz, unikając jej wzroku. – Bleikja to wspaniały koń.

– Jeśli jeszcze zdążysz przed wyjazdem, możemy to powtórzyć – zaproponowała, czując, że wino zaczyna działać, bo język nie do końca nadążał za słowami.

Odprowdziła go do sieni, śledziła wzrokiem, gdy przysiadł na stołku. Miał gołe stopy. Zauważyła czerwone otarcia na jego piętach.

– Powinieneś nakleić plaster! – zawołała. – Zobacz, skóra jest zupełnie zdarta.

Zmusiła go, żeby poczekał. Pobiegła po schodach i przeszukała całą szafkę łazienkową. No wreszcie – opakowanie plastra i nożyczki. Opadła na kolana niczym grzesznica u stóp Jezusa.

– Boli?

– Nie, wcale. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do chodzenia w gumiakach.

– A to nie od butów jeździeckich?

– Ależ skąd. Zrobiłem sobie zbyt szybki spacer, a na nogach miałem to.

– Pokazał na swoje zielone gumowce. W zasadzie jeszcze nieużywane.

Miał długie, żylaste stopy. Odmierzyła i przymocowała plaster. Nie mogła się powstrzymać i pogładziła go lekko po grzbiecie stopy.

Podniosła głowę.

– Dziwne, że skóra w tym miejscu jest taka cienka, prawda? Stopy powinny być silne, to przecież one niosą nas przez całe życie.

Siedział nadal, a ona sięgnęła po jego zwinięte skarpetki, rozprostowała je i naciągnęła na jego paluchy.

Zaraz po wyjściu Tobiasa zadzwonił Jens. Słyszała w tle głosy i śmiechy.

- Wszystko w porządku? – zapytał.
- Kontrolka migocze niebieskim światłem – odparła wesoło.
- Przestań bredzić! – W jego głosie pobrzmiwała uraza; korciło ją, by rzucić słuchawką.
- Wszystko jest okej – rzuciła szorstko.
- Upiłeś się czy co?
- Miałam gościa. Był u mnie kolega ze szkoły, Tobias Elmkvist, syn Siggego zresztą.
- Aha, ten pisarz.
- Właśnie.
- Raczyliście się winkiem?
- Poczęstowałam go. Najpierw byliśmy na przejażdżce konnej. Tobias może się tu niedługo przeprowadzi. Rozmawialiśmy o tym, wiesz, że szukam odpowiedniego partnera.
- No tak.
- Przyjedziesz do domu w piątek?
- Nie. Między innymi dlatego dzwonię. Muszę przejrzeć mnóstwo papierów. Ale ty mogłabyś do mnie przyjechać, jeśli masz ochotę.

Wiedział, że odmówi, że nie chce zostawiać koni bez nadzoru. Dlatego mógł sobie pozwolić na tak hojną propozycję.

- Raczej nie, zostanę w domu.
- No to dobranoc – odparł, tym razem nieco milej, nieco cieplej. – Zdzwonimy się niedługo. Buziaki. No i odstaw tę napoczętą flaszkę.

Stała, patrząc na podwórze. Przeciągnęła palcami po włochatych liściach różowego geranium, nazywanego również „uzdrawiającym kwiatem doktora Westerlunda”. Kwaskowaty zapach był bardzo przyjemny. Rośliny te pomagają podobno zachować człowiekowi zdrowie, odganiają przeziębienia. To chyba prawda, ona sama rzadko chorowała.

Coraz szybciej zapadał zmrok. Lato było wyjątkowo deszczowe. Opady zaczęły się pod koniec lipca i ustały dopiero kilka dni temu. Pogoda zmieniła się radykalnie i zrobiło się zimno. Wraz z nadejściem zimy wszystkie praktyczne sprawy stawały się o wiele trudniejsze. Trzeba wkręcać w podkowy hacele, by konie się nie ślizgały. Uprząż i rzemienie stawały się sztywne i odporne.

Z miejsca, w którym stała, widziała fragment stajni i rozpoczętego padoku, przy którego budowie pomagał jej Hardy. Na pewno potrwa to jeszcze trochę. Mogła zrozumieć awersję Hardy'ego do Tobiasa. Hardy Lindström był impulsywnym, wrażliwym młodym człowiekiem z wieloma pomysłami. Nie wszystkie były jednak zbyt udane, a poza tym rzadko udawało mu się je zrealizować. Na pewno zdawał sobie sprawę z własnych wad. A gdy na jego drodze stawał jakiś miastowy goguś, który próbował zgrywać chojraka, nietrudno było przeholować.

Hardy pracował przy budowie padoku od kilku tygodni. Najpierw spulchnił ziemię glebogryzarką, a ostatnio zajmował się usuwaniem grud ziemi i kamieni. Przychodził nieregularnie na kilka godzin, wymawiając się nawalaniem innych prac. Ingelize czasem mu pomagała. Ładowała na taczki i ich zawartość wyrzucała na stos utworzony za domem. Jeszcze trochę potrwa, zanim się z tym uporają. A zima tui za progiem.

Właściwie mogła się obyć bez padoku. Można było jeździć konno w stajni, gdzie boksy stały przy dużym, podłużnym placu. Tam prowadziła lekcje jazdy. Jednak latem robiło się zbyt gorąco. Poza tym mocno się kurzyło, gdy konie tarły kopytami o suche podłoże.

Kilka dni wcześniej zaprosiła Hardy'ego na posiłek. Miała galaretkę cielecą i buraczki w ilości zupełnie wystarczającej dla dwojga. Hardy przystał na jej propozycję. Siedział w kuchni, kościste nogi wyciągnął na dywaniku kuchennym, patrząc, jak ona wyklada jedzenie na talerze. Ingelize zainicjowała ostrożnie rozmowę. Tego dnia Hardy był w bardziej ugodowym nastroju i odpowiadał bez zgrywania się.

– Zostaniesz we wsi? – zapytała. Hardy przez chwilę milczał, gapiąc się przed siebie. – Ile chcesz ziemniaków? – pośpiesznie zmieniła temat. – Ze cztery?

Skinał głową.

– Nie wiem, jak to będzie – odparł po chwili. – Kiedyś, gdy jeszcze był tartak, było inaczej.

– Masz na myśli pracę?

– Tak.

– No jasne.

– Nie mogę przecież ciągnąć forsy od matki. Do cholery, ona już stoi nad grobem.

– Co ty mówisz?

– Taa...

– A co byś mógł na przykład robić?

Owijął wokół palca kosmyki brody. Prychnął.

– Tak naprawdę można liczyć na coś porządnego tylko w Sztokholmie.

– Nie sądzę – zapewniła go gorliwie. – Ja jestem dobrym przykładem.

Rzeczywiście porozglądałam się tu i tam, a jednak wróciłam. To tutaj jest prawdziwe życie. Zwierzęta, przyroda, wszystko!

Wykrzywił twarz w grymasie.

– Wszystko jest względne.

– Powinieneś rozejrzeć się za żoną, Hardy. Założyć rodzinę, zmajstrować parę szkrabów.

– E tam. Na razie nie zależy mi na tym. Człowiek powinien najpierw spróbować połapać się w tym, kim właściwie jest.

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem. Dajmy temu spokój.

Korciło ją, by wypytać go o czas spędzony w więzieniu, jak się tam czuł, jak to na niego wpłynęło. Teraz nastąpił odpowiedni moment, bo Hardy zaczął jakby pokazywać swą prawdziwą twarz zza szczelnej maski twardziela. Ale właśnie w tym momencie zadzwoniła jedna z dziewczyn pomagających przy koniach. A gdy Ingelize odłożyła słuchawkę, Hardy skończył już jeść i właśnie wychodził na zewnątrz na papierosa.

Zegar wybił ósmą. Przegapiła wieczorny dziennik. To i tak bez znaczenia, jutro też będą wiadomości. Nalała sobie kolejny kieliszek wina i odsunęła nieco firankę. Nagle wydało jej się, że ktoś się czai na dworze. W świetle lampy mignął jakiś cień. Czyżby Tobias wrócił? Pochyliła się, wyteżając wzrok. Tak, ktoś tam jest, ale dlaczego się nie pokaże?

A może to wcale nie on?

Poczuła zimny dreszcz w okolicy łopatek. Ostatnio coraz częściej ogarniał ją strach. Przed ciemnością i tym, co mogło się w niej kryć. Bała się nieznanymi dźwięków w domu, czuła się, jakby nie była sama. Szkoda, że nie ma psa. W tym momencie zdecydowała, że go sobie sprawi.

Była na lekkim rauszu, ale teraz zamroczenie się ulotniło. Wszystko docierało do niej jasno i wyraźnie. A może to rzeczywiście był Tobias? Odstawiła kieliszek, wzięła kurtkę i wyszła.

Drzwi do stajni były na wpół otwarte. Powinna była wziąć ze sobą coś ciężkiego, na przykład młotek. Żałowała, że o tym nie pomyślała, czując luźno zwisające ręce w pustych kieszeniach. Miała w nich tylko pomietą chusteczkę higieniczną i pudełeczko pastylek Läkerol. Nic więcej. Pomyślała

o klaczy Álfkonie, która była tam w środku, i poczuła się raźniej. Chwyciła za drzwi i otworzyła je na oścież. Zgrzytnęło i zaskrzypiało. Często myślała, że przydałoby się posmarować zawiasy, myślała o tym niemal codziennie. W ciemnościach usłyszała, jak koń oddycha i przeżuwa. Gdyby zwierzę wyczuło kogoś obcego, stałoby zupełnie cicho, nasłuchując w napięciu. Gwałtownym ruchem nacisnęła przycisk kontaktu. Na boksy padło mdłe, przyćmione światło. Álfkona zarżała lekko. Stała przy niej jakaś postać – toporna, zgarbiona. Poorana bruzdami twarz się rozpromieniła.

Matka Hardy’ego, Ann-Mari.

Stały przez chwilę, taksując się nawzajem wzrokiem. Ingelize przełknęła ślinę. Nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu kobieta przyczłapała do niej i wyciągnęła rękę. Ingelize przyjęła ją, zdziwiona siłą uścisku staruszki.

– Ann-Mari, coś takiego! – rzekła. – Właśnie zastanawiałam się, kto przyszedł w odwiedzin.

Od kobiety wionęła woń brudu i przetrawionego alkoholu. Podbródek jej podskakiwał, jakby miała źle dopasowaną sztuczną szczękę.

– Konia przyszedł obejrzyć – wymamrotała.

– Álfkonę?

– Słyszałam, że coś z nią nie tak.

– A od kogo Ann-Mari to słyszała?

Kobieta pociągnęła nosem i otarła twarz rękawem, na którym pozostał cienki, połyskliwy ślad wydzieliny.

– Mam ze sobą coś – zaczęła i rozwinęła kilka lnianych gałganków nasączonych jakimś płynem.

– A co to takiego? – spytała, pochylając się, Ingelize.

Staruszka zwróciła ku niej twarz i zarechotała.

– Ukąszenie diabła, he, he...

– Ukąszenie diabła?

– Tak to nazywają. Takie zioło, czarcikęs łakowy. Sieka się korzeń, gotuje go, a potem moczy przez osiem dni w spirytusie.

– Co takiego? Po co?

Ann-Mari otworzyła drzwiczki boksu i weszła do środka. Koń stał spokojnie.

– Zrobię tylko okład.

Przesunęła dłonią po kończynie konia, aż wyczuła opuchliznę. Sprawnymi ruchami owinęła lniany gałganek wokół nogi i przymocowała kawałkiem sznurka.

– Ładna klacz – zabalgotała. – Będzie silna i zdrowa.

- Więc jej to nie zaszkodzi? Ann-Mari rzuciła jej krzywe spojrzenie.
- Mowy nie ma!

Gdy ponownie została sama, pomyślała, że szkoda, że Ann-Mari nie jest młodsza. Nadawałaby się na współpracowniczkę. Tyle że Ann-Mari pije, pije jak szewc. I nie zawsze można było na niej polegać, podobnie jak na jej synu.

Nie, teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że Tobias połknie haczyk i przystanie na jej propozycję. Może rzeczywiście do tego dojdzie, jeśli się porządnie zastanowi? Tu są przecież jego korzenie.

PORANEK. Przeciągnął się pod kołdrą, rozprostował kości. Oj, czuł obolałe mięśnie, zwłaszcza w rękach i pachwinach. Nie był przyzwyczajony do pracy fizycznej.

Wstrzymał oddech. Jego głowa spoczywała na poduszce niczym zanurzona w jakiejś misie, poszewka wystawała po obu stronach. Było czyściutko i przytulnie jak w dzieciństwie, gdy matka otulała go kołdrą, kiedy gorączka rozsadzała mu bębunki.

Właśnie tu, w tym domu.

Ponad trzydzieści lat temu.

Poprzedniego wieczoru miał kłopoty z zaśnięciem. Leżał długo na plecach, wstrzymując oddech. Wbrew własnej woli nasłuchiwał odgłosów z góry. Kroków Sabiny, jej mamrotania, słów współczucia i pociechy. Gdy kładła się do łóżka, sprężyny materaca zaskrzypiały tak mocno, że dźwięk przeniknął aż na dół.

Jakie jest ich życie miłosne? Może akurat nie teraz, ale w ogóle. Czy Adam im nie przeszkadzał? Jaką mogli mieć pewność, że nie wparuje nagle do sypialni? Zamykali się na klucz? Jak on na to reagował? Tobias był dwa razy świadkiem wybuchów wściekłości, do których dochodziło, gdy ten przerośnięty dzieciak czuł się skrzywdzony. Wymachiwał wówczas rękami niczym młotami, wydając z siebie ryk rozsierzonego zwierzęcia. Tylko ona potrafiła go uspokoić. Kobieta, która wydała go na świat.

Ludzie zachowywali się w towarzystwie Adama niepewnie, nie wiedzieli, jak powinni reagować. Wszyscy z wyjątkiem Hardy'ego. Właśnie dlatego Sabina tolerowała jego chamskie zagrywki. Nie mogła sobie pozwolić na zadzieranie z kimś takim jak Hardy. Była całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę.

W tym człowieku było coś podłego. Hardy Lindström to prawdziwe wcielenie zła, pomyślał Tobias. Prawa ręka diabła.

Nie zdołał wtedy zasnąć. Czuł nadal ruchy konia, kołyszące jego miednicą tak, że dopasowywał się do jego rytmu. Jak jakiś centaur. Na wzgórzu rozmawiali z Ingelize, prawie bez przerwy. Żadnych głośniejszych tonów, tylko to zduszone gruchanie, jakby mizdrzyła się do niego. Jakby starała się mu... dogodzić.

Siedział na łóżku wyprostowany jak struna i nasłuchiwał. Wkurzony na samego siebie, że nie może się od tego powstrzymać.

Myślał też o propozycji Ingelize.

Zostać na wsi i pisać.

Od czasu do czasu mógłby wspomóc ojca i Sabinę.

Ciekawe, jak długo ojciec będzie przykuty do łóżka. Czy w ogóle jeszcze stanie na nogi? Tobiasz przymknął oczy i od razu pojawił się przed nimi obraz zwierząt – ścisk parujących ciał, ich głuche pobekiwanie. Przeblysł szyderstwa na twarzy Hardy'ego, no i ta wybałuszona ohyda w dłoni Adama.

W końcu musiał wstać. Było kwadrans po jedenastej. Nie miał weny do pisania, żadnej energii tego rodzaju. Nie. Ale miał ochotę na whisky, łyk z plastikowej butelki, którą wcisnął w ostatniej chwili do bagażu. Glenfiddich kupiona kiedyś w sklepie wolnoctwowym. Palila podniebienie; ciepława, o ostrym smaku.

Słyszał teraz na górze ciche kroki jej wysuszonych, szerokich stóp. Czy miała na sobie koszulę nocną, czy kładła się nago? Nago, z zaciśniętymi masywnymi udami, skrywającymi ciemną głębię.

Poczuł, że spocily mu się dłonie. Chodził w kółko, wyszedł do przedpokoju i znalazł wśród wierzchnich ubrań na wieszaku rzadko używany płaszcz Sabiny. Wtulił się w niego, w jedwabistą podszewkę. Musiał zapalić, stanął na schodach owinięty w swoją kurtkę. Jasna, zimna noc.

Nad jego głową rozblysły gwiazdy. Nie oglądał ich od dawna, w mieście nie dało się ich obserwować w ten sam sposób. Zaciągał się głęboko i nasłuchiwał odgłosów z lasu, ale wokół panowała zupełna cisza i bezruch. Zresztą gdyby było inaczej, psy by zareagowały.

Zacisnął oczy i poczuł nagły impuls, by się wykrzyknąć, by prostacko wyrzeshczyć wszystko prosto w noc. Serce wykonało dodatkowe uderzenie – zdarza się to czasem i podobno nie jest niebezpieczne, a jednak się przestraszył. Może mu przejdzie, jak przestanie palić. Klara wciąż suszyła mu o to głowę, Marit zresztą też. Przypomniało mu się nagle, że miał zadzwonić do córki, było już jednak za późno. Na pewno spała, rano idzie przecież do szkoły. A Görel też już prawdopodobnie się położyła. Gdy rozmawiał z nią ostatnio, była na skraju depresji. Powtarzało się to każdej jesieni – popadała w przygnębienie i apatię. Nawet nie miała siły pójść do lekarza.

Zaczęły mu marznąć nogi. Zgasił niedopałek i wszedł do środka. Wtedy w przedpokoju zamajaczyła jakaś postać, jasna i zwiewna niczym zjawą. Przełknął ślinę i zakrztusił się.



Sabina.

– Tobiasz? – zapytała cicho.

– Tak.

– Co się dzieje?

– Cholera, ale mi napędziłaś pietra.

– Oj, przepraszam. Co ci jest, nie możesz spać?

Miała na sobie żółty szlafrok, rozpuszczone włosy opadały na plecy.

– Przeszkadzam wam?

– Skąd. Ale usłyszałam, że wyszedłeś.

– Miałem straszną ochotę na papierosa.

– Zrobić ci coś ciepłego do picia?

– Nie, nie trzeba.

– Tobiasz, musimy się wyspać. Jutro też mamy dużo roboty.

– Wiem, dobranoc, Sabina.

Odwrócił się do niej plecami i wszedł do środka.

Czy w końcu zasnął? Chyba tak, bo gdzieś w jego świadomości tkwiły fragmenty obrazów, snów. Golarka przeciągająca po kosmykach sierści, pasażerki zbitej skóry. Twarz Sabiny zwrócona ku sufitowi, jej opalona, naga szyja z bladymi pręgami.

Która godzina? Szukał po omacku przełącznika małej, śmiesznej lampki, która wydawała się bezużyteczna. Roztańczone amorki pod koralikowymi frędzlami. Znalazł swój zegarek. Wpół do siódmej. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i jęknął – całe ciało było piekielnie obolałe. Stał teraz na podłodze, czując, że mrok jest już inny, nie tak zwarty, jakby łagodniejszy. Gdy otworzył okno, zorientował się, że znowu zaczęło wiać.

Trzeba było zająć się pozostałymi trykami. Jeszcze tylko kilka dni – wsiądnąć do pociągu i pojedzie do domu. Sabina obiecała, że zawiezie go do Linköpingu.

Szedł przed podwórze, paląc papierosa. Wiatr targał mu włosy. Aura była łagodniejsza niż przedtem, mróz odpuścił. Pomyślał o tratwie. Rzeczywiście udało im się zabrać zwierzęta z wyspy w ostatniej chwili.

W kieszeni zawibrował telefon. Dzwoniła Klara.

– Cześć, to ja.

– Cześć, skarbie. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Jesteś w drodze do

szkoły?

- Dzisiaj mamy dzień pracy własnej.
- A ty już wstałaś?
- Jakoś tak wyszło.
- Jak się czuje mama?
- Jak zwykle.
- A co to oznacza? W tej chwili?
- Zdołowana. Nie chce wyjść z domu. Sam wiesz.

Westchnął.

- Tak czy inaczej, zrobiłam zakupy i ugotowałam makaron.
- Dzielna jesteś, Klaro.
- A jak tam z dziadkiem? On też nie wydaje się specjalnie rozradowany.
- No tak, przecież rozmawiałaś z nim wczoraj. Miałem zadzwonić do ciebie, ale byłem zajęty.
- Nie ma sprawy.
- To my musimy teraz być tymi silnymi, Klaro. Wrócę do domu, jak tylko będę mógł.
- Nie ma sprawy – powtórzyła, a on poczuł gwałtowny poryw tęsknoty za nią.
- Dzwon, gdybyś tylko potrzebowała pomocy. Obiecuj mi, że zadzwonisz!
- W porządku.

Sabina zagotowała kawę. Kursowała jak nakręcona pomiędzy pokojami, bo tego dnia i Adam został w łóżku z powodu przeziębienia. Oby się tylko od niego nie zaraził, nie mógł sobie teraz pozwolić na chorowanie. Powinien wracać do domu i zabrać się wreszcie do książki. Klarze też będzie łatwiej, jeśli będzie pod ręką, mimo że nie mógł wiele zrobić, gdy Görel wpadała w te swoje psychiczne dołki.

Tak naprawdę nikt nie potrafił jej pomóc.

Otworzył drzwi do obory i wszedł do środka. Prosiaki jak zwykle rozpierchły się w popłochu, kwicząc przeraźliwie. Przystanął i przyglądał się im przez chwilę, obserwując, jak powoli się uspokajają i, wiedzione ciekawością, znowu zaczynają podchodzić bliżej. Sabina zdążyła już je nakarmić. Ciekawe, od której była na nogach.

Stała teraz za nim, widział jej cień. Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

Spodziewał się ujrzeć na jej twarzy zmęczenie, ale wyglądała jak zwykle.

Położyła dłonie na jego ramionach.

– To co, Tobi, gotowy na kolejną potyczkę z naszymi milusińskimi?

Dziś było trudniej skłonić je, by wystawiły łebki przez pręty. Tryki miały całą noc na główkowanie, więc zaczęły się domyślać, co się święci. Czy to możliwe, by zwierzęta miały taką intuicję? Przypomniał sobie, że czytał o świniach kwiczących w śmiertelnej panice w drodze do rzeźni. Jakby przeczuwały śmierć, która czaiła się w obcym otoczeniu, w nieznanym odgłosach i zapachach. Sabina pracowała kiedyś w rzeźni. Miał ochotę ją o to zapytać, ale wiedział, że niechętnie wraca do starych wspomnień.

Stał z wiązką siana, wabiąc nim zwierzaka.

– Chodź, maleńki, no chodź.

Jednak zwierzęta się opierały. Przez kilka godzin udało im się ostrzyć zaledwie jednego barana. Poza tym ni z tego, ni z owego przestała działać golarka.

Sabina wyszła, oparła się o boks, podnosząc ręce na wysokość karku. Była zmęczona. Stał tuż obok niej. Palił papierosa i obserwował żyłkę na jej szyi, jak poruszała się i drżała pod skórą.

Obracała w dłoniach golarkę. Przysunęła ją do oczu, obejrzała dokładnie.

– Jest kompletnie do luzu. Zepsuła się.

– To co zrobimy?

– Musimy spróbować ją naprawić. Jesteś dobry w te klocki, Tobi? Dasz radę? Tam w szafie jest sporo różnych narzędzi.

Poszedł za nią w stronę siodłami.

Było to niewielkie pomieszczenie z prostym wyposażeniem. Przymocowana do ściany ława, przykryta dywanikiem z gałganków. Ciężkie, zakurzone biurko. Drzwi można było zamknąć na klucz. Pamiętał, że matka zostawała tu czasem na noc. Spała na ławie, gdy któryś z koni chorował. Albo gdy w domu było zbyt gorąco.

Na ścianie wisiała pomalowana na niebiesko, zrobiona przez ojca szafka narożna. Stała przed nią teraz Sabina. Wyciągnęła rękę i otworzyła ją.

– Wydaje mi się, że powinien tu być... O, jest. Śrubokręt. Może za gruby, jak myślisz?

Wziął od niej lekko zardzewiałe narzędzie, porównał z rowkami śrubek.

– Mogę spróbować – oznajmił z wahaniem.

Siedziała na ławie ze stopami opartymi o biurko. Jej gumowce były

małe i brudne.

Podszedł do niej, bardzo blisko.

Stanął tak, że nie mogła zmienić pozycji.

– Sabina – powiedział jego głos, jego własny głos. Miał teraz inną barwę, jaśniejszą; powtarzał raz po raz jej imię.

W jej oczach mignął przebłysk ucieczki, bardzo szybki, ledwo uchwytny. Po chwili na jej policzkach rozbłysły łzy.

Jego usta przywarły do niej, język zlizywał słony płyn, ręce powędrowały ku jej szyi. Zamek błyskawiczny, jej piersi pod materiałem biustonosza; jak jego palce zagłębiały się, poszukując, jak znalazły haftkę; jak jej blade, ciężkie piersi zsunęły się prosto w jego otwarte dłonie.

– Tobias, co robisz, co my wyprawiamy?

Jej oddech był słodki niczym cukierki, język jak zdezorientowane zwierzątko. Przycisnął do niego własny, oplatał go, czuł jej śliskie białe zęby. Pochlipywała, lecz równocześnie śmiała się przez łzy, tak, śmiała się. Jej ręce nie stawiały oporu, zarzuciła mu je na szyję i ciągnęła go w dół, ku swoim piersiom, ku brzuchowi. Szarpał za jej ubranie, dopóki nie ściągnął z niej i nie wyrócił na lewą stronę całego kombinezonu – aż wyszła całkiem ze swej niebieskiej skorupy i leżała na ławie zupełnie nago.

Potem, gdy się ubrali, a on przyklęknął na kamiennej posadzce z głową w jej objęciach, już nie płakała. Nie sprawiała jednak wrażenia szczególnie zadowolonej. Tobias leżał z twarzą ukrytą w jej dłoniach.

– Co myśmy zrobili? – rzuciła, lecz w jej głosie nie było skargi, tylko smutne zdumienie.

– Nie zamierzam cię prosić o wybaczenie – wyszeptał. – Nie chcę. Marzyłem o tobie, mała czarownico, odkąd ujrzałem cię pierwszy raz.

Miała szorstkie dłonie; zwilżał je wargami, gryzł. Drobne stwardnienia u nasady palców. Jej jędrne, silne ciało.

– Musimy jak najszybciej o tym zapomnieć! – wymamrotała, lecz nie cofnęła rąk ani się nie odsunęła. – Musimy myśleć, że to się nigdy nie zdarzyło.

Wyprostował plecy i zaczął całować opuszki jej palców, posuwając się w górę ręki; widział, jak łagodnieją jej rysy twarzy.

– Ja też myślałam o tobie – powiedziała ochryple. – Niech mi Bóg wybaczy, też nie mogłam o tobie zapomnieć.

Włożył dłonie pod jej pachy. Wstał, pociągając ją za sobą. Była niższa od

niego, dopiero teraz uświadomił sobie, że sięga mu do ramion. Jej usta przyciśnięte do jego klatki piersiowej, pod koszulą, przy samej skórze.

– Tobias! On nie może się nigdy dowiedzieć. To najmilszy człowiek pod słońcem.

W tym momencie usłyszeli ruch przy drzwiach. I jakiś odgłos. Szuranie i odchrząknięcie.

– Zgadza się, szkoda by było tak zasmucać Siggego Elmkvista, prawda? Najmilszy człowiek pod słońcem. Zasluguje chyba na coś lepszego.

Odskoczyli od siebie, ale było już za późno. Tobias uświadomił to sobie, gdy tylko zobaczył, kto opiera się o framugę. Wysunięty do przodu podbródek; szorstka, żółta broda. Oczy wpatrujące się w nich spod na wpół przymkniętych powiek.

Sabina odwróciła się do nich plecami. Zapinała zamek, drżały jej ramiona. Widząc to, Tobias poczuł przypływ furii.

– Dlaczego zakradasz się jak jakiś szpieg?! – wrzasnął.

Hardy podciągnął górną wargę. Jego twarz przybrała ostry wyraz.

– Szpieg? Niby dlaczego? Przyszedłem po moją forszę.

Sabina odwróciła się oszołomiona, jakby nie pojmując, co się dzieje.

– Zaraz pojedę do banku, zamierzałam to właśnie zrobić.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Mieliśmy tyle roboty, zajmowaliśmy się zwierzętami.

– Mam wrażenie, że nie tylko tym.

– Hardy!

– Widziałem wszystko. Zapamiętaj to sobie – widziałem, co tu wyrabialiście.

Sabina skuliła się w sobie i uderzyła w błagalny ton:

– Hardy, proszę, obiecaj, że nikomu nie powiesz. Dostaniesz... dostaniesz, co tylko chcesz. Nie wiem, jak to się stało, nie chcieliśmy tego.

Cmoknął.

– Nie chcieliście? Według mnie wyglądało to zupełnie inaczej.

– Zaraz pojedę do banku, możesz się zabrać ze mną.

– E nie, poczekam tutaj.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci kłopotu. Może potrzebowałeś tych pieniędzy już wczoraj?

Hardy nie odpowiedział, zaśmiał się tylko krótko.

– Zaraz wracam. Bank jest już otwarty, więc zaraz będę z powrotem.

Trzymała w ręce chustkę i składała ją w coraz mniejsze kwadraty. W końcu włożyła ją do kieszeni. Jej twarz pokryła się głęboką bladością, jakby

zniknęła z niej cała opalenizna.

Patrzyli, jak uruchamia starego opla i wyjeżdża na drogę. Samochód podskoczył kilka razy, jakby zabrakło gazu. Tobias wyciągnął w kierunku Hardy'ego paczkę papierosów.

– Zapalisz?

Hardy skinął głową i wyłuskał z paczki papierosa.

Tobias oparł się o ścianę. Czuł, że wiotczeją mu mięśnie, przed oczami pojawiła się mgiełka.

– To, co widziałeś... – zaczął.

– Jak ją posuwałeś?

– A ty nie przeżyłeś nigdy nic takiego? Jak dwoje ludzi po prostu...?

Hardy wypuścił nozdrzami smugę dymu.

– Mnie to nie przeszkadza, ale stary Elmkvist nie będzie zachwycony.

– Chy... chyba nie polecisz nas podkablować?! – Ku swojej irytacji zaczął się jękać.

Hardy stał z uśmiechem na twarzy. Widać było wystające spiczaste kły.

– Może w mieście da się coś takiego zamieść pod dywan, ale w takiej zapadłej dziurze jak ta wieś na pewno nie. Niczego nie da się ukryć!

– Chodzi ci o forszę?

– Forszę?

– Czy to jakiś pieprzony szantaż? Bo jeśli tak, to od razu ci powiem, że jestem goły jak święty turecki.

Zaczęło padać. Tobias cisnął niedopałek na ziemię i wszedł do obory. Trzęsły mu się ręce, całe ciało dygotało, spod pach lały się strumienie potu. Wszedł do siodłami. Podniósł golarkę i próbował odkręcić śrubokrętem śrubki. Nie był jednak w stanie tego zrobić, bo dygotał i trząsał się jak osika na wietrze. Jak przez mgłę dotarło do niego, że Hardy wszedł za nim do środka.

– Co ty właściwie do mnie masz? – zapytał rozzłoszczony. – Napadasz na mnie bez przerwy, mam wrażenie, że mnie nienawidzisz. Powiedz mi dlaczego?

– Nie czuję do ciebie nienawiści. Wcale nie.

– No to o co ci chodzi, do cholery? Co ja ci takiego zrobiłem?

– Jesteś po prostu pieprzonym dupkiem i tyle. Cholernym snobem, któremu się wydaje, że jest nie wiadomo kim. Nawet nie zasługujesz na nienawiść. Ja pierdolę, powiem tylko tyle. Ja pierdolę.

Tobias odwrócił się powoli, potrząsając głową. Stał jak wryty i bez

przerwy potrząsał głową.

– Niby jesteś taki wyjątkowy. A przyjeżdżasz tutaj i rzniesz swoją macochę jak jakąś dziwkę. Ale z ciebie pieprzona świnią! Ja pierdolę, powiem tylko tyle. Ja pierdolę.

Śrubokręt w jego dłoni. Krótka, beżowa rękojeść, śrubokręt w jego uniesionej do ciosu dłoni. Jak wszedł niczym w masło, jak rozległ się charkot, jak urwał się i ucichł. Fala gorąca i ognia rozlewająca się przed oczami, po rękach i po ubraniu, niczym gejzer. Tryskająca w górę z przeciągłym sykiem. Mężczyzna opierał się, lecz niezbyt mocno, w jego wymachujących rękach nie było już siły. Upadł na biurko, uderzając skronią o ostry kant. Potem znowu uniesiony śrubokręt, jak zanurzył się w miękkiej szyi, tak że zacharczało, zarzęziło, zabulgotało.

Potem robił wszystko mechanicznie. Zdjął kombinezon, złożył go tak, by nie było widać krwi i ciemnych plam. Został w samych slipach. Szedł boso po słomianej wyściółce. Spod nóg uskoczył mu parszający kot; ogon podniesiony na baczność. Woda z węża była lodowata, lecz on tego nie czuł. Chciał z siebie splukać wszystko, do czysta, do naga, splukać z siebie terazniejszość. Drzwi do siodłami były zamknięte. Za nimi leżał zwinięty kombinezon. Na slipach też były plamy; teraz brunatna woda spływała, chlupocząc, z całego ciała i włosów. Na parapecie leżał skrawek popękanego mydła. Pocierał nim pierś i ramiona, pocierał dłonie – lekko i delikatnie, tak by każdy por jego ciała wchłonał głęboko mydło. Pochylił się, zgiął się w pół i przeciągał ostrymi krańcami po włosach, to mocno, to lekko, aż w końcu utworzyła się piana. Woda spływała ognistą czerwienią i brudnym brązem.

Gdy wróciła Sabina, siedział w mokrej bieliźnie. Gdzieś z tyłu głowy kotłowały się myśli: wstań, ubierz się, bo się rozchorujesz, do diabła, bo będziesz chory! Siedział, wpatrując się w swoje długie, chude uda pokryte gęsią skórą.

Usłyszał samochód wjeżdżający na podwórze i psy, ich ujadanie. Trzaśnięcie drzwiami, wiatr targający dachem obory.

Jej puste, sztywne spojrzenie, koperta w wysuniętej ręce, gotowa, by natychmiast spłacić dług, by jak najszybciej mieć to z głowy.

I jak najszybciej zapomnieć.

Sabino kochana. Myślisz, że o czymś takim da się zapomnieć?

Wyciskałby z ciebie pieniądze, aż w końcu wycisnąłby z ciebie życie.

Wycisnąłby wszystkie soki z twego biednego, kruchego ciała.

Otworzyła drzwi do siodłami.

Nie usłyszał ani krzyku, ani zduszonego oddechu.

Ni stąd, ni zowąd trzymał w rękach inny kombinezon, czysty i wyprasowany, jeszcze pachnący proszkiem do prania.

Wstał niczym robot i założył go.



## 'TIL THE END OF TIME

GDYBY Marit miała klucz do mieszkania na Bellevuegatan, mogłaby tam pójść i trochę je ogarnąć. Kupić owoce i jogurt. Wywietrzyć zatęchły dym papierosowy. Może nawet poodkurzać podłogi. Tobias nie kwapił się zanadto do sprzątanania.

Marit nie miała jednak klucza.

Idąc do pracy, chętnie wybierała trasę prowadzącą obok żółtego, trzypiętrowego budynku, gdzie mieszkał Tobias. Zerknęła w stronę okien, lecz żaluzje były zwykle opuszczone. W obu pokojach. Nawet teraz, gdy przebywał poza domem.

Tęskniła za nim bardziej, niż się spodziewała. Jednak ku jej radości zadzwonił i powiadomił ją, że wróci wcześniej, niż zamierzał. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Obiecała mu, że wyjedzie po niego na dworzec Södertälje Syd.

Przez ostatnie dni pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie – jednego dnia zimno i mroźnie, następnego znacznie cieplej. Nie wiadomo było, jak się ubierać. Teraz, rano, panował ziąb. Szła szybkim krokiem. Łzawiły jej oczy, co oznaczało, że maskara lada moment zacznie spływać. Stosowała dyskretny makijaż – odrobina tuszu na rzęsy i lekkie kreski na powiekach. Świadomość, że gdy dotrze na miejsce, będzie wyglądała niechlujnie, działała jej na nerwy.

Tego dnia obudziła się późno, bo nie mogła poprzedniego wieczoru zasnąć. Leżała w łóżku, rozmyślając o Tobiasie, analizując ich związek. Zadzwonił do niej wcześniej, w momencie, gdy akurat przekroczyła próg mieszkania.

– Wracam jutro po lunchu, możesz mnie odebrać?

– Naprawdę? Wracasz już? Tak się cieszę, nie mogę w to uwierzyć.

Zachowała się nierozsądnie, dając tak wyraźnie do zrozumienia, ile dla niej znaczy. Jawne okazywanie uczuć może sprawić, że się usztywni, będzie się opierał. Dziwne, bo czytając jego książki, można było odnieść zupełnie inne wrażenie. Przyszły jej na myśl wiersze, które wydał kilka lat wcześniej.

– Możesz mnie odebrać czy nie? – uciął, a jego głos odbijał się echem w

słuchawce w jakiś obcy, brutalny sposób.

– Jasne, będę na ciebie czekać.

Odłożywszy słuchawkę, wybuchnęła płaczem.

Później, wieczorem, po zjedzeniu kupionego w ICA sushi i obejrzeniu wiadomości, sięgnęła po zbiorek jego wierszy. Nosił tytuł *Upozowany, udrapowany*. Wypowiedziała te słowa na głos, próbując z powrotem odnaleźć radość. Napisał na stronie tytułowej dedykację, która nie zawierała nic osobistego, tylko neutralny wpis: *Dla Marit, z ciepłymi myślami od autora, jesienią 1999 roku*.

Ciepłe myśli. Czy kiedykolwiek doczeka się czegoś więcej? Przekartkowała książkę. Przypomniała sobie, że została dobrze przyjęta przez krytykę. Nie znalazła się wprawdzie na pierwszych stronach gazet, lecz recenzenci byli zgodni, oceniając ją pozytywnie.

Kto przepełniał jego myśli, gdy tworzył te namiętne strofy? Nie Görel, bo byli już wtedy w separacji. Poza tym domyślała się, że lata spędzone z żoną były dla Tobiasa raczej drogą przez mękę. Jakaś inna kobieta? Czy można, ot tak, tworzyć lirykę miłosną, nie będąc zakochanym? Nigdy nie odważyła się zadać mu tego pytania.

Nalała do szklanki soku. Wróciła myślami do okresu, kiedy poznała Tobiasa. Czasopismo „Nasze mieszkanie” zamieściło wywiad z nim po tym, jak wygrał u nich nagrodę w konkursie na nowelę, a regionalny dziennik „Länstidningen” opublikował oczywiście przy tej okazji długi artykuł o autorze. Marit i jej koledzy z biblioteki postanowili nawiązać z nim kontakt. Pochodzący z ich regionu człowiek, który został pisarzem! Koniecznie należało to nagłośnić.

Któregoś wieczoru pojawił się w bibliotece. W kawiarni Blå Rummet, gdzie zwykle urządzali spotkania autorskie, czekało sporo osób, jak zwykle głównie kobiet. Tobias jeszcze nie rozpoczął pracy nad powieścią kryminalną. Opowiadał o swoich książkach, czytał na głos ich fragmenty, również ze zbioru wierszy. Gdy czytał, zmieniał mu się głos – robił się bardziej miękki, intensywniejszy. Marit siedziała tuż przy drzwiach, tak że mogła obserwować zasłuchane kobiety. Ku swojemu zdumieniu odczuwała zazdrość.

Kilka dni później przyszedł osobiście z fakturą. Tuż przed lunchem.

– Przekąsimy coś razem? – wyrwało jej się.

Tobias się roześmiał.

– Teraz?

– Tak? Myślałam...

– Nie mam teraz czasu, wybieram się do Sztokholmu. Może zjemy razem wieczorem? Oczywiście, o ile nie jest pani zajęta.

Serce zatrzepotało jej nadzieją.

– Mogę zamówić stolik – rzuciła pośpiesznie. – Lubi pan greckie jedzenie? Na Ängsgatan jest grill bar. Był tam pan już kiedyś?

Łatwo się z nim rozmawiało. Przynajmniej na początku. Nim wieczór się skończył, zdążyła mu opowiedzieć niemal całe swoje życie. O małżeństwie z Claesem, o bezdzietności, która wzięła się stąd, że jej były mąż miał zbyt słabe plemniki.

Przez cały czas, kiedy mówiła, Tobias tylko siedział i przyglądał się jej.

– Bolejesz nad tym, że nie masz dzieci? – zapytał z powagą.

Odgarnęła włosy za ucho. Zrobiło jej się gorąco, czuła, że pali ją twarz.

– Przez dłuższy czas miałam obsesję na tym punkcie. Nie mogłam patrzeć ani na kobiety w ciąży, ani na matki z wózkami. Popadłam w depresję. Tak, bolałam nad tym. Ale się pozbierałam, to już przeszłość. W grudniu kończę czterdzieści lat. Jest tyle innych rzeczy w życiu ważniejszych od dzieci. Mnóstwo innych rzeczy.

– Jakich na przykład?

– Zdrowie – odparła niepewnie, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

– Ja też mam urodziny w grudniu – zwierzył się. – W sylwestra. Kiedyś ostro balowałem, ale człowiek się starzeje i z czasem zwalnia tempo.

Była starsza od niego o rok. Opowiedział jej o swojej córce Klarze. Wyjął z portfela jej zdjęcie: te same krucze włosy, te same oczy.

– Moja mama pochodzi z Islandii – wyjaśnił – ale miała też przodków na Grenlandii. Oboje z córką mamy domieszkę grenlandzkiej krwi w żyłach.

Wybrała tego ranka trasę wzdłuż Torekällgatan i biegła powoli w dół ostrym zboczem. W mieście było mnóstwo pagórków, na co od razu zwróciła uwagę, gdy tylko się tu przeprowadziła przed wieloma laty. Jako młoda dziewczyna, dopiero co po ślubie. Postanowiła zachować nazwisko swego ówczesnego męża, Stenhägg, które brzmiało lepiej niż jej panięskie nazwisko Svensson.

Małżeństwo nie przetrwało zbyt długo. Najzwyczajniej w świecie byli z Claesem zbyt niedopasowani. Potem była w kilku krótkotrwałych, raczej obojętnych uczuciowo związkach.

Była żona Tobiasza mieszkała nadal w Södertälje, lecz Marit nigdy jej nie spotkała, знаła ją tylko ze zdjęć. Kobieta miała depresyjne usposobienie i izolowała się od ludzi, może była nawet chora psychicznie. Marit spotkała natomiast kilka razy Klarę, jednak nie udało jej się nawiązać z nią prawdziwego kontaktu. Widziała ją parę razy w bibliotece, ale dziewczyna nawet nie podeszła się przywitać, tylko przechodziła od razu do działu książek dla dzieci i młodzieży. Nigdy niczego nie wypożyczała, na ogół przeglądała książki na miejscu. Marit podeszła do niej któregoś popołudnia i zapytała, czy Klara ją poznaje. Oczy dziewczyny były takie same jak jej ojca. Podskoczyła, jakby przyłapano ją na czymś zakazanym.

– Jestem Marit, wiesz, spotykam się z twoim tatą.

– Tak?

– Pracuję tutaj.

– Wiem.

– Co u ciebie słychać?

– W porządku.

– No tak, chciałam tylko się przywitać.

Miała poczucie, że zupełnie się zbłądziła. Tak jakby dziewczyna po prostu odprawiła ją z kwitkiem.

Marit skręciła w Storgatan. O tak wczesnej porze nie było tam żywej duszy. Usłyszała świst skrzydeł i dostrzegła nagle drapieżnego ptaka, chyba krogulca. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego, pacnął z głuchym odgłosem w jedno z okien centrum handlowego Kringlan, po czym przefrunął chwiejnie tuż ponad brukiem ulicznym. Śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął w oddali, w okolicy kościoła.

Biblioteka znajdowała się w samym sercu miasta, w budynku o nazwie Lunahuset. Pracowała tam od dziesięciu lat. Ceniła sobie kontakt z ludźmi, którego nie brakowało podczas dyżurów w wypożyczalni zlokalizowanej na poziomie wejścia. Pojawiali się tam nie tylko czytelnicy wypożyczający książki, więc zajmowała się różnego rodzaju sprawami.

Była już blisko biblioteki i postanowiła skorzystać z głównego wejścia, czując, że nie ma siły podejść do znajdującego się na tyłach budynku wejścia służbowego. Przed szklanymi drzwiami zebrała się grupka oczekujących na otwarcie biblioteki. Ta sama wierna gromadka, która pojawiała się tam punktualnie każdego ranka. Gdy tylko woźny otwierał drzwi, szli niemal mechanicznie prosto do czytelnicy czasopism, łapali za swoją gazetę i siadali

na tym samym co zwykle krześle.

Zatrzymała się w pewnej odległości od nich, nie miała siły na pogawędkę, pogrążona nadal w sennym letargu. Dyskutowali zawzięcie, rozprawiając o Björnzie Borgu i jego milionach. Jedyna kobieta w grupie zaczęła się głośno zastanawiać, co można zrobić z tak dużymi pieniędzmi i czy można dzięki nim poczuć się szczęśliwym.

Jeden ze starszych mężczyzn z czapkami z daszkiem na głowach zwrócił się w jej stronę.

– Przecież Borg zbankrutował – oznajmił z irytacją.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zdziwienia, jej policzki przybrały lekko różowy odcień.

– No tak, ale przecież nadal sprzedają slipy jego marki – zaprotestowała nieśmiało.

– Jak pani sądzi, jak zareagowały na to szwaczki? – drążył mężczyzna. Uniósł barki i unikał jej spojrzenia. – Te, które szyły te wszystkie slipy i nie dostały za to zapłaty?

Marit odsunęła się kawałek. Wyciągnęła chusteczkę higieniczną i wytarła ostrożnie skórę wokół oczu. Czuła, że nadciąga ból głowy. Kawałek dalej, przy rynku, sprzedawcy rozstawiali swoje kramy. Był dzień targowy, handlowano głównie ubraniami i różnymi bibelotami. Pojawiło się też kilka stoisk z rzeczami sprzedawanymi zwykle na pchlich targach. Już dawno przestały ją interesować tego rodzaju zakupy.

Zegar w kościele S.ta Ragnhilds kyrka wybił ósmą.

Przedpołudnie było wypełnione stresem. Klienci byli marudni i niezadowoleni, właściwie nie wiadomo dlaczego. Czasem zdarzały się po prostu takie dni. Może podobnie jak ona źle spali. Pewien mężczyzna w zimowym płaszczu próbował skopiować jakieś odręcznie napisane dokumenty. Kilka kopii się udało, na innych pojawiły się tylko niewyraźne paski.

– Dlaczego to tak wygląda? – Mężczyzna pochylił się nad kontuarem, miał chude, poplamione dłonie.

– Czarny atrament trudno skopiować – wyjaśniła. – Trzeba nastawić na najciemniejszy poziom.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Tak właśnie zrobiłem.

Marit podeszła z nim do kopiarki, by pomóc, jednak operacja się nie

powiodła.

– Nie wiem, dlaczego nie wychodzi.

Mężczyzna spojrział na nią z niezadowoleniem.

– Macie tu fatalny poziom usług.

Na szczęście zadzwonił telefon. Klient chciał prolongować wypożyczoną książkę o motylach. Otworzyła jego konto w komputerze i zmieniła dane, udając, że nie jest to tak prosta sprawa. Na szczęście mężczyzna od kopiarki zdążył się zniechęcić i ulotnić.

O wpół do dziesiątej poszła do kawiarenki na piętrze i kupiła kawę. Zwykle zabierała ze sobą z domu kanapki, ale ponieważ wstała tak późno, nie zdążyła ich przygotować tego ranka. Kupiła sobie kanapkę z chleba żytniego z pasztetową i ogórkiem. Hilda siedziała już przy stole. W szarym świetle z okna wyglądała na zmarnowaną.

– Wszystko w porządku? – Marit zdawała sobie sprawę, że jej pytanie brzmi zbyt dziarsko.

– Żeby nie ten deszcz... – Koleżanka westchnęła. – Wyciąga z człowieka ostatnie soki życiowe.

– Przecież teraz nie pada.

– Nie. Ale teraz nie mam już urlopu.

Hilda była pomocą biblioteczną. Odbierała wózki z książkami w wypożyczalni i odkładała książki na miejsce.

– No tak, rzeczywiście.

Hilda spędziła urlop w wynajętym domku letniskowym na wyspie Rindö w Archipelagu Sztokholmskim. Miała dwoje dzieci w okresie dojrzewania i męża pracującego w zakładach Scanii. Podczas ich urlopu codziennie padało.

– Ale wygląda na to, że jesień będzie ładna – ciągnęła Marit. – Tobias wraca dziś do domu, więc wzięłam sobie wolne popołudnie. Zamierzam go wyciągnąć w sobotę na wycieczkę do lasu. W tym roku obrodziły kurki.

Hilda patrzyła na nią, nie okazując szczególnego zainteresowania.

– Tak? A gdzie?

– Nie wiem, ale podobno jest ich dużo.

– Ja nie mogę sobie pozwolić na nic w weekendy. Trzeba zrobić zakupy, pranie i sprzątanie, nie starcza mi czasu na nic więcej.

– No tak...

– Poza tym akurat w sobotę mam dyżur. O ile w ogóle przyjdę do pracy, bo nie czuję się zbyt dobrze.

– Mam nadzieję, że będzie wtedy padało, przez wzgląd na ciebie. –

Marit próbowała ząartować. Nie za bardzo umiała rozmawiać z Hildą, która wciąż była przygnębiona i okazywała niezadowolenie, a do tego często skarżyła się na bóle rąk i karku.

A kogo nie bolą ręce, pomyślała. To przecież normalne w naszym zawodzie. Książki sporo ważą, niektóre ruchy są monotonne i wyniszczające dla kończyn i mięśni. Ale ryzyko schorzeń istnieje chyba w każdym zawodzie.

Pojawiła się grupka innych kolegów, którzy rozsiedli się przy stole.

– Nie macie pojęcia, co mi się wczoraj przytrafiło! – zawołała Molly. – Mieliśmy właśnie zamykać, gdy usłyszałam jakiś dziwny odgłos. Przeszłam do działu genealogicznego i okazało się, że został tam jakiś człowiek. Na mój widok zerwał się jak oparzony. Wiecie, kto to był? Ten facet, który w zeszłym roku wycinał z książek ilustracje z kotami. Eskil Hansson, ten typek z Grusåsen.

– Co takiego?! – wybuchnęła Marit. – Przecież nie wolno mu tu przychodzić, ma zakaz!

– Wiem, ale mimo to jakoś się przemknął. Nie zauważyłaś go? Siedzisz przecież przy samych drzwiach.

– Gdybym go zauważyła, uderzyłabym na alarm.

– Tak czy inaczej, nakryłam go tam. Nie wiem, co robił, ale wyglądał, jakby coś przeszkrobał. Zapytałam, co robi w bibliotece, i przypomniałam mu o zakazie. Wtedy zaczął mamrotać coś o przedawnieniu.

Molly wyprostowała się i zmierzyła zebranych wyzywającym wzrokiem.

– O, nie! – włączyła się Hilda. – Zakaz obowiązuje na wieki wieków i on dobrze o tym wie. Zanim przyłapaliśmy go na gorącym uczynku, zdążył zniszczyć tym swoim cholernym skalpelem tyle pięknych książek, że jest nam winien majątek.

– No i co z nim zrobiłaś? – zapytała Marit.

– Kazałam mu się natychmiast wynosić i zagroziłam, że jeśli jeszcze raz wetknie tu swój nochał, wezwę policję.

– Posłuchał cię?

– Owszem.

W bibliotece zdarzały się niekiedy dziwne rzeczy. Biblioteka pełni funkcję publicznego salonu, lecz niektórzy użytkownicy pozwalają sobie w nim na zbyt wiele. Jak na przykład chłopaczek, który sobie umyślił, że skopiuje swój tyłek. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, ściągnął portki i wskoczył na kopiarkę. Może właśnie dlatego przestała dobrze działać, pomyślała Marit.

Miewali też sporo problemów z narkomanami, którzy zamykali się w toaletach ze swoimi strzykawkami i kaniulami. Na szczęście tuż obok znajdował się posterunek policji.

Pod ladą w wypożyczalni trzymali duży notatnik, w którym zapisywali tego rodzaju zajścia, mniej lub bardziej zabawne incydenty. Odnotowywali też niektóre bieżące wydarzenia i uwagi, na przykład zamknięcie tureckiej gazety „Cumhuriyet” czy apel, by nie układać książek w poprzek przepełnionych półek z powieściami sensacyjnymi, gdyż mogły spaść za regał. Wklejali tam również znalezione w książkach liściki, najczęściej pisane przez młodzież. Wyznania miłosne i pytania w rodzaju „Czy chcesz ze mną chodzić?”.

Po lunchu wymknęła się do Café Arken, prowadzonej przez kościół w domu parafialnym. Można było tam kupić za rozsądną kwotę zupę i kanapkę. Poza tym była tam szybka obsługa, a Marit musiała jeszcze załatwić parę spraw przed odebraniem Tobiasa z dworca. Tego dnia serwowano zupę owocową, raczej niezbyt pożywne danie. Ale wieczorem planowała przyrzucić ciepłą kolację dla siebie i Tobiasa.

Wstąpiła do sklepu ICA po pomidory, makaron i mielone mięso. W drodze powrotnej wdepnęła do Lindexu i kupiła parę liliowych koronkowych majtek. Tego rodzaju bielizna miała zaniżone rozmiary – jeśli wzięło się czterdziestkę, można było być pewnym, że figi będą przylegać na tyle ciasno, iż uniemożliwią swobodne krążenie krwi. Zwykle kurczyły się też w praniu. Wzięła jeden rozmiar większe: 42-44.

Właściwie nie była entuzjastką zakupów i szybko odczuwała znużenie, krążąc po nielicznych butikach w centrum. KappAhl, Lindex, Hennes & Mauritz i Åhlens. Ten sam asortyment, głównie moda ekstremalna dla nastoletnich anorektyczek. Z kolei w sklepie Axelssons, gdzie dominowała raczej klasyka, było tak ciasno pomiędzy wieszakami, że przebierając w stosach dzierganych swetrów, niemal dostawała napadów paniki. Na ogół ubierała się w wygodne spodnie, T-shirty i swetry z długim rękawem, które można było urozmaicić kamizelkami lub chustkami, gdy chciała się trochę odszykować. Tobias nigdy nie zwracał uwagi na ubrania, co przyjmowała z ulgą. Mimo to chciała tego wieczoru wyglądać wyjątkowo pociągająco. Może nie będzie miał siły się kochać, ale na wszelki wypadek wolą być przygotowana.



GDY SVAVA rodziła ich syna, nie wolno mu było zostać z nią w sali porodowej. W tamtych czasach przyszli ojcowie nie mieli wstępu na oddział położniczy. Takie były zasady i nikt nie podawał ich w wątpliwość.

Czy w ogóle chciałby przy tym być?

Wiedział co nieco o wydawaniu życia na świat. Nieraz musiał sam interweniować, gdy krowa się cielila, a cielak niewłaściwie się ułożył. Włożyć ramię, delikatnie wyczuć, w którym miejscu najlepiej chwycić, obrócić płód. Nie należał do ludzi, którzy czekają na rozwój wydarzeń z opuszczonymi rękami, zdecydowanie nie.

Odpowiedź brzmiała więc: tak!

Wolałby być obecny przy narodzinach swojego syna.

Svava była taka dzielna i odważna. Stała, trzymając się oparcia sofy, wydmuchując powietrze spomiędzy napiętych warg. Wreszcie nadeszła pora. Stojąc w drzwiach, przebierał się w wyjściowy garnitur, nie spuszczał z niej wzroku. Pojękiwała cicho, ale nie bała się jeszcze. Masowała knykциями plecy. Momentami się uśmiechała i pozwalała mu odgarniać z policzków kosmyki włosów.

Powolutku doszli do samochodu. Przeprowadził ją bezpiecznie, omijając zdradzieckie wysepki lodu. Bóle pojawiały się coraz częściej. Svava była świadoma celu i zdecydowana, lecz dojrzał w jej oczach przeblysłk paniki. Gdy opadła na siedzenie w samochodzie, przycisnęła czoło do bocznej szyby i wydała z siebie jakiś gardłowy dźwięk.

– Svava, lada moment przyjdzie na świat nasze dziecko, córka albo syn, już niedługo będzie z nami – próbował dodać jej otuchy, rozproszyć inne myśli, sprawić, by skoncentrowała się właśnie na tym: na życiu, które miała wydać na świat. Nie była przecież chora, nie miała raka ani, dajmy na to, kamieni nerkowych, o których sam co nieco wiedział. Doświadczył, jak organizm usuwa je wraz z moczem – ból był tak silny, że przegryzł sobie język.

Nigdy nie był jednak w szpitalu, nigdy nie oddał się innym w opiekę, zawsze próbował sam uporać się ze swoimi dolegliwościami. Teraz chciał wspierać żonę, ale nie mógł zrobić nic innego, jak tylko docisnąć pedał gazu, ryzykując, że wypadnie z drogi na zakręcie-agrafce na wysokości sklepu. Nagle Svava przechyliła się z twarzą zwróconą w jego stronę – nigdy przedtem nie widział tak nagiego strachu.

Był ostatni dzień roku i we wszystkich domostwach trwały przygotowania do wieczornych uroczystości. Sami nie przyszykowali niczego, bo termin porodu minął już niemal dwa tygodnie temu i liczyli się z tym, że może się to stać, że musi się to stać, lada moment. Erik Malmfeldt i jego żona Vanja dopytywali się dyskretnie, czy wpadną do nich wieczorem na wspólną kolację i czy poczekają razem na wybicie dwunastej przy partyjce wista, lecz Svava odmówiła. A on wyjaśnił im, że jest na to zbyt zmęczona. Gdy przejeżdżali obok sąsiadów, Vanja stała na progu w odświętnej sukience i fartuszku. Machała z całej siły rękami, uniosła kciuk.

Było popołudnie i zaczął już zapadać zmierzch. Gęsta, mdła grudniowa ciemność. Przez kilka dni trwały zamiecie śnieżne, ale potem przyszła odwilż, która sprawiła, że zrobiło się pluchowato i ślisko. Podczas jazdy miał cały czas włączone wycieraczki. Na drodze było pusto i bardzo cicho.

Tylko zduszone pojękiwania Svavy.

Zabrali ją natychmiast, od razu stracił ją z oczu. Nie zdążył się nawet odezwać, a chciał jej powiedzieć, że zostanie przy niej, nawet jeśli nie będzie obecny fizycznie. Pielęgniarka chwyciła ją od razu za rękę i wciągnęła do korytarza.

Zatrzaśnięte tuż przed nosem drzwi ze zbrojonego szkła.

Pamiętał światło, tak białe i lodowate, że aż świdrowało w mózgu. Obok siedział inny oczekujący mężczyzna. Przywitali się ze sobą nieco skrepowani. Siedzenia obite skórą, przepełniona popielniczka, stos czasopism „Veckojournalen” i „Status”, magazynu dla chorych na płuca. Nad drzwiami znajdował się biper, który co jakiś czas popiskiwał i migotał. Przez dłuższą chwilę Carl Sigvard zajęty był liczeniem kombinacji, które można było uzyskać za pomocą pięciu małych diod.

Drugi mężczyzna poszedł w końcu do toalety, słyszał przez drzwi wściekły plusk. Facet wstrzymywał się do ostatniej chwili, obawiając się, że pielęgniarki go nie znajdą. Gdy wyszedł, nad jego górną wargą widniały kropelki potu. Uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Przydałby się pilzner i kawałek kiełbasy. Przy wejściu jest bar, ale jest oczywiście zamknięty, bo dziś przecież sylwester.

– Trzeba było wziąć coś z domu – rzekł Carl Sigvard. – Ale jakoś nie było na to czasu.

– Pierwszy raz? – zapytał mężczyzna, wyciągając rękę i przedstawiając się. Carl Sigvard już nie pamiętał, jak ten człowiek się nazywał. – To nasze trzecie. Teściowa zajmuje się pozostałą dwójką, mają trzy latka i roczek, a teraz przybędzie jeszcze jedno.

Carl Sigvard miał tylko Tobiasa. Chciał mieć więcej dzieci i właściwie nie wiedział, dlaczego tak się nie stało.

Za kwadrans dwunasta do poczekalni wyszła pielęgniarka.

– Pan Elmkvist?

Wstał i zaczął kołysać się na palcach. Ciało miał zdrętwiałe i osłabłe, oczy swędziały od dymu z papierosów. Pielęgniarka wymachiwała ręką, by rozgonić dym, drobiąc w miejscu.

– Już po wszystkim. Ma pan wspaniałego, zdrowego syna. Waży trzy kilogramy dziewięćset osiemdziesiąt gramów. Długość...

Musiała rozwinąć trzymaną w rękę karteczkę.

– Długość: pięćdziesiąt dwa centymetry.

– A jak się czuje moja żona?

– Może pan do niej wejść.

W tej samej chwili, gdy wchodził do sali Svavy, zegary kościelne zaczęły bić dwunastą. Niebo rozświetliły fajerwerki. Żona leżała z odrzuconą do tyłu głową. Gdy przyłożył rękę do jej nogi, poczuł, że drży pod kocem.

Nagle nie wiedział, co powiedzieć.

– Odwróć się – wyszeptała Svava.

Gdy to zrobił, zobaczył przed sobą kobietę w fartuchu, trzymającą niemowlę w kocyku. Jego syna. Czarny, zwichrzony kosmyk włosów, ściągnięta twarzyczka, paluszki z ostrymi paznokietkami. Dziecko zdążyło już zadrapać sobie policzek.

– Gratulacje – powiedziała kobieta. – I szczęśliwego Nowego Roku.

Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Carl Sigvard skończył właśnie trzydzieści lat. Gdy byli w szpitalu, nastał rok sześćdziesiąty pierwszy, a on znajdował się właściwie jeszcze u progu swego dorosłego życia.

Nagle musiał zatroszczyć się o rodzinę. Pamiętał, że następnego ranka wpadła jak burza Vanja Malmfeldt, dopytując się o szczegóły. Akurat oporządzał zwierzęta.

– Pomogę ci przygotować dom na jej powrót – obiecała.

Właściwie zdążył sam o tym pomyśleć, ale nie wziął jej tego za złe. Bo kobiety znają się na tym lepiej. Jakoś inaczej niż mężczyźni.

W domu panowała osobliwa cisza. Od czasu do czasu słyszał dobiegające ze szwalni Svavy pokasywania Adama, który tego dnia nie słuchał muzyki. Pewnie leżał i przysypiał. Czy ktoś przypadkiem nie wspominał, że chłopak się przeziębził?

Carl Sigvard zerknął na zegarek, było już późne popołudnie. Przekręcił się z wysiłkiem na prawą stronę. Miał wrażenie, że narządy wewnętrzne ześlizgują się w dół, ból wyciskał z niego powietrze. Na dworze zapadał zmierzch, Sabina powinna już być w domu i krzątać się przy obiedzie. Nie mógł sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia. Sabina chyba wspomniała, że zajrzy do niego pielęgniarka rejonowa. A on nawet chciałby, by zjawiała się u niego w pokoju z tą swoją torbą. Pokazałby jej, że jednak pomysł z kulami nie był całkiem chybiony, pochwaliliby się, jakie poczynił postępy. Zagadałby do niej, pożartowałyby z nim w sposób, w jaki zwykle młode kobiety dworują sobie ze starszych panów, przekomarzając się i drocząc z nimi. Podniósłby wreszcie tyłek z materaca i stanął – wprawdzie chwiejnie, ale co tam. Sabina z pielęgniarką by mu pomogły, wetknęłyby mu kule pod ramiona, a on pokuśtykałby jak na szczydłach.

– Przejdę się kawałek – oznajmiłby i nie bez trudu zszedłby po schodach, a potem wyszedł na ganek. Wiatr rozwiewałby mu przerzedzone włosy, wdarłby się przez szpary w piżamie – zbyt duże dziurki sprawiały, że guziki wciąż się rozpinały.

– Dasz sobie radę?! – zawołałaby Sabina, a on pokiwałby głową. Kobiety wróciłyby do środka i posiedziałyby sobie przy kawie, wiedząc, że on potrzebuje chwili spokoju – bo tego domagała się jego natura.

Brzuch bolał go diabelnie, dokuczały mu gazy. Od czasu do czasu próbował sobie ulżyć, rozchylając pośladki, ale to już przestało działać. Miał ochotę rozkleić się jak małe dziecko albo jak Adam, gdy coś szło nie po jego myśli.

Leżał nadal na boku, czując ból w złączonych kolanach; leżał w pozycji embrionalnej – tak człowiek się rodzi i tak umierają bardzo starzy ludzie. W takiej pozycji leżała jego matka, zwinięta w kłębek, z rękami złożonymi na krzyż na płaskiej piersi i z podciągniętymi nogami. Tylko lekkie drganie powiek – nie rozpoznawała już nikogo, nie odpowiadała, leżała bez ruchu.

Czy nadeszła już jego kolej?

O w mordę, mowy nie ma!

Przekręcił się z powrotem na plecy, opierając się na łokciach.

Sabina stała pochylona nad poduszką. W ręce trzymała miseczkę i łyżkę.

– Ugotowałam ci kisiel, agrestowy.

– Kisiel? Skinęła głową.

– Nie będzie normalnego jedzenia?

Sabina rozchyliła usta i wtedy zobaczył coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi – ciemne przebarwienia na zębach, jakby miała próchnicę.

– Sabina? – rzucił niepewnie.

– Zjedz teraz kisiel. Wieczorem zrobię porządny posiłek.

Rozstawiła nad jego biodrami stolik, ale unikała jego spojrzenia.

– Jak wam idzie? – zapytał.

Skinęła głową, cały czas nią kiwała, jakby nie była w stanie tego powstrzymać.

– Sam wiesz, jak to bywa. – Jej usta wykrzywił grymas.

– Sabina, chyba się nie przepracowujesz?

– Zjedz kisiel, zajrzę do ciebie później.

Kisiel był niezjadliwy. Zamiast cukru była w nim sól. Zjadł łyżkę, czekając, aż w ustach rozejdzie się kwaśnawy posmak agrestu, od którego by się skrzywił, a jednocześnie nabrał apetytu na więcej. Był głodny, co oznaczało, że może jednak zaczyna wracać do zdrowia.

Leżał, gapiąc się w sufit. Rozróżniał coraz słabiej kontury, bo zrobiło się ciemniej, ale ociągał się z zapaleniem światła. Nasłuchiwał odgłosów. Słuch jest tym zmysłem, który, obok dotyku, zawodzi człowieka ostatni. Pomyślał o tym, bo niedawno czytał na ten temat w jakimś czasopiśmie. Kark lepił mu się od potu, brzuch był napęczniały jak balon.

Przywiózł Svavę z synem do domu. Chłopiec leżał w nosidelku z mazonitu, z otworami na ręce po bokach. Dostali je od Erika i Vanii, którzy nie zamierzali mieć więcej dzieci. Svava wyszła do niego na korytarz, w sukience zbyt luźnej na brzuchu, ale ciasno opinającej powiększone piersi. Na wysokości biustu widniały ciemne, mokre plamy.

Wnosząc syna po schodach do domu, odczuwał nastrój wzniosłości. Potem, gdy przysiadł na rogu tapczanu, Svava podniosła małego i umieściła na jego kolanach, a sama obeszła pokoje, jakby chciała się na nowo z nimi oswoić.

Jeszcze teraz, choć minęło już tyle czasu, zdarzało mu się za tym tęsknić – za ciepłym ciężarem w objęciach, zagłębieniem w poduszce, na której spoczywało dziecko. Tobias początkowo sporo płakał, ale potem Carl Sigvard wpadł na pomysł, by wsuwać pomiędzy bezzębne szczęki swój mały palec. Jak to dziecko mocno ssało! Z siłą małego cielaka.

Czasem w nocy zrywał się i obszukiwał po omacku pościel. Gdy dziecko marudziło, brali je do siebie. Według ekspertów od wychowania należało się tego wystrzegać, ale mieli to gdzieś. Wybijając się ze snu, chwycił okrągłą, pulchną nóżkę. Miał tak straszny sen, że serce łomotało w piersi jak oszalałe. Tak, przez pierwsze miesiące dręczyły go intensywne koszmary, złe i realistyczne sny. Leżał rozbudzony w łóżku i delikatnie gładził miękkie ciało dziecka.

Tobie nie może się nic stać, tobie nie może przytrafić się nic złego!

MECH był śliski i odrywał się, gdy przykładł do niego stopy, tak że spod spodu wyczierała surowa skała. Potknął się wiele razy, padając na kolana, nabawiając się bolesnych zadrapań i siniaków. Ból był odległy, jakby jego ciało nie należało już do niego, jakby jego, Tobiasa, już w nim nie było, jakby tylko unosił się obok i obserwował. Wysokie pędy traw oplatały gumiaki, krępując jego kroki. Ich opór doprowadził go do łez, a chcąc się oswobodzić, zużywał więcej energii niż trzeba. Wszystkie jego ruchy, każde stąpienie, były przesadnie gwałtowne.

Biegł szybko, mijając mały zagajnik, nie zatrzymując się, choć słyszał wołanie Sabiny. Potem zwolnił i przemierzył pole, gdzie pod jego podeszwami zapadało się podłoże, chlupoczące i pojękujące, jakby deptał jakieś żyjątko.

Dotarł do lasu. Zaczął padać deszcz, nie silny, lecz łagodny, delikatnie stukający, niemal przyjazny. Tobiasz przystanął z twarzą zwróconą ku niebu, a deszcz spływał i kapał z szyi na klatkę piersiową. Uniósł dłonie, tak dobrze znane, spierzchnięte, z czarnymi obwódkami pod paznokciami. Żaloba – tak się przecież mówi.

Ile czasu był poza domem? Nie wiedział, nie odnotowała tego jego świadomość, lecz ciało pamiętało, gdyż nagle poczuł mocny głód nikotyny, stopniowo przybierający na sile, obezwładniający. Papierosy zostały na parapecie, podobnie jak telefon komórkowy. Stał przecież wtedy przy wnęce okiennej i spoglądał przez pobrudzoną przez muchy szybę, czekając, aż Sabina wejdzie do domu, dopóki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi.

W desperacji oderwał pokryty żywicą pęd świerka. Żuł go tak gwałtownie, że aż zapiekły go dziąsła. Pozostał przy drzewie z nosem przyciśniętym do kory, poczuł natychmiast intensywną woń wilgoci i porostów. Przycisnął język do chropowatej powierzchni, aż poczuł w ustach żelazisty smak krwi.

Wkrótce potem dotarł do podestu tanecznego. Zdumiał go ten widok, gdyż był przekonany, że podąży w odwrotnym kierunku. Trawa wokół była żółta i wysoka, z perełkami deszczu w pajęczynach i rozkołysanymi dzwonkami, nadal stawiającymi opór przymrozkom. Tobiasz wszedł na podest. Deszcz połyskiwał na podniszczonych deskach.

Tam przemówił do niego Rozsądek. Rozsądek podpowiadał mu:

Wracaj!

Pozostał jednak na podeście, zaczął po nim biec, lecz po chwili wyhamował i sunął chwilę na stopach jak na ślizgawce. Wokół ślisko, pusto i głucho. Człowieku, wracaj do domu! Wylądował na czworakach; rozcapierzone palce, bez obrączki, paznokcie, przy których odchodzą skórki. Czy te dłonie naprawdę należą do niego? Nie używał ich przecież do brudnej roboty, do fizycznej harówki, służyły mu do pisania, były dla niego niezastąpionymi narzędziami. Musi poprosić Sabinę, by podwiozła go, jak obiecała, na dworzec. Musi zrobić to natychmiast, musi jechać do domu i pisać, choć czuje w głowie jedynie próżnię, jedynie głuchą pustkę. Musi to wreszcie przezwyciężyć, musi zabrać się do pisania.

Jak wrócił do domu? Nie miał pojęcia. Sabina smażyła w kuchni jajka i bez słowa postawiła przed nim talerz. Spojrzał na nią. Oczy wypełniły mu się łzami.

– Nie jestem głodny.

Zachowywała się jak zwykle, ta sama postawa przy kuchence. Zdobyła się nawet na żart:

– Jedz, będziesz wielki.

Nabrał kleistej żółtej papki, lecz natychmiast zerwał się, bo zebrało mu się na wymioty.

Stał potem pod prysznicem, pod wodą tak gorącą, że niemal parzyła. Zarzucił na siebie bluzę, wciągnął dzinsy. Wyjrzał przez okno w swoim pokoju. Drzwi do obory były otwarte. Przypomniawszy sobie o komórce i zszedł do kuchni, by zapytać, czy Sabina zabrała ją ze sobą.

– Nie – odparła. – Nie zwróciłam uwagi na twój telefon.

Miała pomalowane usta, wargi poruszały się w takt słów.

– Sabina? – zwrócił się do niej ochrypłym głosem.

Ale Sabiny już nie było, usłyszał tylko jej kroki na schodach. W kuchni unosił się taki swąd, że musiał natychmiast wyjść na podwórze. Zwinął nad głową kombinezon, by chronić się przed deszczem. Nie powinien wychodzić w butach – powinien włożyć gumowce, ale było już za późno. Psy za płotem ujadły tak, jakby przestały go rozpoznawać.

Musiał przystanąć koło traktora, by zwymiotować, tym razem tylko spienioną śliną.

Otworzył drzwi do obory. W środku płonęła jarzeniówka, przymglona brudem. Stał w przejściu, prosiaki rzucały się w swoich przegrodach; kwicząc, chowały się po rogach, gdy Tobiasz z zawiniątkiem na głowie ruszył



przed siebie.

Prześwit w grubym materiale, przez który widział otoczenie. Ale tylko tyle, na ile starczało mu sił. Komórka leżała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, podobnie jak papierosy. Sabina odwiesiła golarkę na hak. Czyżby udało się jej ją naprawić? Barany prychały i ryły w podłożu; widział tylko te oznakowane. Pozostałe zapewne się pochowały. Stał w przejściu, mlaskając i przelękając ciągliwy śluz. Świeże siano w karmnikach, chrzęst przeżuwających szczęk; coś pchało go ku drzwiom siodłami, ciągnęło go tam - choć nikt go nie zmuszał; wyjął zapalniczkę, wypalił cztery papierosy, zanim się zdecydował. Po jednym na każdy krok.

Cztery długie kroki.

Tylko.

Klamka parzyła mu dłoń.

Otworzył jednym pociągnięciem.

Pusto. Pomieszczenie było puste. Musiał zdjąć z głowy zwinięty kombinezon, by przyjrzeć się ścianom i podłodze, by się upewnić.

Tak – pusto.

Ani jednej plamki, żadnego śladu, nawet włoska.

Z żółtej farbowanej brody.

Znowu dopadły go zawroty głowy, wirujące w mózgu, tak napierające, że musiał usiąść na ławie. Poczul wilgoć na spodniach, bo gałgankowy dywanik, na którym przysiadł, był całkowicie przemoczony. Przeciągnął po nim dłonią – zupełnie czysty, mokry tylko od zwykłej wody.

Przystanął w progu i jeszcze raz omiół pomieszczenie wzrokiem.

To się wcale nie wydarzyło!

Nic się tu nie wydarzyło.

Jutro będzie siedział w miękkim fotelu w pociągu ekspresowym, w drodze do domu.

NIE WIDZIAŁ się z nią więcej tego wieczoru. Spakował walizkę, przygotowywał się do podróży. Napisał karteczkę i położył ją na stole kuchennym.

*Droga Sabino! Jutro, w czwartek, muszę jechać do domu. Czeka na mnie rodzina. Mam nadzieję, że mnie odwiesz. Mam pociąg koło dziesiątej. Tobias.*

Dokończył butelkę whisky, a potem spał jak zabity. Gdy się obudził, Sabina krzątała się w kuchni. Miała na sobie inne obuwie niż zwykle – stukąło inaczej. Przez chwilę nie mógł skojarzyć, gdzie jest. Gdy tylko sobie przypomniał, poczuł rozrywający ból głowy.

Była ubrana w spódnicę z fałdami i sweterek. Wisiołek spoczywał nad linią dekoltu.

– Niedługo przyjdzie pielęgniarka rejonowa – obwieściła dźwięcznym, metalicznym głosem. – Zajmie się twoim ojcem, zaprowadzi tu wreszcie trochę porządku.

– Masz czas, żeby mnie odwiedzić?

– Pewnie. Tak naprawdę fajnie będzie oderwać się od tego wszystkiego na parę godzin.

– A co z Adamem?

– Nafaszerowałam go valium, więc powinien być spokojny.

– O kurde, valium?

– Jest skuteczne, naprawdę pomaga w wielu sytuacjach.

Gdy nalewała kawę, zauważył, że drżą jej ręce.

– Sabina! – wykrzyknął, ale ona ciągnęła:

– A zwierzęta już oporządziłam, dostały swoje, więc będzie z nimi spokój.

– Sabina, ja...

– Idź pożegnać się z ojcem. Nie wybaczy ci, jeśli tego nie zrobisz.

– Czy on wie, że...

Obróciła się w jego kierunku. Zobaczył, że ma wory pod oczami.

– A o czym miałby wiedzieć?

– Że... muszę jechać.

– Tak, mówiłam mu.

- I co?
- Pospiesz się, bo nie zdążymy.

Ojciec leżał na kołdrze w samych bokserkach o ładnym, nowoczesnym fasonie. Nogi miał chude jak szczapy. Do tego brzydką skórę pełną przebarwień. Wachlował się gazetą, w pokoju było gorąco i parno jak w saunie.

- Masz już dosyć wiejskiego życia?
- Po prostu muszę jechać.

Ojciec odłożył gazetę i podciągnął się do pozycji siedzącej.

- A co ci nagle tak spieszo?
- Görel nie czuje się najlepiej. Nie chcę obarczać wszystkim Klary.
- Nasza Klarusia Milusia.
- No właśnie.
- Była takim uroczym brzdącem.

Tobias pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Siedziałem u was dość długo, naprawdę pomogłem, jak umiałem.

- Nie mam przecież do ciebie pretensji.
- No tak.

– Mówiłem ci przecież, że oboje jesteśmy ci szczerze wdzięczni. Szkoda, że nie możesz zostać dłużej. Chyba zacząłem przyzwyczajać się do twojej obecności.

Ojciec przyłożył ręce do wzdętego, napiętego brzucha. Burczało mu w jelitach.

- Dokucza ci? – zapytał Tobias.

Stary zachichotał.

– Zwykła gówniana sprawa. Lada moment zjawi się tutaj pewna ładna panna, która się mną zajmie. Wiesz, w moim wieku...

Głos mu się załamał, więc odchrząknął.

– Cholery można dostać; żeby człowiek nie dawał sobie rady z taki podstawowymi sprawami!

- Tato!

Ojciec zakaszlał i uniósł brwi tak wysoko, że całe czoło pokryło się drobnymi zmarszczkami.

- Zbieraj się już. No i pisz, szlifuj te swoje książki.
- Jasne.

Tobias chwycił kościstą dłoń ojca, uścisnął ją i ruszył ku drzwiom.

– Słuchaj, Tobias – doleciało z łóżka. – Jeszcze jedno.

Tobias zatrzymał się gwałtownie, wstrzymując oddech.

– Jestem z ciebie dumny. Nawet jeśli w to wątpisz, jestem naprawdę dumny jak cholera.

Stał przy starym opłu Sabiny. Miał ochotę go kopnąć i zrobił to – wymierzył kopniaka w koło.

– Kurwa – mruknął.

– Co się dzieje?

Nie słyszał nadchodzącej Sabiny. Stała za nim, pobrzękując kluczykami.

– Nic takiego.

– Nie mogłam ich znaleźć, zwykle są w stacyjce. Przez chwilę myślałam, że... Ale sobie przypomniałam, przecież wczoraj korzystałam z samochodu.

– A gdzie były? – usłyszał swój głos.

– W oborze na podłodze. Co za głupota! Gdybym ich nie zauważyła, mogłabym je potem wymieść.

Otworzył bagażnik i wstawił walizkę. Zerknął niepewnie w stronę domu i obory. Ból uporczywie wżerał się w skronie.

– Sabina. To, co się wydarzyło... wczoraj...

– Wczoraj nic się nie wydarzyło – ucięła. – Wskakuj, musimy jechać.

Na skraju drogi wyrósł nagle jeździec na koniu. Ingelize. Na tym samym białym koniu co na przejażdżce z Tobiasem. Machnęła ręką, żeby się zatrzymali. Sabina zwolniła, chociaż wolałby, żeby jechała dalej, wolał udawać, że jej nie zauważyli. Było jednak za późno.

Sabina opuściła szybę.

– Cześć!

Nie widział twarzy Ingelize, słyszał tylko głos niosący się ponad dachem samochodu.

– Dokąd się wybieracie?

– Do Linköpingu.

– Do Linköpingu?

– Tak. Tobias musi jechać do domu.

– Naprawdę? Skąd ten pośpiech?

Zsiadła z konia, za szybą mignęły mu jej buty jeździeckie. Po chwili

wcisnęła głowę do wnętrza samochodu.

– Czasem tak wychodzi – rzucił.

– Wydawało mi się, że planujesz zostać co najmniej jeszcze kilka dni. Zamierzałam zaprosić cię jeszcze raz na przejażdżkę, na przykład dziś wieczorem. Naprawdę cieszyłam się, że się jeszcze spotkamy.

– Z przyjemnością wybrałbym się z tobą, ale jestem potrzebny w domu. Muszę się zająć pewnymi sprawami.

Zdjęła kask i przeczesła palcami włosy.

– Stało się coś?

– Nic takiego, po prostu muszę wracać.

– Nie zapomnij o tym, o czym rozmawialiśmy. Pamiętaj, że moja oferta jest nadal aktualna.

– Dobrze.

– Nie zapomnij!

– Musimy jechać – zauważyła Sabina.

Ingelize odsunęła konia na bok.

– To do zobaczenia – odparła.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Dojrzał w nich coś, co go przestraszyło.

– A co to była za oferta? – zapytała po chwili Sabina.

– Chciałaby, żebym jej pomógł przy koniach. Żebym się tu przeprowadził. Podobno można wynająć chałupę Vesterbergów.

– O kurczę, rzeczywiście ci to zaproponowała?

– Tak.

– Zgodzisz się?

– Chciałabyś?

– Masz przecież swoje życie w mieście.

– Tak, ale...

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Zbliżali się do miasta. Budynki zaczęły zmieniać charakter, stały się wyższe i bardziej jednostajne. Mimo wczesnej pory na ulicach panował spory ruch. Kierowcy ze swymi zaciętymi, niemymi twarzami, wpatrzeni przed siebie. Ze sposobu, w jaki siedzieli i trzymali kierownice, emanował stres. Sabina nie dała wyprowadzić się z równowagi. Skręciła do centrum i znalazła miejsce parkingowe tuż przy dworcu.

Przez całą drogę siedział z twarzą zwróconą na prawo, nie był w stanie

na nią patrzeć. Teraz miał zeszywniały, obolały kark.

Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki.

– Trafisz sam czy mam pójść z tobą?

Mówiła zupełnie neutralnym tonem, jak nie ona, jak nie Sabina.

– Poczekaj! – wybuchnął.

Siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach. Jego lewa ręka; podniósł ją i położył na jej dłoni, przykrywając jej zimne palce.

– Jesteś zmarznięta.

– Ogrzewanie nie działa jak trzeba.

– Sabina, czuję się tak...

Wydała z siebie cichy krzyk i wyrwała ręce, po czym schowała je do kieszeni.

– Idź już, ja zostanę w samochodzie. Proszę, idź sobie. Nie mów nic, nie mam siły tego słuchać, nie dam rady z tobą rozmawiać. Idź już i pamiętaj, że nic się nie stało, pamiętaj – absolutnie nic!

POCIĄG się spóźniał. Marit usiadła w poczekalni i przeglądała „Metro”. Nie miała siły czytać, nie mogła się skoncentrować.

Kochany, mój kochany, kochany mój.

Była w lekkiej euforii, choć zdawała sobie sprawę, że jak tylko Tobias wysiadzie z pociągu, od razu zejdzie z chmur na ziemię. Tobias nie miał natury romantyka.

Słowa „kochany” mogła jedynie używać w myślach i fantazjach, bo nie pasowały do rzeczywistego Tobiasa. On też nigdy nie obsypywał jej wyznaniem miłosnymi – poza uniesieniami w chwilach orgazmu, kiedy to zdarzało mu się krzyknąć, że ją kocha, lecz i to nie zawsze, wyłącznie po alkoholu.

Mimo to przed każdym spotkaniem z nim przepelniała ją nadzieja. W jaki sposób można żyć, nie mając nadziei? – zastanawiała się. Jak ludzie, którzy niczego nie oczekują, są w stanie udźwignąć swoją codzienność? Na przykład Hilda; musi zrobić wszystko, by nie upodobnić się do niej. Taki zupełny brak entuzjazmu. Sama gorycz, żadnych przejawów radości.

Z głośników rozległ się trzask, lecz komunikat dotyczył pociągu z Göteborga. Odłożyła gazetę i poszła do kiosku kupić sobie banana. Tobias będzie chciał oczywiście jechać od razu do domu. Powinna przyrządzić jedzenie u niego czy nakłonić go, by przyszedł do jej mieszkania na Tappgatan? Całe szczęście, że mieszkają tak blisko siebie.

Gdy rozeszła się z Claesem, kupiła trzypokojowe mieszkanie niemal w samym centrum miasta. Położone na pierwszym piętrze różowego, czteropiętrowego domu. Claes zabrał większość wyposażenia. Marit wolała urządzić mieszkanie po swojemu, wybrać wszystko samodzielnie. Unikała takich sklepów jak Ikea czy Obs Interior. Sofę i rozkładany stół kupiła na przykład na jarmarku w Moraberg, gdzie sprzedawano rzeczy, których właściciele chcieli się pozbyć. Na pewnej aukcji zdobyła staroświecką szafkę na lekarstwa i pomalowała ją czerwono. Przechowywała w niej swe ulubione książki, poczynając od zaczytanej *Pippi Långstrump wchodzi na pokład*, poprzez *Szklany klosz* Sylvii Plath, *Kristinę, córkę Lawransa* Sigrid Undset, po *Czy to jest człowiek* Primo Levy’ego.

Przez pierwsze lata po rozwodzie była niemal hiperaktywna. Wczytywała się we wszystkie katalogi Stowarzyszenia Oświatowego i zapisywała na różne kursy. Nauczyła się renowacji mebli, uczestniczyła w

szkoleniach na temat mowy ciała, improwizacji teatralnej i tkania gobelinów. Tym ostatnim zajmowała się nadal, tworząc nawet własne wzory i obrazy.

Tobias mógłby właściwie się do niej przeprowadzić, ale najlepiej byłoby sprzedać oba mieszkania i znaleźć jedno większe. Może nawet dom w niewielkiej odległości od miasta, w Mölnbo albo Järnie.

Nigdy jeszcze o tym nie rozmawiali, Tobias nigdy nawet nie zasugerował, że chciałby z nią zamieszkać. Tego rodzaju myśli rodziły się wyłącznie w jej głowie.

Pociąg wtoczył się na peron dwadzieścia pięć minut po czasie. Tobias siedział w ostatnim wagonie. Zobaczyła go z daleka. Szedł pochylony, wyglądał, jakby utykał. Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego kurtkę.

– O rany! – prychnęła. – Ale zajęchało oborą!

– Naprawdę?

– Tak. – Zachichotała. – Ale wietrzenie ubrań na pewno temu zaradzi.

Odstawił walizkę i zapalił papierosa.

– Jak minęła podróż? – świergotała, sięgając po walizkę. Tobias odebrał ją jej.

– W porządku, poza spóźnieniem. Staliśmy przez jakiś czas w polu.

– Wiem. A z jakiego powodu?

Wydmuchał dym.

– Nie mam pojęcia. Może przez jakiegoś samobójcę?

– Co takiego?

– Słyszałem, że ktoś mówił coś takiego w wagonie restauracyjnym. Że jakiś gość rzucił się pod pociąg. Ale nie wiem, czy to prawda.

– To okropne!

Chciała go objąć, lecz miał zajęte obie ręce. Zaciągał się mocno papierosem.

– W pociągu nie wolno palić, cholernie trudno to wytrzymać.

Nawet nie zapytał, co u niej słyhać. Jednak w samochodzie przypomniał sobie, że jest zwykły dzień roboczy.

– Nie jesteś dziś w pracy?

– Wzięłam wolne – odparła, wyjeżdżając z parkingu.

Tobias milczał, bębniąc palcami po udach.

– Mam nadzieję, że nie popsuję ci szyków.



– Ależ skąd. Mogę wziąć sporo wolnego za nadgodziny. Ale teraz opowiadaj, jak było na wsi. I jak się miewa twój biedny ojciec.

Poszła z nim do jego mieszkania. Na dywaniku w przedpokoju leżał stos listów, który Tobias odsunął na bok stopą.

– Mogłeś zostawić mi klucze, zaopiekowałabym się mieszkaniem – oświadczyła.

Zdjął buty i wszedł do salonu.

– Jest okej.

Podeszła do niego i przytuliła się.

– Tobias...

– Tak... – Sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale tęskniłam za tobą.

Odsunął ją ostrożnie od siebie.

– Nie podchodź tak blisko. Chyba łapie mnie jakaś infekcja.

– Nie szkodzi. Możemy pochorować razem.

– Posłuchaj, Marit. Potrzebuję trochę spokoju, powinienem się przespać.

Rozczarowanie wbiło się w nią niczym klin.

– Naprawdę?

Skinął głową na potwierdzenie.

– Ale ja mogę zostać. Zrobię ci jeść i trochę koło ciebie poskaczę.

– Nie mam apetytu. Marit, nie bierz mi tego za złe, ale wolałbym zostać sam.

– Ale ja już zrobiłam zakupy na kolację.

W jej oczach wezbrały łzy, odwróciła się, żeby tego nie zobaczył. Usłyszała, że zapalił papierosa. Smugi dymu zaczęły rozchodzić się po pokoju.

– No dobrze – odezwał się po chwili. – Wpadnę do ciebie pod wieczór.

– Mówisz tak, bo czujesz przymus!

– Nikt nie zmusi mnie do czegoś, na co nie mam ochoty.

– Co się z tobą właściwie dzieje? Jesteś jakiś nieswój. Stało się coś? Coś, co dotyczy naszego związku?

– Nie, do diaska, nic z tych rzeczy. Jestem po prostu zmęczony. Może łapie mnie przeziębienie.

Opadła na sofę i wyciągnęła nogi. Rozcapierzyła palce u stóp, dostrzegła dziurkę w skarpetce.

– No dobrze, to jadę na razie do domu.

Pokiwał głową.

– Nie martw się, Marit. Nic nie poradzę na to, że tak się czuję.

– Rozumiem. Kiedy mniej więcej przyjdiesz?

– Około siódmej.

– Będiesz na pewno głodny, przecież musisz wrzucić coś na ruszt.

Oprócz tych papierosów.

Zaśmiał się z przymusem.

– Dobrze, mamuśko.

Nie wyszło tak, jak chciała. Tobias był jakiś nieswój. Na pewno będzie lepiej, jak sobie odpocznie.

Pojechała do domu. Trochę poczytała, lecz nie mogła się skupić. Nastawiła płytę z piosenkami Leonarda Cohena. Nie wiedziała, co ze sobą począć.

*I left a woman waiting  
I met her sometime later  
She said, I see your eyes are dead  
What happened to you, lover?  
What happened to you, my lover?  
What happened to you, lover?  
What happened to you?*

Poczuła silny, prymitywny impuls, by wyjść na balkon i ciskać z niego przedmiotami – książkami, krzesłami, sprzętami. Ale jak by to wyglądało? Dobrze wychowana bibliotekarka przeżywa załamanie nerwowe.

I tak nikogo by to nie obeszło, pomyślała. Przecież to prawdziwe Miasto Wariatów, napady szału to normalka.

Poszła do łazienki i stanęła przed lustrem, wpatrując się w swoje odbicie. Przez całe dzieciństwo słyszała, że jest ładniutka. Matka podkreślała jej dziewczęcość, ubierając ją w słodkie, zwiewne sukienki. Przywoływała córkę do porządku, gdy ta testowała granice. Miała ku temu swoje powody: starsza siostra Marit urodziła się z wadą serca i przeżyła tylko cztery lata.

*And since she spoke the truth to me  
I tried to answer truthfully*

*Whatever happened to my eyes  
Happened to your beauty  
Happened to your beauty  
What happened to your beauty  
Happened to me.*

Zacisnęła zęby, obserwując w lustrze, jak napinają się i twardnieją mięśnie szczęk. Zacisnęła je jeszcze mocniej, tak że aż poczuła rwący ból w korzeniach zębów. Włosy były świeżo umyte, rozsypywały się. Zawsze były cienkie i nie udawało się ułożyć z nich żadnej fryzury. Teraz miała na boku przedziałek i odgarniała kosmyki włosów za uszy. Był to czysty odruch, który ją drażnił, bo powiększało to optycznie uszy. Chwyliła za szczotkę i przeciągnęła nią kilka razy po włosach, tak naelektryzowanych, że aż poszły iskry.

Wargi ułożyły się, by wypowiedzieć jego imię:

To-bias.

A jeśli ją zostawi, jeśli z nią zerwie?

Kim będzie wtedy?

Uniosła rękę i specjalnie uderzyła się szczotką w nos. Mocno, tak że zadrapała się do krwi.

Przestań już! – skarciła samą siebie. Zaczynasz wydziwiać jak Hilda. Dlaczego miałby z tobą zerwać? Koniec z tym destruktywnym myśleniem.

Na robienie kolacji było zbyt wcześnie, zwłaszcza na mielone mięso w sosie pomidorowym. Otworzyła lodówkę i wyjęła składniki na sałatkę. Zaczęła bez entuzjazmu kroić ogórek i pieczarki.

W tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Aż podskoczyła, nie spodziewała się nikogo. Niezapowiedziani gości pojawiali się niezwykle rzadko. Mieszkańcy jej domu byli anonimowi, nie znała swoich sąsiadów, pozdrawiali się tylko zdawkowo na schodach, nic więcej.

Wytarła dłonie w fartuch, wyszła do przedpokoju i spojrzała przez wizjer. Za drzwiami stał Tobias. Ucieszyła się. Otworzyła niezdarnie drzwi i wciągnęła go do środka.

– Coś takiego, to ty?

Skinął głową. Odwiesił kurtkę – inną niż ta, którą nosił do tej pory. Tę widziała pierwszy raz.

Objęła go, a on się nie odsunął, choć nadal wyczuwała w nim coś

obcego, jakiś chłód. Odgarnęła mu grzywkę z czoła. Włosy były już zbyt długie, powinien pójść do fryzjera. Jego powieki były jasne i opuchnięte.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Masz jakiś alkohol?

– Owszem, wino.

– Nic mocniejszego? Jakiejś whisky? Przydałaby się porządna whisky.

– Chyba coś mam. – Otworzyła drzwi do spiżarni i wyjęła butelkę johnny walkera. – Stoi tu od bardzo dawna. Mam nadzieję, że nie zwietrzała.

– Nie ma takiego ryzyka. – Przyniósł szklanekę i nalał sobie. – Napijesz się?

– Raczej nie, jutro idę do pracy.

– Ja też.

– Będziesz pisał? Zacząłeś już nową książkę?

– Zacznę jutro.

– Wspaniale! Powiesz mi, o czym będzie?

– Nie, jest jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

– Trudno, przepraszam.

– Nie ma za co. A co u ciebie, wszystko w porządku?

– Tak, w porządku – odparła. – Ale wiesz, czasem mam taką ochotę zrobić coś innego! Wyjechać gdzieś daleko, powłóczyć się na przykład po Tajlandii. Spotkałam takich ludzi w bibliotece. Byli w naszym wieku, zaoszczędzili mnóstwo urlopu i teraz wybierają się w podróż.

Ku jej zdziwieniu nie puścił tego mimo uszu.

– Tajlandia?

– Brzmi wspaniale, prawda?

– Trzeba jeszcze mieć na to pieniądze – powiedział zamyślony.

– Miałbyś ochotę na taki wyjazd? Tak na poważnie?

– Dlaczegoż by nie? Mógłbym jechać choćby jutro.

– Jutro. – Roześmiała się. – Jutro masz zacząć pisać.

Trzymał w ręce paczkę papierosów.

– Zapewne nadal nie wolno tutaj palić, co? A może coś się zmieniło pod tym względem?

– Nie, pod tym względem nic się nie zmieniło. Bądź tak miły i pofatyguj się na balkon.

Gdy Tobiasz wstał, powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie powiedziałeś jeszcze nic o swoim ojcu. Jak się czuje?

– Ech, ciężka sprawa, cholernie ciężka. Taki silny człowiek. A teraz leży jak kłoda.

– Myślisz, że on...

– Że da za wygraną? O nie, nie sądzę, jeszcze nie teraz. Ale na pewno nie będzie już taki jak dawniej. To był straszny upadek, z dużej wysokości. Prosto na kamienną podłogę. Gdyby nie był w tak dobrej kondycji fizycznej, byłoby już po nim.

– Ale chyba się ucieszył, że przyjechałeś?

– Jakżeby inaczej. Najwyraźniej chciałby, żebym się tam z powrotem przeprowadził.

– Przeprowadził? – zapytała niepewnie.

Tobias otworzył drzwi na balkon. Zapalił papierosa, dym sączył się do mieszkania. Marit pokroiła cebulę i wrzuciła ją na patelnię. Włączyła na cały regulator okap. Na ogół to nie pomagało, pewnie było z nim coś nie tak.

Gdy Tobias wrócił z balkonu, podszedł do niej i przytulił ją lekko.

– Miła z ciebie dziewczyna – mruknął.

– Wiesz przecież, jak bardzo cię lubię. Brakowało mi ciebie, tęskniłam. Wydawało mi się, że twój wyjazd trwa prawdziwą wieczność.

Nalał sobie więcej whisky.

– Niestety człowiek nie zawsze może sam decydować o tym, co robi.

Marit wstrzymała oddech, po chwili odważyła się zapytać:

– No i co, chcesz się przeprowadzić do Kvarnbergi?

Popatrzył na nią pierwszy raz, spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie – powiedział.

Wrzuciła na patelnię mielone mięso, zaczęła je rozdrabniać.

– Myślałam o twoim ojcu. Wydaje mi się, że to dobry człowiek.

– Dobry? Chyba masz rację.

– Dobrze, że ma Sabinę.

– Owszem.

– Chciałabym kiedyś pojechać tam z tobą. Jestem ciekawa, jak to wszystko wygląda. Fajnie by było poznać twojego ojca i Sabinę.

– Jasne.

– Nigdy mi nie opowiadałeś, co się właściwie stało, gdy byłeś mały. Jak wyprowadziliście się stamtąd. Jak doszło do tego, że twoja matka nie chciała tam zostać?

Rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Dopadła ją wielka miłość.

– Tak?

– Facet mieszkał niedaleko Södertälje, zajmował się końmi.

Marit żałowała, że włączyła okap. Bała się, że Tobias zamilknie, gdy go

wyłączy.

– A co z tobą? Czego ty chciałeś?

– A mnie, do cholery, nikt o zdanie nie pytał – syknął. – Nie myśl sobie, że było inaczej. Ni stąd, ni zowąd mieliśmy zamieszkać tutaj. W jakimś cholernym, obcym mieście! Nigdy nie...

Zamilkł i wyszedł znowu na balkon. Marit nakryła do stołu. Widziała, jak wrócił do pokoju i zaczął przechadzać się tam i z powrotem, ociężale, zmęczonym krokiem. Żałowała, że wyciągnęła te sprawy z jego dzieciństwa.

Podeszła ostrożnie i dotknęła jego ramienia.

– Siadamy do stołu?

Po kolacji rozsiedli się na sofie. Przytuliła się do niego i położyła jego rękę na swoich ramionach. Sprawiał wrażenie bezwolnego, bezwładnego. Woń obory zdążyła się ulotnić, czuła tylko zapach tytoniu i lekki swąd z kuchni. Wtuliła nos w zagłębienie pod jego uchem. Uwielbiała jego specyficzny zapach, tęskniła za nim. Zwykle ją podniecał, ale nie teraz. Wypiła trochę wina, chciało jej się spać, ale nie potrafiła się całkiem rozluźnić. Tobias wrócił odmieniony, a ona domyślała się dlaczego. Przez stres wywołany widokiem złamanego, chorego ojca, wyrzuty sumienia związane z poczuciem własnej niewystarczalności. Gładziła go po nodze, siedziała z uchem przyciśniętym do jego klatki piersiowej. Pomyślała o swojej nowej bieliźnie, ale wcale nie miała ochoty na te rzeczy. Wołała siedzieć blisko niego, chciała, by znowu oswoili się ze sobą.

Nie możesz się przeprowadzić, kołatało bez przerwy w jej głowie. Umrę, jeśli to zrobisz.

Po jakimś czasie odchylił głowę do tyłu i zasnął z otwartymi ustami. Gdyby tylko była wystarczająco silna, chwyciłaby go pod ramiona, podniosła i wpakowała do łóżka. Siedziała jednak nadal jak dotychczas. Jego ramię jej ciążyło, powodując niemal ból, ale z obawy, że się obudzi, nie odważyła się zmienić pozycji.

Sama też chyba przysnęła. Jakby z oddali dotarł do niej odgłos syreny z ulicy, coraz bardziej przybierający na sile. Tobias wzdrygnął się, z jego gardła wyrwał się stłumiony krzyk. Nagle znalazł się na środku pokoju.

– Co ci jest?! – zawołała.

Nie zareagował, jakby nadal spał, mimo że ciało już się obudziło. Wymachiwał rękami i wymierzał ciosy, jakby próbował się bronić przed niewidzialnym napastnikiem. Twarz wykrzywił grymas obnażający zęby.

Ponieważ nigdy nie widziała go w takim stanie, zaczęła krzyczeć.

– Przestań, Tobias, przestań!

Nagle się uspokoił i podszedł do niej. Jego oczy były wywrócone źrenicami do góry, trząsł się i dygotał niczym w ataku gorączki. W końcu zobaczył ją i oprzytomniał.

Marit zaczęła płakać.

– Co ci jest? Ale mnie przestraszyłeś! Co to było? Śniło ci się coś, dręczył cię jakiś koszmar?

Przełykał ślinę i mlaskał; wzrok nadal miał rozbiegany, jakby spodziewał się, że ktoś go zaatakuje.

– Tak – odparł ochrypłym głosem. – Zgadłaś. Najstraszniejszy koszmar, jaki można sobie tylko wyobrazić.

PUKANIE, a właściwie słabe, ostrożne skrobanie w drzwi. Carl Sigvard na nie czekał. Wkurzała go jej nieporadność, irytowało trzymanie silnika na zbyt wysokich obrotach, gdy zawracała samochodem na podwórku. I ta jej zastraszona uniżoność.

– Proszę! – wrzasnął i po chwili dziewczyna ze swoją torbą stała przy jego łóżku.

– Dzień dobry, Carl Sigvard! Weszłam, nie czekając na zaproszenie. Na drzwiach na dole wisiała jakaś kartka.

– Ach tak?

– A Sabina, nie ma jej w domu?

– Najwyraźniej nie.

– Pomyślałam, że...

– Nie mogę zapamiętać, jak siostra ma na imię. Specjalnie nie zwracał się do niej per „ty”, jakby zamierzał delektować się jej konsternacją.

– Przepraszam, nazywam się Eva, Eva Persson.

– A za co tutaj przeproszać?

Dziewczyna spiekła raka, na jej szyję wystąpiły czerwone plamy. Grzebała w swojej torbie.

– No i jak pan się dzisiaj czuje? – zapytała po chwili.

– Sabina nie mówiła?

– Ale przecież...

– No właśnie!

– Chodzi o żołądek? Ma pan problemy z wypróżnieniem?

– Tak – odparł opryskliwie.

– Jeśli się dużo leży, jelita też jakby się rozleniwiają. Jak człowiek jest w ruchu, stymuluje też jelita, ale...

– Czyli siostra Eva uważa, że powinienem wstać?

Pielęgniarka ugryzła się w język. Miała duże, nierówne zęby, jak u dziecka. Carl Sigvard poczuł nagle wstyd.

– Siostra Eva ma całkowitą rację. Po prostu wstanę.

– Są przecież inne sposoby – zaczęła, lecz zaraz przyłożyła palec do ust i zmarszczyła brwi. Wypuściła powietrze ustami.

– Proszę mi podać spodnie i podeprzeć mnie, żebyśmy mogli wstać.



Kłęcząca przy nim w tych swoich cienkich pończochach. Naciągnęła mu na nogi nogawki spodni. Znalazła w szufladzie skarpetki. Carl Sigvard obawiał się, że ma spocone stopy, ale dziewczyna zachowywała się, jakby nic nie czuła. Szumiało mu w uszach; dźwięk, który jakby dochodził z jego własnego wnętrza. Siedział na brzegu łóżka, dotykając stopami desek podłogi. Gdy próbował zmienić pozycję, ból zapierał mu dech.

Przyniosła koszulę i nieskończenie powoli zapięła mu guziki, zostawiając te przy mankietach. Podwinęła mu trochę rękawy. Koszula została na wierzchu. Wskazał na ciepłą bluzę, którą włożyła mu przez głowę. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Chwycił ją za biodra i przez chwilę siedział bez ruchu, licząc w myślach. W końcu zebrał się w sobie i podciągnął się z mozołem, trzymając się nadal delikatnego ciała dziewczyny. Stała na rozstawionych nogach, nie chwiejąc się. Nie próbowała mu pomagać, tylko tam stała.

– Wszystko w porządku?

Wątki, piskliwy głosik dobiegał jakby z oddali. Cały pokój, i podłoga, i ściany, wirował mu przed oczami. *Wszystko w porządku?* Jego dłonie były zaciśnięte na czymś twardym i podłużnym – na uchwytych kul. Musiała mu je jakoś podsunąć, cholera wie jak. Wychylił się do przodu, przerzucając na nie cały swój ciężar. Stał przez chwilę, kołysząc się, dopóki pokój nie przestał wirować.

– Jak pan się czuje? – pisnęła pielęgniarka.

Domyślił się, że już miała na końcu języka wyuczoną litanie pochwalną, pełną wyświechtanych frazesów: „Jacy jesteśmy dzisiaj dzielni! No to teraz zajmiemy się żołądkiem!”.

Nie, nie odważyła się. Zrozumiała, że będzie dla niej lepiej trzymać głębę na kłódkę.

– Dobrze – odparł cierpko. – A teraz moja droga siostra Eva pomoże mi zejść do wychodka.

Dał sobie radę. Przeszedł z jej pomocą całą drogę. Najpierw, krok po kroku, przez sypialnię. Pielęgniarka dreptała przodem i usuwała przeszkody. Gdy znalazł się na korytarzu, uświadomił sobie, że wszystko – całe życie – zdarzyło się dawno, dawno temu. Stał tam, kiwając się, po czym niemal przykucnął, bo korytarz nagle wydał mu się bardzo ciasny, a miał w pamięci obraz znacznie większej przestrzeni.

Zaraz potem czekała go prawdziwa próba sił: schody. W postawie filigranowej dziewczyny nie było już ani krzty wahania. Stała, zwracając się do niego twarzą, zeszła na pierwszy stopień schodów, ręce oparte o ściany, zastawiała mu drogę niczym skalny blok. No, może nie miała jednak siły skały – gdyby runął w dół, pociągnąłby ją za sobą, razem stoczyliby się po piętnastu stopniach stromych schodów. Wolał nie myśleć, jak by się to skończyło. Mimo że szedł o własnych siłach, na własnych nogach, był całkowicie uzależniony od jej wyczucia i siły jej rąk.

Z ogromnym wysiłkiem zszedł w końcu na sam dół schodów, dostrzegając błakający się na dziecinnych usteczkach uśmiech. Z jej twarzy zniknął stopniowo wyraz czołobitności. Musiał odpocząć momencik na krześle, i to natychmiast, bo poczuł, że za chwilę cała krew odpłynie mu z mózgu.

Nie zapytała, dlaczego nie chce skorzystać z toalety w domu, nie zająknęła się o tym ani słowem. Przycisnęła mu głowę do piersi, potem włożyła mu buty, a nawet zadała sobie trud, by je zawiązać.

Na dworze było szaro i bezwietrznie, w powietrzu wisiała niemal niewidzialna mżawka. Psy zaszczekały na powitanie, a on żałował, że nie może im dać żadnego znaku. Zaczerpnął głęboko powietrza, zdążył już zapomnieć, jak pachnie. Wsparł się mocno na kulach i ruszył przed siebie.

Potem, zaraz po powrocie do łóżka, stracił przytomność. Nie przejął się tym, bo stało się to, gdy już się kładł. Gdy odzyskał świadomość, poduszki spod głowy spoczywały pod jego stopami. Musiał przyznać, że siostra Eva Persson spisała się świetnie. Tak, naprawdę taktowna z niej kobitka. I do licha – należał jej się za to szacunek.

Czekając na niego, stała przy kurniku. Wystarczająco daleko, by mu nie przeszkadzać, i na tyle blisko, że w razie czego usłyszałyby jego wołanie o pomoc.

W sieni stał wózek inwalidzki. Pamiętał jak przez mgłę, że wrócił na nim ze szpitala. Gdy zszedł ze schodów, siostra Eva zatrzymała się przy wózku i spojrzała na niego wymownie, ale z jego twarzy wyczytała odmowę. Potem i tak okazało się, że byłoby to bez sensu – ścieżka do wychodka była zbyt wąska, nie mieściła dwóch osób obok siebie. Dziewczyna musiała więc iść za nim, pilnując, by kule znajdowały solidne oparcie.

Przed wychodkiem go wyprzedziła i otworzyła drzwi, po czym pomogła mu porządnie wejść i zamknęła skrzypiące drzwi. Choć w środku było raczej

chłodno, spocił się tak, że koszula lepiała mu się do pleców.

– Proszę odejść i czekać w pobliżu, dopóki nie zawołam – nakazał. Choć nie zabrzmiało to zbyt stanowczo i kategorycznie, zrozumiała. Odczekał, aż zobaczył przez szpary jej znikającą sylwetkę. Podniósł wtedy klapę i odstawił kule.

Dopiero potem zauważył, że coś jest nie tak jak zwykle – zniknęły worki z niegaszonym wapnem. Był przekonany, że mieli jeszcze dwa, które wystarczyłyby na wiele lat. Ale teraz nie było po nich śladu.

Tak czy inaczej, nie miał siły, by się nad tym zastanawiać. Odemknął drzwi i zawołał pielęgniarkę.

– Proszę mi teraz pomóc!

Zjawiała się natychmiast.

Była nadal w sypialni, robiła mu mokre okłady, z ręcznika ściekała woda.

– Proszę, niech pan weźmie tę tabletkę.

Nie stawał już okoniem, zrezygnował z próby sił – przełknął tabletkę i popił. Czuł się lekko, żołądek był zupełnie pusty, całkowicie opróżniony. Pomimo wyczerpania pulsowała w nim radość, powodując, że stał się miłszy.

– Chyba zostanę w ubraniu. Żeby ona, Sabina, to zobaczyła.

– Na dowód. – Pielęgniarka zachichotała.

– Otóż to.

Uchyliła okno i sięgnęła po swoją torbę.

– No to ja się zbieram.

– Dziękuję ci bardzo – bąknął i dopiero później zorientował się, że zwrócił się do niej per „ty”.

PO WYJŚCIU pielęgniarki leżał w łóżku jak galaretowata gruda. Niczym meduza wyrzucona na brzeg wraz z piaskiem i odpryskami muszelek pomiędzy delikatnymi parzydełkami.

Przeforsowałem się, pomyślał. Nie powinienem był tego robić, za wcześnie na to. Szarpiący ból zaczynał stopniowo łagodnieć; Carl Sigvard czekał, aż ustąpi całkowicie. Równocześnie był przepelniony dumą, niemal wzruszony swoim wyczynem, zrodzonym z gniewu i wściekłości. Nikt nie będzie mu rozkazywał ani traktował go jak kretyna. Nadal był tym samym człowiekiem i już niedługo dojdzie do siebie.

Jego zmysł słuchu był wyczerpany do granic możliwości. Czekał na opla, czekał na powrót Sabiny, chciał się jej pokazać i cieszyć jej radością. Kilka razy dobiegło go pianie koguta, okazałego leghorna, którego ochrzcił imieniem Clinton. Rozpromienił się na wspomnienie śmiechu Sabiny. Czuł nadal w płucach świeże powietrze, które dodawało mu sił – do ciała, wyzdrowieje, choćby miał pokonać jeszcze wiele przeciwności.

Sabiny nadal nie było. O której to pojechali? Ile trwa podróż do Linköpingu? Włożyła spódnicę z fałdami i czółenka, rzadko widział ją tak wystrojoną. Siedziała przed lustrem i grymasiła, że szminka jej wyschła. Szkoda mu było Sabiny, nie oszczędzała się, nie tylko teraz, kiedy on nie domagał. Nie taki los chciał jej ofiarować, gdy zaproponował, by z nim zamieszkała. Nie żałował jej tych kilku godzin spędzonych poza domem, w samochodzie, ale robiło się późno i zaczynał się niepokoić.

Gdy Svava go zostawiła, zraził się do kobiet. Wierność była dla niego rzeczą świętą. Już samo to, że Svava miała go dosyć, było wystarczającym upokorzeniem. Zorientował się dopiero, że coś jest nie tak, gdy było już za późno. Owszem, zauważył, że zachowuje się jakoś inaczej, ale przecież kobiety miewają te swoje humory, a jakim sposobem facet miałby się domyślić, o co chodzi? Ciągle odsuwała go od siebie, wołała spać na ławie w siodłami, a nie przytulać się do niego w małżeńskim łóżku.

Wkrótce dowiedział się dlaczego – spotkała wielką miłość. Handlarza końmi, jakiegoś fagasa z Södertälje.

Jak próbował ją zatrzymać, jak się przed nią wręcz poniżał.

A do tego chłopak, Tobias.

Dziecko potrzebuje matki.

Wykrzyczała mu to prosto w twarz.

– Dziesięcioletni chłopak potrzebuje matki. Widzę, że chce jechać ze mną, nie ma tu przecież żadnej przyszłości, chyba sam rozumiesz. Ludzie uciekają z takich zapadłych dziur!

Ona to widziała! I tylko jej „widzenie” się liczyło.

Popełnił wtedy błąd, cholernie poważny błąd. Dorwał syna, przycisnął go do ściany i potrząsał nim.

– Więc i ty chcesz mnie zdradzić? Jedziesz z nią i zostawiasz mnie tu samego?

Tak nie postępuje się z dzieckiem.

Tobias wisiał bezwładnie w jego uścisku; brzydki, włosy w strąkach, zaczął się jękać i chyba nawet popuścił w spodnie, bo rozniósł się smród kału. Podobny z twarzy do matki, potrząsał grzywką, popiskując jak nowo narodzony kociak.

I to skojarzenie z kotem... Jak przez ułamek sekundy, nie zwalniając uchwytu i potrząsając synem, ujrzał w wyobraźni worek wypełniony kamieniami – nie odda go jej – jeśli on nie może zatrzymać przy sobie syna, nie będzie go miał nikt inny.

To wspomnienie dręczyło go przez wiele lat.

Potem napisał list, ale nie wiedział, czy dotarł on do Tobiasa.

List z prośbą o wybaczenie. Napisał też do Svavy, prosząc, by przynajmniej pozwoliła Tobiasowi przyjechać do domu w ferie i w wakacje. Tak właśnie napisał: „do doniu”. Svava przysłała mu w odpowiedzi widokówkę:

Wstrzymajmy się z tym na razie. Tobias nie chce nigdzie jechać. Pozwól mu decydować samodzielnie.

Usłyszał, jak na podwórzu zajechał listonosz, okrążając swoją hondą civic maszt flagowy, i jak zaszeleściło w skrzynce na listy. Na pewno same rachunki i reklamy. Sabina wybierała zwykle pocztę i kładła ją na stoliku nocnym. Za kilka dni da radę wyjść i przynieść ją sam.

Zauważył, że leżąc tak w zamknięciu, człowiek zdaje się najbardziej na słuch. Nietrudno było odróżnić dochodzące z zewnątrz dźwięki, począwszy od traktora z napędem na cztery koła, a skończywszy na vespie Hardy’ego Lindströma. Traktor był stosunkowo nowy, Sabina uwielbiała nim jeździć. Kupił go od Erika, za sąsiedzką cenę. Naiwny Erik, który zawsze bujał w

obłokach i zainwestował w ciągnik John Deere z turbosprężarką, choć tak naprawdę powinien był raczej pomyśleć o likwidacji gospodarstwa. Póki miał jeszcze na to siły.

A teraz Erik tkwił i ślinił się w świetlicy, z oczami przepelnionymi łzami.

– Erik, jak się masz, chłopie?

Żadnej odpowiedzi.

Jak można rozmawiać z człowiekiem, którego znało się całe życie i który już na nic nie reaguje?

Vanja mieszkała nadal w domu, ale zapewne wkrótce i jej zabraknie sił na zajmowanie się gospodarstwem.

– Nasze pokolenie wymiera, Carlu Sigvardzie. W końcu człowieka opuszczają siły. I nic na to nie poradzimy.

– Nie wolno się poddawać – próbował ją pocieszać. – Jeśli człowiek rezygnuje, pograża się w ciszy i zaczyna się staczać. Dopiero wtedy wszystko się naprawdę kończy.

– Wszystko w rękach Boga. – Westchnęła i odwróciła się do ściany, szukając chusteczek. Vanja Malmfeldt, która nigdy nie była religijna, wręcz przeciwnie. Zapraszała często na grog i ostrą grę w karty. A teraz zaczynała bredzić o Bogu i o potędze losu.

Coś zaszurało w łazience, usłyszał człapiące kroki. Adam chodził na piętach, nie można było go tego oduczyć. Musiał wypić zbyt dużo płynów, bo gdy teraz sikał, huczało jak jakiś cholerny wodospad. Oby tylko nie przyszedł do sypialni. Carl Sigvard wolał zostać sam i napawać się swoim wyczynem, myśleć o świeżym powietrzu, o tym, że nastąpiła już jesień, i o tym, że miało to swoje dobre strony – czas bowiem mijał, a przecież czas leczy rany. Tak się przynajmniej mówi.

Z korytarza dobiegły odgłosy szurania i powłóczenia nogami. Drzwi uchylły się ze skrzypnięciem. Wszedł Adam – opuszczone ramiona, nieogolony zarost. Miał na sobie szary dres, spodnie opryskane sikami. Na przemian ziewał i pociągał nosem, musiał chwycić się framugi, żeby nie wywinąć orła.

– Ej, co z tobą, synu? – Nie mógł się powstrzymać, by nie zagadać, choć najlepiej by było udawać, że śpi. Udawaj, że jesteś martwy, pomyślał, udawaj martwego.

Wielkolud podszedł rozkołysanym krokiem do łóżka, ociężał, niczym lunatyk. Trzymał w dłoni pustą rolkę po papierze toaletowym.

– Co jest, papier się skończył?

Adam zatrzymał się, podniósł rękę i przyłożył rolkę do ust, jak mikrofon. Wydał z siebie jakieś skrzeczące odgłosy, nagle w jego spojrzeniu pojawiło się coś dzikiego i cisnął rolkę przed siebie. Poleciała w stronę komody, odbiła się i wylądowała w rogu pokoju.

– Co ty wyrabiasz!?! – Carl Sigvard podniósł głos. – Zachowuj się jak ludzie, nie odstawiaj mi tu żadnych cyrków!

Nalana twarz wykrzywiła się w grymasie, dolna warga się wysunęła, a z ust wydobył się odgłos przypominający beczenie.

Carl Sigvard podniósł się z trudem do pozycji siedzącej. Dolna połowa ciała była jak pozbawiona czucia gruda. Uszczypnął się przez materiał w nogę – na szczęście poczuł ból. Nogi mu po prostu ścierpły.

Wysilał się, by jego głos brzmiał łagodnie.

– Adam, coś cię gnębi? Nie czujesz się dobrze?

Chłopak osunął się na kolana i zaczął się kołysać.

– Maaa-ma, maaa-ma – łkał.

– Mama niedługo wróci. Pojechała z Tobiasem na dworzec.

Adam wyrzucił z siebie cały potok niezrozumiałych zdań, Carl Sigvard wyławiał tylko pojedyncze słowa. Adam uniósł ręce, a potem zaczął bić nimi o podłogę. Walił pięściami, zawodząc i wyjąc.

– Uspokój się, chłopcze, uspokój się!

Nagle ogarnęła go wściekłość na Sabinę, że zostawiła go samego z chłopakiem, mogła go przecież wziąć ze sobą. Wiedziała przecież, że nie radzi sobie zbyt dobrze w takich sytuacjach.

– Ciąć nożem, ciąć oko, maaa-ma.

– Skąd ci przychodzą do głowy takie okropieństwa, przestań już!

– Ciąć nooo-żzem oko... ciąć nożem!

Chodziło chyba o Hardy'ego, o jakiś incydent na wyspie. Sabina coś wspominała, ale nie zapamiętał, co mówiła – właśnie wtedy dostał swoją tabletkę nasenną i zapadał w drzemkę. Hardy i Adam. I zwierzę, z którego mieli ściągnąć skórę.

– Będiesz mógł sobie pośpiewać, jak Hardy przyjdzie – powiedział głośno. – Poczul przeszywający ból w okolicy miednicy. Może rzeczywiście się przeforsował, może sam zrobił sobie krzywdę? – Pośpiewaj sobie tego Elvisa, świetnie ci idzie, jesteś naprawdę cholernie dobry. Może zaśpiewasz dla mnie? Zaśpiewaj coś ładnego.

Adam siedział na podłodze, cały czas dygocząc. Po nieogolonej twarzy spływały łzy zmieszane ze smarkami. Jęczał i łkał, przeciągał dłońmi po

tlustych strąkach włosów.

– Adam – przekonywał. – Wstań i zaśpiewaj coś Carlowi Sigvardowi. Carl Sigvard bardzo się ucieszy. – Zaczął przemawiać do Adama jak do dziecka, Sabinie by się to nie spodobało. „Trzeba go traktować jak dorosłego, z godnością, bo inaczej na zawsze zostanie dzieckiem” – mawiała. Ale i tak sama nie zawsze tego pilnowała. Do diabła, skoro chłopak nie słucha, tylko wydziera się jak przekorny czterolatek, a on sam ledwo zipie po swoim wyczynie... Sabina, do jasnej cholery, wracaj do domu!

Późnym popołudniem usłyszał wreszcie warkot opla zajeżdżającego na podwórze. Zerwał się dość silny wiatr, a strugi deszczu zacinały o szyby. Obawiał się, że deszcz zacznie spływać do środka, bo okno było uchylone. Próbował skłonić Adama, by je zamknął, lecz się nie udało. Adam w końcu ucichł, ale nie dał się namówić na śpiewanie, co było dość dziwne, bo na ogół nie mogli go przekonać, by przestał. Zaszył się gdzieś w domu, nie było go w ogóle słychać.

Sabina weszła, drepzcząc w swoich czółenkach.

Sabina, kocham cię, zobacz, jaki byłem dzielny, już niedługo będę taki jak zawsze – był przepelniony takimi myślami, lecz nie zdążył ich wyartykułować. Sabina wyglądała zupełnie inaczej – miała obcięte włosy.

Leżał tak na pościeli i wpatrywał się w nią w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Podoba ci się? – Okręciła się i przejrzała w lustrze. Zdjęła spódnicę i rajstopy, włożyła dzinsy. Jej głowa wyglądała tak, jakby się skurczyła.

– Miałam już dosyć tych długich kłaków, są tak niepraktyczne, gdy ma się tyle brudnej roboty.

– Sabina – wykrztusił z siebie suchymi ustami.

– Mona Sahlin ma podobną fryzurę. Miałam serdecznie dosyć dawnego uczesania, więc zostawiłam samochód w mieście i znalazłam zakład, gdzie przyjmują na poczekaniu. Strzygł mnie facet, a słyszałam, że faceci strzygą o wiele lepiej, oni często są... no wiesz. Orientują się lepiej, jak kobieta chciałaby wyglądać.

– Podejź do mnie – szepnął z łóżka.

Zdjęła z siebie wyjściowy sweter, ale nie podeszła do niego. Znalazła swój stary żółty sweterek, a gdy wciągała go przez głowę, zauważył, że pod jedną piersią ma zadrapanie.

Zamierzała wyjść.



Dopiero w tym momencie zauważyła, że on jest ubrany.

Słyszał, jak krząta się na dole, łązi po kuchni, robi obiad. Pogadala z Adamem, który przestał płakać, ale nadal zacinał się, jęczał i kwilił.

Nigdy nie podnosiła głosu na swego syna. A teraz ni stąd, ni zowąd wrzasnęła tak, że było słychać aż na górze.

– Adam, zamknij się wreszcie! Nie chcę już słyszeć o tym oku!

Chłopak zwykle dostawał hysterii, gdy coś szło nie po jego myśli. Rzucał się na podłogę, kotłując chodniki, chwycił wielkimi łapskami, co popadło, i ciskał tym tak, że trzeba było się chować.

Tym razem zachował spokój i zamilkł. A po kilku minutach zaczął śpiewać. Z początku ochrypłym głosem, niezbyt czysto, po chwili coraz wyraźniej:

Love me tender, love me dear, tell me you are mine. I'll be yours through all theyears, 'til the end of time. Love me tender, love me true, all my dreams fulfill, for my darling I love you and I always will.

TRZECI dzień? A może czwarty lub piąty? Postanowił, że nie będzie ich liczył. Nie będzie liczył poranków, zrzucając z siebie kołdrę i wstając. Pora była bardzo wczesna. Dawniej nie mógł doczekać się świtu, bo wtedy odczuwał najsilniejszą, najwyraźniejszą inspirację.

Teraz w ogóle nie był w stanie pisać.

Sypiał fatalnie; próbował powstrzymywać się od picia, bo po alkoholu spało się jakby sztucznym snem i nie było się wypoczętym. Kładł się po prostu na plecach i próbował się odprężyć, rozluźnić po kolei wszystkie członki. W sypialni było ciemno, lecz przez okna wpadały smugi światła od latarni rozświetlających nocą opuszczone szkolne podwórko.

Powiedział Marit, że musi pracować, że musi osiągnąć stan pełnej koncentracji. Musiała pogodzić się z tym, że nie wolno mu przeszkadzać, zwłaszcza w początkowym stadium pisania. Choć kiwała głową, potwierdzając, że rozumie, nie do końca pojęła powagę sytuacji, bo tak czy owak wydzwaniała do niego, pytając, jak mu idzie.

Porozmawiał też z Klarą. Prosił, by go odwiedziła, ale jeszcze się z nią nie widział. Był przygnębiony z tego powodu. Czy odpychało ją coś w jego głosie? Spoglądał na swe dłonie, zwykłe dłonie Tobiasa. Te, które ją nosiły, zmieniały pieluchy, przewracały poplamione palcami kartki w książeczkach z obrazkami.

- Wpadnę kiedyś – powiedziała tylko.
- A co u mamy? – zdążył zapytać.
- W porządku, jedziemy dziś do miasta poszaleć w sklepach.
- Ale mówiłaś mi... że jest przybita...
- Doszła już do siebie.

Tobias zerknął na zegarek, było wpół do szóstej. Wstał z łóżka, przyniósł gazetę, przewertował ją bez entuzjazmu. Zagrzał wodę w czajniku elektrycznym, odmierzył kawę rozpuszczalną. W budynku szkoły paliło się światło w jednym z okien na parterze. Przez żaluzje można było dojrzeć mężczyznę w kraciastej koszuli, który pojawiał się wcześniej każdego ranka i powtarzał swój rytuał. Czytał przy biurku gazetę, przekładał stosy papierów, a gdy wybijała siódma, wychodził do pokoju socjalnego i parzył kawę dla swoich kolegów.

Dyrektor szkoły, pomyślał Tobias. Spokojny, stateczny, pełna kontrola nad codzienną rutyną, sypia spokojnie w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku. Po pracy jedzie do swojego domku szeregowego, gdzie czeka na niego żona, też nauczycielka, ale w innej szkole, może w Blombacka, gdzie Tobias chodził jakieś sto lat temu. Jedzą dobrze zbilansowany posiłek, może zapiekankę rybną, na pewno z solidną porcją sałatki, bo żona osiągnęła już wiek, kiedy kobieta zaczyna się zaokrąglać, i zapewne zapisała się do Strażników Wagi. Na pewno zbiera punkty i wyciąga męża na długie spacer, podczas których chodzą ręka w rękę, jakby nadal byli młodzi i zakochani.

Do kurwy nędzy, Tobias, przecież twojej fantazji nic nie dolega!

Jednak przed komputerem czuł kompletną pustkę w głowie.

Leo Pullman. Jakie pieprzone nazwisko dla bohatera powieści, tak wymyślne, że zajeżdżało sztucznością z daleka.

Próbował odciąć się od otoczenia, przysunął bliżej klawiaturę.

Nie podniesiesz dupska z krzesła, dopóki nie napiszesz co najmniej dwóch tysięcy znaków! Nie licząc spacji!

Kurwa, nie miał nawet zarysu fabuły.

Podszedł do regału i zaczął wertować książki. Jak piszą inni, na przykład Nesser i Mankell, czy mogliby go jakoś zainspirować? Zajrzał też do swojej *Nocy*. Jak wygląda Leo Pullman, jak wygląda jego życie?

Któregoś dnia zadzwonił jego wydawca, Titus Bruhn.

– Nie chcę cię naciskać, Tobias, ale jak sądzisz, na kiedy się wyrobisz?

– Kurde, przecież dopiero jest wrzesień – uciął, natychmiast tego żałując.

– Październik – sprostował Titus Bruhn.

– Przepraszam, cholernie źle spałem.

– Chyba wiem dlaczego. Przeżyłeś szok kulturowy, nie możesz się odnaleźć w cywilizowanym świecie. To dla ciebie zbyt duże obciążenie, he, he.

– Jasne. – Próbował się śmiać. – Pewnie masz rację.

Umówili się na lunch, ale nie od razu, tylko w następnym tygodniu. Zapisał to sobie gdzieś na kartce: *Zadzwoń do Titusa w sprawie lunchu*.

Nie był w stanie usiedzieć w domu. Wskazówka zegara zbliżała się w błyskawicznym tempie do siódmej. Ubrał się i wyszedł. Natychmiast musiał zawrócić, bo w nocy napadało śniegu, pierwsza chlapa sezonu. Włożył

zawiazywane trzewiki, ale nie mógł znaleźć czapki i rękawiczek. Na pewno były nadal w piwnicy. Mimo wszystko wyszedł. Zabrał ze sobą śmieci i wcisnął je do zsypu. Na klatce spotkał młodą dziewczynę z sąsiedniego mieszkania. Pracowała jako asystentka pielęgniarstwa w szpitalu i wychodziła zawsze na ostatnią chwilę.

– Co słyhać? – rzuciła, ale nawet nie przystanęła, by poczekać na odpowiedź. Przemknęła obok niego z łoskotem po schodach, a po chwili usłyszał odgłos zatraskującej się bramy.

Powietrze było surowe i wilgotne, unosiła się w nim specyficzna woń świeżego śniegu. Zapalił papierosa i natychmiast złapał go atak kaszlu. Ponieważ te napady zaczynały go martwić, nabrał nawyku oglądania tego, co wypluł do chusteczki. Klara próbowała go odwieść od palenia, prowadząc intensywne kampanie antynikotynowe przy okazji przerabiania tego tematu w szkole. Napisała nawet specjalny referat i zmusiła go do zapoznania się z nim: „Męki i udręki palenia”.

Miała rację, to oczywiste, że miała rację. Palenie to prawdziwa zaraza, poważnie zagrożająca zdrowiu, a do tego bardzo kosztowna. Mimo to nie był w stanie rzucić nałogu. Próbował przez miesiąc żuć w zamian tytoń, co zostało przyjęte entuzjastycznie, zwłaszcza przez Marit. Jednak to, o dziwo, jej zapal sprawił, że wrócił do palenia. Czuł się, jakby ona rościła sobie prawa do jego życia, w sposób, który trudno mu było znieść.

Przeszedł Oxbacksleden, gdzie zawsze panował duży ruch samochodowy. Wyrzucił niedopałek, włożył ręce do kieszeni i ruszył dalej. Minął sklep spożywczy, który kiedyś prowadzili rodzice Björna Borga. Za sklepem rozciągał się park z placem zabaw. Dawno temu, gdy był dzieckiem i widział opadające z nieba pierwsze płatki śniegu, nie mógł się doczekać wyjścia z domu. Nadal pamiętał przyprawiające o zawrót głowy muśnięcia płatków śniegu na powiekach i uderzenia kamieni o kość ogonową, gdy zjeżdżało się z górki na jabłuszku.

W najwyższym punkcie Torekällgatan znajdował się żółty dom z cegły, do którego przenieśli się z matką. Zerknął w kierunku balkonu, który za czasów Svavy mienił się bogactwem uprawianych na nim roślin. Sadziła tam nawet ziemniaki – zbiory nie były obfite, ale mimo wszystko się udawały. Stały mu przed oczami obrazy z dzieciństwa – on z matką przy wąskim balkonowym stoliku, który w razie potrzeby można było złożyć. Słońce odbijało się od jej kieliszka, zabarwiając wino na jasnoczerwono. Pochylała się ku niemu, próbując nawiązać zażyłą rozmowę. Czasem wspominała o ojcu, a on wtedy zatykał uszy i wracał do środka.

Pierwszego ranka po przeprowadzce wyszedł na podwórze. Na wzniesieniu rosła dzika jabłoń, drzewo nadal tam było. Przed wyjściem z domu wyjrzał przez okno, by upewnić się, że na podwórzu jest pusto; wołał przyzwyczajając się do nowego otoczenia we własnym rytmie. Gdy zszedł na dół, w piaskownicy siedział jakiś chłopiec, właściwie za duży na tego rodzaju zabawy. Mimo to tam tkwił.

Chłopiec zagadał i zapytał go, jak się nazywa. Gdy usłyszał, jak Tobias wypowiada swoje imię, prychnął i potrząsnął głową, demonstrując swą dorosłość i poczucie wyższości.

– Tobejas – małpował go. – Jakie debiiiiilne imię: Tobejas.

Nie było sensu podejmować dyskusji. Klasyczna historia, znana do znudzenia z literatury i filmu. Dziecko wyrwane z korzeniami, szykanowane przez swoje nowe otoczenie, z czasem podnoszące bunt i odpłacające za swoje krzywdy.

Albo i nie.

Matka zostawiła konie na wsi, bo nie było dla nich miejsca w stajniach Jörgena, jej nowego faceta. Dziwił się później, że sprawiała wrażenie tak nieporuszonej. Ojciec to jedno, ich drogi się po prostu rozeszły, takie rzeczy się zdarzają, ludzie się rozstają. Ale zostawić konie? Carl Sigvard wkrótce je sprzedał, zapewne ku rozpaczy Ingelize.

Było mu zimno w uszy, ale nie zawrócił. Samochodami zarzucało w śnieżnej brei. Bywał w tej okolicy, na Torekällberget, z małą wówczas Klarą. Przeniesiono tutaj, zamiast rozebrać, wiele starych domów i budynków, między innymi sklepik, w którym sprzedawano cukierki w papierowych stożkach. W okolicy było poza tym sporo kóz, królików i kur, zwierząt niewymagających szczególnej opieki, z których miały sporo uciechy maluchy.

Bywał tu często zaraz po przeprowadzce do miasta, zanim jeszcze się w nim zakorzenił. Miał blisko ze szkoły, zamiast schodzić z górki w stronę domu, szedł w przeciwnym kierunku. Kozy przyglądały mu się badawczo swymi osobliwymi oczami, chłodno, niemal szyderczo. Przynosił im marchewkę ze szkolnej stołówki. Zwierzęta chwytaly je wąskimi wargami i żuły, głośno chrupiąc.

Dopóki nie przyłapał go ich opiekun.

– Nie widzisz, że jest zakaz karmienia zwierząt? Nie umiesz czytać?

Fala wstydu spływająca wzdłuż kręgosłupa. Mężczyzna najwyraźniej to

zauważył, bo zaraz zmiękł.

– No dobra, jeśli masz ochotę, możesz mi pomóc po nich posprzątać.

Spędził tam popołudnie. Opiekun zwierząt miał na imię Sven. Pokazał mu też kury i pozwolił włożyć pod nastroszony kurzy brzuch rękę i wyciągnąć jajko. Zadowolony, że pokazał miejskiemu dziecku, skąd Tak Naprawdę Biorą się Jajka.

Tobias nie poszedł tam nigdy więcej sam. Gdy wybierała się tam cała klasa, chował się wśród gromadki dzieci. Martwił się, że Sven zorientuje się, iż pochodzenie jajek nie było dla niego żadną nowością i że poczuje, iż się wygłupił.

Dotarł do parkingu i przystanął, by zaczerpnąć oddechu. Kondycję miał zupełnie do luzu, a do tego jeszcze zapalił papierosa. Poniżej rozpościerało się miasto. Nagle dopadło go poczucie strasznej beznadziei. Ucisk w okolicy klatki piersiowej, jakby sprężała się, wciskając do środka żebra. Zaklął i wytarł nos, kilkakrotnie zaciągnął się łapczywie papierosem.

Sabina.

Jej imię spoczywało zadekowane gdzieś w jego podświadomości, mgliste i umykające, rozmywające się niczym wygaszany ekran. Strząsał je z siebie, przepędzał, bezlitośnie, wściekle próbując usunąć je w niebyt.

Nic się nie stało!

Wzbierający w nim strach sprawił, że gwałtownie zawrócił, niemal pobiegł w stronę domu ubłoconym chodnikiem.

Nic się nie stało!

Mimo wszystko musiał to usłyszeć jeszcze raz, jej głos, jej flegmatyczny śmiech: „Tobias, co ty bredzisz, masz zbyt wybujałą fantazję!”.

A co z tym, co wryło mu się w pamięć?

Z tym, co nie dawało mu spać, nie dawało mu pisać, nie dawało mu żyć?

Było mu zimno w czoło i w uszy. Stał przed bramą, zapomniał numeru kodu. Przeszukiwał skostniałymi palcami kieszenie, znalazł w końcu klucze.

W kuchni podłożył ręce pod kran i płukał je letnią wodą, dopóki nie poczuł klucia i mrowienia skóry. Nie mógł się rozgrzać. Pocierał o siebie dłonie, przyniósł gruby islandzki sweter, który dostał ostatnio od Svavy. Normalnie był za ciepły na siedzenie w domu, ale teraz się przydał. Ściągacze kłuły go w mokre przeguby, chwycił ręcznik i wytarł ręce do sucha.

Było wpół do dziewiątej. Stał przy telefonie, wstukując numer. Rozmyślił się i odłożył słuchawkę. Dziesięć minut później ponowił próbę, tym razem się nie wycofał. Jednak nie odebrała Sabina, lecz Carl Sigvard.

– To ty, synu?

– Pomy... pomyślałem sobie, że zapy... zapytam, co u was.

– Znowu się jąkasz? Myślałem, że już z tego wyrosłeś.

– Tt... to...

– A wiesz, co ja teraz robię? Nie zgadłbyś. Stary siedzi sobie w kuchni i wcina owsiankę.

– Co takiego? Pocz... poczułeś się lepiej?

Carl Sigvard zarechotał.

– Tak jest! To nie był jeszcze mój ostatni spoczynek.

– O kurde, niesamowite!

– Czas cudów jeszcze się nie skończył.

– A co poza tym?

– Wywieźliśmy już owce. Sabina urabia sobie ręce po łokcie, a Adam – no, sam wiesz, jak jest. Do pomocy raczej się nie nadaje.

– No to czas, żebyś i ty wskoczył w swoje robocze ciuchy – próbował zażartować. – Skoro już się zerwałeś z siennika.

Carl Sigvard nie słuchał.

– Chcieliśmy jeszcze raz zwerbować do pomocy tego Hardy’ego, ale znowu gdzieś prysnął. Cholerny sukinkot, takim nie można ufać. Zniknął bez słowa, nawet matce nic nie powiedział. Była u nas wczoraj i pytała o niego.

Poczuł w gardle smak żółci. Słowa rwały się i zamierały.

– Jesteś tam?! – zawołał raźnie stary swym skrzekliwym głosem. – Halo, gdzieś ty się, kurde, podział?

Przełknął ślinę i odzyskał władzę nad sobą.

– Jestem, jestem, ale muszę kończyć, bo ktoś dzwoni do drzwi.

– Pozdrów Klarę i przekaz jej, że dziadek mimo wszystko jakoś się wykaraska.

Położył się na łóżku i owinął pledem. Nadal marzył tak, że ciałem wstrząsały dreszcze. Bolało go gardło, spuchło tak, że ledwo mógł złapać oddech. Chwilowy atak paniki sprawił, że zerwał się, by otworzyć okno.

W szkole była przerwa. Dzieciaki krążyły po podwórku w swoich kolorowych kurtkach. Stał przy oknie, dysząc i łapczywie wciągając powietrze. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje mu serce.

Po chwili zaczął odzyskiwać spokój, więc położył się znowu do łóżka.

Gardło bolało nadal, głowa też. Leżał pogrążony w lekkim letargu, zawieszony pomiędzy jawą a snem. Ocknął się, słysząc jakiś dźwięk, pomyślał, że ktoś jest w pokoju. Leżał całkiem zmartwiały, czuł pot oblewający klatkę piersiową, pachwiny i kark.

A jeśli Hardy żyje? Jeśli wrócił, by się zemścić? Wykrzywione arogancją usta, broda, zsunięty na czoło kapelusz.

– Co ty próbowałeś zrobić, chciałeś mnie zabić? Tak to sobie wymyśliłeś, ty pieprzona, zasrana kupo gówna? Naprawdę myślałeś, że coś takiego ci się upiecze? Najpierw pieprzysz do upadłego swoją macochę, a potem próbujesz mnie zabić?

Tobiasz zrzucił z siebie koc i ściągnął sweter. Siedział na łóżku wyprostowany jak struna, ciężko dysząc. Nie, oprócz niego samego nie ma tu nikogo. To był tylko koszmar sen, a to się nie wydarzyło.

**NIC SIĘ NIE STAŁO!**

Gdzie jest zegarek? Kurde, musiał go gdzieś zgubić, zgubił zegarek. Zwalił się na podłogę i chodził na czworakach. Przeszukał całą sypialnię, a potem salon i przedpokój. W samych slipach, oblepiony zastygłym potem, łkając ze strachu. Nagle krzyknął z bólu – wbiła mu się drzazga z deski na progu, prosto w miękką poduszeczkę tuż pod kciukiem. Na jej widok zaczął płakać, płakał i łkał jak dziecko.

Siedział tak skulony, gdy rozległ się brzęk dzwonka u drzwi. Słyszał wcześniej, jak zatrzaskuje się brama na dole, dotarł do niego głuchy odgłos, potem kroki na schodach. Usłyszawszy je, zdążył się uspokoić. Wciągał dzinsy, patrząc przez wizjer, balansując na jednej nodze.

Przed drzwiami stała jego córka Klara.

Zmieniła się. Nie była już dzieckiem, a nagłe uświadomienie sobie tego faktu odczuł niczym cios w przeponę. Była ubrana na czarno-fioletowo. Krótka, obcisła spódniczka i skórzana kurtka z nitami, pod nią wydekoltowana bluzka z siateczki z dużymi oczkami. Na szyi rzemyki i łańcuszki. Jej drobna, okrągła twarzyczka błyszczała białością, zastygła od makijażu. Włosy zmierzwiłone, rozczochrane, jakby od wielu tygodni nie zaznały dotyku grzebienia.

Kiedy widział ją ostatni raz? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Ledwo cię poznałem! – wybuchnął, gdy ściągała kozaki. Rzuciła mu świdrujące spojrzenie. Oczy tonęły w makijażu.

– O co ci biega, ja też cię ledwo poznałam.



Podjął niezdarną próbę objęcia jej, ale zdążyła już przekroczyć próg pokoju. Wyciągnęła sobie krzesło. Podciągnęła żaluzje. Ze szkolnego podwórka dobiegały przenikliwe wrzaski.

– Twoje włosy, coś ty zrobiła z włosami? Albo raczej – czego z nimi nie zrobiłaś?

– Słyszałeś o dreadach?

– Taka jest teraz moda?

Spojrzała na niego z wyższością.

– Jeśli chcesz się mnie czepiać, mogę się stąd zwinąć.

– Skarbie, nie zamierzałem się czepiać, po prostu strasznie mnie zaskoczyłaś.

Gdy ściągała kurtkę, pod siateczką bluzki mignął biustonosz.

– Korzystam z okazji i przekazuję ci pozdrowienia od dziadka. Rozmawiałem z nim przed chwilą.

– Aha. Jest już zdrowy?

– Na pewno czuje się lepiej, wygląda na to, że wstał z łóżka.

Klara wzięła do ręki jego papierosy. Miała krótkie, poobgryzane paznokcie.

– Mogę się poczęstować?

– Ty?

– Jak nie, to nie, olejmy to!

– Klaro, zaczęłaś palić? To chyba niemożliwe?

– Żarty sobie stroisz? Ty palisz, mama pali, więc dlaczego ja nie mogę?

– Właśnie zamierzam rzucić.

Wzruszyła ramionami.

– To twoja sprawa.

– Od dawna palisz?

– Nie wiem.

– To się poczęstuj!

Sam miał ochotę na papierosa, ale nie mógł zapalić, skoro robił jej wyrzuty.

Zaciągnęła się kilka razy, uświadomił sobie, że to dla niej nie pierwszyczna.

– Zrobić ci kawy? – zapytał.

– Tak, poproszę.

Wszedł do kuchni, nastawił wodę. Klara czekała w pokoju.

– Nie mam ciastek ani nic innego do kawy! – zawołał.

– Nie jem ciastek.

Przyniósł oba kubki i usiadł naprzeciw niej.

Córka przekrzywiła głowę i przyglądała mu się badawczo. Jej szminka zostawiała tłuste, czerwone plamy na kubku.

– Tato, jak się czujesz? – zapytała. – Myślałam, że wrócisz ze wsi zdrowy i opalony.

– O co ci chodzi?

– Wyglądasz jak zdechły śledź.

– Wielkie dzięki!

– Naprawdę tak wyglądasz!

– Boli mnie gardło, chyba mnie bierze jakieś choróbsko.

– Hm.

– No i jeszcze to!

Wyciągnął w jej stronę dłoń z wystającą drzazgą.

– Jezu, jak mi cię szkoda! – wybuchnęła.

– Cholernie boli.

– Biedaku, pomogę ci to wyciągnąć. Masz pęsetę?

– Nie.

– A igłę?

– A jak myślisz?

– Coś musisz mieć, choćby nożyczki do paznokci.

– Są w szafce w łazience.

Wyszła z pokoju. Spódniczka ledwo zakrywała jej pupę. Pomyślał, że nabawi się zapalenia pęcherza, lecz nie odważył się powiedzieć tego głośno. Przymknął oczy, gdy dłubała nożyczkami, czuł ssący ból. W końcu udało jej się wyciągnąć drzazgę. Pokazała mu ją ze śmiechem.

– Fuj, co za ohyda! Teraz możesz znowu zacząć pisać.

– Dzięki – odparł sucho.

– No a jak ci idzie z nową książką?

– Tak sobie.

– Jedna dziewczyna z mojej klasy przeczytała tę twoją *Noc*. Uważa, że jest zajebista.

– Tak? Miło to słyszeć.

– Pytała, czy mógłbyś jej się wpisać do książki.

– Pewnie, że tak. Wpadnijcie tu kiedyś razem.

– Okej.

Wychyliła się w stronę okna i spojrzała na podwórze. Zerwała się nagle i zaczęła walić w szybę.

– Co ty wyrabiasz?

– Znęcają się nad jakimś dzieciakiem. Cała grupka.  
– Nie chcę, żeby zwrócili uwagę na moje okno. Mogą się potem na mnie uwziąć.

– Przestań!

– Próbuję pisać, potrzebuję spokoju.

– Jasne, ale trzeba przecież reagować na coś takiego. To oczywisty przypadek szykanowania.

– Tak, Klaro, jasne, dobrze, że ktoś zwraca na to uwagę. Przepraszam, nie chodziło mi o to, że należy takie rzeczy olewać, naprawdę nie miałem tego na myśli.

– Ach tak?

– Chodzi mi tylko o to, żeby nikt mi nie zakłócał spokoju.

– Dobra, dobra.

– A co u mamy? Mówiłaś, że się jakoś pozbierała.

– Zgadza się.

Przeciągała niedopałkiem po denku popielniczki, rysując jakiś wzór.

– Chcesz poznać pewną tajemnicę?

– Jaką tajemnicę?

– Znalazła sobie faceta.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że mama znalazła sobie faceta.

– To prawda?

– Obleśny typ.

– Co takiego?

– No nie, żartuję. Facet jest całkiem spoko.

– Czy Görel...?

– On chyba też jest lekko pokręcony. Spotkali się na terapii, więc nie ma w tym nic dziwnego.

– On również jest pacjentem?

– Nie, psychiatrą. Ale tacy też bywają stuknięci.

Tobias musiał wstać i przeciągnąć się, rozluźnić nieco członki. Zatrzeszczało mu w stawach palców, córka spojrzała na niego z niesmakiem.

– Tego już naprawdę za wiele – powiedział cicho.

– Co jest z tobą? Chyba nie żałujesz Görel trochę radości z życia?

– Jasne, że nie! Nie o to chodzi.

– No to o co? Bo chyba nie będziesz mi wciskał kitu, że nadal ją kochasz?

Zadzwonił telefon. Wyciągnął rękę i w tej samej sekundzie zmienił

zdanie. Klara machnęła w jego stronę ręką.

– Odbierz, nie będę podsłuchiwać.

– Poczekam – odparł i wyciągnął kabel z gniazdka.

– Jesteś naprawdę walnięty! Nigdy nie odbierasz telefonu, komórki też nie. Jak można nawiązać z tobą kontakt?

– Jeśli to coś ważnego, można zadzwonić jeszcze raz.

– E tam.

– Powiedz coś jeszcze o tym psychiatrze.

– Nie wiem o nim zbyt wiele. Ma na imię Rickard. Podobno zajmował się najcięższymi przypadkami. Ale to było dawno temu, teraz pracuje w Huddinge. I chyba zadurzył się w mamie, bo takie coś widać na pierwszy rzut oka.

LEDWO Tobiasz włożył z powrotem kabel do gniazdka, znowu zadzwonił telefon. Jakieś stowarzyszenie kulturalne z Jönköping. Przypomniał sobie jak przez mgłę, że obiecał im spotkanie autorskie.

– Chciałam tylko upewnić się, że dostał pan bilety i że wszystko w porządku – powiedziała kobieta. Chyba miała na imię Solveig.

– Bilety? – powtórzył bez sensu.

– Wysłałam je już dość dawno temu, niech pan nie mówi, że nie doszły!

– Proszę poczekać, sprawdzę.

Odłożył słuchawkę na bok i omiół wzrokiem biurko. Podniósł kilka papierów. No tak, w plastikowej teczce leżało i potwierdzenie z Centrum Literackiego, i koperta z biletami. Zorientował się, że powinien się tam stawić już następnego dnia wieczorem.

– Tak, mam bilety – powiedział. – Byłem jakiś czas poza domem, właśnie wróciłem. Dlatego jestem jeszcze trochę niepozbierany.

– Ach tak, rozumiem. Dzwoniłam do pana jakiś czas temu. Nie ma pan automatycznej sekretarki?

– Nie, ale mam komórkę.

– Ale ja nie mam tego numeru.

– No tak. Ale będę u państwa jutro.

– Zapraszamy serdecznie. Wyjdę po pana na dworzec. Ma pan przesiadkę w Nässjö, proszę sprawdzić na bilecie.

– Dobrze.

– Zamieściliśmy zapowiedź w „Jönköpings-Posten” i daliśmy sporo ogłoszeń w okolicy, więc liczymy na dobrą frekwencję.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Tym razem była to Marit.

– Tobiasz, przepraszam. Siedzisz i piszesz?

– Bez przerwy dzwoni telefon, więc nie mam najmniejszych szans.

– Oj, nie chciałam ci przeszkadzać.

– Wiem.

– Może... może wpadłabym do ciebie z jedzeniem? Kupiłabym coś podczas przerwy na lunch. Pisarze też muszą jeść. Moglibyśmy zjeść razem.

– Marit, ja...

– Ja też muszę coś przekąsić. Mam krótką przerwę, więc nie zabawię u ciebie długo.

– O której będziesz? – spytał zmęczonym głosem.

- Za pół godziny. W porządku?
- Jasne.

Ból ścisnął mu głowę niczym obręcz. Zażył dwa alvedony i położył się na łóżku. Przymknął oczy. Spotkanie autorskie! Zupełnie o nim zapomniał. O czym miałyby mówić? O ostatniej książce? Przypadki i przygody Leo Pullmana? Nie przychodził mu do głowy żaden rozsądny pomysł. Żałosne! Przecież nie raz serwował już czytelnikom tego rodzaju gadkę. Powinien mieć gdzieś notatki z poprzednich wystąpień.

Fabula rozgrywała się w Sztokholmie, za fasadami luksusowej dzielnicy Östermalm. Znalaziono pewnego antykwariusza zabitego piętnastoma pchnięciami noża w serce. Tobias skontaktował się z lekarzem sądowym, by ustalić, w jaki sposób powinna płynąć i tryskać krew. Ten chwyt zwykle działał, czytelniczki bladły i zaczynały chichotać nerwowo i nieco histerycznie. Na takie spotkania przychodziły głównie kobiety w średnim lub starszym wieku. Czasem udawało im się zaciągnąć swoich facetów, który drzemali lub wydawali się mało zainteresowani.

Potem był czas na zadawanie pytań. Z początku wszyscy byli onieśmieleni i milczeli, ale gdy ktoś już się odważył, inni też szli za jego przykładem.

- Jak wygląda pana dzień pracy?
- Czy wstaje pan rano i zasiada do pisania? Jak urzędnik w biurze?
- Pisze pan w domu czy ma pan jakąś garsonierę do pracy?

Dlaczego używa się w takich kontekstach słowa „garsoniera”? Równie dobrze można by posługiwać się określeniami „jama” lub „nora”.

- Siedzę w domu, w mojej norze. W mojej pisarskiej norze.

Otworzył oczy i miał wrażenie, że wałą się na niego ściany, ściany i sufit. Nagle w samym epicentrum tego jazgotu i tumultu zobaczył swą dłoń z uniesionym śrubokrętem.

Całe jego ciało parowało gorącem, każda komórka. Śmierdział kwaśnymi, starymi wyziewami. Zerwał z siebie ubranie i wszedł pod prysznic, spędził tam co najmniej kwadrans. Otworzył drzwi, by wilgoć odparowała, bo było gorąco jak w saunie, gorąco jak w samym piekle. Oparł nogę o sedes, wytarł dokładnie skórę pomiędzy paluchami, odsunął dywanik. Podłoga pod nim błyszczała od drobnych rybików cukrowych,

które miały w łazience swoje gniazdo.

„Gniazdo pisarskie”.

Jego nogi były długie i chude. Białe, pokryte deseniem ułożonym z drobnych włosków poniżej piszczeli. Wytarł się do sucha. Ogolił dokładnie podbródek i policzki, omijając tylko górną wargę. Włożył świeżą bieliznę. Kurde, ostatnie slipy, trzeba będzie zrobić przepierkę. Powinien zejść do wspólnej pralni w piwnicy i wpisać się na listę. Jeśli nie znajdzie wolnego terminu, będzie musiał kupić nowe slipy. Skarpetki też się skończyły, było tylko kilka zniszczonych par z poluzowanymi ściągaczami.

Nalał wody do szklanki. Woda ma dobry wpływ na organizm, trzeba ją pić w dużych ilościach. Pił z przymkniętymi oczami, a ręka ze śrubokrętem przesuwiała się gdzieś pod powiekami, żółta i wykręcona. Poczul na skórze dotyk czerwonego, ciepłego strumienia, sączącego się pomiędzy palce, w fałdki i pod paznokcie.

Nic się nie stało.

NIE.

NIC SIĘ NIE STAŁO.

Przecież sam widział, że w siodłami było zupełnie pusto i czysto. Trup, denat? A niby gdzie miałyby się podziać ciało? Pomiedzy momentem, kiedy zamknął za sobą drzwi i kiedy otworzył je ponownie, nic się nie stało.

Sabina, pomyślał. Muszę porozmawiać z Sabiną. Nie uspokoję się, dopóki z nią nie porozmawiam.

Na odgłos pukania do drzwi wzdrygnął się i ugryzł w język. W ustach miał posmak żelaza. Dlaczego ona nie korzysta z dzwonka jak normalni ludzie? Bo to przecież była ona – Marit. Stała przed drzwiami z dwoma kartonami pizzy.

Otworzył.

Przekazała mu pudełka. Jedzenie było gorące, oparzył czubki palców. Marit odłożyła swoje wełniane rękawiczki Lovikka na półkę w przedpokoju. Posłała mu niepewne spojrzenie.

– Jesteś zły?

– Dlaczego miałbym być zły?

– Odniosłam takie wrażenie.

– A kiedy?

– Wcześniej.

– Bez przerwy ktoś dzwoni. Poza tym była u mnie córka.

– Klara?

– Tak.

– Jesteś głodny?

– Tak sobie.

Nie, pomyślał, nie jestem głodny, mdli mnie od zapachu pizzy, mdli mnie na widok tych zatłuszczonych pudełek, nie masz pojęcia, jak fatalnie się czuję.

Ściągnęła z siebie płaszcz i poszła do kuchni, zaczęła wyjmować talerze i sztućce.

– Ach tak, była tutaj Klara – wróciła do poprzedniego wątku.

– Właśnie.

– Mała, pewna siebie dziewczynka.

– Co masz na myśli?

– Nic takiego... można odnieść wrażenie, że wie, czego chce.

– Wspominałaś, że spotkałyście się w bibliotece.

– To było już dawno temu. Ale w zeszłym tygodniu widziałam ją w Hennes & Mauritz. Wyglądała wystrzałowo.

– Wystrzałowo?

– Właśnie.

Marit otworzyła pudełka i zsunęła ogromne pizze na talerze, które były zdecydowanie za małe.

– Wzięłam quattro, lubisz taką, prawda?

– Prawdziwe mastodonty.

– Owszem, ale są niesamowicie dobre, często tam kupuję.

Jedząc pizzę, Marit zaczynała od środka, co go irytowało. Wcinała nadzienie, zostawiając suche kanty. Teraz zrobiła tak samo.

– Jedz już – ponagliła go. Gdy wkładała do ust widelec, ciągnął się za nim drżący pasek stopionego sera. Jadła, aż jej się uszy trzęsły, sprawiała wrażenie wygłodzonej.

– Co z tobą? – zapytała po chwili. – Nawet nie zacząłeś?

Natychmiast się uniósł.

– Przestań wreszcie tak paplać, do cholery!

Marit odłożyła widelec. Drżała jej dolna warga, uraził ją. Odchrząknął.

– Przepraszam – usprawiedliwił się. – Mam stargane nerwy. Nie mogłem wczoraj zasnąć, no i jeszcze Klara, niepokoję się o nią. Nie poznaję jej, to poszło tak szybko. Nie wiem, co się z nią dzieje, nie nadążam za nią.

Marit milczała. Kroiła niemrawo pizzę.

– Przepraszam – powtórzył. – Początkowa faza pisania jest najgorsza, wyciska ze mnie wszystkie soki.

– Aha.



- Tak to jest być w związku z pisarzem, nic na to nie poradzę.
- Ach tak?
- Trzeba wpaść na pierwsze zdanie, a potem już jakoś idzie.
- A ty jeszcze go nie wymyśliłeś?
- Nie wychodzi mi. Wszystko diabli biorą.
- Tak czy inaczej, lubię cię. I to nawet bardzo. Wiesz o tym?

Szum w tyle głowy.

– Tobi, nie chciałam ci przeszkadzać, ale przecież musisz jeść. Bez jedzenia nie będziesz miał energii do pisania. Nie mówię tego po to, by odgrywać zrzędliwą matkę. Tak po prostu jest.

– Wiem, wiem, Marit.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale wyglądasz, jakby coś cię gryzło, jakbyś nie był sobą.

– Hm, Klara twierdzi, że wyglądam jak zdechły śledź.

Uśmiechnęła się lekko.

– Muszę też wyjechać – rzucił pośpiesznie.

– Wyjechać?

– Zupełnie o tym zapomniałem. Mam jutro spotkanie autorskie w Jönköpingu.

– Już jutro? – Usłyszał w jej głosie rozczarowanie.

– No właśnie! Cholernie niefortunny termin! Muszę jeszcze pomyśleć i nad tym. Zastanowić się, o czym będę mówił. Jestem tak zestresowany, że lada chwila coś mnie trafi.

– Biedaku.

Odrzucił grzywkę na bok.

– Zwaliło się na mnie wszystko naraz.

– Nie możesz pisać w pociągu?

– Żarty sobie stroisz? – Zorientował się, że użył tego samego wyrażenia co Klara.

– Kup sobie słuchawki na uszy. Na jednym z kanałów grają fajną muzykę klasyczną. Nikt nie będzie ci wtedy przeszkadzał.

– Zobaczymy.

Popatrzyła na zegarek i wstała.

– Kurza melodia, jak ten czas leci. Muszę pędzić do pracy.

Obeszła stół, on wstał i ją objął. Gdy jej rozsypane włosy połaskotały go w nos, kichnął.

– Nie ukrywasz nic przede mną?-wymamrotała w jego sweter.

– O co ci chodzi?

– Nie masz innej kobiety?

Odsunął ją trochę od siebie.

– Mówiąc takie rzeczy, dorzucasz kolejny kamyk do brzemienia, które dźwigam. Nie zdzierzę teraz więcej wyrzutów i pretensji. Zrozum, Marit, to nie ma nic wspólnego z tobą. Wkrótce wszystko wróci do normy, daj mi tylko trochę czasu.

– Dobrze, spróbuję.

Zwróciła ku niemu twarz tak, żeby mógł ją pocałować. Jej usta smakowały cebulą.

– Muszę lecieć. Zadzwonisz później?

– Dobrze.

Dał jej lekkiego klapsa w pupę. Miało to wypaść figlarnie.

TRZEBA się zastanowić, kiedy można ją zastać w domu. Kawa i kanapki przed południem, lunch koło pierwszej. Chyba tak. A potem? Musiała teraz opiekować się zwierzętami i miała na głowie cały dom, oczywiście nikogo do pomocy. Czy ojciec umiał gotować i zmywać? Nie, na pewno tego od niego nie wymagała, bo był człowiekiem starej daty. Uwłaczałoby to jego męskiej godności.

Która godzina? Wpół do czwartej. Jeśli nie wsiadła do tej swojej kupy złomu i nie pojechała na zakupy, powinna być teraz w domu. Szkoda, że nie ma telefonu komórkowego! Bał się, że znowu odbierze ojciec, zapewne wydałoby mu się dziwne, że syn tak często dzwoni, bo przecież dotąd nie odzywał się do nich wcale. Musi wymyślić jakieś awaryjne kłamstwo. Coś, co uwiarygodni potrzebę rozmowy z Sabina.

Mogłem przecież zostawić coś u nich w domu, rozważał. Mógłbym powiedzieć, że zapomniałem zabrać ze sobą zegarek.

Szukał długo tego zegarka, aż w końcu znalazł go w kosmetyczce w łazience. Jednak równie dobrze mógł zostawić go u ojca i Sabiny.

Odczekał chwilę, odgrywając w myślach kilka ewentualnych dialogów. Na wypadek gdyby odebrał ojciec. Albo ona.

Gdy w końcu się przemógł i wystukał numer, odebrała Sabina.

– Sabina, to ja, Tobias.

Słyszał sam, że mówi z zadyszka.

– No cześć.

– Co u was słyhać?

– Wszystko w porządku. Twój ojciec robi spore postępy, nie poznałbyś go teraz.

– To wspaniale. Domyślałem się, bo gdy rozmawiałem z nim dziś rano, był na dole w kuchni.

– Odzyskuje ochotę do życia. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga.

– Ależ mam. A gdzie jest teraz?

– Właśnie odprowadziłam go do sypialni.

– Dobrze się składa, bo chciałem pomówić z tobą.

– Tak?

– Sabina, fatalnie się czuję. Nie mogę pisać, w ogóle do niczego się nie nadaję. Ze mną jest tak, że raczej tracę ochotę do życia.

Zaśmiał się lodowato.

- Tobias – powiedziała błagalnym tonem.
- Wiesz, jak przyszedł Hardy... Kiedy my...
- Tak?
- Ja go chyba... zabiłem.
- Ależ skąd!

– Sabina, ty nic nie rozumiesz. Ja roz... rozciąłem mu gardło, krew tryskała na wszystkie strony, wiem, że tak było. Przecież ty też to wi... widziałaś. – Podniósł głos, zaczął prawie krzyczeć. – Widziałaś przecież ten drelich. I jeszcze przy... przyniosłaś czysty kombinezon.

Słyszał, że Sabina przełyka ślinę.

- Sabina! – krzyknął.
- Słuchaj! Pamiętaj o jednej rzeczy: Hardy’ego Lindströma nie tak łatwo wykończyć.

Tobias zacisnął powieki tak mocno, że zaczęły mu latać mroczki przed oczami.

- Jesteś tam? – zapytała.
- Tak, ja... jasne. Su... sugerujesz, że on żyje?
- Nie trzeba wierzyć we wszystko, co się widzi. Pamiętaj, że Hardy to szczególnie typ faceta.
- Widziałaś go, rozmawiałaś z nim?
- Myślę, że gdzie się zadekował. I nie mam nic przeciwko temu.

Tobias przysiadł na skraju łóżka. Znowu zaczął się pocić. Przycisnął słuchawkę do ucha ramieniem i pociągał za sweter, próbując się ochłodzić.

- A co będzie, jeśli zacznie nas szantażować?
- Sabina nie odpowiedziała.
- A jeśli zagrozi, że powie o wszystkim Carlowi Sigvardowi?
  - Nie robi tego – powiedziała z zawziętością.
  - A skąd taka niezachwiana pewność?
  - Może posunąć się do szantażu, ale nigdy nie zrealizuje swoich pogróżek.

- A skąd wiesz? Znasz go tak dobrze?
- Wystarczająco dobrze. Teraz się gdzieś zamelinował, myślę, że jest mu wstyd.
- Ojciec mówił, że próbowaliście go szukać.
- Twój tata jest taki troskliwy. Uważa, że mam za dużo roboty.
- Mówił mi, że matka Hardy’ego była u was i pytała o niego.
- Nie pierwszy raz zresztą.
- Sabina, czy to prawda, czy ty mówisz mi prawdę? Jeśli tak, to... dla

mnie to niewysłowiona ulga.

– Życie zastawia często sidła, z których trzeba próbować się wydostać – powiedziała, jakby czytała z książki. – Wiesz co, powinnam kończyć, muszę zająć się obiadem. Uważaj na siebie, Tobias. I przestań tracić czas na te wszystkie bezsensowne rozmyślenia. To na razie!

GDY ANN-MARI przysłała po raz drugi, siedzieli w kuchni. Carl Sigvard był już w stanie samodzielnie chodzić po schodach, przynajmniej w dół. Stawał u szczytu schodów, zrzucał kule, tak że lądowały na dywaniku, a później człapał na dół, trzymając się poręczy.

Będąc już na dole, potrzebował wsparcia. Miał problemy ze schyłaniem się, biodro bolało tak, że miał wrażenie, iż pęknie. Jeśli Sabina była w pobliżu, podnosiła mu kule. Czasem pomagał mu nawet Adam.

Chłopak na pewno nie czuł się dobrze. Był ospały i przybity, zaszywał się najczęściej w szwalni Svavy. Leżał tam, waląc głową o ścianę i wydając różne odgłosy. Ostatnio wcale nie nastawiał gramofonu. Carl Sigvard powinien powitać ciszę z ulgą, lecz zorientował się, że brakuje mu jednak tej muzyki.

Sabina niepokoiła się o syna – było to po niej widać, choć starała się zachowywać tak jak zwykle.

– Ale jego chyba zawsze łapie chandra, gdy nastaje jesień? – próbował ją pocieszać Carl Sigvard, gdy wróciła z góry z nietkniętym jedzeniem.

– No tak, ale przykro na niego patrzeć.

Jeszcze nie przyzwyczał się do jej nowego wyglądu. Krótkie włosy sprawiały, że jej szyja wyglądała grubo. Głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała w stosunku do ciała. Nie mógł powstrzymać się od komentarzy, choć widział, że ją denerwują.

– Twoje piękne, długie włosy – powtórzył kolejny raz, a gdy właśnie się odwracała, by mu odpowiedzieć, ktoś załomotał do drzwi.

– Proszę! – zawołała Sabina. Usłyszeli znowu stukanie, tym razem jeszcze silniejsze, więc Sabina poszła otworzyć.

Ann-Mari Lindström była pijana, co nie stanowiło żadnej niespodzianki. Musiała się przewrócić, bo miała na czole krwawiące zadrapanie.

– To ty, Ann-Mari? – zapytał Carl Sigvard.

– Mmmm – usłyszał tylko w odpowiedzi. Sabina pokazała w stronę kuchni.

– Pójdę po plaster. Wejdz i usiądź.

Staruszka zdjęła drewniaki i pokuśtykała w głąb pokoju. Mimo że był październik, nie miała na nogach skarpetek. Carlowi Sigvardowi mignęły pod jej spódnicą ściągacze brudnych damskich kalesonów. Gdy opadła na krzesło tuż obok niego, musiał odwrócić głowę – odór alkoholu i niemytego

ciała przyprawiał o mdłości.

– Skaleczyłaś się? – zapytał, wstrzymując oddech. Ann-Mari sięgnęła ręką do czoła.

– E tam, to nic takiego!

– Napijesz się kawy? Sabina właśnie miała zrobić. Prawda, Sabina, że właśnie miałaś nastawić dzbanek kawy?

– Jasne.

Szybkimi ruchami przemyła skaleczone miejsce i przykleiła plaster.

– Gotowe! – oznajmiła radośnie. – Można by pomyśleć, że brałaś udział w jakiejś bójce.

– Aha.

– Czy twój syn się odnalazł? – spytał Carl Sigvard.

Utkwiła w nim swój mętny wzrok i potrząsnęła ze smutkiem głową. Próbował się uśmiechnąć.

– Zobaczysz, na pewno wróci.

– Nie wróci.

Sabina postawiła na stole kubki.

– E tam, na pewno wróci, przecież już nie raz znikał – powiedziała tonem, z którego przebijała lekka irytacja.

Staruszka położyła swą sękatą, zdeformowaną dłoń na piersi i zaczęła się kiwać w przód i w tył.

– On nie wróci, czuję to. Tutaj.

– Ależ skąd. Nie ma co panikować i martwić się na zapas – zauważyła Sabina. – Wiesz przecież, że twój Hardy to niezłe ziółko. Jasne, że wróci.

Sabina wyglądała na zmęczoną. Poczul przyływ czułości. Gdyby byli sami, przyciągnąłby ją do siebie, gładził po krótko obciętych włosach, całował jej czoło i cienie pod oczami. Musi jak najszybciej wyzdrowieć, żeby dać jej odpocząć. Bo inaczej Sabina się wykończy.

– My też byśmy chcieli, żeby się pojawił – zwrócił się do Ann-Mari. – Czasem korzystamy z jego pomocy. Gdy tylko wróci, przekaz mu, że będziemy go znowu potrzebować. Ja miałem przecież wypadek. – Wskazał gestem kule. – Jak widzisz, nie jestem teraz zbyt sprawny. Choć mam nadzieję, że wkrótce to się zmieni.

– Hardy wam pomagał – stwierdziła Ann-Mari, podnosząc kubek do ust. Ręka drżała jej tak mocno, że płyn opryskał stół.

– I to sporo. Zuch chłopak z tego twojego Hardy’ego.

Staruszka wpatrywała się w niego z rezygnacją.

– Sabina – poprosił. – Weź nalej Ann-Mari coś mocniejszego, zrób jej

kawy z prądem.

Posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

– No, proszę cię. Też bym się napił – dodał. – Naparsteczek jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Podniosła się niechętnie i przyniosła butelkę wódki.

– No to zdrowie!

Carl Sigvard uniósł kubek z kawą.

– Zdrowie! – wydyszała Ann-Mari i pociągnęła łyk kawy. Zaraz potem chwyciła Carla Sigvarda za rękaw, a mimo swego wieku miała niezłą krzepę.

– Powiedział, że idzie po pieniądze.

– Kto? Hardy?

– No tak.

– Aha. Jakie pieniądze?

– Pomagał twojej przy owcach. Przewoził je ze Skamön, miał dostać zapłatę.

– Dostał przecież swoją zapłatę – oznajmiła Sabina. – Dostał pieniądze, przecież specjalnie jechałam po nie do banku.

Ann-Mari podmuchała na kawę. Piła, głośno siorbiąc.

– I co, zniknął z tą forszą?! – wybuchnął Carl Sigvard. – No to mamy rozwiązanie zagadki. Dał drapaką, bo nie mógł się oprzeć pokusie, by przeputać tę kasę. Jak sądzisz, Ann-Mari? Chyba znasz dobrze swojego synalka?

Kobieta milczała. Przyglądała im się, kręcąc ze smutkiem głową. W jej zgarbionej postaci było coś tak żalosego, że Carl Sigvard szczerze jej współczuł.

Gdy wyszła, w kuchni pozostał jej zapach. Sabina otworzyła okna na przestrzał. Na podwórzu czekały psy, ostro i wyzywająco.

– Jesteś zmęczony? – zapytała. Wyczuł coś obcego w jej głosie. – Pomóc ci się położyć?

– Nie czuję się zmęczony.

– Wyglądasz, jakbyś był.

– Myślę o Ann-Mari.

Sabina pokiwała głową.

– Żalosego postać.

– Kiedyś, dawno temu, bywała u nas. Znała się dobrze na zwierzętach, zwłaszcza na koniach. Była niesamowicie silna, szkoda, że nie znałaś jej



wcześniej.

– Słyszałam sporo na ten temat.

– Przychodziła pomagać Svavie. Była taka radosna, choć tak naprawdę to nie miała z czego się cieszyć. Mieszkała z Gustavem Åströmem. Chłop potem zmarł, przejechał go autobus. Był pijany jak bela, kręcił się często nawalony po okolicy.

– Ale przecież ona też pije. Bez sensu było częstować ją wódką.

– E tam, co będziemy jej żałować kilku kropel.

Sabina naląła wody do zlewu i zaczęła zmywać. Wyprostowane plecy, szybkie, efektywne ruchy.

– Ile mu dałaś? – zapytał.

– Komu?

– Hardy’emu.

– Dwa tysiące.

– Założę się, że te pieniądze już się rozeszły. Jestem pewien, że je przehuła.

– Pewnie tak.

– Co tu dużo mówić, szlag mnie trafia, że musimy zatrudniać takiego gnojka.

– Jest, jak jest.

– Nie mamy za bardzo wyboru. Ale wiesz, że nigdy go nie lubiłem.

– Wiem, wiem. Prosiłam go o pomoc głównie ze względu na Adama. Bo on jest w zasadzie jego jedynym przyjacielem.

Carl Sigvard sięgnął po dzbanek i dolał sobie trochę kawy.

– Przyjacielem! – powtórzył z przekąsem.

– No?

– Ktoś taki jak Hardy nie wie, co to przyjaźń. O nie, tu wchodzi w grę wyłącznie czyste wyrachowanie. Zawsze go broniłaś, ale przecież jemu chodzi tylko o pieniądze, które mógłby zarobić na Adamie. Nie dociera to do ciebie? Te wszystkie trasy koncertowe, o których opowiada – myślisz, że zrobiłby to tylko dla Adama? Ależ skąd! Moja droga, jeśli o to chodzi, wykazałaś się sporą naiwnością.

– Człowiek nie zawsze ma wybór – odcięła się.

– A dlaczego dałaś mu tyle forsy? Dwa tysiące koron za pomoc przy zwierzętach! Wydaje mi się, że trochę przeholowałaś.

Sam nie wiedział, co w niego wstąpiło. Nigdy wcześniej nie robił jej wyrzutów, nie krytykował jej. Wypuściła z rąk szczotkę i odwróciła się. Twarz jej pobleadła.

– Mam się stąd wynieść? Mam zabrać Adama i wyprowadzić się? O to ci chodzi?

Jego rozdrażnienie minęło jak ręką odjął.

– Sabina! – wyszeptał.

Sabina szarpała za tasiemki fartucha. Nie mogła ich rozsupłać, pociągnęła tak, że materiał się rozerwał.

– Ależ uspokój się – powiedział speszony. – Nie miałem złych intencji, jasne, że Hardy’emu należała się zapłata.

Nie słuchała, biegła już ku wyjściu. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że aż cały dom się zatrzęsł.

ZALAŁA go fala ulgi. Nie był zabójcą, nie był mordercą. Hardy Lindström żył. Gdyby sprawa trafiła do sądu, może skazano by Tobiasa tylko za pobicie. Mógłby jednak utrzymywać, że działał w obronie własnej. Słowo przeciwko słowu.

A jeśli Hardy pójdzie do Carla Sigvarda, jeśli opowie, co widział w siodłami? Gdy nagle się pojawił, w jego oczach widniało coś zachłannego, tego samego rodzaju pożądlivość jak wtedy, gdy opowiadał starą legendę o wyspie nagich kobiet.

No cóż, trudno będzie temu zaradzić, pozostawało tylko mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie. Sabina wydawała się tak pewna swego, przekonując go, że Hardy nie będzie się z niczym wychylał. Znała go przecież lepiej. Poza tym Hardy mógł mieć wzgląd na Adama i plany zorganizowania intratnej trasy koncertowej.

Tobias szukał papierosa, jednak paczka była pusta. Tak czy inaczej, powinien pójść i kupić coś na kolację. Może zdążyłby też skoczyć do monopolowego po parę mocnych piw. Potrzebował usypiacza.

Śnieg zdążył się roztopić i zamienił się w drobny kapuśniaczek. Tobias przeszedł się do Konsumu, kupił kilka jogurtów owocowych, ser i bagietki. Potem ruszył w stronę centrum handlowego Kringlan, gdzie mieścił się sklep monopolowy. Zatrzymał się przy księgarni. Jego ostatnia książka była niegdyś dobrze wyeksponowana na wystawie, lecz już dawno została zastąpiona jesiennymi nowościami. Księgarz zauważył go i zachęcił gestem, by wszedł do środka.

– Witam pana pisarza. Co słychać?

– A co u pana?

– Całkiem nieźle. Jesień obfituje w ciekawe książki. Sporo znanych nazwisk. To fascynujące.

Tobias pokiwał głową.

– A jak moja książka, sprzedaje się dobrze?

– Muszę przyznać, że przed wydaniem kieszonkowym nastąpił wyraźny spadek, ale teraz znowu ruszyło. Wydaje mi się, że ludzie wolą poczekać; jeśli wiedzą, że szykuje się wydanie kieszonkowe, wstrzymują się z zakupem.

– No to mi pana żal – zażartował Tobias.

Księgarz zarechotał.

– Mnie pana też, co najmniej w równym stopniu. Pracuje pan teraz nad czymś nowym?

Tobias uśmiechnął się tajemniczo.

- Nigdy nic nie wiadomo.
- Czy tym razem będzie to też kryminał?
- Raczej tak, bo na wierszach trudno zbić majątek.
- No tak. Poezja!

Księgarz musiał odejść do klienta, który chciał kupić kilka dużych kopert. Tobias pomachał mu na pożegnanie i poszedł do monopolowego, gdzie było sporo ludzi. Z westchnieniem pobrał numerok kolejkowy. Po upływie kwadransa został obsłużony. Kupił kilka puszek piwa Stockholm i karton wina La Chasse.

Po powrocie do domu pomyślał, że powinien się spotkać z Görel. Zadzwoił, odebrała Klara – jakby siedziała i czekała przy telefonie.

- Cześć. Mama jest w domu?
  - Tak.
  - Sama?
  - No nie, ze mną.
  - Nie zgrywaj się, wiesz, o co mi chodzi.
  - Nie ma go tutaj, jeśli to jego się obawiasz.
  - Ej, słuchaj, nikogo się nie obawiam.
  - On zna się na mordercach i psychopatach!
- Minął ułamek sekundy, zanim zorientował się, że żartuje.
- Zamierzam do was wpaść.
  - Okej.
  - Jeśli można.
  - Okej.
  - Klaro, przestań już okejować!
  - Okej, przepraszam.
  - Myślisz, że mama może mieć coś przeciwko temu?
  - Zapytaj ją!
  - Ty zapytaj.
  - Poszła do kibla.
  - No dobra, wpadnę na chwilę.
  - Będzie nam bardzo miło – powiedziała nienaturalnym, dorosłym głosem.

Przed wyjściem wypił jedno piwo. Zszedł drewnianymi schodami i ruszył w stronę Stora Nygatan, minął pospiesznie bibliotekę, modląc się w

duchu, by nie wpaść na Marit. Nie spotkał jej na szczęście, ale natknął się na jej koleżankę, chudą kobietę o nieokreślonym, przygnębnym wyglądzie. Odpowiedziała trwożliwie na jego pozdrowienie.

Autobus linii 751 do Brunnsäng czekał na przystanku. Görel mieszkała nadal w szeregowcu na Nydalavägen, dokąd wprowadzili się tuż przed narodzinami Klary. Domki były niewielkie, lecz dobrze rozplanowane, w sam raz dla małej rodziny z dziećmi – cztery pokoje, z małymi ogródkami z tyłu i od frontu. Görel zaczęła natychmiast uprawiać róże pnące. Plan był niezwykle ambitny – cała fasada domu miała się skryć pod ciemnoczerwonymi kwiatami. Görel nie tylko rozprawiała o tym, lecz namalowała również swoją wizję farbą olejną na drewnianej palecie. Pomysł spalił jednak na panewce, bo nie miała dobrej ręki do kwiatów. Wątle sadzonki zostały zaatakowane przez larwy, liście zwijały się i obumierały. Görel od razu się poddała, co nie było żadnym zaskoczeniem – zwykle zapalała się do projektów na większą skalę i rezygnowała z nich przy najmniejszym niepowodzeniu.

Cieszył się z tego, że żona i córka mogły pozostać w tym domu. Była to bezpieczna, porządna dzielnica tanich domów własnościowych. Mimo że Görel przez dłuższy czas przebywała na zwolnieniu, radziła sobie całkiem nieźle finansowo. Od czasu do czasu dostawała trochę grosza od rodziców.

Nie widział się z Görel od lata, spotkania z nią zwykle działały na niego przygnębiająco. Odczuwał pewnego rodzaju bezradną tkliwość, wspominając siebie samego jako naiwnego, prostolinijnego dwudziestopięciolatka z dawnych czasów. Męczyły go też wyrzuty sumienia, że nie wytrwał w tym związku.

Teraz, w tej chwili, czuł się jednak silny. Chciał zobaczyć, jak Görel wygląda, chciał usłyszeć, jak osobiście opowiada o swoim nowym mężczyźnie. Bo przecież, do diabła, był w stanie się z tym zmierzyć. No proszę, psychiatra! Kogoś takiego Görel właśnie potrzebowała. Może w przyszłości Tobias mógłby wrzucić na luz i przekazać odpowiedzialność za rodzinę temu nowemu facetowi. Cholernie by mu ulżyło!

W jego odczuciu Görel była zbyt delikatna, zbyt wrażliwa i egocentryczna. Spotkał ją na imprezie u dawnych kolegów z klasy. Była artystką, nazywał ją „malarzycą”, „malarzycą Görel”. Lubiała ten epitet, bo kojarzył jej się ze słowem „lwica”. Sama jednak nie przypominała lwicy – smukła i szczupłutka, miała uważne, czujne spojrzenie, jakby czuła się prześladowana i zagrożona.

Wtedy, na samym początku, odczuwał fascynację. Görel wzbudzała w

nim instynkty opiekuńcze.

Otrzymał zaproszenie na jej pierwszy wernisaż w jednej z galerii na Hornsgatan, nie pamiętał już jej nazwy. Kupił nawet obraz Görel, choć nie było go wcale na niego stać. Przedstawiał coś, co przypominało łono, ciepłe i szeroko otwarte. Patrząc na niego, odczuwał żądzę, czysto erotyczne podniecenie.

Görel opuściła cenę.

– Chcę, żebyś ty go wziął – powiedziała prosto z mostu. – Malując go, myślałam o tobie. Jeszcze się nie spotkaliśmy, ale wiedziałam, że gdzieś jesteś. Tak jakbym tworząc ten obraz, próbowała cię przywołać.

Powiedziała to zupełnie poważnie. Już samo to powinno być dla niego sygnałem ostrzegawczym.

Gdy byli jakieś sześć lat po ślubie, wróciwszy któregoś dnia do domu, zastał ją z nożem w ręce. Rozerwała obraz na strzępy, pocięła go na drobne kawałeczki. Już wtedy zaczęło docierać do niego, że nie starczy mu siły, by żyć z psychicznie chorą kobietą, a mimo to wytrzymał przez dwanaście lat.

Gdy się rozwiedli, jej rodzice całkowicie odsunęli się od niego, co sprawiło mu ból. Wydawało mu się, że go lubili, traktowali go jak syna.

Na ceramicznej tabliczce na drzwiach widniało nazwisko Elmkvist. Klara zrobiła ją w szkole i podarowała rodzicom na któreś Boże Narodzenie. Namalowała na niej małą biedronkę; jeszcze teraz pamiętał, jak nie mogła się doczekać, aż otworzą prezent.

W całym domu były pozapalane światła. Kielkujące w nim zniechęcenie sprawiło, że zawahał się przed naciśnięciem dzwonka. Może to bez sensu? Może lepiej wrócić do domu?

W tym momencie otworzyły się drzwi, w których stanęła Klara z workiem śmieci w ręce.

– Cześć – rzuciła. Na twarzy ani śladu białego makijażu, włosy mokre i zmierzwione.

– Cześć.

– Nie słyszałam dzwonka.

– Bo nie dzwoniłem.

– Aha. Wejdz, ja tylko wyrzucę śmieci.

Wracając do dawnego domu, zawsze miał ambiwalentne odczucia. Wspomnienia tkwiły w ścianach i w tapetach, a gdy tylko wchodził, wylaziły stamtąd i zwały się na niego, pozbawiając tchu. Jednocześnie gdzieś w

głębi duszy odczuwał tęsknotę za przeszłością, tak jakby w dniu zerwania stracił grunt pod nogami.

Görel dwa razy wynoszono przez te drzwi na noszach. Truła się tabletkami, a on po powrocie do domu zastawał ją nieprzytomną w małżeńskim łóżku. Trzeba jednak przyznać, że nie brakowało jej poczucia taktu, gdyż podejmowała swoje próby samobójcze podczas wizyt Klary u dziadków.

Kiedyś zadzwoniła do niego, gdy pracował jako strażnik w terminalu pocztowym w Årsta. Sprawiała wrażenie ociążonej i otępiełej, lecz równocześnie całkowicie zdeterminowanej, by wprowadzić w życie swój plan.

– Mam w ręce nylonowy sznur. Jak myślisz, Tobias, ile kilogramów udźwignie taka lina, myślisz, że wytrzyma pięćdziesiąt cztery kilo, jak sądzisz? Wiesz, ile ważę? No, dokładnie pięćdziesiąt cztery przecinek dwa, a nade mną, na suficie, wisi hak. Sam go zamontowałeś, pamiętasz? Ten mosiężny żyrandol, który tu kiedyś wisiał, ten, który ci się nie podobał – co z nim zrobiłeś, sprzedałeś go, dałeś komuś czy co?

Był w pracy i czuł, jak narasta w nim wściekłość. Zrób to, do kurwy nędzy, pomyślał, zrób to, wreszcie będzie spokój, koniec tego cyrku. Ale jak przyszło co do czego, nie odważył się powiedzieć tego głośno.

– Görel, posłuchaj mnie – zaczął, obserwując wydłużającą się kolejkę samochodów pocztowych przy głównej bramie. – Nie podejmuj pochopnych decyzji.

Został mistrzem w prowadzeniu negocjacji ze śmiercią.

Hak w suficie został już dawno usunięty. Udało mu się umieścić Görel w szpitalu. Przez kilka miesięcy opiekował się samotnie Klarą. Wydawało mu się, że teściowie stoją po jego stronie, jednak po rozwodzie zrozumiał, że się mylił.

Klara wzięła od niego kurtkę.

– No, wchodzi dalej, nie krępuj się.

– Nie krępuję się.

– Umyłam włosy.

– Widzę.

– Mówiłeś, że by się przydało.

– E tam!

Dal jej lekkiego kuksańca.

– Mamo! – zawołała. – *Dad is here.*

Przeszedł do salonu, skąd dolatywało ćwierkanie ptaków i rytmiczne uderzenia w bęben.

– Kupiliście sobie papużki?

– Nie, no co ty? To nagranie z Amazonii, prawda, że zajebiste?

– To twoja płyta?

– Tak.

– Można kupić coś takiego w naszej pipidówce?

– Dostałam ją od Rickarda.

– Od Rickarda?

– No wiesz, mamy... Kupił ją w Multi Kulti.

– Można zapytać, co to takiego to Multi Kulti?

– Nie wiesz? Sklep muzyczny, sprzedają muzykę z całego świata.

– Hm.

– Był też w Amazonii. Opowiadał nam, jak tam jest, zdaje się, że ekstra.

– Coś takiego. Jest nie tylko psychiatrą, ale i globtroterem.

– Tato, ty jesteś normalnie zazdrosny!

Usłyszał kroki na schodach i odwrócił się. Stała na nich Görel z wyrazem zdumienia na twarzy. Miała na sobie długą czerwoną sukienkę z weluru. Wyglądała dumnie, jej postawa emanowała pewnością siebie.

– Dzień dobry, Tobias. – Podała mu rękę, jakby nigdy się nie znali, jakby jej kanciaste plecy nigdy nie spoczywały na jego brzuchu, jakby nigdy nie wycierał łez i smarków z jej zapłakanej twarzy.

– Dzień dobry – odparł nieco zbity z tropu.

– Nie bywasz tutaj zbyt często.

– Jestem zajęty pisaniem.

Lustrowała go uważnie. Wąskie wargi były blade i spierzchnięte. Na serdecznym palcu prawej ręki widniał ogromny mosiężny pierścień zdobiony wzorem z runów.

– Zaparzyłam herbatę. Napijmy się razem.

Ta sama kanapa, wysiedziane, sfatygowane poduchy. Zaraz po narodzinach Klary, gdy tylko przywieźli ją ze szpitala, kładł na niej w poprzek córkę. Owijał ją we flanelowy kocyk i kładł przy sobie jak dziecko w powijakach. Podawał jej butelkę, próbując nauczyć ją ssać.

Görel nie była w stanie karmić piersią, za bardzo bolały ją brodawki.

– Jak leci? – zapytał, odstawiając kubek na zakurzoną, zagraconą ławę. Na podłodze leżał stos gazet i nożyczki. Spod miedzianej misy wystawało kilka wyciętych nekrologów.



Görel złożyła ręce na kolanach i wyprostowała ramiona.

– Dobrze – powiedziała i wciągnęła powietrze.

– A co to takiego? – Tobias wskazał na nekrologi.

– Robię kolaż.

– Z nekrologami?!

– W nekrologach kryje się mnóstwo symboli. Jako pisarz powinieneś o tym wiedzieć.

– Ano tak.

– A co u ciebie? – zapytała.

– Byłem przez jakiś czas u ojca. Miał wypadek, może słyszałaś.

– Klara mi mówiła.

– Czuje się już lepiej.

– To dobrze. Wiesz, że zawsze bardzo lubiłam Carla Sigvarda. Emanował z niego taki spokój, taka duma. Przypominał mi wodza Siuksów, Siedzącego Byka.

– Coś takiego!

– Bardzo się przejęłam, gdy się dowiedziałam, co się stało. Akurat jego powinien oszczędzić los, przytrafiło mu się już wystarczająco dużo nieszczęść.

Tobias skinął niezdecydowanie głową.

– A Sabina, co u niej?

– Chyba w porządku. Ma teraz malutkiego pieska.

– O, pieska, jak fajnie. – Do pokoju weszła Klara z talerzem pierniczków. – A co to za pies, jak się nazywa?

– Nie pamiętam, taki zwykły piesek. Aha, nazywa się Frett.

Na chwilę zapadła cisza. Skończyła się płyta z egzotycznymi dźwiękami. Tobias chciał podnieść swój kubek, ale poczuł, że zaczyna się trząść. Ręka drżałaby mu za bardzo, gdyby próbował się napić. Do tego miał ochotę na papierosa.

– Tobias...

– Tak?

Gdy Görel pochyliła się nad stołem, zauważył siateczkę drobnych zmarszczek wokół jej oczu. Czekał, aż coś powie. Siedziała nieruchomo, nie odrywając od niego wzroku.

– O co chodzi? – zapytał w końcu.

– Poczułam taki smutek, patrząc na ciebie.

– Dlaczego?

– Nie umiem tego wyjaśnić.

Położył obie dłonie na stole, zaciskając je na kancie blatu. Spodziewał się, że go dotknie, że położy swoją dłoń na jego, jednak się cofnęła.

– Nie jesteś w harmonii sam ze sobą – stwierdziła cichutko. – Widzę to i właśnie to mnie martwi.

Harmonia. To takich głupot nawbijał jej do głowy ten pieprzony psychiatra? „Trzeba być w harmonii z samym sobą”.

– Masz kłopoty, Tobias, coś cię gryzie.

Podniósł się.

– Muszę zapalić, zaraz wrócę.

Wyszedł na wyłożony kamieniem taras. Na trawniku stały meble ogrodowe, których nie powinno stawiać bezpośrednio na trawie. Zwracał jej tyle razy uwagę: „Nogi zbutwieją, Görel, one są zrobione z drewna!”. Lada moment się rozpadną, powinna je wnieść pod dach. Gdy jeszcze byli razem, przechowywali je w garażu – zrobił pod sufitem stelaż, na którym można było zawiesić mnóstwo rzeczy. Ale Görel nie miała samochodu, więc wynajmowała garaż.

Zaciągał się głęboko, myślał o sąsiadach, zastanawiał się, czy obok mieszkają nadal ci sami ludzie. Nie utrzymywali w zasadzie zbyt ożywionych kontaktów towarzyskich, bo Görel była zbyt niezrównoważona psychicznie.

Harmonia z samym sobą, pomyślał. Zatrząsał się z zimna, stał w samych skarpetkach na zimnym kamieniu, powinien był włożyć buty.

Trzeba wracać do domu, po jaką cholere tu przyszedłem? Widział ją w środku, siedziała z wyrazem rozmarzenia na twarzy. Klara stała przy odtwarzaczu CD, odezwała się do matki, ta odpowiedziała. Nie wytrzymam tu, przeleciało mu przez głowę, muszę natychmiast się stąd wynosić.

NASTĘPNEGO dnia wyruszył w drogę do Jönköpingu. Był piękny, chłodny dzień, szron pokrywał drzewa. Koło dworca poślizgnął się i wywrócił, stłukł sobie porządnie kość ogonową.

Ku swojej uldze zobaczył na bilecie, że nie musi siedzieć koło okna. Nie znosił siedzieć wciśnięty obok kogoś, lubił wstawać i przechadzać się, nie przeszkadzając innym podróżnym. Jednak gdy odszukał swoje miejsce w wagonie czwartym, było już zajęte. Przez kobietę w jego wieku.

– Przepraszam, to moje miejsce – zwrócił jej grzecznie uwagę. Kobieta podskoczyła i mocno się zaczerwieniła.

– Nie, bardzo pana proszę – wybuchnęła. – Mam skłonności do klaustrofobii. Prosiłam o miejsce przy przejściu, niby nie było problemu, a mimo to doszło do pomyłki.

Uznał, że bez sensu będzie tłumaczyć, że i on miewa klaustrofobiczne odczucia. Wzruszył ramionami i przecisnął się obok niej.

Zabrał ze sobą książkę, o której miał mówić. Dawnych notatek nie udało mu się znaleźć, więc będzie musiał naprędce sklecić nowy wykład. Odchylił się do tyłu i zapatrzył na zamarznięty krajobraz rozpościerający się za oknem panoramicznym. Zamyślił się, próbując wymyślić sensowny początek.

Po chwili zauważył, że kobieta mu się przygląda.

– Przepraszam – usłyszał jej głos – czy pan przypadkiem nie jest tym pisarzem?

– Ma pani na myśli jego? – Podsunął w jej kierunku *Noc* i wskazał swoje nazwisko. Przyjrzała się książce zmrużonymi oczami krótkowidza, wyciągnęła rękę i przedstawiła się.

– Åsa Sevedsson. Jestem nauczycielką szwedzkiego. Ale niestety nie... eee... korzystałam z pana książek na lekcjach.

– Nie napisałem ich zbyt wielu.

– No tak, a ten gatunek... Ale widziałam pana w telewizji, w *Czerwonym pokoju*<sup>5</sup>. Dlatego pana rozpoznałam. Nie pisze pan już nowel? Bardzo mi się podobały.

– Na nowelach trudno się dorobić, nie mówiąc już o poezji.

Spojrzała na niego sponad oprawek okularów.

– Dorobić się? Wyobrażałam sobie, że poważni pisarze piszą pod

wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu, że czują taką potrzebę.

– Właśnie! Trafiła pani w samo sedno.

– Chyba się nie zrozumieliśmy.

– Naprawdę?

– To właściwie nie moja sprawa, ale pan się zaprzeda.

– Zaprzedaję się?

– Otóż to.

– W pani ustach to brzmi tak, jakbym się prostytuował! Czy kryminał ma być gorszym rodzajem literatury? To właśnie pani sugeruje?

– Ujęłabym to tak: nie jest to raczej gatunek gwarantujący Nobla.

Zacęła go wkurzać.

– Nie liczę na żadnego Nobla. Moim celem jest utrzymać się z pisania. I dostarczyć czytelnikom dobrej opowieści, którą będą się delektować. Niby dlaczego literatura sensacyjna nie miałaby być równie znakomita jak powieści Singera albo Márqueza? Kryminałami gardzono dawno temu, ale podejście do nich radykalnie się zmieniło, jako nauczycielka powinna pani zdawać sobie z tego sprawę.

Zdjęła okulary i czyściła je pieczęłowicie.

– Nie czytałam pana ostatniej książki – oznajmiła. – Ale pamiętam, co sobie pomyślałam, gdy się ukazała. No tak, kolejny dobry pisarz, który wpada w pułapkę literatury sensacyjnej. Po prostu szkoda.

– Zanim się pani wypowie, powinna pani przede wszystkim przeczytać książkę, która zresztą została przyjęta całkiem przychylnie przez krytykę. A teraz proszę wybaczyć, muszę trochę popracować.

Trudno było pozbierać myśli po tej wymianie zdań. Czuł jej bliską obecność, zauważył, że śledzi jego najmniejszy ruch. Ogarniała go coraz większa desperacja. W jaki sposób powinien zaplanować swoje wystąpienie? Nie mogę przecież tylko czytać na głos, pomyślał, takie coś na pewno rozsierdzi czytelniczki.

Wertował książkę, przeglądając niektóre fragmenty. Miał nieprzemogłą ochotę na papierosa. Odwrócił głowę do ściany i przymknął oczy, lecz cały czas czuł, jak od siedzącej obok kobiety przepływają w jego kierunku fluidy wrogości. Nie był przyzwyczajony do tego, że jest rozpoznawany. Owszem, kilka razy zdarzyło się coś takiego w Södertälje, ale wyłącznie tam. Jego pisarstwo nigdy dotąd nie prowadziło do niezręcznych sytuacji, wręcz przeciwnie. Sporadycznie dzwonił jakiś szaleniec, który się stawiał albo zadawał natrętne pytania. A tuż po ukazaniu się książki nadszedł list od anonimowego antykwariusza, który poczuł się dotknięty jej treścią. Jednak

zwykle nikt się go nie czepiał. Współpasażerka nadszarpnęła jego równowagę, sprawiła, że czuł się jeszcze bardziej rozbity i zdekoncentrowany niż do tej pory.

Wysiadła dopiero w Mjölby, gdy zostało już niewiele drogi.

Solveig ze stowarzyszenia kulturalnego „Zapaleńcy”, która zaprosiła go na wieczór autorski, obiecała, że odbierze go z dworca. Gdy znalazł się na peronie, uświadomił sobie, co kryje się za nieco osobliwą nazwą stowarzyszenia. Żartobliwe, nieco naciągane miano nawiązywało zapewne do faktu, że Jönköping to od dawna znany ośrodek produkcji zapalek.

No cóż, pomyślał. Trzeba złapać byka za rogi, nie ma innego wyjścia. Zapalił papierosa, brak nikotyny przez tyle godzin był dla niego istną torturą. Pociąg do Jönköpingu czekał już na pasażerów w Nässby, więc przemieszczając się pomiędzy peronami, zdążył zaledwie zaciągnąć się szybko kilka razy.

Było mu zimno. Za terenem dworca rozpościerało się jezioro Vättern, znad którego nadciągały lodowate podmuchy wiatru. Postawił kołnierz i rozejrzał się dookoła. Podreptał trochę w miejscu, trzymając torbę na ramieniu. Po chwili usłyszał za sobą kobiecy głos:

– Witaj, Tobias, bo to chyba pan?

– Tak, to ja.

Kobieta wyciągnęła rękę na powitanie.

– A ja jestem Solveig. Witamy w Jönköpingu. Jak minęła podróż?

– Dobrze.

Zbliżała się do sześćdziesiątki. Miała na sobie kloszowatą spódnicę z materiału w grube prążki i płaskie buty ze srebrnymi sprzączkami. Suche, rozczochrane włosy. Gdy siedzieli już w samochodzie, poczuł woń olejku piżmowego. Te same perfumy, których zwykle używała Görel. Poczuł nieznaczne mdłości.

Solveig przyjechała golfem, zaparkowanym kawałek dalej na ulicy. Z pewnym trudem uruchomiła silnik.

– Nie mam pojęcia, dlaczego strajkuje – gderała. – Robi się z niego gruchot. Zresztą nie tylko z niego. – Spojrzała na niego i roześmiała się. Miała szerokie, skore do śmiechu usta.

Tobias też próbował się roześmiać. Czuł jednak, że nadciąga ból głowy. Żałował, że nic nie zjadł, choćby hamburgera czy czegoś podobnego, co podawano w bezpłatnym bistro w pociągu.

Popołudniowe godziny szczytu już minęły – o ile takowe w ogóle zdarzają się w prowincjonalnych miastach. Gdy samochód wreszcie ruszył, Solveig nieźle się rozpedziła. Przed wjazdem na autostradę wykonała kilka karkołomnych manewrów wyprzedzania. Musiał się opanować, by nie chwycić jej za ramię i poprosić, żeby zwolniła.

Dojechali wreszcie na miejsce.

– Mam nadzieję, że nie jest pan głodny – rzuciła, zamykając samochód.

– Zamierzałam poczęstować pana kawą, ale właśnie zepsuła się nam kuchenka. Zakładam, że jadł pan w pociągu.

– Tak – rzucił na odczepnego.

Lokale stowarzyszenie kulturalnego „Zapaleńcy” mieściły się w suterenie budynku na zwykłym osiedlu, w dzielnicy Österängen. W bramie wisiała przyklejona taśmą ulotka:

„Noc”. Pisarz Tobias Elmkvist opowie o swojej twórczości i książkach. Zapraszamy! Czwartek 4 października, godzina 19.00. Wstęp: 30 koron.

Czy coś takiego mogło zachęcić czytelników?

Podłużne pomieszczenie miało prostokątne okienka tuż pod sufitem. Na przedzie stał, niczym katedra, stół, a przed nim rozstawiono rzędy sfatygowanych drewnianych krzeseł. Tobias zdjął i odwiesił kurtkę.

– Często urządzaście wieczory autorskie? – Silił się na uprzejmość.

– Kilka razy do roku. Nie mamy funduszy, a to spory problem dla takich małych organizacji jak nasza. Dlatego musimy pobierać opłaty za wstęp. Wiosną była tu Elsie Johansson. Przyszły wtedy takie tłumy, że ludzie stali nawet w korytarzu. Dwieście osób, całe szczęście, że straż pożarna nic nie wiedziała. – Zaśmiała się głośno i przeciągle. – Zebraliśmy wtedy sześć tysięcy – absolutny rekord!

Tobias odczuwał narastający niesmak. Dwustu słuchaczy, on będzie się cieszył, jeśli przyjdzie dziesięciu.

Solveig nie przestawała trajkotać. Była motorem stowarzyszenia, jednym z jego założycieli w latach siedemdziesiątych.

– Bywało ciężko, daję słowo. Dostawało się nam przy różnych okazjach, ludzie są tacy podejrzliwi. – Zniżyła głos. – A do tego akurat tutaj cholernie religijni, naprawdę. Tutaj rządzi Pan Bóg, trzyma nad miastem swą karzącą rękę. Wie pan, smålandzka Jerozolima. Jednak wbrew wszelkim prognozom przetrwaliśmy i świętowaliśmy nawet w zeszłym roku jubileusz trzydziestolecia. Zorganizowaliśmy maratony czytelnicze, tutaj i w Rådhusparken, co zresztą cieszyło się nadzwyczajną popularnością.

– Gratuluję – bąknął Tobias.

Było w pół do siódmej. Solveig przyniosła szklanekę wody i postawiła ją na katedrze.

– Niewiele, ale liczą się dobre intencje. – Zachichotała. Następnie zablokowała otwarte drzwi, przysunęła do wejścia stolik, na którym umieściła bloczek z biletami i zieloną, wysłużoną kasetkę na pieniądze.

Uśmiechnęła się do niego, próbując dodać mu otuchy.

– Jak się pan czuje? Wygląda pan na zmęczonego.

– Nie ma powodu do obaw – skłamał. – Jestem teraz intensywnie zajęty pisaniem.

– Cudownie! Zawsze marzyłam o pisaniu. Mam na myśli coś większego, całą książkę. Od czasu do czasu popełniam jakiś wiersz, kilka nawet opublikowano w „Jönköpings-Posten”.

– Ach tak, wspaniale.

– No to zobaczymy, ile się dzisiaj pojawi duszyczek. Tak naprawdę to prawdziwa loteria. Czasem przychodzi niewiele osób, a czasem sala pęka w szwach. Na pewno zależy to też od tego, co akurat pokazują w telewizji. Sama nie oglądam jej w ogóle, wzbogacam swoje życie w inny sposób.

Była niczym parodia siebie samej, przezimowaną pozostałością po radykalnym, lewicowym okresie z Teatrem Narodowym, zespołem muzycznym Grus i dojjan i całym ówczesnym kramem. Brakowało tylko palestyńskiej chusty. A mimo to odczuwał osobliwe ciepło, widząc ją siedzącą przy drzwiach, dłubiącą przy swojej kasetce na pieniądze. Chciał, by ten wieczór się udał, musi naprawdę dać z siebie wszystko.

Od razu poczuł zdenerwowanie. Rozsadzało mu bębenki, jakby zaczynało się zapalenie ucha. Wymknął się do toalety i połknął kilka tabletek alvedonu. Gdy wrócił, w lokalu zdążyło się pojawić sporo słuchaczy. Nie odważył się ich policzyć, może było ich z tuzin. Stał z książką w rękach, a jego palce odciskały się na okładkach, jakby zaczęły rozmiękać i miały lada moment się rozpaść. Solveig obrzuciła go spojrzeniem i zerknęła na zegarek. Wpuściła jeszcze jedną kobietę – na sali nie było ani jednego mężczyzny. Wstała i podeszła do katedry, jej zniszczone włosy sterczały na wszystkie strony niesfornymi kosmykami. Złożyła dłonie, a wtedy gwar ucichł.

– W imieniu stowarzyszenia „Zapaleńcy” mam zaszczyt powitać pisarza Tobiasa Elmkvista, który opowie nam o swojej twórczości. Życzę miłego wieczoru i oddaję głos autorowi.

Stał obok niej, ale gdy rozległy się niepewne, rzadkie oklaski, opadł na krzesło i położył książkę przed sobą na stole. Gdy zaczął mówić, łamał mu się trochę głos. Przełknął ślinę i pociągnął łyk wody ze szklanki.

– Chciałbym zacząć od przeczytania państwu kilku stron z tej książki.

Przeczytał dwa pierwsze rozdziały, co trwało mniej więcej pół godziny. Widział, że publiczność słucha, ale nie był zadowolony, bo przecież nie za to zapłaciła trzydzieści koron. W trakcie czytania pojawiały się pomysły, miał pod ręką kartkę i długopis. Po kilku kolejnych stronach odłożył książkę i zaczął mówić z głowy.

– Są ludzie, którzy nie lubią kryminałów, choć trudno to sobie wyobrazić. Spotkałem taką kobietę w pociągu, niemal ziała nienawiścią, spodziewałem się, że lada moment wyciągnie pistolet i wpakuje we mnie cały magazynek. Czy panie czytują kryminały?

Kobiety pokiwały głowami, jedna podniosła rękę. Potem już jakoś poszło. Kątem oka widział, jak młoda dziennikarka zapisuje wszystko gorączkowo w notesie. Nie rozróżniał twarzy ani osób, wszystko stopiło się w jedną ciemną masę z białymi plamami twarzy. Mówił swobodnie, wypowiadając myśli tak, jak się pojawiały.

– Jak państwo słyszeli, główny bohater nazywa się Leo Pullman. Czy ktoś może czytał książkę i zna tę postać? Chciałem stworzyć bohatera, który różni się od innych znanych policjantów – Wallandera, van Veeterena, Wintera<sup>6</sup> czy jak ich tam zwał. Mój jest tak naprawdę teologiem, proszę sobie wyobrazić – po prostu ksiądz, który się przekwalifikował i został policjantem. Morderstwo, które rozpracowuje, jest tak straszne... ech, trudno mówić o kryminale, nie zdradzając zbyt wiele, trzeba się powstrzymywać... Nagła śmierć, w książce chodzi o nagłą, gwałtowną śmierć. Zastanawiali się państwo kiedyś nad słowem *nagły*! Nasuwa ono skojarzenia, które przyprowadzają o dreszcze. Nagła choroba, nagły wypadek, nagła zmiana, nagły uskok. Wywodzi się zapewne od słowa *naglić*, oznacza, że coś dzieje się zbyt szybko, tak szybko, że nie można tego powstrzymać. Nagły uskok pojawia się zupełnie niespodziewanie. Idziesz sobie brzegiem plaży, wchodzisz do wody, stąpasz ostrożnie, woda obmywa ci przyjemnym chłodem łydki. Jesteś spokojny i zadowolony. Woda zaczyna się marszczyć, bo zerwał się lekki wiaterek. Stawiasz następny krok, ale nagle nie czujesz już dna, stopa, zamiast znaleźć oparcie, trafia w pustkę; ale nie ma tam nic, tylko głębia i ciemność. Tak samo nadchodzi nagła śmierć – zbyt szybko, nie wtedy, kiedy się jej spodziewamy, lecz wcześniej, o wiele, o wiele za wcześniej...

Nagle zgasło światło. W pomieszczeniu zrobiło się czarno i duszno, przez kilka sekund panowała zupełna cisza. Być może publiczność sądziła, że



to zaplanowany punkt programu; czytelniczki pozostały na swoich miejscach, oglądały się w ciemnościach do tyłu, ale nic nie widziały. Tobiasz zamierzał wstać, ale opadł z powrotem na krzesło. Po jego ciele zaczęło rozchodzić się poczucie nierzeczywistości. Dotykał po omacku stołu, szukając swojej szklanki z wodą.

Chciał coś powiedzieć, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, serce pompowało krew i waliło jak oszalałe, zaschło mu całkiem w gardle, musiał odchrząknąć, musiał wykrzesać z siebie siłę i odnaleźć słowa, zmusił wysiłkiem woli prawą rękę, by poszukała szklanki, lecz nie było jej tam; o, jest – coś zabrzęczało i zaszemrało, musiał ją przewrócić. Słyszał jak przez mgłę, że publiczność zaczyna szeptać, ktoś krzyknął. Wpatrywał się w ciemność szeroko rozwartymi oczami, a gdy otworzyły się z hukiem drzwi i zapaliło światło, zobaczył, kto stoi tam z ręką na przełączniku – wysoki, szeroki w barach, z kapeluszem zsuniętym na jasne kędziory, w rozpiętej zamszowej kurtce, z rozcapierzoną żółta brodą: Hardy Lindström.

CARL SIGVARD siedział nadal w kuchni. Słyszał kapanie wody z kranu. Sabina wybiegła w gniewie, co było do niej niepodobne. Bardzo niepodobne. Stanął z wysiłkiem, pokuśtykał do zlewu i zakręcił kran. Fartuch leżał rzucony na podłogę. Podniósł go kulą, machnął nią tak, że chałat wylądował na krześle. Zawsze nosiła ten fartuch, biały z dużymi słonecznikami, które z czasem tak wyblakły, że widać było tylko jasnożółte kręgi.

Chciał za nią pójść, lecz zrezygnował, schody mogły być śliskie jak szklanka. Otworzył drzwi i krzyknął w ciemność:

– Sabina, wracaj!

Jego krzyk sprawił, że od boksu dla psów zaczęło dobiegać głośnie ujadanie.

Przeżył już coś takiego wcześniej – ze Svavą. Jej gwałtowne wybuchy, swą upokarzającą drogę do pojednania. Z Sabiną wszystko było do tej pory takie proste.

Przyjechała któregoś wieczoru z Västervik na występ popularnej grupy Görana Edgrena. Była w towarzystwie dwóch innych kobiet, koleżanek z pracy, w tym samym wieku, tuż po czterdziestce. Wpadła mu od razu w oko – wyprostowana postawa, dość grube rysy twarzy. Było w niej coś męskiego, a jego zawsze pociągały tego rodzaju kobiety, silne i zrównoważone, jak zimnokrwiste konie ardeńskie.

Ucieszyła się, gdy poprosił ją do tańca. Był sierpień, pora kanikuły, gorąco do późnej nocy. Mimo dorodnej sylwetki tańczyła lekko i miękko, nie myliła kroków.

Gdy się rozstawali, rzuciła mimochodem, gdzie mieszka. Musiała jechać, bo dotarła tu z koleżankami jednym samochodem.

– Możesz mnie kiedyś odwiedzić, jeśli będziesz miał ochotę – zachęciła go, skubiąc końcówkę warkocza. Nieco nieśmiała, a zarazem bezpośrednia, co bardzo mu przypadło do gustu.

Wybrał się do niej po kilku dniach. Zajmowała piętro domu na peryferiach Västervik. Dom obłożony płytami eternitowymi, szary i lichey, żadnej trawy na parceli, tylko żwir i kępki babki zwyczajnej. W jej sytuacji nie można było przebierać w mieszkaniach. Miała Adama, była sama, bez męża.

Ojciec Adama był marynarzem.

– To była pomyłka – opowiadała mu później. – Zakochałam się w nim nieprzytomnie, to było takie gwałtowne uczucie, kiedy człowiek przestaje cokolwiek widzieć i myśleć. Opamiętałam się jednak po kilku miesiącach. Nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia, głównie milczeliśmy, to był właściwie koniec naszego związku. Zdążyłam jednak zajść w ciążę i nie dało się na to nic poradzić. Więc się pobraliśmy, zgodziłam się, nie było innego wyjścia. Ślub był skromny, bez pompy. Ze względu na dziecko uważałam, że tak będzie najlepiej, ale praktycznie rzecz biorąc, prawie wcale nie mieszkaliśmy pod jednym dachem. Za każdym razem, gdy wracał z rejsu, odwiedzał nas, dawał mi pieniądze, przywoził Adamowi prezenty. Trzeba przyznać, że to był miły człowiek. Popijał sporo, ale nigdy nie stawał się gwałtowny, tylko gadatliwy i sentymentalny. No cóż, po prostu się nie udało.

– Nadal pływa?

– Nie żyje od wielu lat. Ładowali statek w Rotterdamie, podszedł pod wyciąg dźwigu i coś się wtedy urwało. Nie wiem co, ale wszystko spadło na niego.

– Nigdy nie zastanawiałaś się nad przerwaniem ciąży?

– Była już zbyt zaawansowana. Zorientowałam się poniewczasie. Przez pierwsze miesiące miałam okres jak zwykle. Potem zaczęły się mdłości, ale wtedy zrobiło się już za późno.

– Widzę, że los cię nie oszczędzał – skomentował. – Życie nie zawsze jest usłane różami.

– Tak, niewielu ludzi ma życie usłane różami.

– Jak mnie odwiedzisz, pokażę ci Źródło Pocieszenia Marii – powiedział. – Bo teraz twoja kolej na odwiedziny. Zabiorę cię wtedy na wyspę Skamön.

Adam był przez kilka tygodni na obozie, dzięki czemu Sabina miała czas dla siebie. Carl Sigvard nie wiedział o jej synu nic ponad to, że jest „trochę inny i trudny”. Opisała go w taki właśnie sposób.

Przyjechała autobusem w sobotę rano i wtedy po raz pierwszy zobaczył ją w świetle dziennym. Wystroiła się dla niego. Ciemnobrązowe włosy opadały ciężkim, błyszczącym warkoczem na plecy. Była ubrana w czerwoną sukienkę z rozkloszowanym dołem, na szyi miała naszyjnik z perełek. Na nogach płaskie buty na niskim obcasie z materiału w czerwone groszki, z wiązaniami. Jak dowiedział się później, uwielbiała groszki, co go rozczulało.

Tego ranka czekał na nią na przystanku autobusowym. Najpierw zabrał ją do domu i pokazał jej gospodarstwo. Kupił ciastka migdałowe i ugotował

kawę, którą wypili na werandzie. Rozglądała się po obejściu, zajrzała do obory, pochwaliła zwierzęta i nowe zagrody, które właśnie skończył stawiać.

Potem poszli nad jezioro, gdzie miał przycumowaną drewnianą łódkę. Silnik był zepsuty, więc musiał wiosłować, ale to mu nie przeszkadzało, mógł się napatrzyć do woli na opaloną, urodziwą dziewczynę. Po jakimś czasie zmieniła go, siedziała w rozkroku i odpychała się stulonymi pięściami.

Tryki były na pastwisku, jak zawsze latem. Podchodziły czujnie, by się przywitać. Skorzystał z okazji, by ich doglądnać. Sabina była oswojona ze zwierzętami, zauważył to. Przycupnęła ostrożnie na kamieniu i pozwalała zwierzętom się zbliżyć, widział, jak długi, złakniony jęzor polizał ją w ucho. Jej perlisty chichot sprawił, że zwierzęta spłoszyły się odrobinę, ale tak naprawdę nie przestraszyły się, raczej odskoczyły lekko z uciechą.

Poprowadził ją przez wzniesienie, w stronę zatoki Mörkviken, gdzie znajdowało się źródło. Dzień był rozedrgany upałem. Ukląkł i stulił dłonie. Nabrał perlącej się wody, jej usta dotknęły jego dłoni.

Gdy siedzieli tam, opowiedział jej barbarzyńską historię o kobietach, które odstawiano na wyspę po przyłapaniu ich na łajdaczeniu się i cudzołóstwie.

– Nie wiem, czy to prawda, wolałbym, żeby tak nie było. Ale człowiek zawsze był okrutnym stworzeniem.

– Karano więc tylko kobiety? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Wiesz, jak bywało w dawnych czasach. I jak nadal jest w niektórych kulturach.

Zanurzyła ręce w wodzie, schłodziła nią szyję i ramiona.

– Wiele z przywiezionych tu kobiet było z pewnością niewinnych, znalazły się tutaj z powodu złośliwych pomówień. Ludzie nazwali to miejsce Źródłem Pocieszenia Marii.

Przyglądała mu się uważnie, z powagą. Naszła go wtedy ochota, by ją pocałować, i tak zrobił. Rozchylił jej palce i splótł je ze swoimi. Nie opierała się.

– A kim była Maria? – zapytała.

– Maria była służącą w pewnym dużym gospodarstwie w okolicy. Gospodyni powzięła do niej urazę, bo ubzdurała sobie, że podkłada się jej mężowi. Zmyśliła, że widziała, jak dziewczę próbuje go uwieść, i to wystarczyło. Marię przewieziono więc na Skamön. Ludzie byli wówczas bezwzględni, jeszcze bardziej niż teraz. Nie wolno jej było wziąć ani ubrań, ani jedzenia, a kobiety, które trafiły na wyspę wcześniej, od dawna nie żyły.

Biedna Maria, podobno była przecież niewinna. Ze skały trysnęło źródło, by chociaż ulżyć jej pragnieniu.

– Brr, okropna historia – skomentowała Sabina. Klęczała na mchu, napełniła dłonie szemrzącą wodą i wypła. On też się napił, mówiono, że to życiodajna woda i że odmładza. Byli sami na wyspie, nie licząc zwierząt. Rozebrali się. Stał i patrzył, jak Sabina składa schludnie swoją bieliznę i czerwoną sukienkę, jak stawia równo swoje buty i rozpina naszyjnik. Wziął ją za rękę i pokazał, w którym miejscu wejść do wody, tak by się nie poślizgnąć. Nie była to naturalna plaża do kąpielii, woda była tu głębsza i zimniejsza niż po drugiej stronie wyspy. Wysokie wzniesienie sprawiało, że zatoka niemal zawsze pozostawała w cieniu.

Sabina położyła się na brzuchu i popłynęła przed siebie. Warkocz wił się za nią niczym błyszczący, gibki wąż. Płynęła szybkimi ruchami i przez sekundę odczuwał strach. Zawrócił i wyszedł na brzeg. Zobaczył, jak nadchodzi, uśmiechnięta, z błyszczącymi policzkami. Wyciągnął do niej rękę i wskazywał najbezpieczniejsze kamienie. Gdy wyszła z wody, wytarł ją, gładził jej dorodne, jasne ciało, pozwolił dłoniom zaznajomić się z nim.

Miała swoje mieszkanie na piętrze w domu obłożonym eternitem. Na parterze mieszkał mężczyzna, od którego je wynajmowała, leciwy stary kawaler. Miał uszkodzony słuch, a w ich przypadku gospodarz z wadą słuchu był ogromną zaletą, bo inaczej już dawno by ich wyrzucił, jak mówiła Sabina. Spotkanie z Adamem było dla Carla Sigvarda lekkim szokiem. Mimo że nigdy nie powiedziała, ile lat ma Adam, wyobrażał sobie dziesięciolatka, a gdzieś w podświadomości tkwił obraz Tobiasa, jego utraconego syna.

Weszli razem do pokoju Adama. Chłopak siedział na podłodze z nogami rozłożonymi niczym pluskwiak, uderzając czołem o kolana. Carl Sigvard poczuł impuls, by odwrócić się na pięcie i wyjść. Sabina pogładziła go szybko po ręce.

– Przecież ci mówiłam, że on jest trochę inny – powiedziała przygaszonym tonem. – Nie wiem, dlaczego tak jest, nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić.

Podeszła do Adama na palcach i delikatnie dotknęła go w ramię. Chłopak zeszytywniał, plecy wyprostowały się, otworzył wąskie szparki oczu i utkwiał spojrzenie w Carlu Sigvardzie.

– Adam – zachęcała go, a jej głos brzmiał inaczej, był równocześnie spięty i dopingujący. – Przyszedł do nas Carl Sigvard – to miły człowiek, na pewno cię polubi.

Adam wydobył z siebie jakiś gardłowy, gniewny odgłos. Pochylił ciało

do przodu i znowu zaczął się kołysać. Sabina przytrzymała go, przyciągnęła jego rozczochraną głowę do piersi.

– Nie jest przyzwyczajony do zmian, nie radzi sobie z nimi tak dobrze jak inni. Potrzebuje więcej czasu. Właśnie wrócił z obozu. Myślę, że tęskni, prawda, Adam, dobrze ci było na obozie?

Potem przyzwyczajał się stopniowo do nagłych zmian w zachowaniu Adama. Chłopak potrafił siedzieć skulony, śliniąc się i smarkając jak zombi, po czym nagle wstawał i zaczynał mówić niemal normalnym głosem. Tak stało się właśnie teraz. Chwycił za przeguby Sabiny, odsunął je, po czym wstał zaskakująco zwinnie.

– Na obozie była dziewczyna, która skradła mi serce – zadeklamował. Chwilę później zaczął śpiewać piosenkę, która wydawała się znajoma, czasem puszczano ją w radiu. Osobliwa hybryda chłopaka i mężczyzny stała w świetle żyrandola i śpiewała wysokim, niezmaconym głosem, z perfekcyjną niemal wymową:

– *Love me tender, love me dear, tell me you are mine. I'll be yours through all the years, 'til the end of time.*

Sabina zorientowała się już po kilku miesiącach, że z dzieckiem coś jest nie tak. Była wtedy sama, jej mąż znowu ruszył w rejs. Nie miała z kim o tym porozmawiać. Próbowala poruszyć ten temat w przychodni dziecięcej, lecz tam zignorowano jej obawy.

– Dzieci są tak różne, Adam rozwija się po prostu wolniej.

Chłopiec bardzo dużo spał. Mimo że mleko rozsadzało jej piersi, dziecko nie chciało ssać. Karmienie trwało po kilka godzin; pstrykała go palcami w stopki i gdy zaczynał płakać, wciskała mu do buzi pierś.

– Zaczął chodzić dopiero, gdy miał dwa lata – powiedziała Carlowi Sigvardowi, który uświadomił sobie później, że wcześniej nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, nawet z przyjaciółkami. Był pierwszą osobą, która usłyszała całą jej historię.

– A co z nim robiłaś, gdy szłaś do pracy? Przecież musiałaś chyba pracować?

– Udało mi się znaleźć niańkę. Jednak zabrałam go od niej, gdy zorientowałam się, że dzieje mu się krzywda. Kobieta nie miała do niego cierpliwości, a on był, jaki był. W końcu udało mi się dostać miejsce w przedszkolu. Na początku zajmowała się nim szczególnie troskliwie jedna z przedszkolank, która sama miała młodszego brata z zespołem Downa, czyli

mongolizmem. Choć Adam cierpi raczej na coś innego; jest tyle różnych chorób i nazw. Ale czy przyklejanie etykietek w czymś pomoże? Te dzieci są, jakie są, mają osobowość i indywidualność tak samo jak wszyscy inni.

Leżeli w jej szerokim łóżku, a z sąsiedniego pokoju dobiegały rżące pochrapywania Adama. Mieli chwilę wytchnienia dzięki temu, że Sabina dała mu jakiś środek nasenny, coś, co go uspokoiło.

– Pod wieloma względami przypomina małe dziecko – mówiła dalej. – Jeśli coś idzie nie po jego myśli, może się niesamowicie zdenerwować i popaść w przygnębienie. Życie z nim nie należy do najłatwiejszych. Chcę, żebyś to wiedział.

Początkowo niepokoiły go wybuchy złości u Adama. Cały czas miał się na baczności. Atak mógł nastąpić zupełnie niespodziewanie; chłopak ciskał wtedy, czym popadło, i był nie do opanowania. Początki ich wspólnego życia były bardzo trudne i zdarzało się, że żałował, że miał ochotę powiedzieć jej, by zabrała Adama i wyprowadziła się.

Mimo wszystko jakoś się przyzwyczaił. Adam z czasem się uspokoił, oswoił się z nowym otoczeniem, zaaklimatyzował w swoim pokoju.

Minęło właśnie dziesięć lat. Carl Sigvard kupił jej tego małego szczeniaka w prezencie na dziesiątą rocznicę.

Co mógł zrobić? Nic, tylko usiąść i czekać. Jej kapryśne zachowanie było czymś zupełnie nowym. Nie wiedział, co począć. Pomyślał o zadrapaniu pod jej piersią. Skąd się bierze coś takiego, czy można podrapać się przez ubranie? Sabina od jakiegoś czasu zachowywała się dziwnie, może to objaw klimakterium?

Usłyszał chrzęst kroków na żwirze i żarliwe ujadanie szczeniaka. Drzwi się otworzyły, po podłodze przemknął podmuch chłodu.

– Sabina! – zawołał.

Stała w drzwiach i wyglądała jak zwykle. Szczeniak plątał się wokół jej nóg. Przyniosła miskę i naląła mu wody. Chleptał ją, pryskając na wszystkie strony.

– Myślę, że Frett powinien zostać dziś w nocy w domu – oświadczyła zupełnie normalnym głosem.

– Czy sprawiłem ci wcześniej przykrość? – zapytał.

– Już o tym zapomniałam, przeszło mi. Poszłam do zwierząt i sprawdzić, czy Ann-Mari nadal się gdzieś nie kręci. Nie chcę, żeby włązili tu i weszli obcy.

– Przepraszam za to, co mówiłem o pieniądzach.

Usiadła i wzięła na ręce pieska. Złapała go za pysk, gdy brał się do

gryzienia. Potrząsnęła nim łagodnie.

- Zęby cię swędzą, niełatwo jest być szczeniakiem.
- Nie. Do licha ciężkiego, nie jest też łatwo być człowiekiem.



LEŻAŁ na obcej podłodze. Zobaczył materiał w grube prążki. Przylegał do niego czołem. W nozdrza sączył się zapach piżma. Poczł odruch wymiotny, ale nawet nie spojrzł w góre; leżał z przymkniętymi powiekami, usiłując przypomnieć sobie, co się stało. Wszystko wydawało się tak odległe – jego życie, jego dni, jego noce. Czy była to droga do innego, dalekiego świata, czy była to jego ostatnia, nieodwołalna droga?

Ponad jego głową coś błysnęło, usłyszał syczący kobiecy głos.

– Nie teraz, proszę go zostawić, może później.

Wtedy otworzył szeroko oczy.

W tej samej chwili sobie przypomniął. Przekręcił głowę: rzędy nóg od krzeseł, na podłodze piasek i kurz. Było jasno, paliło się białe, zimne światło jarzeniówki. Przy ścianie stał mężczyzna z aparatem fotograficznym, z obiektywem skierowanym w dół, przygotowujący się do pstryknięcia.

Kobieta w spódnicy w prążki klęczała przy Tobiasie. Teraz podniosła się i podeszła do fotografa.

– Nie wolno wam pokazywać takich zdjęć w gazecie – zaapelowała.

Tobias podniósł się do pozycji siedzącej, powoli, z najwyższym trudem. Koszula lepiła mu się do pleców, trząsł się, przyłożył opuszki palców do czoła, badając je milimetr po milimetrze.

– Drogi przyjacielu, co się stało? – Duża kobieta w spódnicy siedziała przy nim w kucki. Niepokój sprawił, że jej twarz zrobiła się rozlazła.

– Nie mam pojęcia, zrobiło mi się czarno przed oczami.

– To moja wina! – krzyknął fotograf. – Chciałem się wślizgnąć do środka i niechcący nacisnąłem przełącznik.

– Przykro mi – wymamrotał Tobias. – Nie wiem, co się stało, coś takiego przytrafiło mi się pierwszy raz.

– A ja wiem, o co chodzi, rozpoznaję symptomy! – Młoda dziennikarka podeszła bliżej. Wyglądała chudo w obcisłych dzinsach, podeszwy jej butów przypominały opony traktora. – To na pewno wypalenie. Mnie też to się przydarzyło – wszystko nagle znika, a zaczyna się od skurczów i szczypania w kark. Powinien pan trochę wyluzować, chyba może pan sobie na to pozwolić? Takich osób jak pan okres karencyjny<sup>7</sup> chyba nie dotyczy?

– Wyglądał na bardzo zmęczonego – poinformowała kobieta w spódnicy. W tym momencie skojarzył, że ma na imię Solveig. – Pytałam go,

ale...

– A gdzie się podziała publiczność? – zapytał osłabionym głosem.

– Było już po ósmej, więc wszyscy sobie poszli, spotkanie i tak trwało dość długo; a ta końcówka o nagłej śmierci zmroziła wszystkim krew w żyłach. Brr, naprawdę efektowna i dramatyczna.

Tobias wstał, otrzepał się, przyjął kolejną szklankę wody, którą od razu wypił.

– Mógłbym pstryknąć kilka zdjęć? – zapytał fotograf. – Trochę się spieszę, mogę?

Tobias skinął głową. Przeszedł przez lokal do drzwi. Stał wyprostowany pod ścianą. Fotograf zaprotestował.

– Nie, nie, nie chcę, żeby z tego wyszły takie ponure więzienne zdjęcia. Wie pan – frontalnie i z profilu, no nie, tak się nie da, niech pan przynajmniej weźmie do ręki swoją książkę.

Tobias przyniósł egzemplarz *Nocy*, wytarł ją o nogawkę, bo przewróciła się na nią szklanka z wodą.

– No to jazda!

W pomieszczeniu zaczął błyskać flesz. Tobias próbował nie mrugać, mówić „cheese” i rozluźnić się. Zatrzymał jeszcze fotografa, zanim ten opuścił lokal.

– Jak pan się tu pojawił...

– Ojej, bardzo przepraszam, wygłupiłem się, nie chciałem przeszkadzać...

– Nie o to mi chodzi. Jak pan przyszedł, chciałbym wiedzieć... czy pan był sam, czy ktoś jeszcze wszedł z panem?

– Ze mną? Ma pan na myśli Lotte, tę dziennikarkę?

– Nie – wyszeptał. – Nie chodzi mi o nią, tylko o mężczyznę, faceta w kapeluszu, z żółtą, jakby farbowaną brodą. W zamszowej kurtce.

Fotograf potrząsnął głową.

– Eee, nie.

– Jest pan zupełnie pewien?

– Jak cholera. Byłem sam. Mieliśmy tu przyjść razem z Lottą, ale trafiła mi się po drodze jeszcze jedna fucha. Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wydawało mi się, że...

– Nieee, nie widziałem nikogo więcej. Zamierzałem przemknąć niezauważony, no i przycisnąłem niechcący ten cholerny kontakt.

Solveig objęła Tobiasa ramieniem. Lokal opustoszał, zostali tylko we dwoje.

– Tak się przestraszyłam – oznajmiła szorstkim tonem. – Najpierw myślałam, że to zaplanowana część występu, ale potem zrozumiałam, słysząc, jak pan pada, że to nie było wyuczone. Jak się pan czuje? Mam nadzieję, że nic panu nie będzie.

– Nie ma obaw. Mam za sobą okres ekstremalnego stresu, który najwyraźniej zmanifestował się w ten sposób. Przykro mi, że wieczór miał tak szalony finał.

Solveig zarechotała radośnie.

– Szalony jak szalony. Ma pan jak w banku, że kobitki szybko tego nie zapomną.

Zgasiła światło i zamknęła drzwi na klucz. Potem odwiozła go do małego hoteliku w centrum miasta.

– Bardzo dziękuję za dzisiejszy wieczór. Miło było się z panem spotkać. A teraz wracam do domu, do moich kotów.

Gdy odjechała, niespodziewanie poczuł się opuszczony. Pokój był mały i skromnie urządzone: łóżko, stół, krzesło i telewizor zamontowany na ścianie, tak by dało się oglądać, leżąc w łóżku. Nic innego nie było zresztą do roboty. Myślał, że w hotelu coś przekąsi i napije się piwa, ale nie mieli restauracji. A do tego po dwudziestej drugiej w recepcji nie było już personelu.

Wyszedł na ulicę. Przez cały czas oglądał się za siebie, nerwowo i zarazem z wściekłością. Po chwili znalazł budkę z hot dogami. Gdy już zamierzał zamówić, wróciły, mdłości i zawroty głowy. Nie mogą teraz zemdlec, mówił sobie, muszę jak najszybciej wracać do hotelu.

Wiał przenikliwy wiatr, szkoda, że nie wziął czapki. Szedł pochylony do przodu, nagle poczuł silny, dojmujący strach, musiał odwrócić się i sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Hardy Lindström stojący w drzwiach, szydercze spojrzenie. Czy to jego przemęczony mózg wywołał ten obraz? Wydawał się tak rzeczywisty, tak żywy.

Z zimna zaczęło mu cieknąć z nosa. Przystanął i wyciągnął chusteczkę. Wydmuchał mocno nos.

– Przestań się wydurniać – mamrotał sam do siebie – do kurwy nędzy, przestań. Skąd ten idiota Hardy miałby wiedzieć, że jesteś tutaj, w Jönköpingu?

Zauważył po drodze pub. W środku było pełno ludzi, okrągłe stoliki spowijały gęste kłęby dymu. Stanął przy barze, zamówił piwo Mariestad,

wypił je duszkiem i natychmiast poprosił o następne. Powolutku lustrował pomieszczenie, twarz po twarzy. Żadna z nich nie należała do Hardy'ego Lindströma. W nagłym przyptywie jasności uświadomił sobie, jakie to było nieprawdopodobne. Równocześnie w jego świadomości dojrzewiała decyzja. Musi pojechać do Sabiny i wszystko z nią omówić, bo inaczej nie będzie w stanie dalej normalnie żyć. Zrobi to od razu następnego dnia. Wsiądzie do pociągu do domu, ale urwie się w Linköpingu i wynajmie tam samochód.

Zasnął niemal natychmiast. O trzeciej w nocy obudziło go ciśnienie w pęcherzu. W jego świadomości tkwił nadal fragment snu. Leżał jakby w hamaku, z tego samego materiału w prążki co spódnica Solveig, a może nawet w tej spódnicy. Huśtało nim mocno i choć rytm kołysania przyprawiał go o mdłości, nie mógł się ruszyć. Pochyliła się nad nim; zwiotczała skóra jej twarzy, szerokie czerwone usta; śmiała się tak mocno, że aż szczękały zęby. Za jej plecami pojawił się bezszelestnie jakiś mężczyzna, wyciągnął ręce zza jej boków, w stronę spódnicy, gdzie Tobias spoczywał niczym w kokonie.

„Tobias, teraz już się nie wywiniesz!” – mówił męski głos. Wymachujące ręce, szczelina w skórze, szczelina w gardle, a w głębi, za bladymi, rozchyłonymi krawędziami rany zobaczył ciemnoniebieską żyłę. Widział ją jasno i wyraźnie, pulsującą krwią i siłą. Wykręcał się, próbował zamknąć oczy i w tej samej chwili się obudził.

Nie mógł już zasnąć. Wstał i wziął prysznic, woda lała się i rozpryskiwała; mył się i szorował, aż zaczęło go palić całe ciało. Gdy się wycierał, zauważył sinoczerwone plamy na lewym przedramieniu i biodrze. Dopiero teraz poczuł ból. Dokuczala mu też stłuczona kość ogonowa po upadku na lodzie. Wytarł się ostrożnie i wyszedł z łazienki, zostawiając uchylone drzwi. Wilgotne powietrze rozeszło się pod postacią mgiełki.

„Proszę nie palić” – przeczytał na leżącej na stole kartce. Otworzył okno i zapalił papierosa.

Pomyślał o Sabinie. Poczuł nagły impuls, by do niej zadzwonić. Włączył komórkę i zobaczył, że bateria niemal się wyczerpała. Na szczęście zabrał ze sobą ładowarkę. Była czwarta, z daleka dolatywało bicie kościelnego zegara. Przypomniało mu się, co Solveig mówiła o Bogu trzymającym chroniącą rękę nad ludem – a może to była karząca ręka? Czy to Bóg powalił go na podłogę w tamtej piwnicy? Poczuł, że głowa zaczyna mu się trząść drobnymi, ledwo zauważalnymi spazmami. Zacerpnął głęboko powietrza i próbował pozostać w całkowitym bezruchu.

Klaro, pomyślał, to przez wzgląd na ciebie, Klaro. Otworzył portfel i wyjął stare czarno-białe zdjęcie. Stała z jedną dłonią w drugiej, z półotwartymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć. Zdjęcie było zrobione na zewnątrz, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Zza jej pleców wyłaniała się platforma jakiegoś wozu, ziemia była mokra od deszczu, lecz musiało to być lato, bo miała na sobie mały T-shirt i krótką, białą halkę. Obok niej siedział cętkowany kot. Kto zrobił to zdjęcie, może Görel? Nagle mu się przypomniało – fotografia została zrobiona na wsi, u ojca. Klara była wtedy tak wiotka i delikatna, niczym listek na wietrze. A teraz? Przechodziła przemianę, już nigdy nie wróci do niego ta mała córeczka; moja mała Klara. Nie, teraz zamieniała się w kogoś obcego, w kogoś, kto już nigdy nie będzie potrzebował go w sposób, w jaki dziecko potrzebuje ojca.

Potarł oko, poczuł pomiędzy palcami wilgoć. Siedział i bezgłośnie płakał.

O szóstej pojawił się w hotelu personel. Słyszał brzęk naczyń, a gdy wyjrzał na korytarz, w jego nozdrza uderzył zapach świeżo parzonej kawy. Nie kładł się, do tej pory siedział ubrany na łóżku, całkowicie rozbudzony i spięty. Wziął torbę i zszedł do stołówki. Chuda dziewczyna w czarnej spódniczce i białej bluzce nakrywała właśnie do stołu. Odburknęła tylko na jego powitanie.

W gazetniku leżała wciśnięta „Jönköpings-Posten”. Zabrał ją do stołu i przejrzał. Na jednej z wewnętrznych stron zobaczył samego siebie. Dziennikarka Lotta Andersson streściła krótko jego wystąpienie. Bogu dzięki, nic ponadto.

Przyniósł sobie jajko wybrane z koszyka z gotowanymi na miękko, ale gdy rozbił skorupkę, okazało się twarde i gruzelkowate. Odsunął od siebie talerzyk, wypił kilka filiżanek kawy i zjadł kromkę chleba z gumowatym kawałkiem sera.

Tego dnia pogoda była łagodniejsza, a liście wirowały mu u stóp, gdy maszerował w kierunku dworca. Czuł się teraz silniejszy, skurcze w karku przestały mu dokuczać.

W LINKÖPINGU wynajął samochód, wybierając najtańszy – forda fiestę. Jechał bez przerwy i tuż przed drugą dotarł na parking przy starym podejściu tanecznym. Chmury wisiały nisko, niemal skrywając wierzchołki drzew. Okolica była opustoszała, wszędzie mokro, na deski podestu nawiało wilgotnego listowia.

Zamknął samochód, zarzucił torbę na ramię i ruszył w kierunku lasu. Zamierzał podejść niepostrzeżenie do domu i nawiązać kontakt z Sabina, bez wiedzy ojca. Wilgoć przenikała przez buty i wiele razy omal się nie poślizgnął na gliniastym podłożu. Spomiędzy gnijących warstw listowia wychylały się grzyby, pieprzniki trąbkowe; pomyślał o Marit i jej oczekiwaniach – jaki miałyby być, co powinni razem robić. Zamieszkać razem i stworzyć stały związek, może nawet postarać się o dziecko. Nie było jeszcze za późno, przynajmniej z punktu widzenia fizjologii, są przecież kobiety, które rodziły nawet po pięćdziesiątce. Mówiła mu, że porzuciła już tego rodzaju myśli, ale wiedział, że to nieprawda.

Zbliżał się do gospodarstwa ojca, a gdy wyszedł na skraj lasu, zaczęło padać. Schronił się pod świerkiem, by zebrać się w sobie i zastanowić, co dalej. Przez mgłę dostrzegał zarysy budynków: obory, domu, garażu i położonej za nim podłużnej psiarni. Sabina była w domu, jej samochód stał na podwórzu. To dobrze – wcześniej czy później znajdzie ją. Psy zaczną oczywiście ujadać, przed nimi nie da rady się ukryć. Jednak żaden człowiek go nie dostrzeże, znał tu wszystkie kąty i ścieżki na skróty, dorastał tutaj. Carl Sigvard usłyszy zapewne szczekanie psów, lecz pomyśli, że zwietrzyły łosia lub sarnę.

W tym zagajniku zbudował sobie kryjówkę, dawno temu. Przytaszczył do lasu deski i gwoździe, z których zbił mały domek z podłogą i dachem, przymocowany do dwóch solidnych sosnowych gałęzi, z jutowym workiem w charakterze dywanu. Rozpoznał to drzewo, które było teraz znacznie wyższe, po jego kryjówce nie pozostał ślad.

W jakim był wtedy wieku? Od tego czasu minęło już ponad trzydzieści lat.

Było to tuż przed katastrofą.

Pamiętał, że nawet nie zdążył nikomu pokazać tego swojego szałas. Marzyły mu się radosne okrzyki zaskoczenia i uznania, których tak bardzo potrzebował. Jednak rodzice nie mieli czasu, byli zajęci czymś ważnym i

groźnym, czymś, co rozgrywało się w nich samych i pomiędzy nimi, a do czego on nie miał dostępu.

Najgorsze było to, że nic nikomu nie powiedzieli. Przeczuwał oczywiście niebezpieczeństwo, jak zajęczek przyczajony pomiędzy kępami traw, gdy nad łąką krąży myszołów. Nie pojmował jednak, o co chodzi. Rodzice przestali ze sobą rozmawiać, nie mówili swoimi zwyczajnymi głosami. Nawet ich ruchy się zmieniły, chodzili inaczej. Svava zajmowała się końmi, czasem odwiedzał ją jakiś mężczyzna, a gdy Carl Sigvard jechał w pole traktorem, znikala z tamtym w siodłami. Potem miała czerwone plamy na policzkach.

– Tobias, musimy przejrzeć papiery, wyjdź i pobaw się gdzieś.

Tobias uciekał do swojej kryjówki. Któregoś wieczoru postanowił tam zostać, chciał zwrócić na siebie ich uwagę, chciał, by zaczęli go szukać, wołając jego imię. Siedział tam długo po zmroku, w końcu głód zmusił go do powrotu do domu. Carl Sigvard stał na schodach, jego twarz była pozbawiona wyrazu, pusta i oniemiała, miał rozbiegane spojrzenie.

– Gdzie jest mama?

– Pytasz mnie, gdzie jest mama?

– No tak.

Ojciec milczał, wysunął górną wargę, przypominał jedno z kosmicznych stworzeń, które Tobias oglądał w komiksach. Wąskie oczy rozzarzyły się, wzbudziły w chłopcu strach.

– Jestem głodny – pisnął.

Ojciec wypuścił powietrze. Złapał go gwałtownie za rękę i zaciągnął do kuchni. Posmarował mu kilka kromek chrupkiego chleba. Gdy Tobias je gryzł, chrzęściły mu w ustach niczym piasek. Chciał powiedzieć coś o szalasiu, który zbudował, chciał, by ojciec go zapytał: „A udało ci się coś sklecić z tych desek?”

Chciał, by ojciec wziął go za rękę, przyjrzał jej się z bliska, obejrzał ranki i skaleczenia, podmuchał, przyniósł plaster.

Ojciec stał, nie patrząc na niego.

– Synu, kładź się lepiej spać. Jutro idziesz przecież do szkoły.

Leżał w łóżku i marzył. Nogi przypominały bryły lodu. Próbował wstrzymać oddech; ciekawe, jak długo można nie oddychać, zanim się umrze? Zapadł w drzemkę, ale obudziły go jakieś szmery. Najpierw myślał, że wiatr wyje wokół domu, jednak wyłowił z tego szumu głosy. To rodzice

szeptali i posykiwali. Naciągnął na głowę poduszkę, by tego nie słyszeć.

Przestali być jego rodzicami. Atakowali go z tak zajadłą brutalnością, jakby wyłącznie on ponosił winę za to, co się stało. Nic, co mówił i robił, nie było w stanie na nich wpłynąć. A on nadal nie wiedział, jak to wszystko się skończy.

Powiedziała mu dopiero w samochodzie, gdy jechali do miasta. Mieli przyczepę do auta, a w niej część sprzętów zabranych z domu.

– Tobiasz, będziesz dorastał w prawdziwym mieście. Zobacysz, będzie fajnie, obiecuję.

Siedział z tyłu auta. Nie chciała, by siedział z przodu, bo pas bezpieczeństwa szwankował. Wbił sobie paznokcie w cienką skórę pod moszną. Nie odpowiedział matce. Nie było więcej pytań.

O kolejnych miesiącach myślał później jak o czasie petryfikacji. Matka zabierała go czasem do Jörgena.

– Nie zamieszkamy jeszcze u niego, na razie to okres próbny.

Jörgen też miał dzieci. Dwie dziewczynki w wieku Tobiasa. Robiły wszystko, by go utemperować, lecz gdy im się to nie udało, zrobiły się wredne. Jörgen miał też konie, całą stajnię. Tak piękną i czystą, że aż kłuło w oczy. Teraz Svava raczyła wreszcie powiedzieć, co dalej. Zamierzali otworzyć razem szkółkę jeździecką, ale nie taką zwykłą, dla dzieci, tylko dla ludzi, którzy chcieli się doskonalić, dla elitarnych jeźdźców.

– Jörgen jest świetnym jeźdźcem – trąbiła Svava swoim nowym, trajkoczącym głosem – jeździ jak prawdziwy facet, synku.

Jörgen śmiał się w taki sposób, że ślinił swoją brązową brodę. Tak naprawdę był zupełnie w porządku i starał się zaprzyjaźnić z Tobiasem.

– Zawsze chciałem mieć syna. Bo te dwie... – Robił grymas w stronę dziewcząt skulonych na kanapie w salonie.

Nie mógł z nim rozmawiać, to było niemożliwe. Gdyby to zrobił, zdradziłby ojca.

Dostał też własnego konia. Dostał, jak dostał.

– Może być twój, nazywa się Dingo.

Koń był zwawy i energiczny. O nie, nie wcisnęli mu żadnej starej kobyły. Tobiasz jeździł na nim kilka razy. Najpierw w ujeżdżalni ze Svavą, potem na dworze. Nie podobała mu się jednak ta nowa okolica. Wydawała się obca, nawet drzewa były jakieś wrogie i nieprzychylne.

Ale Jörgen był mimo wszystko przyzwoitym facetem.



Przeżyli razem ze Svavą wiele lat, a potem coś się schrzaniło. Nie wiedział dlaczego. Ale z matką nie było łatwo żyć, przekonał się o tym, gdy był już starszy.

Czas ruszyć w stronę domu. Deszcz przybrał na sile. Jak przypuszczał, gdy tylko wynurzył się zza drzew, psy natychmiast zaczęły ujadać. Rzuciły się w kierunku płotu i wyły.

– To przecież ja, głuptasy – mamrotał – nie poznajecie mnie, przecież byłem tu nie dalej jak tydzień temu. Durne, głupie zwierzaki.

Nie widział nikogo na zewnątrz. Zapewne siedzą i piją popołudniową kawę. Przy kuchennym stole nakrytym zieloną ceratą. Nagle poczuł, że jest bardzo głodny. Kubek kawy i kanapka z klopsikami na zimno albo z pasztetową i plasterkami ogórka. Będzie mi musiała potem dać coś do jedzenia, pomyślał.

Zbliżał się od tyłu do obory, można było tam się dostać też od tej strony, przez drzwi do dawnego gnojowiska. Przy ścianie stało mnóstwo śmieci, rzeczy, które zamierzali kiedyś odstawić do sortowni odpadów. Odkładali to wciąż na później, bo graty i tak nie rzucały się w oczy. Widział je teraz z bliska: stary model kosiarki do trawy, rower, kilka wysłużonych zardzewiałych narzędzi, lodówka, skrzynka z pustymi butelkami, rozczapierzona antena telewizyjna. Gdy podszedł bliżej, zorientował się, że ktoś niedawno poprzesuwał przedmioty. Kępy trawy, które zarosły i częściowo zasłoniły graty, były odgarnięte i poodrywane. Pojawiło się coś nowego, co nie zostało postawione obok starych rupieci, tylko wciśnięte pomiędzy nie, tak by nie było tego widać, by stało zasłonięte.

Zaschło mu w ustach, gdy zorientował się, co to jest.

Porysowana vespa Hardy’ego Lindströma.

GDY TOBIAS wemknął się do obory, akurat knur pokrywał lochę. Woń była silna i ostra. Kopulujące zwierzęta nic sobie nie robiły z jego obecności. Wielgachny knur dyszał przewieszony nad swoją wybranką, balansując na tylnych nogach podczas dzikich pchnięć.

Drzwi do siodłami były zamknięte, Tobias nie miał zresztą ochoty tam wchodzić. Przeszedł dalej pomiędzy zagrodami, a prosiaki jak zwykle zbiły się w gromadkę i kwiczały. Serce waliło mu w piersi niczym młot. Dlaczego vespa Hardy'ego stała ukryta tam z tyłu za oborą? Kto ją tam postawił?

Poczuł nagle zmęczenie w nogach, cały poczuł się zmęczony. Jakby lada moment miał się rozsypać. W ciemnościach przemknął jakiś cień; Tobias wzdrygnął się, lecz zaraz zorientował się, że to tylko kot. Przypominał Missan, którą mieli ponad trzydzieści lat wcześniej, to nawet mógł być jej potomek. Pochylił się i pogłaskał miękkie, pręgowane futerko. Kotka zamruczała z zadowolenia. Tobias wziął ją na ręce, trzymał w objęciach, zanurzając nos w ciepłym puchu. Zapach obory znowu wgryzał się w pory jego ciała, na pewno szybko się utrwali, zwłaszcza że wszystko miał mokre od deszczu. Zostawi tę woń w wynajętym samochodzie i będzie roztaczał ją w pociągu, a ludzie będą się od niego odwracać, marszcząc nosy. Na razie nic sobie z tego nie robił. Pogłaskał kota po łebku, wyczuwając pod skórą szkielet, drobny i ostry.

W tym samym momencie ktoś pojawił się przy drzwiach; jakiś odgłos, poszerzająca się smuga światła. Puścił kotkę, która uciekła z sykiem. Tobias przemykał się pomiędzy zagrodami. Może wreszcie przyszła Sabina... Wyciągnął szyję, próbując zobaczyć, kto to – owszem, nadchodziła jakaś postać, lecz nie była to ani Sabina, ani Adam, tylko drobna staruszka ubrana w długą, szeleszczącą pelerynę przeciwdeszczową. Mimo że nie widział jej twarzy, rozpoznawał ją mgliście. Bywała w ich gospodarstwie dawno temu, pomagała przy koniach. Już wiedział, kim jest ta kobieta – matką Hardy'ego Lindströma.

Stara kobieta człapała wte i wewte po oborze, zaglądała we wszystkie kąty i zakamarki. Przeszła do siodłami i otworzyła skrzypiące drzwi, po czym wydała z siebie jednostajny, lamentujący odgłos.

Co powinien zrobić? Podejść do niej? Nie, skrył się jeszcze głębiej w mroku, przycupnął za stertą worków.

Na zewnątrz rozległ się chrzęst kroków na mokrym żwirze. Na podłogę

padł strumień światła, Tobiasz usłyszał głos Sabiny.

– Co tam, babko, po coście wrócili?

Mówiła gwarą, nigdy wcześniej tego u niej nie słyszał, na pewno nie z taką wyrazistością.

Kobieta milczała, wyglądało na to, że płacze.

– Mówiłam wam, że go tu ni ma. Zrozumta wreszcie! Jego tu ni ma!

– To kaj on się podział? – jęczała staruszka. – Miał tu przyjść po piniondze.

– No i przecie tu był, dostał swoje pieniądze. Specjalnie pojechałam po nie do banku. Dałam mu dwa tysiące w nowiuśkich banknotach, po pięćset koron. Jak mi nie wierzyta, zapytajta w banku. Dostał wszystko prosto do ręki. I widać poszedł w siną dal. Ann-Mari, dajta sobie spokój, nie ma sensu, żebyśta tu codziennie latali i go szukali. Jego tu ni ma. Do miasta pojechał, pewnie se za te pieniądze używa. Przecie wiadomo, jaki on jest, ten wasz synalek, żaden z niego aniołek. Może sie u kogo zadłużył, nigdy nie wiadomo, co sie tam w tych więzieniach wyrabia. Pewnie ma koleżków różnakich, typki takie szemrane. Co to od razu łapska wyciągają, jak komu wpadnie trochę grosza.

Widział, jak Sabina kładzie rękę na ramieniu starej kobiety, widział, jak ją obejmuje.

– Wracajta do domu, bo zara będzie niezła pompa. W telewizji coś nawet gadali, że burza idzie. A jak pioruny w październiku trzaskają, lepiej nosa z domu nie wyściubiać!

Była w siodłami, zapaliła tam światło. Wszedł z ukrycia, stanął przed nią i wypowiedział jej imię.

Usłyszał, jak krzyknęła w przestraszu.

Miała na głowie chustkę, która jakoś bardziej przylegała; zauważył zmianę kształtu jej głowy. Szybko przystawił palec do ust.

– Cicho, Sabina, to tylko ja.

– Ale mnie przestraszyłeś!

– Przepraszam, nie chciałem.

Miętosila w rękach jakiś papier. Odłożyła go teraz na stół, stała przed nim sztywna i wyprostowana.

– Nie zauważyłam, jak wszedłeś.

– I o to chodziło, nie chciałem, by mnie ktoś zauważył. Wynająłem w Linköpingu samochód, zostawiłem go przy podeście tanecznym i poszedłem

pieszo przez las. Miałem wieczór autorski w Jönköpingu i postanowiłem tu wpaść w drodze do domu.

– Po co?

– Żeby porozmawiać z tobą.

Grymas bólu pojawił się na jej twarzy.

– O co ci chodzi, Tobias, czego chcesz?

– Wyjdźmy stąd.

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę zostać tutaj – powiedział zmieszany.

– Pada deszcz.

– No to przejdźmy tam do zagród, żeby nikt nas nie nakrył.

Obrzuciła go poważnym spojrzeniem.

– To co zdarzyło się między nami... nie może więcej się powtórzyć.

– I nie powtórzy się.

Obrócił się i ruszył przed siebie, słyszał, że idzie za nim. Podeszedł do sterty worków, za którymi dopiero co się ukrywał. Sabina dołączyła do niego i stanęła tak, by mieć w polu widzenia drzwi.

– Widziałem, że była tu Ann-Mari – oznajmił, pocierając sobie ramiona.

– Już sobie poszła.

– Jesteś pewna?

– Tak. Często tu przychodzi, przyłapałam ją tu już niejednym razem. Na pewno poszła do domu.

– O co jej chodzi?

– O syna. Nadal się nie pokazał.

– Jak to? W ogóle nie wrócił do domu, nawet do matki?

Sabina pokręciła głową. Stała i szarpała końcówki chustki. Miał ochotę wyciągnąć rękę i włożyć ją pod materiał – tylko po to, by jej dotknąć.

– Widziałem, co stoi za oborą – oznajmił głośno.

Sabina zarzuciła głową.

– Co masz na myśli?

– Jego cholerną vespę, stoi tam ze wszystkimi rupieciami.

– Zepsuła się, silnik się zatarł.

– Co takiego?

– Prosił mnie, żebyśmy ją wywieźli razem z innymi gratami.

– Na pewno?

Sabina wciągnęła powietrze.

– Tak.

Zrobił krok w jej stronę, chwycił ją za policzki, ścisnął.

– Kłamiesz!

Wyrwała się gwałtownie.

– Co cię napadło?! Kompletnie ci odbiło?

Nie mógł znieść tego dłużej. Z knykciami przyciśniętymi do oczu osunął się na podłogę. Z jego krtani wydobywały się jakieś osobliwe dźwięki, nigdy wcześniej nie słyszał takich odgłosów. Sabina przyklękła obok. Jej drobna, ciepła dłoń na jego kolanie.

– Kochany, kochany mój, co ci jest?

– Sabina, dłużej tego nie wytrzymam, to mnie wykańcza. Przecież on nie żyje, wiem, że nie żyje, nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Hardy nie żyje, widziałem go przecież w siodłami, wiem, że to ja go zabiłem – nie można przeżyć z rozerwaną tętnicą, z tętnicą szyjną... Sabina, wiem, po prostu wiem i zaraz pójdę na policję. To już postanowione, muszę to zrobić.

Bawiła się jego wilgotnymi włosami, przeciągając je pomiędzy swoimi palcami.

– Nie ma przecież zwłok – szepnęła mu do ucha. Jej oddech był słodkawy i ciepły. – Do czego chcesz się przyznać, skoro nie ma... ciała?

Czknął; pozostał w pozycji siedzącej, z podbródkiem przyciągniętym do piersi; ręce niczym ciężarki na zimnej podłodze.

– To jest właśnie niepojęte... bo przecież ja go widziałem, chociaż byłem pewien, że on nie żyje. Możesz sobie mówić, co chcesz, przecież to widać, od razu widać, że człowiek jest martwy. Ten specjalny grymas wokół ust, który mają umarli; wiem, że on nie żyje, bo on miał właśnie taki straszliwy wyraz twarzy... A ja... ja stamtąd uciekłem... chciałem się umyć... a potem przyszedł ty i ja wtedy wybiegłem, bo nie miałem siły na ciebie patrzeć... w ogóle na nikogo.

Przechyliła głowę, chustka zsunęła się nieco. Mlaskała sucho ustami.

– Czy byłoby... – zaczęła.

– Co takiego?

– Czy byłoby ci łatwiej... gdyby były zwłoki?

– Co się stało, to się nie odstanie! – krzyknął. – Zabiłem go, nie da się już tego cofnąć!

– Uspokój się, Tobias, uspokój się. Powiem ci coś, może ci wtedy ulży.

Zmienił pozycję, oparł się plecami o zagrodę. Był tak wyczerpany, że gdyby się tylko położył, natychmiast by zasnął. Musiał jednak wysłuchać Sabiny, która siedziała blisko niego i gładziła jego dłonie.

– Tak, Tobias – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. – Masz rację,

zabiłeś go.

Pociągnął nosem; musiał zamknąć oczy i wciągać haustami powietrze.

– Gdy weszłam, on już leżał na podłodze. To prawda, był już martwy. Wszędzie była... krew, a ja musiałam ci pomóc, bo byłeś w szoku. Dygotałeś z zimna; przyniosłam czysty kombinezon, a potem widziałam, jak uciekasz, i pomyślałam sobie: pozwól mu odejść, niech się otrząśnie z pierwszego szoku; wiedziałam, co czujesz, bo ja czułam to samo – uświadomiłam sobie, że to koniec, że wszystko się dla nas skończyło, i dla ciebie, i dla mnie. A do tego dla naszych bliskich, Adama i Carla Sigvarda. No bo jak on będzie mógł dalej żyć, przeżyć coś takiego, że jego własny syn... z którego był tak dumny; tak, Tobias, on jest z ciebie dumny, chociaż nie zawsze potrafi to okazać tak, jak byś chciał. I wtedy pomyślałam... nagle tknęła mnie myśl, że... w każdym razie trzeba było się spieszyć.

– Co zrobiłaś? – wydyszał.

Zamilkła, widział, że nie może się przemóc, że trudno jej o tym mówić.

– Po... poćwiartowałam go.

– Poćwiartowałaś?

– Na mniejsze kawałki, takiej wielkości, żeby można było bez trudu się ich pozbyć. Znam się na tym, pracowałam kiedyś przy czymś takim i nabrałam niezłej wprawy. Spłukałam wszystko węzłem, wyczyściłam, tak żeby nie zostawić żadnych śladów. Przysięgam, że nikt się nie zorientuje. Zresztą widziałeś przecież później sam... czy został tam jakikolwiek ślad?

– Pocięłaś go... na kawałki?

Potakiwała drżącą brodą.

– A potem?

– Pamiętasz tratwę, którą mamy nad jeziorem? Przewoziliśmy nią zresztą zwierzęta. Wiesz, te duże zbiorniki, do których jest przymocowana...

Tobias wstrzymał oddech.

– Tak?

– Tam... w środku.

– Włożyłaś tam... to?

– Tak, to bezpieczne miejsce, nikt nigdy niczego się nie domyśli.

– Sabina! Ale przecież... pomyśl o zapachu! To przecież będzie cuchnąć, może nawet już zaczęło...

Uśmiechnęła się smutno, bez cienia satysfakcji.

– Zasypałam to niegaszonym wapnem.

– Co takiego?

– Wiem, że to jest skuteczne. Używano tego do zasypywania masowych

grobów podczas wojen. Wapno likwiduje odór i zapobiega gniciu. Carl Sigvard stosuje je w wychodku, wzięłam stamtąd worki. Zapewniam cię, że nie będzie czuć żadnego zapachu. Nikt nigdy się nie dowie. To pewna i niezawodna kryjówka. Możesz odetchnąć z ulgą.

PRÓBOWAŁA go nakłonić, żeby wstąpił do domu.

– Powiesz ojcu prawdę: że miałeś wieczór autorski i wpadłeś do nas po drodze.

– Nie, muszę jechać do domu.

– Jesteś całkiem przemoczony, na pewno też głodny. Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

– Muszę się zbierać. Pójdę z powrotem drogą przez las, żeby nikt mnie nie widział.

– A jeśli się rozchorujesz? Właściwie już teraz wyglądasz, jakbyś był chory.

Jej dłoń powędrowała do jego czoła, Tobias odruchowo się uchylił. Widział, że ona to zauważyła.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytał zduszonym głosem. – Po co próbowałaś mi wmawiać, że ubzdurałem sobie to wszystko? Że to tylko wytwór mojej chorej wyobraźni?

Sabina milczała.

– Nikt nie jest w stanie wymyślić w najśmielszych fantazjach czegoś tak ohydneho. Takie obrazy nie pojawiają się nawet w najkoszmarniejszych snach. Mówiłaś mi, że nic się nie stało, zaklinałaś się, że nic nie zrobiłem. Jak mogłaś, Sabina, jak mogłaś?!

Słuchała, przygryzając wargę.

– Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej. To był czysty impuls, nie zdążyłam nawet się zastanowić. A potem przypomniało mi się, że czytałam kiedyś o ludziach w szoku. Że można wyprzeć ze świadomości pewne zdarzenia, uporać się z nimi i żyć dalej. Tobias, zrobiłam to dla ciebie, nie rozumiesz tego?

– Dlaczego mnie okłamałaś?

– Tu nie chodzi o kłamstwo, tylko o to, by można było iść dalej, by nas to nie złamało. Nie możemy czuć się winni, nie pozwólmy wywołać w sobie poczucia winy.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Muszę oswoić się z tym, kim jestem – powiedział. – Przede wszystkim pogodzić się z tym, że jestem mordercą. Muszę to jakoś ogarnąć, zanim spróbuję zostawić to za sobą. A to jest... takie potworne. Jak będę mógł po czymś takim spojrzeć w oczy swoim bliskim – ojcu, Klarze, Marit? Skąd mam wziąć na to siły, mając świadomość, że oni nic nie wiedzą? Będą mnie



kochać, traktować tak samo jak do tej pory, choć ja nie jestem już tym samym Tobiasem... choć pozbawiłem życia innego człowieka.

Sabina wyprostowała się.

– Nie wolno ci się z tym oswajać! Wręcz przeciwnie – masz o tym zapomnieć! Tobias, przecież jest już po wszystkim!

– Sabina! – wrzasnął niemal. – Nawet nie zapytałaś, jak do tego doszło. Pokręciła głową, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Wydaje mi się, że wiem. Groził, że rozpowie, co widział. Szantaż, prawda? Powiedz, że tak było. Gdyby nie dostał forsy, powiedziała by Carlowi Sigvardowi, że nas przyłapał.

– Mniej więcej.

– Przecież to był okrutny, cyniczny drań. Prawdziwy psychopata.

– Myślałem, że go mimo wszystko lubiałaś. Ze względu na Adama. Podobno był dobry dla niego!

– Tak w głębi duszy nigdy za nim nie przepadałam. Udawałam albo raczej próbowałam go polubić. Ale bałam się go. Z Adamem jest takie urwanie głowy, więc myślałam... Nie, najlepiej trzymać się z daleka od takich ludzi.

– A co z jego matką, przecież ciągle tu się płacze. Jak się jej pozbędziemy?

Twarz Sabiny wykrzywił grymas.

– Zostaw to mnie, w końcu przecież da za wygraną. Uczepiła się tego, że miał przyjść do nas po pieniądze, ale wiesz, ona jest trochę tego... – Postukała się palcem w głowę.

– A jeśli pójdzie na policję?

– Ależ skąd!

– Dlaczego nie?

– Myślisz, że taka kobieta poszłaby na policję? Przecież policja zwinęła jej ukochanego synusia i wsadziła go do paki.

– Jesteś pewna?

– No zastanów się!

Deszcz przybrał na sile. Lekki szmer kropel kapiących po dachu przeszedł w bębnienie. Z oddali dochodził pomruk grzmotu.

– Muszę jechać – powiedział Tobias.

– Rób, jak chcesz. Szkoda, że nie dałeś się przekonać, by zostać. Ja też muszę wracać, bo twój ojciec zacznie się dziwić.

Wstał i wziął ją w objęcia.

– Co z nami będzie? – wyszeptał. – Sabina, co z nami będzie?

Gdy znalazł się przy tylnym wyjściu, przypomniał sobie coś.

– Musisz pozbyć się jego vespy. Jeśli ktoś zacznie węszyć, natknie się na skuter i trzeba będzie się gęsto tłumaczyć.

– Dobrze, chyba masz rację.

– Historia z vespą też była kłamstwem, prawda? Wcale cię nie prosił, żebyś ją wyrzuciła.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie.

– Co z nią zrobisz?

– Będę musiała znaleźć lepszą kryjówkę.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Zabiorę ją ze sobą. Wrzucę ją do bagażnika, a potem gdzieś wywalę.

– A jeśli ktoś cię zobaczy?

– Przecież nikt nie wychodzi dobrowolnie z domu w taką cholerną pogodę.

– No tak, masz rację. Dobry pomysł, zrób tak. Ale nie podoba mi się, że zamierzasz jechać w taki deszcz.

Zaśmiał się, sam słyszał, jaki jest patetyczny:

– Nie zasługuję na nic lepszego.

DOTARŁ do Södertälje koło dziesiątej w nocy. Nie oddał w ogóle samochodu, tylko pojechał nim do samego domu. Postanowił, że odprowadzi go nazajutrz do najbliższej filii wypożyczalni.

Droga powrotna była bardzo wyczerpująca. Taszczył ze sobą starą vespę, która była cięższa, niż się spodziewał. Pedaly zaczepiały o rozłogi i gałązki, co chwila musiał się zatrzymywać i je oswobadzać. Deszcz nie ustawał, dosłownie lało jak z cebra, więc był mokry jak niewyżęta ścierka. Gdy w końcu dotarł do podestu tanecznego, był skonany i sponiewierany. Samochód stał na swoim miejscu. Tobias nie mógł jednak znaleźć kluczy i przez kilka upiornych chwil sądził, że zgubił je w lesie. Był załamany. Rozsunął gwałtownie zamek torby i wyrzucił całą zawartość na ziemię. Klucze leżały wśród rozrzuconych rzeczy. Bogu dzięki!

Okazało się, że cała vespa nie zmieściła się w bagażniku, wystawał kawałek przedniego koła. Szukał czegoś, by przywiązać uchwyt bagażnika, lecz nic nie znalazł. Musiał więc jechać powoli, ale to nie miało znaczenia, bo i tak widoczność była bliska zeru. Tuż przed miejscowością Rimforsa zatrzymał się przy zatoczce parkingowej i poszedł się wysikać. Potem wyciągnął z bagażnika skuter, zaciągnął go kawałek w las, cisnął nim o ziemię i wrócił do samochodu.

Gdy dojechał do domu, był całkiem przemarznięty, chłód wgryzł się w ciało aż po sam szpik kości. W samochodzie było wprawdzie lepiej, bo miał włączone ogrzewanie, ale z kolei szyby zaparowywały i robiło się tak duszno, że musiał otwierać okno.

W pobliżu Nyköping przestało padać. Z głodu kręciło mu się w głowie, zastanawiał się, czy nie zatrzymać się przy Nyköpingsbro, restauracji na wiadukcie nad autostradą; jednak gdy zobaczył w lusterku wstecznym swą twarz, postanowił nie przystawać. Zjechał natomiast wkrótce na stację benzynową, gdzie kupił papierosy, kilka dużych wafli w czekoladzie i coca-colę. Stał pod wiatą, wrzucając w siebie batoniki i pijąc napój. Paląc, czytał afisze z nagłówkami prasowymi; wyobrażał sobie, jak mogłoby to wyglądać:

Znany pisarz zabija 27-latkę.

Czy ile on tam ma lat. Albo raczej, ile mógł mieć. Hardy Lindström nie będzie już starszy, niż był tego dnia, kiedy zginął w siodłami. W kwiecie wieku.

Tobias odstawił puszkę z colą na kamienną płytę. Został jeszcze łyk, ale

nie był w stanie dopić napoju. Znowu chciało mu się sikać, ale wolał nie wchodzić ponownie do środka, bo niektórzy dziwnie mu się przyglądali. Kobieta i mężczyzna stojący za kontuarem – zauważył ich badawcze spojrzenia. Na pewno by go sobie przypomnieli, gdyby doszło do policyjnego śledztwa.

O nie, przekonywał sam siebie. Sabina ma rację, ta kobieta wie, co robi. Niezawodna. Niezawodna kryjówka. Nie wytrzymał i parsknął śmiechem, cała twarz wykrzywiła mu się w dzikim grymasie; śmiech powarkiwał w krtani, gotów w każdej chwili wyskoczyć i go skompromitować. Bo nie zdołałby go powstrzymać; rechotałby histerycznie, na całe gardło; normalny człowiek, będący przy zdrowych zmysłach, nie zachowuje się tak.

Wrócił szybko do samochodu. Trząśnięcie z zimna w wilgotnym i zeszywniałym ubraniu; skarpetki przemoczone, buty całkiem zniszczone, można było już spisać je na straty – żadne suszenie ani szcietkowanie nie przywróci im właściwego kształtu. Wyrzywa się strony ze starych gazet, zwija i wypycha nimi szczelnie buty, dociskając, dopóki nie odzyskają formy – wtedy papier pochłania wodę i skóra ma szansę wyschnąć. Kto go właściwie tego nauczył? Svava czy ojciec? Wyrzuci te buty, jak tylko wróci do domu, wpakuje je do plastikowego worka i wyniesie od razu do zsypu. Nie ma najmniejszego sensu ratować rzeczy, które były świadkami tego, co zrobił.

Sabina, cwana z niej kobieta. A może wcale nie cwana, tylko po prostu zaradna – to chyba lepsze określenie. Przez to, co zrobiła, stała się jego współniczką. Teraz jest ich dwoje, a jeśli wpadną, zostaną ukarani oboje. Pomyślał o swoim ojcu i omal się nie rozplakał, od razu poczuł przyływ czułości. Nie chciał mu tego zrobić, nie chciał przysparzać mu więcej bólu, bo los i tak go nie oszczędzał. Najmilszy człowiek na świecie, tak mówiła o nim Sabina. No i ten Hardy, ta szumowina; łąził za nimi i szpiegował, a gdy ich przyłapał, postanowił wykorzystać sytuację. Czy taki człowiek zasługuje na to, by nadal żyć?

Tobias miał czternaście lat, gdy po raz pierwszy od przeprowadzki odwiedził ojca. Był wystarczająco duży, by podróżować samodzielnie, wystarczająco duży, by jechać samemu pociągiem. Carl Sigvard wyjechał po niego na dworzec, miał nowy samochód, volvo. Tobiasowi ojciec wydał się jakiś mały, gdy zobaczył go rozglądającego się po peronie w poszukiwaniu syna. Miał taką chudą szyję i chyba nowy kaszkiet, który wydawał się zbyt luźny.

No i to spojrzenie. W jego oczach widniał taki smutek, że Tobias nie zdołałby odegnąć tego obrazu, nawet gdyby starał się ze wszystkich sił.

– Serwus, synu, ledwo cię poznałem!

Mocny uścisk, mocny uścisk dłoni, jakby chciał go sprawdzić. Żadnego obejmowania się, nic z tych rzeczy.

– Masz tylko tyle bagażu?

– Tak, tylko tę torbę.

Co mieli sobie potem do powiedzenia? Nic specjalnie ważnego. Ojciec zasiadł za kółkiem i rzucił obowiązkowe w takich sytuacjach pytania:

– Jak sobie radzisz w szkole? Masz już jakichś nowych kolegów?

I zdawkowe obowiązkowe odpowiedzi.

A wszystko inne, to co wrzało w ich sercach, co buzowało w ich mózgach, pozostało niewypowiedziane.

W domu była nadal Missan, kotka, stara i zmęczona – o niej akurat mogli rozmawiać. O tym, że po obejściu kręciło się coraz więcej myszy, bo Missan nie miała już siły, nie dawała rady jak dawniej. Ojciec miał jeszcze inne koty, ale wszystkie się gdzieś zapodziały. Może wytrzebiły je lisy, bo teraz, odkąd zwalczono świerzb lisi, było ich co niemiara. Tak – lisy i sarny – „wtryniają się nawet na działkę i podgryzają moje drzewa owocowe”.

Tak strasznie tęsknił za domem! Przez całe te cztery długie lata. Tęsknił, tworzył sobie w głowie obrazy.

Nic nie było już takie jak wtedy, gdy stamtąd odjeżdżał. Nawet nie miał poczucia, że wrócił do domu.

– Teraz będziesz przyjeżdżał tu częściej – stwierdził ojciec, gdy znowu znaleźli się na dworcu. – Teraz jesteś na tyle dorosły, że możesz decydować sam. Wiesz, że kiedyś to wszystko będzie twoje. Po to przecież haruję, dla twojej, he, he... spuścizny po ojcu.

Poszedł prosto pod prysznic, nie zdjął nawet ubrania. Jego ciało pokrywały siniaki i zadrapania. Gdy się wytarł i wypił kilka kieliszków wina, zadzwonił do Marit. Była prawie jedenasta. Obawiał się, że ją zbudzi, ale sprawiała wrażenie, jakby wręcz siedziała i czekała, aż się do niej odezwie.

– Mogę wpaść na chwilę? – zapytał.

Jej głos brzmiał, jakby miała katar.

– Pewnie, dobrze wiesz, że możesz.

– Na pewno nie idziesz spać?

– Nie. Wyjrzę za pięć minut, rzucę ci klucz.

Po drodze rozmyślał, jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, kim on tak naprawdę jest. Czy otworzyłaby drzwi przed mordercą? Czy przyjęłaby go do swojego łóżka, czy pozwoliłaby mu położyć się w swojej pościeli?

Nie chciał dłużej być sam na sam ze sobą. Marit będzie dzielić z nim jego ciężar, nie zdając sobie z tego sprawy. Może Sabina miała rację, doradzając mu, żeby próbował jak najszybciej zapomnieć. Bo mimo wszystko może należało uznać to za morderstwo doskonałe? Czy to w ogóle było przestępstwo? Nie, właściwie nie. To był wypadek, ewentualnie nieumyślne spowodowanie śmierci, bo przecież nie było w tym żadnej premedytacji.

Czy Leo Pullman, ten palant z jego książki, wytropiłby w podobnej sytuacji sprawcę? Nie, na pewno nie dałby rady. Zbrodnia doskonała – nie ma ciała, nie ma podejrzanego.

Jaki świetny materiał na powieść, pomyślał z goryczą.

Marit najwyraźniej płakała przed jego przyjściem. Jej twarz była czerwona i opuchnięta, zamiast oczu wilgotne szparki. Otworzyła drzwi w szlafroku, zarzuciła mu ramiona na szyję, zatrzymała go w przedpokoju, mocno przywierając do niego. Pożałował, że tu przyszedł, nie miał najmniejszej ochoty na żadne przedstawienia.

– Co z tobą? – zapytał szorstko.

– Nic takiego.

– Beczysz tak bez powodu?

– Jestem trochę przygnębiona. Dostanę niedługo okresu. Ale nie chodzi tylko o to.

Wyswobodził się z jej objęć i poszedł do salonu. Na ścianie nad sofą wisiała akwarela miejscowego artysty. Przedstawiała pięć kobiet, krągłych i zażywnych. Dwie z nich siedziały nago na łące w otoczeniu gromadki równie nagich bobasów. Wyglądały jak prawdziwe amorki, pulchne i tłuściutkie. Ręce kobiet wyciągały się w ich stronę.

Stał z rękami w kieszeniach. Marit zapewne oczekiwała, że będzie się dopytywał, co miała na myśli, o co jej właściwie chodziło. Nie miał na to siły.

– Cieszę się w każdym razie, że przyszedłeś – powiedziała zduszonym głosem.

– Hm. Jakoś mi na to nie wygląda.

– Tobias...

– Jestem zmęczony, mam za sobą długą jazdę. Pogoda była do dupy.

- Jazdę? Jaką jazdę?
  - Wpadłem jeszcze do Kvarnbergi. Wynająłem samochód.
  - Po co?
  - Bo przez Kvarnbergę nie jeżdżą pociągi.
  - Nie o to mi chodzi. Dlaczego tam znowu pojechałeś, stało się coś?
  - Marit, przecież mój ojciec tam mieszka, a niedawno miał wypadek.
- Nie odpowiedziała, odwróciła się i poszła do kuchni.
- Możesz przynieść whisky?! – zawołał za nią. – Napijmy się po szklaneczce, a potem chodźmy spać. Jestem cholernie zmęczony.

Siedzieli naprzeciw siebie przy stole. Pociągnęła łyk whisky i po jej twarzy przemknął grymas. Zobaczył strup na jej nosie.

– Skaleczyłaś się?

– Gdzie?

Pokazał na grzbiet jej nosa.

– A, to. Już się zagoiło, to było dawno.

– Aha.

– Dziwne, że nie zauważyłeś tego wcześniej.

– Dlaczego dziwne?

– A co z tobą? Wyglądasz, jakbyś się z kimś bił.

Wpatrywał się w swoje dłonie.

– Coś ty zrobił? – zapytała. – Zgwałciłeś kogoś czy co?

Nie spuszczała z niego wzroku, poczuł, że się zaczerwienił.

– Głupie żarty!

Upiła znowu łyżeczek alkoholu.

– No to co się stało?

– To przez psa. – Próbował się roześmiać. – Tego szczeniaczka Sabiny. Zniknął, więc musieliśmy go poszukać. Znaleźliśmy go zaplątanego w krzakach.

Marit milczała, nie wierzyła mu.

On też nic nie mówił.

– Padało jak cholera – odezwał się po chwili. – Jechało się ciężko, nie widziałem jezdni przed sobą. Potem, Bogu dzięki, przestało.

W jej oczach pojawiła się czujność.

– Myślałam o niektórych sprawach.

– Tak?

– O nas.

Wyjął papierosa, obracał go między palcami.

– O tym, jak powinien wyglądać nasz związek.

Chwycił zapalniczkę.

– No weź, idź sobie zapalić – powiedziała z pretensją w głosie.

Gdy wrócił do pokoju, była już w łóżku. Leżała na boku, z twarzą tuż przy ścianie. Zatrzymał się na progu, złapał się futryny i kołysał tam i z powrotem.

– Chcesz, żebym sobie poszedł? – zapytał.

– Sama nie wiem – dobiegł go jej zduszony głos. – Nie, zostań.

Rozebrał się powoli, został w samych slipach, wsunął się do łóżka. Marit była sztywna i zimna. Objął ją ramieniem. Nawet się nie poruszyła, ledwo było słycać, że oddycha.

– Śpimy? – zapytał.

– Spać, spać, spać!

– Dobrze.

– Mamy przespać całe nasze życie? O to ci chodzi?

– Co znowu? Człowiek musi spać, żeby móc funkcjonować.

– Ale życie jest tak kurewsko krótkie.

Zdziwił się, bo nigdy nie przeklinała.

– Dlaczego myślisz o tym akurat teraz?

– Czasem nie wiem, czy żyję, czy już umarłam. Przekroczyłam czterdziestkę. Tak ma wyglądać moje życie?

Chciał, żeby zamilkła, żeby się uspokoiła i zasnęła. Jednak mrok najwyraźniej zachęcał ją do mówienia.

– Każdy powinien odpowiadać za swoje życie – rzucił na odczepnego.

– Wolałabym, żebyśmy więcej rozmawiali. Tak, wiem, że teraz nie możesz, że teraz musisz się skupić na pisaniu i tak dalej. No i masz jeszcze ojca na głowie. Wiem i rozumiem to wszystko, rozsądek mi to podpowiada. Ale mimo wszystko chciałabym, żebyśmy więcej rozmawiali.

– Tak.

– Czuję taki potworny niedosyt! – krzyknęła. – Cieszę się, że jesteśmy parą czy jak to tam nazwać. Że chcesz być ze mną. Ale... Tobias... czasem mi się wydaje, że to nie wystarcza.

Zaschło mu w ustach. Gdy zamknął oczy, słyszał nadal warkot silnika, jego szum, czuł nadal swoim ciałem podrygiwanie samochodu. Przycisnął lekko rękę do biodra Marit.

– Jedźmy do tej Tajlandii – szepnął jej do ucha. – Zaczniemy planować podróz.



Marit zaszlochała.

– Nic z tego nie będzie!

– Dlaczego nie? Zaplanujemy i pojedziemy. Spróbuj teraz zasnąć.

Na chwilę zapadła cisza. Tobias się odprężył, oczy zaczęły mu się zamykać. Zapadał już prawie w sen, gdy znowu usłyszał jej głos.

– Tobias, śpisz?

– Nieee...

– Leżę i zastanawiam się nad czymś, nad czymś zupełnie innym. Myślisz, że jak człowiek umiera, to żyje nadal w jakiś sposób? Czy przybiera jakąś inną postać?

Sen natychmiast się ulotnił.

– Co ty wygadujesz?

– No ale... jak myślisz? – ponowiła pytanie.

– Czemu zaczynasz mi w pięć, ni w dziewięć bredzić na ten temat?

– Moja siostra... jutro przypada rocznica jej śmierci.

– Aha.

– Gdybyś chciał wiedzieć, to nie myślę o tym zbyt często. Ale zadzwoniła moja mama. Utrata dziecka powoduje pewnie najboleśniejszy rodzaj żałoby.

– Ale to chyba było już dawno temu?

– Owszem, minęły czterdzieści trzy lata, ale ona tak naprawdę nigdy się z tym nie pogodzi.

Obrócił się na plecy. Wpatrywał się w mrok piękącymi oczami.

– Mama jest przekonana, że życie nie kończy się wraz ze śmiercią. Ale ja nie wiem. Jak myślisz, Tobias?

– Nie wiem, co myślę. Chyba nie ma znaczenia, co człowiek sądzi na ten temat, i tak nie da się potwierdzić ewentualnej słuszności swoich przypuszczeń.

– Nigdy się nawet nad tym nie zastanawiałeś?

– Trup to trup.

– Ale to brzmi tak nieodwołalnie.

– No bo tak właśnie jest.

– Gdy moja siostra zmarła... miała tylko cztery latka. Urodziła się z wadą serca i rodzice byli w pewnym sensie przygotowani na to, że może ich opuścić.

Marit się zacięła, straciła wątek.

– Pamiętasz swoją siostrę? – wydusił z siebie.

– Nie mogę jej pamiętać, urodziłam się później, jak jej już nie było. Ale

teraz sobie coś przypomniałam. Mama opowiadała mi, że wieczorem tego dnia, kiedy zmarła Carina, przez okno kuchenne wpadła do mieszkania pliszka. Przysiadła na ławie i wpatrywała się w rodziców tak, że nie śmieli się ruszyć. Okno było otwarte, a pliszka siedziała tam i przyglądała się im dłuższą chwilę, zanim odleciała. Mama twierdziła, że widziała w oku pliszki oko Cariny. Mówiła mi, że potem zrobiło jej się jakoś źlej.

Tobias odkaszlnął.

– Może jest tak, że człowiek widzi, co chce widzieć. I nie ma w tym nic złego.

Odwróciła się do niego i położyła mu rękę na klatce piersiowej.

– Dobranoc, Tobias. Przepraszam, że byłam wcześniej taka niemila.

– Dobranoc.

W PONIEDZIAŁEK rano zadzwonił Titus Bruhn, jego wydawca. Tobiasa obudziła krzątająca Marit w kuchni. Gdy jego komórka zaczęła brzęczeć, przyniosła mu ją. Marit była blada, rzadkie, nieumyte włosy zwisały smętnie.

– Lepiej odbierz – doradziła.

Wziął od niej telefon i poczuł ukłucie w przeponie.

– Tak, tu Tobias.

– Titus z tej strony. Spałeś jeszcze?

– Nie, do cholery.

– Dobrze. Słuchaj, chodzi o ten lunch. Pasowałoby mi spotkać się dzisiaj, bo potem jadę na targi do Frankfurtu. A jak twoje plany?

– Dobra, niech będzie dzisiaj. Zajrzę do ciebie koło pierwszej, co ty na to?

– Świetnie, to czekam na ciebie.

Wstał i przeszedł do kuchni. Marit stała w szlafroku przy oknie. Odwróciła się, gdy do niej zagadał.

– Marit, nie idziesz dzisiaj do pracy?

– Wzięłam zwolnienie.

– Co? Dlaczego?

– Nie mam siły iść do pracy.

– Skarbie, co z tobą?

– Dostałam okresu. No i nie zmrużyłam oka w nocy.

– Naprawdę? Dlaczego nie?

– Rozmyślałam całą noc. Tobias, musimy pogadać. O nas, o naszym związku.

Nie zaczynaj znowu, zaapelował do niej w myślach.

Nalał sobie szklankę wody i wypił ją duszkiem.

– Chcesz zerwać? – zapytał obcesowo.

– Nie – usłyszał zduszoną odpowiedź.

Co ją znowu napadło? Owszem, jak dostawała okresu, bywała podenerwowana i opryskliwa. Ale te ciągłe nagłe zmiany nastroju były do niej niepodobne.

– Dzwonił mój wydawca – odpowiedział wymijająco. – Muszę lecieć się z nim spotkać.

– Teraz?

– To ważne, chodzi o moją książkę, o umowę.

Skuliła się trochę w sobie. Wziął ją w objęcia, a ona się nie opierała, stała ze zwieszonymi rękami.

– Wróć wieczorem, obiecuję. Zjemy razem coś dobrego i pogadamy. Kochanie, idź się teraz położyć. Spróbuj się trochę przespać.

Wydawnictwo nazywało się Bladguld<sup>8</sup> i miało swoją siedzibę na Kungsholmen, na parterze siedmiopiętrowego budynku na Industrigatan. Na tej samej ulicy znajdowało się wydawnictwo Brombergs Förlag i kilka pomniejszych oficyn. Titus Bruhn wydawał jedynie książki szwedzkich pisarzy i najchętniej przechrzczyłby swoje wydawnictwo na Blågult<sup>9</sup>, ale oczywiście okazało się, że ta nazwa jest już zajęta.

Po kilku chudych latach zaraz po starcie wydawnictwo Bladguld prosperowało całkiem nieźle. Między innymi dzięki temu, że Titusowi udało się upolować prawdziwą kure znoszącą złote jaja. Nazywała się Sissi Nord i pisała książki o singielkach, o poszukiwaniu faceta – szwedzkie odpowiedniki *Dziennika Bridget Jones*. Wydała trzy książki tego rodzaju, które sprzedawały się w zdumiewająco wysokich nakładach.

W oknach wychodzących na ulicę umieszczone były plakaty ze zdjęciami Sissi Nord. Jej teksty były autentyczne – podobnie jak jej bohaterka miała około trzydziestu pięciu lat i nie zdołała znaleźć sobie towarzysza życia. Tobias domyślał się dlaczego. Spotkał ją przy kilku okazjach i zauważył, że była w niej jakaś zachłanność, jakaś desperacja. Na Targach Książki w Göteborgu rok wcześniej jechali tą samą taksówką z kolacji do baru na Park Aveny. Siedzieli oboje z tyłu i zanim się spostrzegł, jej ręka wślizgnęła się do kieszeni jego spodni. Nie chciał jej urazić, spokojnie próbował odsunąć się w stronę okna, ze świadomością, że bez względu na to, co zrobi, ryzykuje, że zostanie opisany w jej kolejnej książce. Z nazwiskiem i z wszelkimi szczegółami. Wśród pisarek panowała osobliwa moda, by mścić się na osobnikach, którzy nie dawali się złapać na ich ewentualne umizgi. Bohaterka książek Sissi nazywała się Lena Lind. Autorka była ładna i seksowna, nie kwestionował jej urody. Nie miał jednak ochoty zostać niczyją zwierzyną łowną.

Wydawnictwo nie należało do dużych. Titus założył je sam, lecz wkrótce dołączyła do niego współpracowniczka, która nazywała się Annie Berg. Pracowała wcześniej w wydawnictwie Curta Lüdinga, które kilka lat temu przeniosło się do Norrlandii. Annie z oczywistych powodów nie chciała się

przeprowadzić – miała swoje korzenie w Sztokholmie.

Annie Berg cieszyła się opinią rzutkiej, sprawnej profesjonalistki, miała wyjątkowo dobrego nosa do bestsellerów. To ona wywęszyła Sissi Nord i przekonała ją, że w takim małym wydawnictwie zawsze będzie Kimś. Gdyby poszła do prawdziwych tuzów, pozostałaby tylko jedną w tłumie.

Gdy przekroczył próg wydawnictwa, natknął się właśnie na Annie. Kobieta miała między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat, była niska i odrobinę nijaka. Z całej jej postaci przebijało jakieś przygnębienie, a Tobias domyślał się dlaczego. Kilka lat wcześniej, zimą, zniknęła nagle jej koleżanka z wydawnictwa Curta Lüdinga. Pojechała na grób swoich rodziców i ślad po niej zaginął. Była bliską przyjaciółką Annie, pracowały razem przez wiele lat. Tobias dowiedział się tego od Titusa, bo sama Annie nigdy się nie zwierzała, nawet na imprezach. Pamiętał jak przez mgłę nagłówki gazet z tamtego okresu. Dziennikarze ochrzcili ten przypadek „sprawą Berit”.

– Witaj, Tobias. – Wyciągnęła rękę na powitanie. – Titus czeka u siebie.

Przeszedł pomiędzy rzędami regałów i kartonów, pozdrawiając po drodze Mimmi i Evę, które też pracowały w wydawnictwie.

– Jak ci się podoba okładka wydania kieszonkowego?! – zawołała Eva. – Trochę ostrzejsza niż oryginał, co?

Złożył kciuk i palec wskazujący w „o” i zrobił szybki ruch ręką.

– Zajebicie śliczna!

Drzwi do gabinetu Titusa były uchylone. Titus rozmawiał właśnie przez telefon. Nogi położył na stół i odchyłał się do tyłu tak daleko, na ile krzesło pozwalało. Cała podłoga zavalona była stosami książek. Titus był facetem koło czterdziestki, przy kości, miał wąsy, szparę między zębami, ubrany był w koszulkę polo, dżinsy i marynarkę. Tobias zorientował się szybko, że Titus rozmawia z kochanką, jednak wcale nie dawał do zrozumienia, że wolałby zostać sam, wręcz przeciwnie.

Titus pokazał mu na migi, żeby usiadł. Tobias klapnął na krzesło dla gości. Grube podeszwy butów Titusa opierały się na pęku manuskryptów, pomiędzy rowkami utknęła guma do żucia. Po niekończących się dygresjach i amorach zakończył wreszcie rozmowę. Wszyscy wiedzieli, że Titus ma romans z pewną księżarką ze Sztokholmu. Czy jego żona także była tego świadoma? Tego Tobias nie wiedział.

Poszli do baru sushi o nazwie Hokkaido na S:t Eriksgatan. Dostali miejsce przy małym stoliku przy oknie. Titus spojrzał na Tobiasa sponad oprawek okularów.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Tja.

– Piszesz po nocach?

– Przez jakiś czas miałem lekkie urwanie głowy. Jak wiesz, spędziłem trochę czasu u ojca. Miał wypadek – spadł z wysoka, gdy przekładał siano, prosto na kamienną posadzkę. Miał szczęście, że przeżył, nie jest już taki młody. Pojechałem tam, żeby pomóc przy zwierzętach, ale to nie jest jedyny problem. Przykro patrzeć na pokolenie swoich rodziców, które podupada na siłach i niebawem się wykruszy.

– Chodzi ci o to, że człowiek przeskakuje nagle stopień wyżej? Albo może raczej niżej, jak pomyśleć o drabinie wiekowej.

Tobias pokiwał głową. Złapał pałeczkami kawałek sushi i zanurzył go w mieszaniu sosu sojowego i wasabi. Począł, aż ryż wchłonie płyn, i zjadł. Potrawa była ostra, poczuł łzy w oczach. Titus zaśmiał się sarkastycznie.

– Trudno się do tego przyzwyczaić, ale to oczyszcza mózg.

Restauracja zdążyła opustoszeć, pora największego tłoku minęła. Titus przyniósł po filiżance zielonej herbaty. Tobias nie należał do entuzjastów tego napoju, jego zdaniem smakował on jak słoma. Miał też ochotę na papierosa, żałował, że nie wybrali innej restauracji, gdzie mogliby napić się wina i kawy z przyzwoitym koniakiem.

Titus bębnił po blacie stołu swą pulchną, szeroką dłońią.

– Słuchaj, potrzebowałbym jakiejś deklaracji – powiedział z namysłem.

– Chcesz wiedzieć, czy zamierzam pisać, czy nie.

– Owszem. Mówiłem już, że nie chcę wywierać na ciebie presji. Ale wolałbym mieć jakieś rozeznanie w twoich planach. Myślisz, że uda ci się spłodzić coś na jesień?

Tobias odstawił filiżankę.

– Nie jestem maszyną – oznajmił z irytacją.

– Jasne.

Zapadło milczenie. Z ulicy dobiegło wycie syren, po chwili przemknęły z dudnieniem trzy samochody strażackie. Ludzie zatrzymywali się i zasłaniaли sobie uszy. Titus podniósł rękę i szybkimi, krótkimi ruchami zaczął masować sobie kark.

– To co, ustalamy, że tym razem opuścisz kolejkę? – zapytał z ociąganiem. – Nic takiego się nie stanie – właśnie ukazało się wydanie kieszonkowe, czytelnicy nie zapomną tak od razu Leo Pullmana, nawet jeśli zrobi sobie roczny urlop.

Tobias jęknął.

– Właściwie nie wiem.

– Na pewno nie jest łatwo pisać, jeśli człowiek jest pochłonięty czymś innym. Świetnie to rozumiem.

– A kto jest na liście na kolejną jesień? Czy Sissi planuje coś wydać?

– Pracuje nad książką dla dzieci.

– Dla dzieci?

– Tak.

– Jak to?

– Nie miałem serca jej odmówić.

– Przepraszam, ale nie mogę się powstrzymać. Do kurwy nędzy – co Sissi wie o dzieciach?

Titus wzruszył ramionami.

– Zobaczymy, gdy dostarczy manuskrypt.

– Wracając do mojej książki – kiedy chcesz mieć ostateczną odpowiedź?

– Sam manuskrypt możesz złożyć jakoś na wiosnę. Ale teraz muszę mieć przede wszystkim tytuł i zarys fabuły, tak żeby można było już opracowywać okładkę. Na razie się nie pali, ale jak mówiłem, chciałbym usłyszeć jakąś deklarację.

– Okej, spróbuję – Tobias usłyszał własny głos. – Też muszę za coś żyć. Nie za bardzo mogę sobie pozwolić na taki przestój.

– Chcesz jakąś zaliczkę?

Tobias zastanowił się.

– Raczej nie. Jeśli zmienię zdanie, odezwę się.

– Jak chcesz, możemy trochę poimprowizować.

– Chodzi ci o fabułę?

– Właśnie.

– Masz jakieś sugestie?

– A co myślisz o zmianie środowiska? Morderstwo na jakimś zadupiu. Szczegóły masz, że tak powiem, za darmo. Krowy, cisza, wielkie ciemności zapadające nad ludźmi i zwierzętami...

Tobias zeszywniał.

– *Are you serious?*

– Chciałem ci tylko dać jakąś pożyczkę.

Czy on coś podejrzewa? Tobias poczuł nagle mdłości, myślał, że za chwilę zwymiotuje. Wstał i ruszył do toalety. Wokół skrzydełek jego nosa perliły się kropelki potu. Zmoczył ręce wodą i opłukał twarz. Całe ciało go paliło, z wyjątkiem koniuszków palców, które były lodowato zimne. Zatrząsał się.

– Źle się czujesz? – zapytał zmartwiony Titus, gdy Tobias wrócił do stolika.

– Coś mi musiało zaszkodzić. A ty nic nie czujesz?

– Nie.

– Zastanawiałem się nad tym, co mówiłeś o zmianie środowiska. Leo Pullman to jednak, kurczę blade, gliniarz z wielkiego miasta. Nie mogę ot tak, zesłać go na jakieś zadupie. Ale są jeszcze inne możliwości. Mam pewien pomysł i spróbuję go rozwinąć. Może wyjdzie z tego coś dobrego, może nawet zajebicie dobrego.



NIESTETY, nie była to prawda – nie miał żadnego pomysłu. Mimo to postanowił, że po powrocie do domu zasiądzie przed komputerem i spróbuje pokombinować. Wcześniej mu się udawało, to kwestia samodyscypliny. Trzeba tylko zacząć, a potem już jakoś samo pójdzie.

Czekając na kolejkę podmiejską, postanowił zadzwonić do Marit. Przetrzęsął kieszenie, lecz nie znalazł telefonu. Zapewne zostawił go u niej. Tak, leżał na stoliczku w przedpokoju.

Zadzwonił dopiero po powrocie do domu.

Marit odebrała natychmiast.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Właśnie jedzie do mnie mama.

– Twoja mama? – Poczul chwilową ulgę.

– Zadzwoniła po twoim wyjściu. Najpierw szukała mnie w bibliotece, ale powiedzieli jej, że jestem na zwolnieniu. Postanowiła zajrzeć do mnie.

Rodzice Marit mieszkali w Norrtälje. Tobias spotkał się z nimi przy kilku okazjach. Oboje byli emerytowanymi nauczycielami licealnymi. Ojciec cierpiał na demencję i niedawno przeprowadził się do ośrodka opieki, bywał jednak często w swoim dawnym domu.

– A ty nie masz nic przeciwko temu? – zapytał.

– Ona tak łatwo nie zrezygnuje. Wiadomo, przed matką nie da się niczego ukryć. Od razu wyczuwa, że coś jest nie tak.

– Kiedy przyjedzie?

– Za kilka godzin.

Głos Marit brzmiał już ciut lepiej.

– Właściwie to dobrze, że odwiedzi cię mama. Bo ja mam zamiar wreszcie zabrać się na poważnie do pisania. Obiecałem to w zasadzie Titusowi. Poza tym powinienem przecież zarabiać na życie.

Usłyszał, że Marit nabiera powietrza.

– Więc nie wpadniesz do mnie?

– W tej sytuacji nie. Nie będziesz przecież sama, posiedzisz z mamą. Gdyby nie to, przyszedłbym, jak tylko bym skończył.

– Na pewno?

Umilkła, a do niego dotarło, że płakała.

– Nie smuć się tak – rzucił wymijająco.

– Potrzebuję cię.

- Wiem, skarbie, wiem.
- No to zabieraj się do tego swojego pisania. Postaraj się, żeby coś z tego wyszło.
- Postaram się.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.

Postanowił, że od razu włączy komputer, usiądzie przed monitorem i że nie odejdzie od biurka, dopóki nie będzie miał gotowego początku.

Gdzieś w lesie zostaje znaleziony zamordowany taksówkarz. Na jego piersi morderca przypiął karteczkę, na której napisano krwią ofiary...

Kurza dupa, co tam jest napisane?

Siedział przed komputerem, na boisku szkolnym panowała cisza, bo był wieczór i dzieciaki rozeszły się do domów, do rodziców. Siedzą teraz i wcinają makaron z mielonym mięsem. Potem zaczną się przepychanki wokół zadań domowych, układania się do łóżka i oglądania telewizji.

Kurwa, co jest napisane na tamtej kartce?

Matki i ojcowie dają się wciągnąć w pyskówki, wybuchają regularne awantury, ojcowie zmywają się, trzaskając drzwiami, wpadają do pubu i obalają kilka piw. Matki robią porządki w kuchni, pochlipując i becząc, a gdy ojcowie wracają do domu...

Co by tam mogło być napisane?

...dzieciaki leżą już w łóżkach i podsłuchują. Z bolącymi brzuchami, bo rozumieją, że to przez nich matki i ojcowie...

Do kurwy nędzy – co jest napisane na tej pierdolonej kartce?

Dostałem, na co zasłużyłem.

Tak! Może coś z tego będzie? Coś intrygującego, coś, co się trzyma kupy.

Ochrzcił tych kilka linijek mianem „Pullman 2” i zapisał plik. Splótł ręce i założył je za głowę. Zatrzeszczało mu w palcach, aż zabolowało. Kliknął ikonkę z pasjansami, otworzył Monte Carlo, który był trudny, prawie w ogóle nie wychodził. Układanie pasjansa mogło, jak mawiał Titus, oczyścić mózg. Próbował pięć razy z rzędu i ani razu się nie udało. Zapalił papierosa. Poszedł się wysikać. Gdzieś w głębi czaszki, w wyobraźni, kołatały pomysły.

I nagle pojawiły się pierwsze zdania:

Telefon zadzwonił akurat, gdy Leo Pullman wrócił do domu z joggingu. Jasna cholera! – pomyślał. Miał nadzieję, że spędzi wieczór w samotności.

Był zmęczony i wyczerpany, prawdę mówiąc, przydałby mu się urlop.

No, całkiem niegłupie.

Tobias wrócił do komputera i otworzył dokument. Właśnie miał zacząć pisać, gdy zadzwonił telefon.

Jasna cholera! – pomyślał.

Usłyszał w słuchawce głos, którego z początku nie rozpoznał. Kobieta zaraz się przedstawiła.

– Tobias, to ja. Ingelize Moberg.

– Ingelize!

– Przeszkadzam ci?

– Nooo...

– Jestem akurat w Sztokholmie, przyjechałam do męża.

– Tak?

– Może byśmy się spotkali?

– Teraz?

– Dziś albo jutro.

– Tak naprawdę jestem teraz zajęty, piszę.

– Rozumiem. Ale muszę z tobą o czymś pogadać, to ważne.

– Jeśli chodzi o tę propozycję, żebym się przeprowadził i pracował u ciebie...

– Nie, nie, chodzi o coś innego. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

– Zniżyła głos. – Chodzi o Sabinę.

– O Sabinę?

– Tak. Nie dzwoniłabym do ciebie, gdyby to nie było coś ważnego. Mogę ci tylko powiedzieć, że... że się boję.

Poczuł ukłucie w okolicy serca, musiał przyłożyć dłoń do piersi, żeby uciszyć ból.

– Tobias! – usłyszał głos Ingelize jakby na tle odległego wodospadu. Przełknął ślinę. Wyciągnął papierosa.

– Gdzie jesteś? – wykrztusił z siebie.

– W mieszkaniu Jensa na Kammakargatan. Mogłabym do ciebie wpaść, jeśli chcesz, do Södertälje nie jest tak daleko.

– Jasne, są przecież pociągi podmiejskie.

– Mogę teraz przyjechać?

Równie dobrze można to załatwić od razu, żeby mieć to z głowy. Ingelize była najwyraźniej roztrzęsiona. Musiał się dowiedzieć, o co jej chodzi.

– W porządku. Masz przy sobie komórkę?

– Tak.

– Zadzwoń, jak dotrzesz do Östertälje, ja się wtedy zbiorę i wyjdę po ciebie na dworzec.

MIMO ŻE miała czapkę nasuniętą na błyszczące rude włosy, rozpoznał ją z daleka. Była ubrana w krótkie futerko w panterkę, czarną spódnicę i kozaki. Wydała mu się ładniejsza niż wcześniej. Objęła go na powitanie i zaczęła nieco wymuszoną konwersację.

– No więc tak wygląda Södertälje.

– Nie da się ukryć.

– *Zobaczyć Södertälje i umrzeć* – zanuciła ochryple, fałszując.

– Że co?

– A może to chodziło o Sundbyberg? „Zobaczyć Sundbyberg i umrzeć.

Spotkaj wiosną w Sööödertälje”<sup>10</sup> .

Tobias zaśmiał się z przymusem.

– Ile tu mieszka ludzi? – zapytała.

– Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy.

– Pewnie wielu dojeżdża do pracy do Sztokholmu.

– Jasne, to normalka.

– No tak.

Szli w milczeniu, a po chwili Ingelize stwierdziła:

– Zimno jest, nie wiadomo, jak się ubierać. Musiałam sobie kupić to futro, wypatrzyłam je w sklepie na Drottninggatan.

– Ładne.

– Oczywiście sztuczne, ale wygląda jak prawdziwe, nie uważasz? Zresztą w życiu nie włożyłabym futra z prawdziwego zwierzęcia.

– Aha – odparł tylko Tobias. Miał już na końcu języka uwagę, że Ingelize ma przecież na sobie kozaki. Czyżby nie były z prawdziwego zwierzęcia? To chyba równie okrutne? Powstrzymał się jednak.

– A ty pewnie piszesz? – zapytała.

– Owszem.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że ci przeszkadzam, ale uznałam, że to ważne. – Przystanęła nagle na środku chodnika i złapała go za ubranie. – Tobias! Myślę, że u was w domu stało się coś strasznego.

Ślina napłynęła mu do ust. Musiał odwrócić się i splunąć.

– Zaraz będziemy na miejscu – oznajmił. – Dom jest tam. Wejdziemy tylko po tych schodach.

Wstukał kod i otworzył bramę. Zapalił światło na klatce. Przemierzał

biało-czarną szachownicę podłogi, nadal mając nad wszystkim pełną kontrolę.

– Ładny korytarz, prawda? – usłyszał własny głos i zobaczył swoją rękę wymachującą w kierunku świeżo malowanych ścian. – To taka cicha, spokojna okolica, a w tym mieście nie ma wielu takich miejsc.

Nie odpowiedziała, słyszał tylko za sobą jej kroki na schodach. Miał już przygotowane klucze i od razu otworzył.

Wziął od niej futro, które było zaskakująco lekkie, i powiesił na wieszaku. Miała na sobie zielony sweterek opinający biust.

– Zapraszam. Czego się napijesz? Wina?

Kiwnęła głową. Rozglądała się, lecz bez szczególnej ciekawości.

– Zostawiłaś konie bez opieki? – zapytał, zdziwiony swoimi replikami. Ręka mu drżała, rozlał trochę wina.

– Mam fajne dziewczyny do pomocy.

– Aha. Palisz?

Potrząsnęła przecząco głową, upiła łyk wina. Dostrzegł przez jej rajstopy pomalowane na czerwono paznokcie u nóg. Siedziała na sofie; założyła jedną nogę na drugą, szeleszcząc spódnicą. Zagryzała i pocierała zębami dolną wargę, nagle jakby zabrakło jej słów.

Zerknął na nią i poczuł ostre ukłucie pod kością czołową, rozdzierający, przeszywający ból, który sprawił, że odruchowo zacisnął powieki.

– No powiedz wreszcie, o co chodzi – rzucił chropawym głosem.

Pociągnęła wino, opróżniając prawie kieliszek.

– Zimno mi – wyszeptała. Tobias wskazał na pled przewieszony przez oparcie sofy.

– Owiń się nim. A może jesteś głodna? Zrobić ci kanapkę?

– Nie jestem głodna.

– To mów, do jasnej cholery, o co chodzi! – krzyknął.

Przyłożyła dłoń do głowy i odchyliła ją do tyłu.

– Nie wiem, od czego zacząć. Jeden chłopak z naszej wsi zaginął. Na pewno go pamiętasz, chodzi o Hardy’ego Lindströma. Sam mówiłeś, że cię nie znosi.

Tobias potaknął. Dotykał czubkiem języka wewnętrznej strony zębów, przyciskał go długo i mocno, aż poczuł krew.

– Zatrudniałam Hardy’ego do prac budowlanych. Pomagał też przecież twojemu ojcu i Sabinie.

– Jasne.

– No i nagle zniknął.

– Odniosłem wrażenie, że nie można zbyt ufać temu Lindströmowi. Chyba siedział w kiciu, co?

– Owszem. Ale na pewno by ot tak, nie zniknął. Ma naprawdę dobre układy z matką. Kobieta jest roztrzęsiona, przekonana, że coś mu się stało. Była u mnie kilka dni temu, chciała, żebym jej pomogła złożyć zawiadomienie na policji.

– Na policji?!

– Tak, a to oznacza, że sprawa jest poważna, bo Ann-Mari nienawidzi policjantów. Prawdę mówiąc, też ma swoje za uszami. Ale zawsze miała dobrą rękę do koni. Bywała nawet u was dawniej, jeszcze jak twoja mama... Podkuwała między innymi konie.

– Wiem.

Odpowiadał mechanicznie i słuchał mimowolnie z narastającą irytacją. Co ona właściwie chce powiedzieć, dlaczego nie może tego z siebie wydusić?

– No i co, zgłoszyliście to policji? – zapytał.

– Tak, zadzwoniłyśmy na posterunek w Kisa.

– I co powiedzieli?

– Powiedzieli, jak powiedzieli. Wypytywali o różne rzeczy, ale chyba zbyttno się nie przejęli. Na pewno i bez tego mają od cholery roboty.

– Od kiedy go nie ma?

– Od dwudziestego szóstego września.

– Aha.

– No a poza tym...

– Tak?

– Coś mi przyszło do głowy. I właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

Zadzwonił telefon. Sygnał sprawił, że oboje podskoczyli.

Nie odbiorę, pomyślał Tobias, a jednak podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry panu – rzekł jakiś głos należący do mężczyzny.

– Dzień dobry.

– Ma pan chwilkę?

– To zależy, o co chodzi?

– Nazywam się Patrik. Dzwonię z firmy zajmującej się doradztwem finansowym.

– Doradztwem finansowym?

– Chodzi o zarządzanie pańskimi środkami finansowymi.

– Wie pan co, gdybym miał czym zarządzać, może odżałowałbym kilka minut. Nie mam jednak żadnych środków!

Odłożył słuchawkę, zanim Patrik zdążył się odezwać.

– Pieprzone dupki! – syknął. – Ładują się nawet człowiekowi do domu!

Ingelize uśmiechnęła się sztywno. Siedziała z kieliszkiem, obracając go w dłoni.

– Tak to właśnie wygląda. – Westchnął, jakby miał nadzieję, że ona zmieni temat – zacznie opowiadać o koniach albo o swoim nudnawym małżeństwie. Wróciła jednak do tamtego wątku.

– Pamiętasz, jak byłeś w domu. Zamierzałam cię jeszcze prosić o podpisanie pozostałych książek, nie tylko to wydanie kieszonkowe, ale zapomniałam. Pomyślałam, że powinnam skorzystać z okazji, póki jeszcze byłeś w Kvarnberdze, bo potem nic z tego nie będzie. Następnego dnia po naszej przejażdżce konnej zapakowałam książki do reklamówki i podjechałam do was rowerem.

Słuchał w napięciu.

– Ktoś był w oborze, słyszałam lejącą się wodę, więc weszłam, no a tam... tam była Sabina.

Ucichła i pociągnęła łyk wina. Unikała jego spojrzenia. W rurach zaszumiała woda, ktoś z sąsiadów brał prysznic, może ta młoda dziewczyna z mieszkania obok. Z góry dolatywał dźwięk telewizora. Tobias spojrzął na zegarek, była za dwadzieścia ósma.

– No i? – rzucił szorstko.

– A ona właśnie lała wodę. Wściekle, jakby ją coś napadło. Trzymała wąż i wlewała wodę do tej kanciapy, wiesz, tej, gdzie mają biurko. Spryskała ściany, podłogę, nawet meble, wszystko kompletnie zalała. Byłam ciekawa, po co to robi, a jak spojrzałam na podłogę, zobaczyłam jakby... tak, tam było mnóstwo krwi; Sabina splukala ją w stronę listwy i wtedy zrobiła się taka jasnoczerwona piana, wyglądało to stra...

Ingelize wstała i ściągnęła z siebie pled. Wyszła do toalety. Słyszał, jak odrywa kawałek papieru i wyciera nos. Gdy wróciła, widać było, że płakała.

– Odwróciła się, zobaczyła mnie i miała w oczach taki paniczny strach. Wrzasnęła, że ją przestraszyłam, była wpieprzona jak nie wiem, a ja poczułam się jak kretyńka. Powiedziałam, że przyszedłam do ciebie z książkami. Wtedy zakręciła kran. „Co robisz?” – zapytałam, chociaż widziałam, co się dzieje. Po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć. Ona jeszcze bardziej się wkurzyła i zaczęła opowiadać, że jeden z baranów się zranił – wy dostał się z zagrody, wystraszył się czegoś, potknął się i przewrócił koło siodłami. Musiała go ubić, a to już był drugi w krótkim czasie, bo pierwszy zdechł na Skamön. Przepraszała mnie, że jest niemila,



ale była w strasznie złym humorze.

– No i?

– Potem powiedziała, że nie ma cię w domu i że przekaże ci moją prośbę. Pomyślałam, że na pewno zapomni, bo była jakaś dziwna, zupełnie wytrącona z równowagi.

– Bo rzeczywiście była wkurzona. Z tym trykiem to była zresztą moja wina, to ja nie domknąłem zagrody. – Nawet nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy. – To na mnie była wściekła, zresztą słusznie. Zamiast jej pomóc, dołożyłem jej jeszcze roboty, nawaliłem.

Ingelize milczała.

– Typowa niedźwiedzia przysługa. Masz dobre intencje, ale wszystko szlag trafia.

Ingelize nie słuchała.

– Chciałam stamtąd jak najszybciej wyjść... no i nagle zobaczyłam coś, co leżało w rzucone w kąt... to był kapelusz Hardy'ego.

– Aha. Pewnie zapomniał go zabrać.

– On nigdy nie rozstawał się z tym kapeluszem. Nie wierzę, że mógł go zgubić.

– A może po prostu był jeszcze gdzieś w pobliżu? Podniosła wzrok, już nie płakała.

– Może – powiedziała. – Ale jeśli był gdzieś blisko, to chyba już nie żył. Wyobraziłam sobie coś straszego, wiesz... że ta krew... że to była jego krew.

Potem nie mógł zrozumieć, jak udało mu się zapanować nad sobą. Zacisnął pięści i dał się porwać odgrywanej roli. Stał się silny i energiczny, przejął dowodzenie. Jego duszę ogarnął osobliwy spokój. Przyniósł opakowanie wina i rozlał do kieliszków.

– Wydaje ci się, że Sabina zabiła Hardy'ego Lindströma? To właśnie chciałaś powiedzieć?

Zaśmiała się zażenowana.

– No, może nie tak do końca. Ale poczułam się jakoś tak nieswojo. A Hardy właśnie wtedy zniknął.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to bardzo poważne oskarżenie?

– Oskarżenie jak oskarżenie. Chciałam tylko z tobą o tym pogadać, zapytać, co o tym myślisz, rozumiesz? Trudno jest nieść samemu takie brzemię, to po prostu straszne!

– Wspomniałaś o tym policji?

Przełknęła ślinę.

– Nie, ale jeśli Hardy się nie pojawi, będę musiała to zrobić.

– Słuchaj, a widziałaś w tej oborze jakieś ciało?

– Nie.

– Truchła zwierzęcia też nie?

Posłała mu niepewne spojrzenie.

– Nie, nie było żadnego ciała, tylko ta krew.

– Bo Sabina schowała mięso do zamrażarki. A jeszcze część musiała zawieźć do gospody, bo zabrakło miejsca. Była zła jak osa, że miała przez mnie dodatkową robotę.

– Ach tak... – powiedziała niepewnie.

– Do kurwy nędzy, Ingelize, Hardy na pewno niedługo wróci. Nie możesz rozpowiadać takich plotek. Co ludzie pomyślą? Przecież to dla niej i dla ojca będzie prawdziwa katastrofa... jak ludzie zaczną gadać. Po czymś takim trudno będzie się podnieść.

Milczała.

– Opowiedziałaś o tym jeszcze komuś?

– Nie, chciałam to najpierw obgadać z tobą. Jak myślisz, po co do ciebie zadzwoniłam?

– Mężowi też nie powiedziałaś?

– Jensowi? Ależ skąd.

Odprowadził ją do pociągu. Był lekko wstawiony, nie mógł się utrzymać prosto na nogach. Udało mu się ją uspokoić, tak mu się przynajmniej wydawało. Gdy tak szła u jego boku, wyglądała niczym okruszek. Zanim wsiadła do pociągu, przyciągnął ją do siebie i pogładził koniuszek jej nosa.

– Dbaj o siebie – rzucił. – Zadzwonię do ciebie w tygodniu. Zobaczysz, że Hardy Lindström będzie już wtedy w domu.

Reakcja nastąpiła później, gdy mył nad zlewem kieliszki. Nagle dotarło do niego z całą ostrością, jakiego czynu dopuściła się Sabina. Poćwiartowała własnymi rękami ludzkie ciało!

Jak ona to zrobiła?

Jakich użyła narzędzi?

Piły?

Noża rzeźniczego?

I te wszystkie części rozkawałkowanego ciała – dopiero teraz uprzytomnił sobie skalę tej zbrodni. Głowa z jasnymi strąkami włosów, broda, dłoń z palcami zgiętymi skurczem, stopy z paluchami i paznokciami. Poodcinała je od korpusu. Powkładała do plastikowych worków i sama wywiozła nad rzekę.

Wezbrała w nim fala silnych mdłości – leżał na podłodze i wymiotował prosto do odpływu prysznic.

Potem przyszło osłabienie. Nadal leżał na podłodze w łazience. Widział drobinki kurzu i włosy łonowe. Pojękiwał cichutko, posmak wymiocin wżarł się w podniebienie.

A jeśli więcej osób powzięło podejrzenia? A jeśli ktoś widział, co Sabina robiła przy tratwie? Skąd ta pewność, że nikogo tam nie było?

Powoli i niechętnie dojrzewała w nim decyzja. Musi wrócić do Kvarnbergi. Musi powiedzieć Ingelize, że gotów jest przyjąć jej propozycję, przynajmniej na próbę. Musi zyskać kontrolę nad tym, co się stało, a to się nie uda, jeśli zostanie w Södertälje. Trzeba dopilnować wszystkiego tam, na miejscu.

NA PODWÓRZE zajechał jakiś samochód. Słysząc było chrzęst żwiru, kierowca jechał wolno, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie zaparkować.

– A to kto? – zwrócił się do Sabiny Carl Sigvard.

Sabina miała nastawione pranie i bez przerwy musiała schodzić na dół. Pralka stała pomiędzy płukaniami, najwyraźniej coś się popsuło.

– Nie wiem – odparła Sabina. – Odsunęła firankę i wyjrzała. W skąym świetle dziennym zauważył nagle, że się postarzała. Skóra twarzy zwiotczała, włosy nie były już ciemnobrązowe, lecz poprzetykane siwizną. Oczy wydawały się mniejsze, jakby zapadły się w oczodołach.

Ma stanowczo za dużo roboty, pomyślał. Wypruwa z siebie żyły, to moja wina. Gdybym był sprawny, jak na faceta przystało, byłoby jej znacznie łatwiej. Wezbrała w nim fala czułości.

– Widzisz coś? – zapytał.

– To samochód policyjny.

– Co ty mówisz?

– Dwoje policjantów, właśnie wysiadają i zaraz tu będą.

Frett drzemał koło kaloryfera. Zbudził go warkot silnika, więc podbiegł do drzwi. Stał ze sztywnym, uniesionym do połowy ogonem, z nastroszoną sierścią. Przekrzywił łebek i wydawał z siebie głucho pomruki.

– Nie ma się czego obawiać, Frett – powiedziała Sabina.

Gdy rozległo się pukanie, pies skoczył ku drzwiom i zaczął ujadać, dziko i wściekle. Otwierając, Sabina odepchnęła go nogą.

– Dzień dobry – odezwał się męski głos. – Jesteśmy z policji w Kisa. Czy możemy wejść na chwilę?

– A o co chodzi?

– Zgłoszono zaginięcie. Chodzimy od drzwi do drzwi, teraz kolej na państwa.

– Proszę wejść.

Pochyliła się i złapała psa, upomniała, że ma być cicho. Dopiero gdy goście weszli do kuchni, Carl Sigvard zobaczył, że jednym z policjantów jest kobieta. Oboje byli w pełnym umundurowaniu. Zanim weszli dalej, zdjęli buty.

– Ale szelma, taki malutki, a już pilnuje domu. – Kobieta zaśmiała się.

– To dobrze, złodzieje będą trzymać się z daleka.

Pies się uspokoił. Z ogonem wciśniętym pomiędzy tylne łapy

obwąchiwał przybyszy, a potem ich buty. Kobieta podrapała go po brzuszku. Carl Sigvard zauważył, że jest obyta ze zwierzętami.

– Jak on się nazywa? – Policjantka z uśmiechem uniosła głowę w jego stronę.

– Frett.

– Chyba jest bardzo młody, prawda? Ma kilka miesięcy?

– Tak, coś koło tego.

– Nazywam się Jan Collin – oznajmił mężczyzna. – A moja koleżanka – Nina Axelsson.

– Proszę usiąść.

Goście przeszli w samych skarpetkach do ławy kuchennej. Rozpięli kurtki. Carl Sigvard odsunął stół, żeby się zmieścili.

– Podać państwu coś do picia?

– Nie, dziękujemy – odparła Nina Axelsson. – Zatrzymaliśmy się w gospodzie na kawę.

– Mają otwarte już o tej porze?

– Owszem. Zjedliśmy też po kanapce. Były całkiem niezłe.

Sabina stała na schodach do przyziemia.

– Przepraszam, zaraz wrócę. Mamy kłopoty z pralką, muszę tam zajrzeć.

– Jak nie z jednej strony, to z drugiej, rzekła dziewczyna, której puściła się krew z nosa – zarechotał Carl Sigvard.

Jan Collin uśmiechnął się. Z krótkofalówki, którą miał przy pasie, dobiegł jakiś bulgotliwy odgłos.

– Chyba dobrze się tu mieszka? – zapytał.

– Owszem, nie skarżymy się.

– Od jak dawna państwo tu mieszkają?

– Ja od urodzenia. Przejąłem gospodarkę po ojcu, w latach pięćdziesiątych. A ojciec z kolei przejął ją po moim dziadku.

– Opłaca się?

Carl Sigvard wzruszył ramionami.

– Tjaaa.

– Z ilu członków składa się gospodarstwo?

– Wliczając również zwierzęta?

– Raczej nie.

– Najpierw ja – nazywam się, tak przy okazji, Carl Sigvard Elmkvist. Poza tym moja partnerka, Sabina Johansson. Mieszka z nami też jej syn Adam.

– Może powiemy, co nas do państwa sprowadza – zaproponowała Nina Axelsson. Miała szarozielone oczy i zdrową, rumianą twarz. Carl Sigvard pomyślał, że kobieta musi sporo przebywać na powietrzu.

– Bardzo proszę – odparł. – Podobno ktoś zaginął?

– Chodzi o Hardy’ego Lindströma. Jego matka zgłosiła zaginięcie.

– O kurde. Nawet była tutaj i pytała o niego. Więc Hardy się nie odnalazł?

– Nie.

Sabina wróciła z przyziemia. Poruszała się niezdarnie, przystawała, by zaczerpnąć oddechu.

– No i co z tą pralką? – zwrócił się do niej Carl Sigvard.

– Ech, bez przerwy się zatrzymuje. Musimy zadzwonić po fachowca. To będzie droga impreza.

– Ale ta pralka ma chyba ze trzynaście lat. Normalnie takie urządzenia wytrzymują nie więcej jak pięć, sześć, więc ta jest wyjątkowa. Powinno się ją oddać do muzeum.

– Niestety zepsuła się nie w porę. Straciłam przez nią mnóstwo czasu.

Usiadła na samym brzeżku krzesła, zerknęła na zegarek. Piesek próbował wdrapać się jej na kolana. Pochyliła się i podrapała go za uszami.

– Policja poszukuje Hardy’ego Lindströma – wyjaśnił Carl Sigvard.

– Aha. Co tym razem zmalował?

– On przecież zniknął.

– A, o to chodzi.

– Znacie go państwo? – zapytał Jan Collin. Wyjął kartkę i długopis.

– Pomaga nam od czasu do czasu, gdy zachodzi taka potrzeba. A właśnie teraz tak jest... – Sabina urwała.

– Miałem wypadek – uściślił Carl Sigvard. – Od pewnego czasu trochę nie domagam, a to nie służy rodzinie i gospodarstwu.

Policjantka spojrzała na niego ze współczuciem. W kaburze u jej pasa spoczywał pistolet, Carl Sigvard dostrzegł też kajdanki.

– A co się stało?

– Ech, spadłem z poddasza w oborze. Ale powoli dochodzę już do siebie.

– Kiedy to się stało?

– Pod koniec sierpnia, w najbardziej gorączkowym okresie.

– Rozumiem. I wtedy zatrudnili państwo Hardy’ego?

– Tak.

– Kiedy widzieli go państwo ostatnio? Pamiętacie, kiedy to było?

Carl Sigvard zastanawiał się.

– Ja go chyba nie widziałem od lata. Ale bywał tu u nas później. Pomagał przecież przy zwożeniu zwierząt ze Skamön. Kiedy to było, Sabina, pamiętasz?

– Chyba... – Wstała i podeszła do wiszącego nad ławą kalendarza ICA. Odchyliła kilka kartek, namyślając się.

– To musiało być koło dwudziestego piątego.

– Czyli we wrześniu?

– Tak.

– Co państwo wtedy robili?

– Byliśmy na Skamön, może słyszeliście o niej. Ja, mój syn Adam i Tobias, syn Carla Sigvarda. Nie mieszka tutaj, przyjechał specjalnie z Södertälje, żeby nam pomóc. Na wyspie pasą się latem nasze zwierzęta. Hardy też był wtedy z nami.

– Rozumiem. A czy zauważyła pani wtedy coś szczególnego w jego zachowaniu?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, niczego takiego sobie nie przypominam.

– Czy pomagał państwu już wcześniej? Przy zwierzętach?

– Tak, co najmniej raz. Na wiosnę, jak przewoziliśmy je na wyspę.

– Czy mówił coś, gdy zegnał się wtedy z wami? Chodzi mi o dwudziestego piątego września.

– Mówił?

– Czy wspomniał coś o swoich planach? Czy umawialiście się, że jeszcze do was przyjdzie?

– Nie, raczej nie. Ale miał dostać zapłatę, a ponieważ nie zdążyłam wybrać pieniędzy z banku, poprosiłam, żeby przyszedł następnego dnia.

– Jak wtedy zareagował?

– Zdenerwował się trochę. Tak, odniosłam wrażenie, że bardzo potrzebował tych pieniędzy. Ale skończyliśmy późnym popołudniem i bank był zamknięty, więc nie dało się już nic zrobić. Byłam tak zajęta, że nie miałam wcześniej czasu pojechać po pieniądze.

Przeciągnęła dłonią po krótko obciętych włosach.

– Wrócił po nie nazajutrz? – zapytał policjant.

– Tak.

– To znaczy, że był tutaj dwudziestego szóstego, w środę.

– Chyba tak, nie pamiętam dokładnie.

– Czyli tego samego dnia, kiedy zniknął.

- Ach tak...
- Czy wie pani, jak się tu dostał?
- Ma taką starą vespę. Jeździ nią zawsze, bez względu na pogodę.
- A w jakim był wtedy nastroju, pamięta pani może?

Sabina zastanowiła się. Wypuściła ustami powietrze, przyłożyła palce do ust.

– No... był chyba... tak szczerze, to chyba nadal był trochę niezadowolony, że nie miałam dla niego pieniędzy dzień wcześniej. Najwyraźniej były mu potrzebne.

– A jaka to była suma?

– Dwa tysiące koron. Pracował dla nas już wcześniej, byliśmy mu jeszcze winni za wcześniejszą pomoc.

– Rozumiem.

Z podwórza doleciał znowu warkot silnika.

– To furgonetka pocztowa – stwierdził Carl Sigvard.

– Może nasz samochód blokuje wjazd?

Jan Collin wstał i próbował dojrzeć coś przez okno. Frett już warował przy drzwiach, ujadając donośnie i zadziornie.

– Przestań, Frett, to tylko poczta – strofowała go Sabina. – Nie, nie ma problemu, przejedzie, ma spore pole manewru.

Policjantka Nina też podniosła się z miejsca. Carl Sigvard pomyślał, że porusza się cicho i zwinnie jak kociak. Ciekawe, jak to jest zostać złapanym przez kobietę. Powalonym na ziemię, z rękami skutymi na plecach. Przez kobietę?

– Czy pamięta pani, jak Hardy Lindström był ubrany tego dnia? – zwróciła się do Sabiny, która siedziała z podbródkiem opartym na dłoniach.

– Chyba zwyczajnie, tak jak zawsze. Brązowa skórzana kurtka, wiązane buty, takie za kostkę, do których można włożyć nogawki spodni. Czasem nosi kapelusz, wie pani, taki kowbojski.

Jan Collin zanotował.

– Czy policja dysponuje rzeczywiście takimi zasobami, że może poświęcić tyle czasu na poszukiwania kogoś, kto dopiero co zaginął? – zapytał Carl Sigvard. – Słyszałem, że w policji brakuje ludzi, zwłaszcza tutaj, w Östergötlandzie. Podobno ludzie się nie kwapią, by zostać policjantami. Zwłaszcza po tym, co stało się w Malexander<sup>11</sup>.

– Poszukujemy go też z innych powodów, których nie mogę państwu zdradzić.



– Rozumiem.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Jan Collin. – Gdzie przebywają obecnie pozostałe dwie osoby, które były wtedy na wyspie?

– Mój syn Tobias pojechał do domu do Södertälje. Jest pisarzem. Może państwo o nim słyszeli, napisał między innymi kryminał zatytułowany *Noc*.

– Niestety nie.

– O policjancie, rzecz rozgrywa się w Sztokholmie.

– Nie czytamy zbyt wiele, nie starcza nam czasu.

– To tak jak mnie.

– A ta druga osoba, niejaki Adam, jeśli dobrze pamiętam?

– To mój syn, jest u siebie w pokoju.

– Możemy z nim porozmawiać?

Sabina odchrząknęła.

– On nie jest taki jak inni.

– A niby dlaczego? – Policjantka spojrzała pytająco na Sabinę.

– Ma zaburzenia psychiczne.

– W jakim sensie?

– Trudno to wyjaśnić.

– Czy jest upośledzony?

– Można tak powiedzieć.

– Pomaga jednak przy gospodarstwie?

– Tak, czasami.

– Słyszałam, że miewa występy, że świetnie śpiewa.

– A kto tak powiedział?

– Matka Hardy’ego.

– To prawda, miał kilka koncertów.

– Podobno Hardy był motorem tego przedsięwzięcia. Zgadza się?

Sabina potaknęła.

– Chciałabym porozmawiać z Adamem.

– Ale on akurat teraz ma gorszy okres.

Nina Axelsson przykucnęła. Frett przewrócił się na plecy i merdał gorliwie ogonem. Nina pogłaskała go po miękkim, odsłoniętym brzuszku.

– Fajne z ciebie psisko. Może zostaniesz psem policyjnym, jak podrośniesz? Potrzebujemy dobrych psów tropiących.

Spojrzała na Sabinę.

– Mimo wszystko chciałabym zobaczyć się z pani synem.

OWINAŁ się w prześcieradło, okręcając je ciasno wokół tułowia, i przytrzymał je mocno kciukami i palcami wskazującymi. Leżał rozciągnięty na łóżku, lecz jego ciało nie było takie jak zwykle – skóra na rękach i na brzuchu zrobiła się obwisła i sflaczała. Momentami wypuszczał z rąk prześcieradło i sięgał do klatki piersiowej, dotykał brodawek i grubych, otaczających je kępek szorstkich włosów. Poruszał wargami, jakby chciał coś powiedzieć, po czym rezygnował.

Matka człapała wciąż tam i z powrotem po schodach, odgłos jej kroków niósł się echem aż na górę. Od czasu do czasu pojawiała się w jego pokoju, zapalała światło, podnosiła żaluzje. Przyniosła mu posiłek, choć od jakiegoś czasu odmawiał jedzenia; przesunęła go tak, że siedział teraz plecami do ściany. Uprzątnęła rzeczy znajdujące się na stoliku nocnym i odstawiła je na podłogę – winylowe płyty Elvisa, które dostał od Hardy'ego, zakurzony radiobudzik, szmacianego łosia z dyndającymi nogami. Miała ze sobą tacę, rozszedł się zapach mięsa, czegoś roztopionego i żylastego, a to przypomniało mu, co trzymał wtedy w swojej dłoni.

Słyszał, że zachęca go do jedzenia, nie upierała się jednak. Pogładziła go po włosach, zanurzając palce w lokach. O jego zęby zadzwieczyła łyżka. Kilka tabletek, okrągłych jak groszki, malutkich. Poczul chłód szklanki na swojej skórze i pił, pił zachłannie.

Potem wyszła z pokoju. Ktoś przyjechał do nich, jakiś samochód, a pies, ten mały szczeniaczek, ujadał.

Oko spoczywało w brzuchu psa.

Na to wspomnienie zakręciło mu się w głowie, wszystkie kąty pokoju ruszyły ze świstem w jego stronę, musiał mocno zacisnąć powieki, lecz wtedy poczuł własne gałki oczne, twarde, a zarazem miękkie. Wypełnione kolorem, takim samym jak deszcz.

Hau, hau!

Nowy piesek ujadał tym swoim szczenięcym piskiem, piskiem ocznym. Adam usłyszał na podwórzu samochód. I odgłos ręki walącej w drzwi. Nie był to jednak Hardy. Nie, nie Hardy.

Damy im tyle, ile zdzierzą, Adam.

Stoi przy kolumnie. Ma na sobie nowe spodnie, pośród czerwieni połyskuje najeżone nitami srebro. Na brzuchu zapiął pas z nitami i



Zamknął oczy i śpiewał, a kiedy odważył się je otworzyć, zobaczył wgapionego w siebie koguta, Clintona. Kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Hardy wyszedł z ukrycia.

– Było super, zajebicie. Załatwię ci kostiumy sceniczne. Będziemy koncertować w parkach i zarobimy kupę szmalu. Będziesz sławny i bogaty, bardziej znany niż Eilert Pilarm. Niech sobie nie myśli, że ma monopol na Presleya tylko dlatego, że przez przypadek ma te same inicjały. Zaśpiewaj jeszcze raz, a ja sobie posłucham, stojąc tu, przed tobą.

Nie miał tremy, nic podobnego, po prostu był kompletnie nieprzyzwyczajony. To dlatego głos odmawiał mu posłuszeństwa.

Hardy namawiał, zachęcał, uśmiechał się.

– Zamknij oczy i udawaj, że jesteś sam, tylko ten pieprzony kogut i ty. Zaśpiewaj dla koguta i wszystkich innych zwierząt. A zresztą czym różnią się od zwierząt ci wszyscy idioci, dla których masz śpiewać? Kiedyś, w przyszłości. Jeśli przyzwyczaisz się do zwierząt, nie będzie żadnej różnicy. Kiedyś, w przyszłości.

Wyjął małe białe kapsułki; „połknij je, a odleć do rajów, bo to takie odlotowe pigułki”.

Tak, potem było inaczej, było dobrze. A nawet zajebicie.

Pojechał na występy z Hardym, siedział z tyłu na vespie, obejmując w pasie jego szczupłe ciało. Dotarli na miejsce akurat wtedy, gdy wznoszono drzewko majowe, wysokie, mieniące się kwiatami i listowiem. Miał ochotę postać tam i popatrzeć na nie, poprzyglądać się też letnim chmurkom. Jednak Hardy od razu zaciągnął go na zaplecze. Pomógł mu się przebrać, ułożył mu włosy, używając pianki.

– Adam, to twoja premiera. Rozumiesz, co to znaczy?

– Tak sobie...

– To znaczy, że niedługo staniesz się sławny. I zasługujesz na to, bo jesteś najlepszy. Pamiętaj o tym!

Stał na zasłanym igłami podeście do tańca. Słyszał muzykę i własny głos. Z początku wydobywał się z niego jego własny, zwykły głos, więc nieco się zdenerwował. Po chwili głos zrobił jednak w gardle woltę i wy dostał się z niego jako głos ELVISA. Na trawniku przed podestem stały dziewczyny – albo kobiety – i wydawało mu się, że się uśmiechają; widział ich podniebienia i zęby. Obleciał go wtedy strach, bo przypominało to rzeczy z przeszłości, złe rzeczy. Nie ugiął się jednak i zaśpiewał! A gdy ucichł, w górę

wystrzelił las rąk i usłyszał jasne głosy domagające się więcej, więcej piosenek. Cała chmara dziewczyn i kobiet rzuciła się w jego stronę z kartkami i długopisami, by zdobyć jego podpis. Pisał i gryzmolił też na ich skórze, pomiędzy włoskami na ich opalonych rękach. Pisał jedynie „Adam”, bo tylko na tyle go było stać tego dnia.

*Będziesz wielką gwiazdą, Adam. A big star.*

Hardy skombinował nowe stroje, więcej srebrnych spodni i koszulę z jasnej skóry z frędzlami. Przyniósł też buty, ale okazały się za małe.

– Pojedziemy razem na tournée, ty i ja. Właśnie obmyślałam trasę koncertową. Najpierw wystąpisz tutaj, potem ruszymy do Göteborga, hala Scandinavium, no a później Sztokholm i hala Globen. Bilety wyprzedane, Adam, ludzie będą się o nie bić, zobaczysz, będziemy bogaci. Zaczną do nas dzwonić z Niemiec i Nowego Jorku, no i oczywiście z Memphis. Wiadomo, wszyscy kochają Elvisa, a teraz kochają też ciebie.

Usłyszał kroki na schodach – kroki swojej matki, lecz jej stopy poruszały się inaczej niż zwykle. I jeszcze jakieś inne kroki, tych nie rozpoznawał. Na pewno nie Carla Sigvarda, bo nie towarzyszył im stukot kul.

Strumień światła z korytarza.

– Adam, śpisz?

Leżał bez ruchu, z ustami stulonymi w dzióbek.

– Ta pani chciałaby z tobą porozmawiać. Oczywiście, jeśli dasz radę.

Najpierw był głos matki, docierający do niego przez mgłę, dryfujący i śliski; gdyby tylko chciał, gdyby tylko miał siłę, mógłby go odeprzeć.

**WRZESZCZĄC!**

Było jednak coś jeszcze.

Leżał z karkiem przyciśniętym do poduszki; rozszerzone nozdrza tankowały powietrze. Coś, czego nie rozpoznawał, coś obcego, słaby, ledwo słyszalny dźwięk. Stopy w skarpetkach na podłodze. Skradające się poduszczyki, jak u zwierzęcia.

– Dzień dobry, Adam.

Głos kobiety, szorstki, a zarazem miękki. Chciał spojrzeć, lecz jego oczy

były niczym mokre liście przylepione do pnia drzewa.

– Nazywam się Nina. Jestem policjantką.

– Śpi – usłyszał głos matki. – Wracajmy na dół.

Nina glina, glina Nina.

Jęknął i z dużym wysiłkiem otworzył oczy.

– Dzień dobry, Adam, dobrze, że nie śpisz.

Otworzył oczy, lecz nie całkiem, zostawił je lekko przymknięte; nitki ropy niczym kraty. Kobieta miała na sobie mundur. Cała była czarna, lecz twarz miała czerwoną i rumianą. Nie wydawała się niebezpieczna, raczej miła.

– Masz siłę rozmawiać? – włączyła się matka. W jej spojrzeniu było coś dziwnego, jakby nie chciała na niego patrzeć. Mamo, pomyślał, mamo, nie zostawiaj mnie. Albo lepiej: idź sobie! Nagle zaczął myśleć jak dziecko, był taki otumaniony.

Nina glina siedziała na krześle. Glina Nina. Za jej plecami wisiały jego ubrania. Nina glina siedziała na jego ubraniach, ale nie na tych Elvisa, tylko na jego własnych. Miała pulchne palce, na ręce zegarek.

– To twój pokój? – zapytała.

– Yess.

Omiotła spojrzeniem ściany.

– Widzę, że lubisz Elvisa?

Potrząsnął ociężale głową.

– Ja też. Wiesz, mam wszystkie jego piosenki na płytach CD.

Matka stała, przebierając nogami, nie miała gdzie usiąść. Zrobiła kilka kroków w stronę łóżka. Nina glina podniosła rękę.

– Damy sobie radę. Na pewno ma pani mnóstwo roboty.

Widział, że matce to się nie spodobało, widział, że już otwiera usta.

– Zawołamy panią, jeśli zajdzie potrzeba – dodała Nina glina, na co matka odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Jej plecy wystawały, jakby miała garb, sylwetka była skulona i powyginana. Mamo, zadyszało mu gdzieś w środku. Odwrócił od niej wzrok i znalazł się w potrzasku spojrzenia Niny gliny.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Eeee – wykrztusił.

– Co ci jest?

Potrząsnął ospale głową.

– Dałbyś radę usiąść na chwilę?

– Yhm. – Podciągnął się bez pomocy do pozycji siedzącej. Policjantka

wstała, wzięła poduszkę i zatknęła mu ją za plecy.

– Adam, ile masz lat?

– Jestem bykiem. Dwadzieścia siedem.

– Bykiem?

– Yess.

– To w jakim miesiącu się urodziłeś?

– Piątego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego.

– Aha. A ja jestem lwem. Urodziłam się ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego.

Lew, pomyślał, ona jest lwem z kręcącym młynki ogonem.

– Słyszałam, że koncertujesz, że śpiewasz piosenki Elvisa.

– Yhm.

– Ludzie mówią, że jesteś dobry.

Chciał jej pokazać, pociągnął za zamek bluzy, ale ten się zaciął. Pociągał wściekle za suwak.

– Poczekaj! – powiedziała, przysuwając się do niego. – Pomogę ci. Trzeba przesunąć go tak, delikatnie, nie szarpać zbyt mocno, bo inaczej się nie otworzy.

Zamek wreszcie się rozsunął, Adam zerwał z siebie kurtkę. Pod spodem miał T-shirt z Elvisem i jego gitarą. Wypiął pierś, żeby dobrze zobaczyła.

– Sam też grasz? – zapytała Nina glina.

– Śpiewam.

– Aha, a kto gra?

– Hardy puszcza kasetę, a ja śpiewam.

– Znasz Hardy’ego?

Rozśmieszyło go to, przecież to właśnie Hardy miał wszystko zorganizować. Potem pomyślał o oku i o reszcie.

– Wiesz może, gdzie jest Hardy?

– Fuuu – wciągnął powietrze.

– Wiesz, że Hardy zaginął?

Milczał.

– Jego mama go szuka. Poprosiła nas o pomoc.

– Hardy jest fajny.

– Jasne, też tak myślę.

– Hardy jest moim menedżerem.

– Tak.

– Zostanę big starem.

– Hardy tak mówi?

– Tak. „Adam, będziesz sławny, będziesz big starem”.

– Hardy ci pomaga?

– Tak, Hardy pomaga mi. Hardy daje mi ubrania Elvisa.

Nagle poczuł, że nie ma ochoty już spać. Przełożył nogi przez krawędź łóżka, a ona musiała odsunąć krzesło, żeby mógł przejść. Potrzebował podparcia, musiał trzymać się komody, a potem ściany. Podeszedł do garderoby i otworzył wyłożone tapetą w kwiaty drzwi. W środku połyskiwało czerwienią.

– Mogę zerknąć? – Wstała i podeszła do niego. Dotykała ubrań, chwaliła je. – Na pewno świetnie w nich wyglądasz, wyobrażam sobie, że jak sam Elvis Presley. Rozumiem, dlaczego ludzie lubią cię słuchać.

Pokiwał głową. Pocierał dłonią podbródek, usłyszał lekkie tarcie. Matka kupiła mu golarkę. Nie zawsze pamiętał, żeby jej użyć.

– Nie wiesz więc, gdzie jest Hardy? – Nina glina odwróciła się w jego stronę, podeszła blisko, pachniała ładnie.

– Będę śpiewał – wymamrotał ochrypłym głosem. – Hardy mi pomoże. Zaśpiewam może nawet dla ciebie.

– Tak – odparła – chętnie bym posłuchała.

– Pojedziemy na tournee.

– Pojedziecie, jak Hardy wróci.

Popatrzył na nią, żółte litery na jej koszuli błyszczały.

Przełknął mocno ślinę. Miał ochotę się rozplakać.

Potem przyszła do niego matka. Na podwórzu było pusto i cicho. Przyniosła mu talerz zupy i kanapkę z serem.

– Mam dla ciebie jedzenie.

Ale on od jakiegoś czasu nie jadł.

– Postawię zupę tutaj, mimo że nie ruszyłeś kotleta.

Siedział z głową opartą o ścianę i chociaż matka to widziała, tym razem nie zwróciła mu uwagi, że zabrudzi tapetę. Zwykle mu to wypominała.

– Hardy! – krzyknął tak głośno, że aż się wzdrygnęła. – Hardy jest moim menedżerem!

– Ciiicho, Adam, zachowuj się jak duży chłopiec, ciiicho, nie krzycz.

Jak kiedyś, dawno temu, gdy mieszkali nad kimś, na piętrze.

– Pod nami ktoś MIESZKA. Gdy tak biegasz, słychać aż u pana Forsmana, bo nasza podłoga jest jego sufitem.

Czasem mu się to przypominało, ale dość rzadko. Gdy ona go nie rozumiała, gdy nie chciała mu ustąpić. Eksplodujący z niego krzyk rozrywał go na kawałki. Jak grzechotało i trzęsło szkłem i kamieniami. Jak ona



wyrastała przed nim, rozpościerając ręce, by go pochwycić. Jak leżał tak przyciśnięty, że nie mógł złapać oddechu. Nos przytknięty do podłogi, język do dywanu. Wykręcała mu ręce na plecy, dopóki się nie uspokoił. Bo ból był silniejszy niż złość, a zaczynało mu brakować siły.

– Zachowuj się jak duży chłopiec, nie krzycz.

Wilgotne usta przy jego uchu, słowa wdzierające się do jego głowy.

– Bo jak nie, będziemy musieli się wyprowadzić. Będziemy musieli mieszkać w lesie, choć pada zimny deszcz i śnieg. Chcesz tego?

Kładła się na łóżku, leżała na boku, formując swoim ciałem grootę. We wnętrzu tej groty on. Leżał.

Zadygotał. Siedział z maskotką przyciśniętą do brzucha. Teraz był duży, większy od matki.

– No to powiedz mi – poprosiła matka – co ci ta policjantka mówiła?

Łypnął na nią naburmuszony i wysunął podbródek.

– O czym rozmawialiście?

– Śpiewam piosenki Elvisa.

– Tak, tak. Rozmawialiście o tym?

– Miałem dla niej zaśpiewać, dla Niny gliny.

– Niny gliny?

– Zaśpiewać dla Niny gliny.

– No i co, zaśpiewałeś?

– Nie – odparł gniewnie.

– A o co cię pytała?

Pochwycił palcami łosia i popatrzył w okno; było czarne i błyszczące. Widział w szybie swoje odbicie, widział też ją, matkę. Jej kontury były bardziej zamazane niż zwykle, niemal przezroczyste.

– O co cię pytała? – powtórzyła.

– O Hardy’ego.

– Pytała cię o Hardy’ego?

– Tak.

– Proszę, weź lekarstwo, otwórz szeroko buzię i połknij!

Woda spływała po brodzie. Wytarł ją jednym pociągnięciem ręki.

– Co jej powiedziałaś?

– Hardy jest moim menedżerem.

– Właśnie.

– Hardy zaginał. Pomagają Ann-Mari szukać.

– Syneczku. – Chciała go przyciągnąć do siebie, ale się wyrwał. Stał z łosiem w rękach, trzymał go za rogi, kołysał się. Nabuzował się do krzyku i

nagle ugięły się pod nim nogi. Opadł na kolana i zamilkł.

– Chodź tu, połóż się, otulę cię kołdrą.

Jej łagodny, wabiący głos.

Jej usypiające, pieszczotliwe dłonie.

MUSI znaleźć swoją komórkę. Musi wrócić do Marit, odebrać telefon i powiedzieć jej, że jedzie do domu. Powrót do domu. Powrót na wieś – brzmiało to jak tytuł serialu. Powrót do domu, choć właśnie udało mu się stamtąd wyrwać. Tak, „wyrwać się” było właściwym określeniem – kojarzyło się z ucieczką.

Marit na pewno się wścieknie. Jeszcze i za to mu się dostanie – zawiódł ją, gdy była w dołku i chciała się wygadać. Ale ma przecież matkę. Mama się nią zaopiekuje, jest przyzwyczajona do dbania o rodzinę. Najpierw chora na serce córka, potem coraz bardziej zdemenciały ojciec. A teraz jeszcze Marit.

Gdyby nie zapomniał tej cholernej komórki, mógłby się wywinąć samą rozmową telefoniczną. Usprawiedliwić się pośpiechem, utrzymując, że ojcu nagle się pogorszyło. A teraz musi do niej iść. Musi wziąć ze sobą komórkę, inaczej się nie da. Telefon był jego deską ratunku, łącznikiem ze światem znajdującym się tak daleko od miejsca, które niegdyś było jego domem rodzinnym.

Otworzyła matka Marit, Valborg. Wysoka, żylasta kobieta o siwych włosach, z fryzurą podobną jak u Marit. Poruszała się z trudem, nie zauważył tego wcześniej. Gdy stanął przed nią, jego wzrok powędrował ku jej kostkom, które wydawały się przekrzywione, jakby wykręcone. Miała na nogach beżowe buty.

– A to ty, Tobias, jak miło. Marit się ucieszy.

Powiedział bez owijania w bawełnę, o co chodzi.

– Raczej się nie ucieszy, bo niestety nie mogę zostać zbyt długo. Przyszedłem właściwie tylko po swój telefon.

Valborg potarła palcem skórę pod nosem. Pokiwała głową tak, że okulary zjechały kawałek w dół. Poprawiła je zniecierpliwionym gestem.

– Ach tak. Marit mówiła mi, że zacząłeś pisać kolejną książkę.

– To inna sprawa.

Usłyszał ostrożne kroki. Zza ubrań na wieszaku wyjrzała Marit, dostrzegł gołe ramiona.

– O, Tobias!

Wtedy wszedł do środka i zamknął drzwi.

Musiała właśnie wziąć prysznic, bo miała jeszcze mokre włosy i była

owinięta w duży ręcznik kąpielowy w paski. Wziął ją w objęcia, przytknął wargi do jej czoła.

– Miło, że wpadłeś! – powiedziała przygaszonym tonem.

– No tak, tylko że muszę od razu się zbierać. Niestety, Marit. Bardzo mi przykro.

Poczuł, jak zesztyniała w jego objęciach.

– Znowu wyjeżdżasz?

Tak jakby wiedziała.

– Ale chyba możesz napić się z nami kawy – rzuciła z werwą Valborg i pokuśtykała do kuchni. – Właśnie nastawiłam zaparzacz, dosypię tylko kilka łyżeczek.

– Niech będzie szybka kawa.

Zdjął buty i powiesił kurtkę. Znalazł telefon w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Sprawdził, czy jest wyłączony, i włożył go do kieszeni.

– Zapomniałem o nim. Coś się działo?

Marit trzymała go za ubranie.

– Nie – mruknęła, oczy zaszkliły się jej łzami.

– Idź się ubrać, zmarzniesz!

– Tobias – jęknęła – dlaczego znowu wyjeżdżasz?

– Chodzi o ojca.

– Co się dzieje? Gorzej z nim?

Nie wiedział, co go naszło. Nie mógł postąpić inaczej, okoliczności zmusiły go do kłamstwa. Utkwił w niej wzrok, paliło go w gardle.

– Sabina dzwoniła i prosiła, żebym jak najszybciej przyjechał.

– Ojej, to coś poważnego?

– Miejmy nadzieję, że nie. Ale nie przestanę się niepokoić, jeśli tam nie pojedę.

Przełknęła ślinę.

– Rozumiem.

Z kuchni dobiegał szcęk porcelany. Zaparzacz do kawy furkotał. Tobias wszedł na kuchenny chodnik i trzymał się go, jakby szedł przez kładkę. Wąską i chwiejną. Kończył się dopiero przy stole. Obrus w biało-różową kratkę, duży okrągły ser na półmisku, pokrojony chleb. Ogórek i pomidor w plasterkach na talerzyku. Filiżanki w małe jasnoniebieskie kwiatki. Nie widział ich wcześniej, Marit używała kubków.

– Siadaj, proszę. – Valborg wysunęła dla niego krzesło. Dostrzegł laskę

opartą o ścianę.

– Co się stało z twoimi kostkami? – zapytał.

– Z moimi kostkami? – Patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– O co ci chodzi?

– Nie widziałem wcześniej, żebyś...

Valborg podniosła jedną nogę i zaczęła się jej przyglądać.

– Wyglądają tak od dawna. Tak to już jest ze starymi babami.

– Aha – rzucił tylko z jakimś nieokreślonym poczuciem winy.

– No, Marit, jak tam, idziesz?

– Już, już, zaraz przyjdę.

Zaopiekuj się nią, miał ochotę powiedzieć, przejmij odpowiedzialność.

Przyszła ubrana w swoje zwykłe spodnie dresowe i robiony na drutach bezkształtny sweter. Była bardzo blada, widział cienie, niepomalowane rzęsy. Próbował uśmiechnąć się do niej.

Valborg naląka kawy.

– Proszę bardzo!

Czuł, że jego dłonie są zbyt niezgrabne do takich delikatnych uszek.

Podmuchał na kawę i zaczął pić. Valborg posmarowała kromkę chleba.

– No tak – rzuciła w powietrze – tak się sprawy mają.

Tobias odchrząknął, pociągnął kolejny łyk. Chciał już iść, dławiał go niesmak.

– No to jaką piszesz teraz książkę? – zapytała matka Marit. – Coś strasznego, jak ta poprzednia? Przeczytałam ją, ale szczerze mówiąc, nie jestem zachwycona tego typu literaturą.

– Jasne, przecież nie wszyscy lubią takie książki.

– Mamo, może Tobias akurat teraz nie ma siły rozprawiać o swojej książce. Jego ojciec jest chory. Właśnie dlatego musi jechać.

– Oj, rozumiem.

Valborg zarumieniła się na twarzy.

– Na razie nie ma wiele do powiedzenia na temat książki – próbował załagodzić sytuację.

Valborg natychmiast podjęła wątek.

– Zastanawia mnie jedno: czy rzeczywiście można utrzymać się z pisania książek? – Jej oczy były powiększone przez szkła okularów. Wyglądało to groteskowo, przypominała sowę.

– Niektórzy się utrzymują, ale niewiele.

– Hm.

– Tacy jak Liza Marklund – włączyła się Marit – która jest już

multimilionerką.

– Multimilionerką?

– Owszem.

– A o czym ona pisze, ja już najwyraźniej nie nadążam.

– Liza Marklund pisze kryminały.

– Ale Tobias chyba też?

– Ja napisałem tylko jeden.

– A ona, ile ich napisała?

– Nie wiem – ze trzy, cztery.

– Tobie też się z pewnością powiedzie – stwierdziła Valborg powściągliwie. – I na pewno też zostaniesz multimilionerem. – Nabiła na widelec plasterek pomidora i umieściła go na pozostałej części kanapki, a potem ugryzła spory kęs. Tobias unikał patrzenia na nią.

– Większość ludzi parających się pisaniem książek ma też inny zawód – ciągnęła Valborg, przeżuwając. – Trzeba przecież zarabiać pieniądze na życie, prawda?

Na chwilę zapadła cisza. Potem Marit dodała:

– Tobias dostał stypendium z fundacji literackiej Författarfonden.

Wspominałam ci o tym, mamó.

– Hmm. Brzmi to prestiżowo.

– Owszem, to dość prestiżowa rzecz. – Nie chciał dać się sprowokować.

– Wielu składa wnioski, „lecz niewielu jest wybranych”, czy jak to się tam mówi.

– To z pieniędzy podatników?

– W jakim sensie?

– Czy płaci za to państwo?

– Mamó!

Ciało zaczęło go swędzieć, pod pachami, w kroczu. Wciągnął głęboki haust powietrza.

– A co słyhać u Arnolda? – wykrztusił z siebie.

Kobieta wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

– Tak, Tobias. Życie nie zawsze obchodzi się z nami łaskawie. Mój biedny Arnold. Niekiedy wydaje mu się, że powinien iść do szkoły i dalej uczyć. Wścieka się, gdy próbuje się go powstrzymać. Używa teraz czasem takich słów, które nigdy przedtem nie przeszłyby mu przez gardło.

– Jest zadowolony z ośrodka opieki?

Spojrzała w stronę okna. Padał deszcz, szyba była pocętkowana drobnymi, ostrymi bryzgami.

- Myślisz, że ktokolwiek czuje się dobrze w ośrodku opieki?
- Przynajmniej mam taką nadzieję.
- Może to samo czeka teraz twojego ojca? Może też będzie musiał się przeprowadzić?
- Na razie nie wiem. Muszę tam pojechać i zorientować się w sytuacji.
- A co się właściwie stało? – zapytała Marit. – Sabina ci nie powiedziała?
- Nie, tylko... – Umilkł i zapatrzył się w filiżankę. – Że też musi padać – dodał po chwili. – Taka pogoda nie nastraja dobrze.
- Milczała, kołysząc się na krześle.
- Dobrze, że pojedę pociągiem. Fajnie, że nie muszę się telepać samochodem w taką cholerną pogodę.
- Usłyszał tylko bezdźwięczne „tak”.
- Gdy zaczął zbierać się do wyjścia, rzuciła nagle:
  - Wczoraj ktoś dzwonił na twoją komórkę. Jakaś kobieta.
  - Co? Kto to był?
  - Nie wiem. Najpierw wydawało mi się, że to Sabina. Ale to nie mogła być ona, bo chyba od razu się nie rozłączyła.
  - Może po prostu pomyłka?
  - Nie, pytała o ciebie.
  - To komórka nie była wyłączona?
  - Nie, wyłączyłam ją po tym telefonie. Żeby oszczędzać baterię.
- Valborg wyszła do toalety, próbując w ten niezdarny sposób wykazać się poczuciem taktu.
  - To na pewno była jakaś bibliotekarka – powiedział. – Dzwonią teraz jak najęte, żeby zarezerwować wieczór autorski.
  - Może – wyszeptała.
- Czuł, że mu nie wierzy.

PO POWROCIE do domu stwierdził, że osoba, która chciała nawiązać z nim kontakt, dzwoniła z telefonu komórkowego. Na wyświetlaczu pojawił się numer zaczynający się od cyfr 070. Nie mógł to być nikt inny jak Ingelize. Skąd miała numer jego komórki?

Musiała go dostać z informacji telefonicznej.

Zadzwoił pod 118 118 i uzyskał potwierdzenie, że numer, z którego do niego dzwoniło, należał do Ingelize Moberg z Östra Kvarnberga. Czy zdążyła już wrócić do domu, czy jest jeszcze w Sztokholmie? Gdy wystukał jej numer, odpowiedziała po kilku sygnałach.

– Mówi Tobias.

– Cześć, to ty?

– Dzwoniłaś na moją komórkę?

– Tak, ale nie teraz. Próbowałam skontaktować się z tobą wcześniej.

– Aha. Co robisz?

– Pakuję się, bo wracam do domu.

– Też postanowiłem pojechać na wieś.

– Ach tak.

– Wspominałaś coś o domu do wynajęcia, u Vesterbergów. Myślisz, że to jest nadal aktualne?

– A co? Zastanawiasz się nad przeprowadzką?

– Przynajmniej na jakiś czas. Wolę wiedzieć, co się dzieje w domu. Mógłbym przy okazji pomóc ci trochę przy koniach. Oczywiście, jeśli nadal jesteś zainteresowana.

Słyszał w słuchawce jej oddech.

– Jaka nagła zmiana – stwierdziła niepewnie.

– Ech! Może to wcale nie jest dobry pomysł?

– Ależ tak! Pogadam od razu z Marią. Oddzwonię za chwilę.

Udało mu się kupić bilet na ten sam pociąg co Ingelize. Najchętniej wynająłby samochód, ale nie czuł się na siłach prowadzić. Dostał miejsce w wagonie piątym, a Ingelize siedziała w trzecim, tam gdzie znajdowało się bistro. Na pewno udałoby się zamienić z kimś biletami, ale wolał siedzieć sam. Nie miał ochoty na jej towarzystwo, w ogóle na żadne.

Udało jej się skontaktować z Marią Vesterberg, dom miał być gotowy na jego przyjazd. Gospodyni obiecała tam podejść i włączyć ogrzewanie.

– Ucieszyła się – zakomunikowała Ingelize. – Zwłaszcza że jest już po sezonie. Latem przyjeżdża wielu Niemców. Ale teraz, kiedy panują jesienne



ciemności, to żadna atrakcja tkwić w jakiejś chałupie na szwedzkim zadupiu. Powiedziała, że możesz zostać tak długo, jak chcesz. A jeśli poinformujesz ją z należytym wyprzedzeniem, nie przyjmie latem Niemców.

– Zobaczymy, jak długo zostanę – odpowiedział wymijająco. – Muszę najpierw się przekonać, czy ten pomysł wypali.

– Jasne. Ona na pewno to zrozumie.

Poszli na kawę do bistro. Znowu była sobą, stała przed nim, balansując z kartonowym kubkiem w ręce. Pałaszowała muffinkę z jagodami. Miała lekką wadę zgryzu, czego nie zauważył wcześniej. Ten widok przywiódł mu na myśl Valborg. Najwyraźniej ni stąd, ni zowąd zaczął przyglądać się ludziom w inny sposób, dostrzegając więcej szczegółów, a zwłaszcza mankamentów. Jakby wyostrzyło mu się spojrzenie. Może będzie z tego jakaś korzyść przy pisaniu kolejnej książki. O ile w ogóle znowu zacznie pisać.

Unikali mówienia o Sabinie.

Ingelize była teraz spokojna i wyluzowana, i miała perfekcyjny makijaż.

– A co zrobisz z mieszkaniem? – zapytała.

– Jeśli się zaaklimatyzuję na wsi, to je wynajmę. Nie powinno być z tym kłopotów.

Jej dłoń przysunęła się do jego ręki.

– Myślę, że to świetny plan! – rozentuzjasmowała się. – Dla samotnej kobiety zajmowanie się tyłoma końmi to prawdziwa harówka. Poza tym, mówiąc bez ogródek, miło będzie mieć towarzystwo.

– Masz przecież do pomocy te małolaty.

– Ale to nie to samo.

Dom był położony przy drodze. Z kamienia, obrzucony białym tynkiem, dwupiętrowy, z przylegającym doń średniej wielkości ogrodem o nieco pofalowanym terenie. Nie był tam nigdy, lecz pamiętał rodziców Marii. Jej matka sprzątała wieczorami w szkole; jeździła na rowerze, nawet gdy na drodze zalegały zasy. Albo już nie żyją, albo muszą być bardzo starzy – jeśli tak, może przeprowadzili się do ośrodka opieki Kastanjegården, gdzie leżą niczym zasuszone roślinki. Maria była sporo starsza od Tobiasa, nie znał jej ani jej męża, który miał firmę taksówkarską w Kvarnberdze.

Czekała już na nich. Wyszli z pociągu w Linköpingu, gdzie Ingelize

zaparkowała samochód. Tobias wniósł swój bagaż.

– Człowiek zawsze czuje się niepewnie, gdy dom stoi pusty – stwierdziła Maria. – Witam serdecznie!

Była kobietą słusznej postury, o pogodnym wyglądzie. Za każdym razem, gdy się uśmiechała, obnażała blade dziąsła. Tobias nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Może być tysiąc dwieście miesięcznie, czy to dobra cena?

– Nie wiem, jak długo zostanę – zauważył.

– Wiem, Ingelize mi o tym wspomniała. Nie szkodzi, może pan płacić w miesięcznych ratach. Myślę, że wystarczy panu sam parter, na dole są aż cztery pokoje. Tyle samo jest na górze, do tego kilka schowków i garderób. Może pan, oczywiście, korzystać też z piętra, ale nie zrobiłam tam porządków, uznałam, że nie trzeba.

– Potrzebuję tylko kuchni i pomieszczenia do spania.

Uśmiechnęła się, znowu obnażając dziąsła.

– To są pana klucze. Nie sędzę, żeby pojawiły się jakieś problemy; gdyby tak było, proszę po prostu dzwonić. Tam na ścianie wisi kartka z naszym numerem telefonu.

Skorzystał z okazji i zapytał:

– A co z tym Hardym, odnalazł się już?

Słyszając własny głos, czuł wzbierającą falę ciepła.

– Oj, nie. Wygląda na to, że nie.

– Podobno zdarzało mu się już wcześniej zniknąć?

– Owszem. Ale tym razem... szukała go nawet policja. Chodzili i rozpytywali wszystkich sąsiadów. Klika dni temu wparowali do nas do domu w pełnym umundurowaniu. Myślałam, że to jakaś obława. Zadawali mnóstwo pytań. Ale ja nie widziałam Hardy'ego od wieków.

Tobias zerknął na Ingelize, która wydawała się nieporuszona.

– Na pewno się znajdzie – powiedział. – Dziwne, że tracą tyle energii i środków na takiego gościa. Nie mają nic ważniejszego do roboty?

– Owszem, to trochę dziwne. Mnie się wydaje, że on znowu wpakował się w coś podejrzanego. Chyba właśnie dlatego go poszukują.

Ingelize towarzyszyła mu, gdy się rozpakowywał. Siedziała przy stole kuchennym, a kliniczne, zimne światło jarzeniówki rzeźbiło cienie na jej twarzy. Kuchnia była solidna, w starym, rustykalnym stylu, gospodarze nie przeprowadzili w niej od dawna większego remontu. Stał tam jeszcze

czynny, opalany drewnem piec, uzupełniony wstawioną obok kuchenką elektryczną. Tobiasz od razu zauważył, że nie ma kuchenki mikrofalowej.

Kolorystyka była utrzymana w posępnej ciemnozielonej tonacji. Szafki i drzwi spiżarni miały zielone drzwiczki, podłoga była z szarozielonych płytek PCW z wzorem w medaliony. Na parapecie znajdowała się lampka z abażurem, z materiału z deseniem rodem z lat siedemdziesiątych. Obok stała roślina doniczkowa. Czy gospodyni spodziewa się, że będzie ją podlewał? Doniczka stała na pomarańczowej koronkowej serwecie, widział podobną u Marit. Kafelki nad blatem zostały dodatkowo okraszone samoprzylepnymi naklejkami z jesiennymi liśćmi, rozmieszczonymi regularnie co drugą płytkę. Najwyraźniej zostały dobrane tak, by pasować kolorem do koronkowej serwety.

– No i jak, może być? – zapytała Ingelize, która przyglądała mu się badawczo.

– Pewnie, spoko.

– Jakie masz plany? Idziesz od razu do ojca i Sabiny? Zapewne czekają na ciebie.

– Nie powiadomiłem ich, że przyjeżdżam.

Zaśmiała się dźwięcznym śmiechem.

– E tam, i tak już wiedzą. Tutaj nie da się nic utrzymać w tajemnicy, mówiłam ci przecież. A może miałbyś ochotę wpaść do mnie? Moglibyśmy razem coś przekąsić, coś skromnego oczywiście. Wyciągnęłabym coś z zamrażarki. Wypilibyśmy po kieliszku wina, by uczcić naszą współpracę.

Zrobili wcześniej zakupy w supermarkecie ICA w Rimforsy. Tobiasz załadował do wózka kawę, pieczywo, artykuły śniadaniowe, po kawałku sera i salami. Do tego kilka sześciopaków piwa.

– Nie, dziękuję. Wpadnę do ciebie raczej jutro rano. Wybacz, muszę się dzisiaj trochę pozbierać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. Słuchaj, Tobiasz, tak na marginesie – cholernie się cieszę, że przyjechałeś, mam nadzieję, że to widać. Cieszę się, że chcesz jednak spróbować. Może wyjdzie z tego coś fajnego, nie sądzisz?

Gdy wyszła, cisza spadła na niego niczym wielki klosz. Przeszedł się po pokojach; były umeblowane oszczędnie, lecz miały swój styl. W pomieszczeniu, które zostało pomyślane jako jadalnia, wisiał ogromny, imponujący kryształowy żyrandol. Dziwił się, że gospodarze nie wzięli go do swojego domu. No cóż, i tak nie będzie tu przesiadywał, zadowolony się

kuchnią i sypialnią. Może będzie korzystał też z salonu, gdzie stał telewizor – biały, z anteną pokojową. O ile ona w ogóle działa. Przewód był odłączony, pochylił się i wetknął go do kontaktu. Natychmiast rozległ się donośny dźwięk, teleturniej *Va Banque* z Magnusem Härenstamem. Zostawił telewizor włączony i przeszedł do sypialni, którą zajmowało olbrzymie łóżko małżeńskie. Przy ścianie stało dziecięce łóżeczko szczebelkowe z gołym materacem. W tym pokoju rozwalają się niemieccy turyści, tłuści i rozdęci od tej swojej *Bratwurst*, przyszło mu na myśl.

Nie zabrał ze sobą pościeli, miał tylko śpiwór. Szykując się do spania, zorientował się, że zapomniał też ręczników. Załatwi sobie jakieś jutro, pożyczyci od Sabiny.

Na myśl o Sabinie poczuł ukłucie w żołądku, piekący, żrący ból, który sprawił, że musiał się na chwilę pochylić z knykciami przyciśniętymi do podbrzusza. Oddychał krótko, ciężko dysząc. Po chwili atak ustąpił.

Wrócił do kuchni, otworzył piwo i napił się prosto z puszki. Czy rzeczywiście ojciec z Sabiną już wiedzą, że przyjechał? Wyciągnął swoją komórkę i ładowarkę, podłączył ją do sieci. Pociągnął znowu piwa; nie czuł wcale głodu. Zastanawiał się, czy można palić w domu, bo nie miał najmniejszej ochoty zadzierać z sympatyczną Marią Vesterberg.

Otworzył drzwi prowadzące na tył domu i wyszedł przez chłodną, kompletnie wyziębioną sień na schody. Po drugiej stronie żywopłotu stał dom. We wszystkich oknach było ciemno i głucho.

Uderzył go powiew lodowatego wieczornego wiatru. Niebo było upstrzone gwiazdami. Tobias zapalił papierosa, stał i nasłuchiwał odgłosów. Z oddali dobiegało ujadanie; psy czekały pewnie na dokazujące sarny, które właśnie były w okresie rui. Albo na jelenie w zagrodzie, której właścicielami byli bracia Holmgrenowie, Ivan i Erik. Chodzili razem z nim do klasy, byli bliźniakami jednojajowymi. Zostali obaj na wsi i nadal prowadzili wspólne gospodarstwo.

Jelenie były u Holmgrenów, odkąd Tobias pamiętał. Wykarmili butelką młodego jelonka, który stracił matkę. Łania zdechła przy porodzie. Miała jakąś wadę macicy, która się oderwała i wyszła na zewnątrz razem z cielakiem. Jelonek otrzymał imię Alvar. Był tak oswojony, że z początku trzymali go w kuchni. Alvar zaczął jednak rosnać i dorobił się rogów, przez co zrobił się niebezpieczny. Ojciec bliźniaków musiał go na krótko uspić; zrobił to, strzelając z dmuchawy. Alvar zachwiał się i padł, po czym odcięto mu rogi piłą.

Tobias był obecny przy tej dramatycznej operacji. Czuł się nieswojo,

podobnie jak bliźniacy. Jednak Alvar prawdopodobnie nie cierpiał, zranione miejsca nawet nie krwawiły. Po chwili wstał i zataczając się, dołączył do pozostałych jeleni. Otrząsnął się i potem wyglądał już jak zwykle.

Ciekawe, czy Alvar jeszcze żyje. Mało prawdopodobne, musiałyby mieć ponad trzydzieści lat. Tylko słonie dożywają takiego wieku. Zapewne skończył jako żylasty stek na czyimś stole.

Tobias marzył w cienkim ubraniu. Zdusił niedopałek o ścianę i wszedł z powrotem do domu. Natychmiast poczuł się zmęczony, bolały go plecy i głowa. Wyciągnął się na śpiworze, żałował, że nie wziął ze sobą nic do czytania. Na stoliku nocnym leżał stosik broszur informacyjnych po niemiecku, angielsku i szwedzku. Przewertował je z roztargnieniem.

Kanał Kinda – przyjazna trasa, podróż w czasie.

*Świat Astrid Lindgren w Vimmerby.* Czytał głośno po niemiecku: *hier könnt Ihr mit Pippi im Limonadenbaum umherklettern, mit Kartsson vom Dach hinuntersausen...* aż opadły mu powieki i zasnął.

OBUDZIŁA go cisza. Lewa ręka mu ścierpła, z pewnym trudem udało mu się ją podnieść, by sprawdzić, która godzina. Dwadzieścia po dziewiątej. Położył się spać przy włączonym telewizorze – dobrze znane, bezpieczne odgłosy ukołysały go do snu.

A teraz nagle w całym domu panowała cisza.

Najpierw pomyślał, że jest przerwa w dostawie prądu. Jednak światło nie zgasło – paliła się lampka przy łóżku i oświetlenie w kuchni. Może wywaliło korek? A jeśli tak, to dlaczego? W jego duszę zaczęło zakradać się poczucie zagrożenia. Nie miał siły podnieść się do pozycji siedzącej, toteż leżał dalej na plecach ze wzrokiem utkwionym w suficie.

Ponad jego głową coś się poruszyło, coś ciemnego. To coś lekko zadygotało, zadrżało. Przez dłuższą chwilę nie rozumiał, co widzi, aż w końcu pojął.

Nad łóżkiem, dokładnie ponad jego poduszką, rozpostarł sieć ogromny pająk. Tobias jęknął i zerwał się na nogi ze zduszonym, pełnym obrzydzenia krzykiem. Widział, że coś złapało się w sieć – mucha, wielka i opasła; musiała zbudzić się z zimowego snu, gdy po domu zaczęło rozchodzić się ciepło. Porzuciła swe zimowe schronienie i poszybowała prosto w paszczę śmierci.

Był to największy pająk, jakiego Tobias w życiu widział. Właściwie nie bał się pajaków, nie miał żadnej fobii tego rodzaju. Wolał jednak nie dzielić z nimi łóżka. Musi przynieść szczotkę albo jakiś inny długi przedmiot i go usunąć. Stał oparty o ścianę; dostał gęziej skórki na rękach. Wzdrygnął się i przełknął ślinę.

Ale najpierw musi stąd wyjść i sprawdzić, co stało się z telewizorem.

Siedziała na sofie z rękami złożonymi na kolanach. Miała założone okulary przeciwsłoneczne – nigdy jej takiej nie widział. Poczul, że zalewa go fala ulgi. Ona szybko odwróciła głowę w jego stronę, zrobiła ruch, jakby chciała się podnieść. Podbiegł do niej szybkimi susami. Była ciepła, żywa; wziął jej ręce w swoje, uniósł. Wyrwała się z jego objęć i go odepchnęła.

– Dzwoniłam – wybuchnęła – ale dzwonek jest zepsuty!

– Nie słyszałem, jak przyszałaś. Nie słyszałem kompletnie nic, widocznie przysnąłem.

– Drzwi były otwarte, po prostu nacisnęłam klamkę i weszłam.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem.

– Cała wieś już o tym wie.

Zdjął jej okulary, jego palce były nagle wszędzie, dotykały jej włosów i brwi. Pachniała lekko amoniakiem, tym samym zapachem, który otaczał zwierzęta.

– Jesteś taka... odmieniona. Wyglądasz jak jakiś... kurator!

– Coś takiego!

– Dlaczego obcięłaś włosy?

– Tak mnie jakoś naszło. Czasem ma się ochotę zmienić wygląd, nigdy czegoś takiego nie czułeś? Nie miałeś nigdy ochoty zrzucić z siebie swojej dotychczasowej powłoki i stać się kimś zupełnie innym?

– Sabina...

– Nigdy nie czułeś czegoś takiego?

Potrząsnął głową.

– To nie takie proste, wiesz przecież.

Drapała się paznokciami po rękach, przez materiał bluzki.

– Czy ojciec też wie, że przyjechałem?

Skinęła potwierdzająco głową.

– Mówił coś na ten temat?

– Cieszy się. Uważa, że dobrze zrobiłeś, wynajmując ten dom. Rozumie, że potrzebujesz spokoju przy pisaniu. Twój ojciec jest bardzo łagodnym, tolerancyjnym człowiekiem.

– Napijesz się czegoś? – rzucił pośpiesznie. – Mogę poczęstować cię piwem.

– Nie, dziękuję.

Oddychał z trudem, myśli kłębiły mu się w głowie.

– Dlaczego do mnie przyszłaś?

– Żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz.

– Czy ja czegoś nie potrzebuję?

Przebierała palcami po łańcuszku, po złotym wisiorku ze złączonymi dłońmi. Tym, który dostała od Carla Sigvarda. Koniuszki palców Tobiasa wodziły po konturach jej ust i nosa.

– Przestań! – zawołała.

Chwycił ją gwałtownie za przeguby dłoni i przewrócił na sofę. Trzymał ją mocno, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście doprowadził ją do utraty panowania nad sobą. Jej kolano wystrzeliło w górę i trafiło go w krocze, ból pozbawił go oddechu. Puścił ją i zwinął się na podłodze, jęcząc i stękając, z

dłonią przyciśniętą do zębów. Zaatakowała go jak jakieś dzikie zwierzę, obezwładniła, rozłożyła na łopatki, przyciskając mocno udami.

– Mieliśmy tego nie robić! Nigdy więcej!

Wił się pod nią, próbując się oswobodzić, lecz była silna; wychyliła się w przód, chwyciła go za nadgarstki tak samo jak on wcześniej ją. Jego knykcie szorowały o podłogę, bolało jak cholera. Przybliżyła swą twarz do jego twarzy, widział zwiotczącą skórę na jej szyi.

– Co ty wyrabiasz, Sabina – jęczał. – Do kurwy nędzy, co cię napadło?

Nagle poczuł na szyi ciepłe krople. Sabina płakała. Łkała z zaciśniętymi ustami, lecz nie zwolniła uchwytu, przyciskała coraz mocniej, coraz silniej. Na stopach miała tylko skarpetki, bluzka wystawała ze spodni. Pod naporem biustu rozpiął jej się guzik, Tobiasowi mignął przed oczami połyskliwy biustonosz w kwiatki.

– Sabina – jęknął. – Przepraszam. Przyrzekam, że więcej cię nie tknę, nie wiem, co mnie napadło.

Wstrząsnął nią dziki szloch, lecz nie zmieniła pozycji. Siedziała na nim okrakiem, tak że ciepło z jej ud promieniowało prosto w jego miednicę. Gdzieś w czeluściach roziskrzonego bólem ciała zaczęło się coś dziać; powoli, powolutku zrodziło się w nim coś na kształt pożądania. Sabina też to poczuła i poluzowała żelazny uścisk swoich ud. Położyła się na podłodze, wtuliła w niego i zaczęła delikatnie rozpinać jego dzinsy.

– Sabina – wychrypiał, lecz ona nie słuchała, była przy nim, ciało przy ciele, otworzyła się i wprowadziła go do swego wnętrza.

Leżeli potem na podłodze. Uświadomił sobie nagle, że z zewnątrz widać ich jak na dłoni, więc zerwał się i pogasił lampy. Przyniósł też od razu koce, którymi się okryli. Czuł przy sobie jej serce, wydawało mu się, że słyszy jego bicie.

– Po co tu wróciłeś? – zapytała. – Tobias, po co wróciłeś?

– Chyba rozumiesz, musiałem zobaczyć, co się dzieje.

– Co zobaczyć?

– Sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Już nigdy nic nie będzie w porządku.

– Tak myślisz?

– Na pewno nie tutaj. – Pokazała na czoło. Łzy spływały do tyłu, we włosy.

– Masz na myśli Carla Sigvarda?



– Tak.

– A jak on się czuje?

Odpowiedziała niemal bezgłośnie.

– Nie, nie mówmy o nim, nie wspominajmy jego imienia po tym, co zrobiliśmy. Tak nie wolno, to nie na miejscu, jest w tym jakiś fałsz.

Całował jej policzki; smak soli, płaczu.

– Nie róbmy więc tego nigdy więcej. Czy tego właśnie chcesz?

– Tak... Nie! Tak...

Zatęsknił nagle bardzo za muzyką. Za koncertem Mozarta na fortepian i orkiestrę, za czymś jasnym w tonacji durowej. Otulił ją lepiej kocem, przymknął oczy.

Przełamała jednak ciszę.

– Była u nas policja – oznajmiła głosem, w którym pobrzmiwała jakaś przekora.

– Chyba wypytyują wszystkich.

– Tak. Szukają. Ale nigdy nic nie znajdują.

Pokiwał głową. Jego podbródek spoczywał na jej szyi. Koniuszek języka wysunął się, dotknął złotego wisiorka; smak metalu i soli.

– Jeśli nikt cię nie widział.

– Nikt mnie nie widział, na pewno nie z bliska. Poza tym nie ma chyba nic podejrzanego w tym, że właściciel zajmuje się swoją tratwą. To chyba normalne.

– Jest nadal na wodzie?

– Wyciągnę ją na ląd traktorem, zanim lód skuje wodę. Na razie nie ma pośpiechu.

– A co będzie, jeśli wtedy ktoś zacznie węszyć?

– A po co ktoś miałby to robić? Co tam jest do oglądania? To przecież tylko stara tratwa. Stoi tam od lat.

Miał ochotę na papierosa. Wyswobodził się z jej ciepłych objęć, przeszedł do kuchni na czworakach. Moszna była obolała, wydawała się powiększona i spuchnięta. Znalazł papierosy, przemknął z powrotem i zapalił. Jutro przewietrzy pokój.

Sabina oparła się plecami o sofę, zaczęła się ubierać.

– Czy on wie, że jesteś tutaj? – zapytał Tobias.

– Mówiłam mu, że może zajrzeć do ciebie. Wzięłam ze sobą torebkę drożdżówek cynamonowych. Upiekłam je dzisiaj.

Zaciągnął się głęboko, uspokajająco.

– Będę pomagał Ingelize przy koniach.

- Wiem.
  - A skąd, do cholery?
  - Domyśliłam się, wspominałeś już kiedyś o tym.
  - Nie mówiłem przecież, że się zdecydowałem, tylko że ona mi to zaproponowała.
  - No i teraz jesteś tutaj.
  - Ingelize była u mnie w Södertälje. O tym też wiesz?
  - No, raczej nie. Mówiła ci o incydencie w oborze?
  - Tak. Odniosłem wrażenie, że coś podejrzewa.
  - Akurat splukiwałam podłogę w siodłami. Powiedziałam jej, że to po przymusowym uboju. Denerwuje mnie to babsko, łązi tylko i węszy.
  - A ja puściłem ścierne, że to moja wina, że tryk wydostał się z zagrody. Mówiła mi, że chciała iść ze swoimi podejrzeniami na policję. Myślę, że udało mi się odwieść ją od tego.
  - Jak to zrobiłeś? – Sabina wpatrywała się w niego; siedziała z podciągniętymi ramionami.
  - Nie spałem z nią, jeśli to miałaś na myśli.
- Jej twarz wykrzywił grymas.
- Nie. Ale ona na ciebie leci. Jesteś pisarzem, występowałeś w telewizji.
  - Myślisz, że tylko dlatego?
  - Nie mogę ci dyktować, co masz robić, nie mam do tego prawa. Ale jeśli ona zacznie bruździć, możemy mieć kłopoty.
  - Przecież nie będzie w stanie niczego udowodnić.
  - Nie, ale może opowiedzieć, co widziała i co podejrzewa. Policja wypytywała przecież wszystkich. Jej akurat nie było w domu, ale na pewno ją przesłuchają. No, chyba że zapomną, ale nie liczyłabym na to. Przecież to właśnie ona pomogła Ann-Mari skontaktować się z policją.
  - Na pewno już ją przepytawali, nie sądzisz? Może od razu, jak do nich zadzwoniła.
  - Kto wie, może. Ale gdyby nawet się zawzięli i chcieli przeczesać całą oborę, na pewno nic nie znajdą. Naprawdę wyczyściłam wszystko na glanc.
- Wydmuchał dym. Przyszedł mu na myśl kapelusz, ale nie był w stanie nic powiedzieć.
- A DNA i tego rodzaju rzeczy? – zapytał.
  - Przecież to by i tak niczego nie dowiodło. Może znaleźliby jakiś włos z głowy albo z brody. I co z tego? Przecież on pracował w naszej oborze, był tam dziesiątki razy.
  - To prawda.

– A co z vespą? Pozbyłeś się jej?

Skinął na potwierdzenie głową.

– Nawet jeśli ktoś ją znajdzie, nikt nie będzie wiedział, skąd się tam wzięła.

– No widzisz. Możemy być spokojni.

Gdy pożegnał się z Sabiną, wrócił do sypialni. Uzbroidł się w szczotkę na długim trzonku, opuścił żaluzje i zapalił światło.

Pajaka już nie było.

Została tylko sieć i resztki muchy. Pajak przeniósł się gdzie indziej.

Tobias stanął na czworakach i zajrzał pod łóżko. Przeszukał pokój, kawałek po kawałku. Nie znalazł go jednak. Nie był w stanie położyć się spać ze świadomością, iż w każdej chwili po jego twarzy mogłyby zacząć się przemieszczać szorstkie odnóża pajaka. Ta myśl napawała go niesmakiem.

To było do niego niepodobne. W ogóle wszystko było do niego niepodobne.

Zabrał z łóżka śpiwór i położył się na sofie. Myślał o Sabinie, leżąc z dłonią stuloną wokół moszny. Zasnął tuż po północy.

SABINA odprowadzała go teraz zawsze do wychodka. Zostawiała go samego i wracała po chwili, gdy powinien być już gotowy. W obawie, że Carl Sigvard przewróci się ze swoimi kulami, zachowywała się jak pilnująca piskląt kwoka. W wychodku zamiast worków z wapnem stała teraz puszka z proszkiem Dimilin. Dzięki temu było więcej miejsca.

– Tak w ogóle to już jest dwudziesty wiek – oświadczyła, rzucając mu rozdrażnione spojrzenie. – Wapno to przeżytek. To nie czasy masowych grobów z pierwszej wojny światowej.

– Słuchaj, złotko, aż taki stary to ja nie jestem.

Lubił się z nią przekomarzać, ale nie była ostatnio w nastroju, sterana i umęczona prowadzeniem gospodarstwa i doglądaniem jego samego oraz Adama.

Nie było jej teraz w domu.

– Przejdę się na chwilę do Vesterbergów i zobaczę, jak tam Tobias, czy już się urządził.

– Dziwne, że się z nami nie skontaktował.

– No wiesz, chce nam pewnie zrobić niespodziankę.

– Jak na mój gust to on cholernie wydziwia. Po co wynajmować dom za duże pieniądze, skoro u nas jest tyle miejsca?

Postawiła przed nim kubek z kawą.

– Zrozum, ma swoje powody, nie jest przecież zwykłym człowiekiem, takim jak my, tylko pisarzem. Potrzebuje spokoju. Podobnie jak czasem ty, prawda?

Znowu ten śmiech, taki kpiący.

Pewnie, czasem człowiek potrzebuje spokoju do tego i owego. Jednak myśl, że ona czeka gdzieś w pobliżu wychodka, wpływała na niego hamująco. Organizm odmawiał posłuszeństwa. Od dwóch dni nie udało mu się zrobić tego, co powinien.

Zarzuciła kurtkę, gotowa do wyjścia.

– Pozdrów go w każdym razie – powiedział kwaśno. – Powiedz mu, że jego dom jest zawsze dla niego otwarty.

Zanim wyszła, włączyła mu telewizor. Program go nie interesował, raczej irytował. Sięgnął po pilota i wyłączył. Przejrzał gazetę

„Östgöta-corren”, rzucając tylko okiem na nagłówki. Czuł jakiś niepokój, nie bardzo wiedząc dlaczego. Sabina? Te jej dziwaczne huśtawki nastrojów, jakby coś przed nim ukrywała. Tęsknił za nią, tęsknił całym ciałem. Chciał znaleźć się w niej, mocno się w nią wtulić, znaleźć wspólny rytm. Nie był jednak jeszcze w stanie się zdobyć na tego rodzaju akrobacje. Powstrzymywał go ból, ból nóg i bioder.

Ostatnio była tak skonana wieczorami. Kładła się na brzuchu, oddychając głęboko, przeciągle. Wiedział jednak, że nie zawsze od razu zasypia. Nie raz słyszał, jak się przewraca i pochrząkuje, gdy myślała, że on nie słyszy. Uświadomił sobie, że ona nie sypia i nie chce, by on o tym wiedział.

Wszystko szwankowało, kulało. Nie tylko on i jego bezużyteczne ciało, lecz również ona i jej codzienność. Nie mógł uwolnić się od poczucia, że to on jest temu winny. Po wypadku zmienił się nawet Adam. Przesiadywał głównie w swoim pokoju, niemal wcale z niego nie wychodził. Sabina cierpiała z tego powodu – zauważył to bez trudu, choć robiła wszystko, żeby to przed nim ukryć.

Poczuł nagłe szarpnięcie w brzuchu – to jego myśli pobudziły pracę jelit. Mógłby równie dobrze skorzystać z toalety w domu, bo i tak nikt by mu nie przeszkadzał, lecz nie chciał. Musi odzyskać panowanie nad swoim ciałem i nad swoimi przyzwyczajeniami.

Na zewnątrz było ciemno. Nic nie szkodzi, gdy tylko wyjdzie, oczy po chwili przyzwyczają się do mroku. Tyle razy przemierzał ścieżkę do wychodka, że znał każdą nierówność i doskonale wiedział, jak stawiać kroki.

Z pewnym trudem wyszedł do sieni. Uchwyty kul były owinięte paskami gumy piankowej, które Sabina wycięła z podkładki pod naczynia. Bez tego ciągle podnoszenie całego swojego ciężaru byłoby zbyt bolesne dla dłoni. I tak nabawił się już otarć. Oparł kule o framugę drzwi i wcisnął na siebie kurtkę. Zostawił w domu zapalone światło. Na zewnątrz nie było już śniegu, lecz panował ziąb. W górze rozpościerało się sklepienie rozgwieżdżonego nieba. Przystanął na chwilę, zbierając siły, by iść dalej.

Pomimo ciemności poszło lepiej, niż się spodziewał. Oparł się na kulach i doczłapał na miejsce zamarznąętą na kość ścieżką. Sabina nigdy nie robiła mu przytyków na temat jego potrzeby odosobnienia w sprawach toaletowych. Svava miała znacznie mniej cierpliwości.

Svava, no cóż... I na nią świecą gwiazdy, bez względu na to, co teraz robi. Może akurat śpi? A może bzyka się gwałtownie i dziko z jakimś islandzkim wikingiem. Uświadomił sobie, że tego rodzaju myśli nie są już

dla niego udręka. To, co kiedyś zrobiła, było prostackie i uwłaczające jego godności – zraniła go do żywego. A jednak to minęło, wszystko należało już tylko do przeszłości.

Poruszanie się przychodziło mu teraz nawet łatwiej, gdy nie towarzyszyła mu Sabina. Te jej nerwowe spojrzenia: „nie, nie w tę stronę, ostrożnie, uważaj na kamień!”. Teraz był zdany jedynie na własne siły. Dotarł na miejsce i musiał na chwilę oprzeć się na kulach, musiał przewiesić się przez nie i zaczerpnąć tchu.

Stanie znowu na nogi. Odzyska całkiem formę, będzie zdrów jak ryba.

Gdy opuścił wychodek, zauważył jakiś ruch koło obory. Ktoś stał przyczajony przy ścianie! Czy chciał skrzywdzić zwierzęta? Nagle ubzdurał sobie, że to Hardy Lindström. Wysoka, chuda męska sylwetka; drzwi obory zaskrzypiały. Psy były cicho, ale przecież znają Hardy’ego, nie ujadałyby na próżno.

Co Hardy robi w ich oborze? Ukrywa się przed policją?

Zaczęła narastać w nim wściekłość. Młody, silny Hardy Lindström ze swym umykającym spojrzeniem, śliski i obmierzły. Wymyślał te bzdurne pomysły, stroił biednego Adama w pstrokate ubiory, świecidełka i błyskotki, zrobił z chłopaka pośmiewisko. Carl Sigvard dziwił się Sabinie, że nie tylko tego nie dostrzega, ale jeszcze tak ślepo bierze Hardy’ego w obronę. Jeśli można było zrobić coś dla jej syna, trzeba było poszukać czegoś rozsądnego, a nie pokazywać go jak na jarmarku niczym człowieka-słonia czy kobietę z brodą. Chodźcie zobaczyć kretyna, jaki jest zdolny! Z szacunkiem, należało go traktować z szacunkiem, a nie domagać się od niego tak bezsensownych rzeczy. Można było spożytkować energię na to, by wyprowadzić go na ludzi, wykorzystując tę odrobinę rozsądku, którą miał, by nauczyć go rzeczy umożliwiających w miarę przyzwoite życie. Tak by z czasem mógł wyprowadzić się do własnego mieszkania. Żeby on z Sabiną mógł wieść normalniejsze życie.

Opierał miękko kule o podłoże i przeskakiwał do przodu, szybko i bardzo cicho. Zamierzał zaskoczyć Hardy’ego i dobrać mu się do skóry. Policja nie szukałaby go tak zawzięcie, gdyby nie te jego machlojki i przekręty. Teraz na pewno coś knuje, a w środku są zwierzęta. Carl Sigvard nie był w oborze od czasu wypadku. Najwyższy czas, by odzyskał swoją pozycję. Narastała w nim złość, która dodawała mu sił.

Znalazł się przy drzwiach, które były uchylone; przez szczelinę buchnął

podmucha ciepła bijącego od zwierząt. Trącał i popychał drzwi kulami, by dostać się do środka. Usłyszał dolatujące stamtąd ryki i wrzaski, które sprawiły, że przystanął i wstrzymał oddech. Potem głucho uderzenia, jakby odgłosy ciężkiej bijatyki, szarżujących pięści i głów, przerywane twardymi, metalicznymi odgłosami. Strach ścisnął go za gardło, lecz gniew dodawał mu sił, sprawiając, że parł naprzód. W końcu znalazł kontakt i zapalił światło.

Odgłosy natychmiast ustały. W siodłami stał Adam, był zupełnie sam. Jedną rękę miał uniesioną do zadania ciosu, trzymał w niej widły. Był czerwony na twarzy, prychnął i pociągał nosem. Jego klatka piersiowa gwałtownie falowała, dyszał ciężko, dolna szczęka zwisała mu bezwładnie.

– Adam! – zawołał Carl Sigvard.

Chłopak najwyraźniej nie usłyszał, nadal zajęty wymierzaniem ciosu, jakby chciał odparować atak niewidzialnego wroga.

– Adam! – krzyknął znowu Carl Sigvard. – Adam, co ty wyrabiasz, do cholery?!

Wypuszczone z rąk widły zagrzechotały o podłogę, odbiły się i wylądowały na samym środku przejścia. Zwierzęta, wcześniej milczące jak grób, zaczęły wyc i kwiczeć. Adam stał zdyszany, jego ramiona to unosiły się, to opadały, z gardła wydobywał się charkot. Wyglądał osobliwie, jakby był wyższy niż zwykle. Coś było nie tak z proporcjami jego ciała, jakby zrzucił wiele kilogramów.

Palce ześlizgiwały się z uchwytów kul, Carl Sigvard poczuł, że marznie.

– Adam – powiedział błagalnym tonem. – Chodź ze mną do domu. Sabina niedługo wróci.

Imię matki podziałało najwyraźniej na chłopaka uspokajająco. Skulił się trochę w sobie, przednie zęby sterczały nad wargą. Z jego gardła wydobywał się piskliwy jęk.

Carl Sigvard wypełnił płuca powietrzem.

– Jesteś tu sam? – zapytał.

Adam gapił się przed siebie pustym wzrokiem.

– Z kim się biłeś, chłopcze?

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Podnieś te widły i odstaw je na miejsce!

Ku jego zdziwieniu Adam posłuchał.

– Idziemy do domu – spróbował mówić opanowanym głosem. – Poczekamy w domu na mamę.

MATKA stała przy szafce na przybory do sprzątan. Wyciągnęła odkurzacz, postawiła go na podłodze i złożyła. Odgłos silnika odkurzacza sunącego z wyciem po podłogach, wspomnienie uwierającego, napawającego niesmakiem dźwięku. Jeszcze z dzieciństwa.

Jak matka wkraczała w ten dźwięk i okopywała się za nim; sobotnie poranki zaczynały się od tego agresywnie wwiercającego się grzmotu, który wyrwał Marit z sennego letargu. Drzwi do przedpokoju uchylone, szczotka mknąca po wykładzinach, szturmująca, szlifująca; przed drzwiami pokoju nastolatki mogła przycziąć się jakaś plama, na przykład odrobina rozlanego mleka, które zastygło w niemal niewidzialny strupek.

Marit z ojcem snuli się po mieszkaniu z piekącymi oczami. Rejterowali w kierunku zlewozmywaka, krzątali się nieporadnie przy parzeniu herbaty. Akurat wtedy przychodziła kolej na kuchnię. Voltan wtaczał się napastliwie na swym krągłym twardym brzuchu przez próg. Usta matki zaciśnięte w cieniutkie, bezbarwne kreski. Nie podnosiła na nich wzroku, tylko ich przeganiała, szczotka kąsała ich bosc stopy. Voltan był bronią przeciwko bezbronnym. Bo w jaki sposób mogliby stawiać opór, Marit i jej chudy, niezdarny ojciec?

Ojciec zwykle znikał zaraz potem w garażu, gdzie dłubał przy samochodzie. Pod jego maską zawsze znajdował sobie coś do roboty, mimo że nawet nie miał smykałki do spraw technicznych. Marit z kolei rozkładała na biurku swoje podręczniki, lecz nie ważyła się zamknąć drzwi, bo byłoby to równoznaczne z odbezpieczeniem granatu.

Potem, po południu, przy wtórze stukotu i szumu pralki, matka przygotowywała obiad. Przez caluteńki dzień nie usiadła nawet na chwilę – z wyjątkiem posiłku, po którym jednak natychmiast zrywała się na nogi, by zabrać się do mycia naczyń.

– Pozwól, że ja się tym zajmę! – Marit jeszcze do tej pory słyszała błagalny głos ojca – jednak było już za późno, bo matka cały dzień tyrała i chciała, by koniec zwieńczył dzieło. Potem padała na łóżko, stopy wysoko na poduszce, obolałe i piekące, naznaczone pęknięciami suchej skóry.

– Mamo, naprawdę nie musisz – apelowała do niej dorosła Marit.



Matka była teraz przygarbioną, postarzałą kobietą; nie odzywała się, tylko przesuwiała mocno i energicznie końcówką odkurzacza pozbawioną szczotki, by dostać się do rogów i usunąć okruszki przy listwie pod blatem kuchennym.

Silnie umocnione okopy, wojna pozycyjna.

Marit wyszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Tak, na klucz. Głośny szum docierał też tutaj, lecz słabiej.

– Tobias – wyszeptała do lustra.

Pomyślała o kobiecie, która dzwoniła na jego komórkę. Bez nazwiska, surowy, formalny ton, lecz jednak nie do końca.

– Chciałabym rozmawiać z Tobiasem, czy zastałam go?

Marit poczuła się, jakby ją spoliczkowano.

– A kto pyta? – wydusiła z siebie. Kobieta nie odpowiedziała, tylko się rozłączyła.

Tobias nie odezwał się od wyjazdu. Może rzeczywiście są, jak twierdził, poważne problemy z zasięgiem.

Czy jest teraz z nią? Z kobietą, która dzwoniła? Przeklinała samą siebie, że nawet nie sprawdziła, skąd była ta rozmowa. Mimo wszystko był to telefon Tobiasa, nie ma prawa węszyć w jego prywatnym życiu. A może jednak ma? Czyż ona sama nie jest częścią jego prywatnego życia?

Na pewno nie był wobec niej szczery, ukrywał coś. Sprawiał wrażenie zupełnie wytrąconego z równowagi. Wymawiał się tym, że mu nie idzie pisanie książki. Ale nie w tym rzecz, czuła to całą swoją istotą. O co tak naprawdę chodzi? Czy pokpiła sprawę, próbując przyprzeć go do muru? Czy stawiała zbyt wielkie wymagania?

Matka skończyła, wyłączyła odkurzacza. Marit wyszła powoli do niej, czując pikanie serca.

Valborg siedziała z szeroko rozstawionymi nogami. Brązowe skarpety opadały, marszcząc się i zwijając.

– Odkurzyłam ci – oznajmiła, jakby na wypadek gdyby Marit tego nie zauważyła.

– Dziękuję, ale naprawdę nie musiałaś. – Marit zmusiła usta do śmiechu, by stępić ostrze przebijającej w jej słowach krytyki.

– Oczywiście, że nie, ale po prostu pomyślałam, że ci przy okazji pomogę.

– Uważasz, że u mnie jest taki syf?

– Tylko bez takich słów, nie z twoich ust, jesteś wykształconą kobietą, pracujesz w bibliotece. Rozczarowujesz mnie.

– No dobra, niech będzie „brud”.

Nalała po szklance soku. Schowała odkurzacz.

– Mój jest lepszy – stwierdziła matka. – Mimo że jest o wiele starszy, ciągnie o wiele lepiej.

– Ale to chyba nie ten sam, który miałaś, gdy mieszkałam jeszcze w domu!

Znowu ten zgrzytliwy śmiech, niczym tarcza obronna. Matka upiła łyżeczek soku.

– Nie, ale kupiliśmy go z dziesięć lat temu. Razem z ojcem, w OBS-ie w Brommie. Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Jasne, czego byś miała tam szukać, na drugim końcu miasta.

Chmury wisiały nisko, obłoki przemykały tuż nad dachami, zapowiadając opady śniegu.

– Tobiasz dzisiaj też nie dzwonił? – zapytała Valborg. Marit spodziewała się tego pytania.

– Nie.

– To chyba trochę dziwne?

– A niby dlaczego? W Kvarnberdze nie da się korzystać z komórki, bo są problemy z zasięgiem.

– Dobrze, ale są jeszcze zwykłe telefony.

– Może nie miał jeszcze okazji.

– Marit, nie chcę się wtrącać w twoje życie i twoje wybory, naprawdę nie. Ale mam przecież oczy.

– O co ci chodzi?

– Nie miej mi tego za złe, drogie dziecko. Chcę tylko... żebyś była szczęśliwa.

Sękata, plamista dłoń matki – patrząc na nią, poczuła, że chce jej się płakać. Płakać, bo nie mogły się porozumieć.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytała zduszonym głosem.

Jej matka wzdrygnęła się, jakby nigdy wcześniej nikt jej o to nie pytał. Bębniła lekko palcami.

– Szczęśliwa? Jestem stara, życie mam już za sobą. Ale tobie zostało go jeszcze sporo. Wiele lat. Chciałabym, żebyś związała się z mężczyzną, który będzie cię szanował.

To był cios poniżej pasa. Marit zerwała się i wyszła z kuchni. W

przedpokoju, z twarzą wciśniętą w swój płaszcz, krzyknęła w stronę kuchni:

– Szanował! Jeśli chcesz wiedzieć, to Tobiasz szanuje mnie na swój sposób, tylko że ty tego nie widzisz, nie jesteś w stanie tego dostrzec. To nie jest coś, co widać na pierwszy rzut oka!

Usłyszała głos matki stojącej przy zlewie. Jej wołanie przebiło się przez szum wody z kranu:

– Dziecko, mówisz, jakby ci rozum odjęło.

W tej właśnie chwili Marit podjęła decyzję.

GDY SIĘ OBUDZIŁ, w jego głowie tkwił jakiś dźwięk, niemal niesłyszalny, lecz świdrujący. Pojawił się z chwilą, gdy otworzył oczy. W żadnym razie nie czuł się wyspany. Podciągnął kolana w śpiworze i w tym samym momencie przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Jego moszna była obolała, objął ją dłonią. Czuł się zmarznięty.

Była za kwadrans szósta. Leżał przez chwilę z przymkniętymi oczami, próbując jeszcze zasnąć, lecz tkwiący w głowie dźwięk napawał go niepokojem. Za oknami rozpościerał się mrok, gęsty i przyczajony. Pomimo chłodu w pokoju w końcu wstał i wyszedł do siermiężnej łazienki w barwach wojskowej szarości. Zdjął slipy i przyjrzał się swojemu ciału. Wprostował plecy, lecz nie miał siły utrzymać tej pozycji. Powinien obciąć paznokcie u nóg, były długie, popękane i tak ostre, że niszczyły skarpetki. Zatrząsał się z zimna i stanął pod prysznicem. Woda zrobiła się przyjemna dopiero po kilku minutach.

Stojąc pod ciepłymi strugami, przypomniał sobie, że nie spakował ręcznika. Na szczęście na haczyku wisiał mały, sfatygowany ręcznik dla gości. Musi mu wystarczyć.

Poza tym uświadomił sobie, że zabrał ze sobą za mało ubrań. Te, które miał, nie nadawały się raczej do pracy w stajni Ingelize.

Wszystko potoczyło się tak szybko. Tobiasz włożył koszulę i czarne dzinsy, które były już tak sprane, że należało je raczej określić jako brudnoszare. Może dałoby się je przefarbować? Ogolił się i przyglądał włosy. Grzywka była o wiele za długa, powinien ją przyciąć dawno temu. W szufladzie kuchennej znalazł nożyczki i mimo że były tępe, udało mu się skrócić grzywkę o jakiś centymetr. Zrobiła się nierówna, ale to bez znaczenia. Wrzucił obcięte włosy do sedesu i spuścił wodę.

Gotując wodę na kawę, szukał filtra i znalazł w końcu poźółkły stosik pod tacą. Telewizor był włączony, poranek z wiadomościami na czwórcie. Niemal dokładnie miesiąc wcześniej porwane samoloty wbiły się w World Trade Center. Spora część wiadomości nadal była poświęcona tej katastrofie.

Ukroił kilka kromek chleba i obłożył je salami. Kawa miała cierpki posmak. Powinien rozcieńczyć ją gorącą wodą, ale się na to nie zdobył. Siedział przy stole, żując chleb i słuchając telewizji, choć tak naprawdę nie docierało do niego, co tam mówiono.

Sabina, pomyślał, a jej imię wyrwało się z krtani przeciągłym jękiem.

Przyniósł komórkę. Nikt do niego nie dzwonił. Wskaźnik baterii był na wysokości połowy, więc można zadzwonić. Tylko do kogo? Wybrał numer do Görel i Klary, bo nagle zapragnął usłyszeć głos kogoś znajomego, kogoś bliskiego. Odebrała Görel. Poczul impuls, by odrzucić rozmowę, lecz było już za późno.

– Tobias? – spytała zaskoczona. – Gdzie jesteś?

– Na wsi, w Kvarnberdze. No proszę, już nie śpisz!

Zaśmiała się cicho.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pytał dalej.

– W najlepszym.

– Dobrze ci się układa z tym... Rickardem? – Z trudem przychodziło mu wypowiedzenie imienia psychiatry.

Görel znowu się roześmiała.

– To facet w sam raz dla mnie. Jest świetny.

– Niezmiernie się cieszę.

– Hm. A co u ciebie?

– Co masz na myśli?

– Jak ci się układa z bibliotekarką?

Nie miał najmniejszej ochoty już z samego rana dyskutować z byłą żoną o swoich związkach.

– Czy Klara jest w domu? – zapytał.

– Jest, jest. Ale jeszcze śpi. Dzisiaj zaczyna później.

– Przekażesz jej pozdrowienia ode mnie?

– Tobias, co się dzieje? Chodzi ci o coś szczególnego?

– Ależ skąd, nic takiego.

– A jak się czuje wielki wódz Siuksów, Siedzący Byk?

– Co? A, chodzi ci o ojca?

– Tak.

– Chyba lepiej.

– Pozdrów go. I uważaj na siebie. To na razie!

Przeszedł się wokół domu, zapalił kolejnego papierosa. W pobliskich krzewach śmigał ptak o rdzawym upierzeniu. Przypomniał sobie legendę o pliszce czerwonogardłej, która wyciągnęła cierń z korony Jezusa i została za to wynagrodzona swoimi pięknymi barwami.

Ogród był uprzątnięty i zadbany, przygotowany na zimę. Za domem

znajdowała się szopa. Otworzył drzwi i wszedł do środka. W pomieszczeniu przechowywano rzeczy na lato. Meble ogrodowe, duże gliniane donice. Kosiarkę do trawy. Złożony parasol w paski. Dwa rowery damki. Z pewnym trudem wyciągnął jeden z nich. W oponach brakowało powietrza, ale do bagażnika była przymocowana pompka. Przykucnął i napompował koła.

Gdy jechał na rowerze, marzły mu palce. W głowie kołatał się przez cały czas ten dźwięk, słaby, lecz odczuwalny. Siodełko było za nisko, uderzał w kierownicę kolanami. Musi pożyczyć narzędzia i je wyregulować. Poprosi Ingelize.

Wyszła ze stajni w tym samym momencie, gdy skręcił w jej podwórze. Podniosła rękę i pomachała.

– Dzień dobry! Dobrze, że jesteś tak wcześnie. Witaj!

Tobiasz zszedł z roweru.

– Dzięki!

– Dobrze się spało?

– Tak, tak.

– Zdążyłeś zjeść śniadanie?

– Tak jest.

– Ja też. Chciałam tylko jeszcze napić się herbaty z mimozy. Napijesz się ze mną?

– Potrzebuję ubrań – oznajmił. – Wziąłem ze sobą za mało.

Zmierzyła go wzrokiem. Jej oczy były niebieskie od makijażu.

– Możesz pożyczyć rzeczy Jensa. Ma pełny zestaw jeździecki, nawet kamizelkę ochronną do zawodów. A nigdy nawet nie siedział na koniu. Miał się uczyć jeździć, ale nic z tego nie wyszło. Myślę, że macie podobny rozmiar.

– Okej.

Kuchnia była ciepła i przytulna. Z przedpokoju wyłonił się kot, przeciągał się i miauczał. Ingelize przemawiała do niego czule. Nalała mleka do miseczki.

– Nazywa się Vanja. Któregoś wieczoru pojawiła się na naszych schodach. Nikt jej nie szukał. Minał już rok.

– Wszędzie roi się od kotów.

– Owszem, ale i od myszy. Więc te kociaki są potrzebne. Poza tym zamierzam sobie sprawić psa.

– Tak? A dlaczego?

Przez chwilę milczała, a potem wyjaśniła:

– To trochę żenujące. Wcześniej nigdy nie bałam się ciemności, ale ostatnio zaczęłam czuć się nieswojo. Zwłaszcza jesienią, gdy panuje tak

głęboki mrok. Potrzebuję psa do pilnowania domu.

– Dlaczego zaczęłaś się bać, stało się coś?

– Nie wiem, tak po prostu wyszło. Zaczęłam nawet zamykać drzwi na klucz, nigdy wcześniej tego nie robiłam. Widać na starość popadam w jakąś paranoję.

Postawiła na stole termos i talerz ze świeżo upieczonym biszkoptem. Wzięła do ręki kawałek. Ciasto było jeszcze ciepłe i kruszyło się.

Ingelize westchnęła.

– A mój padok jak wyglądał, tak wygląda. Pewnie nigdy go nie dokończę.

– To była robota Hardy’ego Lindströma?

– Tak.

Dźwięk w uszach się nasilił.

– Na pewno niedługo wróci – usłyszał własny głos.

– Naprawdę tak myślisz? – Piła herbatę, grdyka poruszała się przy przełykaniu.

– Jasne. Trochę cierpliwości. Poza tym jest zima, teraz i tak nie można prowadzić prac budowlanych.

– No tak, masz rację.

Zegar nad blatem kuchennym wybił wpół do ósmej. Gdzieś z oddali dobiegł szum silnika, może autobusu szkolnego. Kot wskoczył na ławę. Przekrzywił łebek i zwrócił ku Tobiasowi swe zielone oczy. Ingelize pogłaskała cętkowane futerko.

– Sabina i Sigge ucieszyli się? – zapytała. – Z twojego przyjazdu?

Tobias pokiwał głową.

– Myślisz, że da się tutaj pisać? Że inspiracja zadziała?

– Zobaczymy. Wziąłem ze sobą w każdym razie powerbooka.

– Mam nadzieję, że się uda! Piszesz tak dobrze, naprawdę świetnie!

– Dzięki.

– Przypomniało mi się coś. Nie rozmawialiśmy jeszcze o twoim wynagrodzeniu.

– No nie.

– Pomyślałam, że... mógłbyś pracować na pół etatu. No wiesz, nie śpię na pieniądzach, mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie śpisz na pieniądzach? – próbował zajątkować.

– Nie, naprawdę nie. Wystarczy, jeśli dam ci siedem tysięcy? Poza tym będziesz mógł jeździć konno, ile ci się podoba. A tego dochodu i tak prawdopodobnie byś nie miał, gdybyś został w Södertälje.

– Jak dla mnie, brzmi dobrze.

– Super, tak się cieszę, że doszliśmy do porozumienia! Podpiszemy umowę?

– Eee, to może poczekać. Zobaczmy najpierw, czy to zadziała.

Ingelize wstała i przeszła do salonu. Wróciła z trzema książkami, jego książkami.

– No i jeszcze to. Bądź tak miły i skrobnij w nich jakąś dedykację.

Przypomniało mu się, co mówiła o książkach. Miała je ze sobą w tamtą srode. Weszła do obory, gdzie Sabina zmywała ślady po tym, co się wydarzyło.

Dźwięk w głowie zabrzączał, ostro i zawodząco. Chwycił mechanicznie za długopis, odchylił okładkę i zaczął pisać.

Odebrała od niego książki i przeczytała:

Dla Ingelize, na pamiątkę dawnej przyjaźni. Tobias Elmkvist.

– To zabawne – stwierdziła. U nasady jej nosa pojawiły się małe, drobne zmarszczki. – Wszyscy mężczyźni, których znam, mają podobny charakter pisma.

– Naprawdę?

– Tak, nie miej mi tego za złe, takie drobne, rozlazłe literki.

– To może nie jesteśmy tacy drobni i rozlaźli w innych miejscach – zazartował.

Ingelize zachichotała. Trzymała w ręce długopis, na stole leżał notatnik całkowicie zabazgrany słowami i cyframi, napisanymi w poprzek i gdzie tylko było miejsce. Pisała, rozmawiając przez telefon. I rysowała – kwiaty i abstrakcyjne wzory. Otworzyła na nowej kartce i napisała swoje imię i nazwisko. Miała tak zwany wyrobiony charakter pisma – duże, zamasyte, kuliste litery.

– Ciekaw jestem, co grafolog by powiedział na to – rzucił.

– Silna, dynamiczna osobowość. Stanowczy charakter, uzdolniona.

Przerwał jej sygnał telefonu, wrzynający się w bębenki. Odwróciła się do niego plecami i odebrała.

– Tak, to ja. Tak... Tak, słyszałam. Oczywiście. To możliwe. Tak, dziś po południu. Traficie do mnie?

Odłożywszy słuchawkę, zniknęła na piętrze. Zeszła po chwili z naręczem ubrań.

– Możesz to przymierzyć.

Tobias wyszedł do toalety dla gości, która wyglądała na świeżo wyremontowaną. Ściany i podłoga wyłożone były białymi flizami z czarnymi,



falistymi wzorami. Połowę okna zasłaniała udrapowana czarna koronkowa firanka. Wystrój skojarzył mu się z Halloween. Silna woń perfumowanego mydła podrażniła śluzówkę nosa i wywołała serię kichnięć. Rozebrał się i przymierzył zielone, nigdy nieużywane bryczesy ze skórzanymi wzmocnieniami i koszulę w kratkę. Rękawy były ciut za krótkie, podobnie jak nogawki spodni.

– I co, pasują?! – zawołała z przedpokoju Ingelize.

– Pewnie.

– Mam jeszcze bluzę, grube skarpety i buty z cholewami. Jaki nosisz numer?

– Czterdzieści cztery.

– To weźmiesz sobie buty ze stajni, te, które miałeś poprzednim razem. Jens ma strasznie małe stopy. Hm, to zresztą była jedyna odstraszająca cecha, gdy poznaliśmy się dawno temu.

Otworzył drzwi i wyszedł.

– No proszę! Całkiem nieźle. Rękawy koszuli możesz zostawić rozpięte i nałożyć na wierzch bluzę. Skarpety możesz podciągnąć do samych kolan.

– Odstraszająca cecha? – zdziwił się.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Ostudziło to na krótko mój zapal – wyznała. – Całe szczęście, że miał jeszcze, hm... inne zalety.

W pomieszczeniu przylegającym do stajni znajdowało się małe biuro, gdzie Ingelize przechowywała swój terminarz z rezerwacjami. Ściany były ozdobione zdjęciami koni islandzkich, a w rogu stała stara podróżna maszyna do pisania Facit.

Tobias dotknął klawiszy.

– A niech mnie, używasz jej?

– Tak, czasem, gdy klienci domagają się pokwitowania.

– Musi mieć chyba ze sto lat.

– Jest z lat sześćdziesiątych. Działa bez zarzutu, ale zapewne już niedługo nie da się kupić do niej taśmy.

– Będziesz musiała skomputeryzować firmę.

– Już to zrobiłam. Założyłam swoją stronę w Internecie. Trzeba iść z duchem czasu.

Wertowała kalendarz z rezerwacjami.

– Dzisiaj będzie spokojnie – oznajmiła. – Dobrze się składa, bo po

południu mam niespodziewaną wizytę.

– Tak?

– Z policji.

Dźwięk w uszach przybrał na sile. Niczym drut, metalowy drucik naciągnięty i napięty do granic możliwości.

– Właśnie, podobno chodzą po domach i wypytują mieszkańców – powiedział jego głos. – Sabina mówiła mi, że u nich też byli.

– Szukali mnie, gdy byłam w Sztokholmie.

– Że też dzwonią o tak wczesnej porze, to normalnie bezczelność!

Kartkowała terminarz, jej paznokcie połyskiwały czerwienią. Zmieniła temat.

– Ale słuchaj, bo jutro – spojrzała mu w oczy – jutro właśnie o tej porze przyjedzie siedem osób z firmy Datakännarna. Zaczynają sezon jesienny od kick-offu. A częścią tego kick-offu jest jazda konna.

– Jeździli już wcześniej? – zapytał głos Tobiasa.

Wzięła do ręki długopis i nabazgrała coś w kalendarzu.

– Nie tyle, by dać sobie radę bez pomocy.

– Jakie będą nasze obowiązki?

– Najpierw przydzielimy im konie. Będą mogli wyjść na pastwisko i je przyprowadzić, klientom zwykle się to podoba. Zdążą przy okazji zapoznać się trochę ze swoimi zwierzętami. Potem pokażemy im, jak oporządza się konia i jak czyścić kopyta. Siodłami i uzdami musimy zająć się sami, bo za pierwszym razem nie dadzą sobie ze wszystkim rady. No a potem trzeba im będzie pomóc z wsiadaniem, regulacją puślisk i tak dalej.

– Zapowiada się lekkie urwanie głowy – zauważył.

– Owszem, dlatego tak się cieszę, że będę miała pomocnika. Zwykle na początek wypuszczam ich na wybieg, bo muszą się oswoić, a niektórzy są spięci albo wręcz się boją. Faceci oczywiście za nic się do tego nie przyznają. Chociaż to i tak widać po mowie ich ciała. Siedzą o tak.

Podciągnęła ramiona, ściskając nerwowo wyimaginowane wodze i rzucając na boki podejrzliwe spojrzenia.

Tobias wymusił z siebie śmiech.

– A co, kobiety nie mają pietra?

– Pewnie, że tak. Różnica polega na tym, że nie wstydzą się do tego przyznać.

– Ach tak.

– A potem ruszamy w teren – ciągnęła. – Wszystko na spokojnie. Możemy dać im popróbować trochę tölta, galopu tylko chętnym. Tych,

którzy nie będą chcieli, jedno z nas będzie musiało zabrać wcześniej na górę. Nie wolno nikogo do niczego zmuszać, bo to zwykle kończy się katastrofą.

Otworzyła jedną z szafek i wyjęła kilka toreb podsiodłowych w kształcie banana.

– Zwykle jedziemy na tamtą górę, na której byłam z tobą ostatnim razem. Z reguły dostarcza mocnych wrażeń, widok zapiera ludziom dech w piersi. Robimy tam sobie pikniki. Przygotowuję wcześniej kanapki, a w tamtej szafce trzymam puszki z kawą i herbatą. Kubki jednorazowe zabieram potem do domu i myję. Trzeba trochę kombinować, he, he. Ale nie mów o tym nikomu, bo jeszcze wyjdę na skąpiradło.

POTEM wydawało mu się, że powinna była to dostrzec. Powinna to dostrzec w jego twarzy i usłyszeć to, co on sam słyszał – przenikliwy, ostry dźwięk, który wciąż przybierał na sile, który był coraz trudniejszy do zniesienia. Powinna była czytać z niego jak z otwartej księgi, wesprzeć go, a nie narzucać mu się i bez przerwy go prowokować.

– Przejedziemy się na próbę, żebyś umiał tam trafić.

Spojrzała mu prosto w oczy. Stała przed nim drobna i niska, w butach jeździeckich opinających ściśle łydki.

– Trafie – zaoponował, lecz bez przekonania. – Przecież dorastałem tutaj.

Ostatniego zdania nawet nie wypowiedział głośno, bo Ingelize zdążyła już zniknąć w stajni, gdzie czekała gromadka rzucających grzywami koni.

– Możesz wziąć dzisiaj Elfura. To prawdziwy dynamit, potraktuj to jak wyzwanie. Na pewno go polubisz.

Pokazała w kierunku boksu, zobaczył czarny, pięknie wyrzeźbiony koński łeb.

– Jeszcze tylko drobna wskazówka: siedź z rękami nisko, bo on jest niesamowicie wrażliwy. I żadnego nacisku łydkami.

O co jej chodziło? Chciała go sprawdzić? Zobaczyć, czy nadaje się na jej pomocnika, czy jest wart tych siedmiu tysięcy koron na miesiąc?

– Elfur nie lubi towarzystwa innych koni! – krzyknęła z siodłami. – Ale musi się do tego przyzwyczaić, bo jak nie, nie będę miała z niego pożytku.

Koń spłoszył się i cofnął z łoskotem prosto na ścianę, gdy Tobias otworzył drzwiczki boksu.

– Już dobrze, dobrze.

Tobias przełożył rękę przez muskularną szyję konia i udało mu się założyć uzdę. Potem wyprowadził zwierzę i przywiązał je do słupa.

Ingelize szykowała swojego białego konia.

– To Snær – trajkotała. – Już go poznałeś. To mój prywatny koń, jest po prostu cudowny. Mądry i ostrożny.

Zaciągał stopniowo popręgi siodła. Najpierw lewy, potem prawy. Wyregulował długość puśliska. Uświadomił sobie, że przed założeniem siodła powinien był obejrzeć kopyta, oczyścić je i wyszczotkować.

Dźwięk nadal tkwił i wibrował w mózgu.

Przyniósł skrobaczkę do kopyt i korzystając z okazji, przymierzył kask.

Z chwilą zapięcia paska zrobiło się na moment cicho, jednak dźwięk zaraz powrócił, silniejszy niż przedtem, jaśniejszy.

Znalazł dla siebie kurtkę. Materiał był sztywny, jakby wisiała na kołku tak długo, że fałdy zdrętwiały. W kieszeniach była para rękawiczek jeździeckich.

Odwiązał konia i wsiadł na niego. Zwierzę natychmiast zaczęło wierzgać i brykać. Tobias usadowił się głębiej w siodle, próbując równocześnie się rozluźnić. Ciało konia falowało pod nim. Przyszła mu na myśl matka, Svava; nagle wydało mu się, że siedzi tuż za nim, czuł niemal dotyk jej brzucha na swoich plecach. Ostrożnie pozwolił koniowi wyjść stępem na tor. Niełatwo było nim kierować – gdy tylko poruszał rękami, zwierzę wpadało w dzikie płasy.

– Wszystko w porządku?! – krzyknęła Ingelize. Była zajęta mocowaniem torby. Tobias nie odpowiedział, docisnął lekko pięty do boków konia. Zwierzę prychnęło i próbowało stanąć dęba. Tobias pochylił się odruchowo do przodu, zmuszając konia do stanięcia na czterech nogach. Przemawiał do niego, mamrocząc *hou, hou* – islandzkie słowa pociechy, które pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

– Ma niezły *power*, co?! – zawołała Ingelize. Siedziała już w siodle i zbliżała się do Elfura. Koń cofnął się i odchylił uszy do tyłu. – Zrób z nim porządek! – zasugerowała Ingelize. – Nie może tak wydziwiać. Czasem mi się wydaje, że jest szalony. Ale jestem pewna, że sobie z nim poradzisz. Kurde, pokaż mu, kto tu decyduje.

Gdy tylko znaleźli się poza terenem ujeżdżalni, pozwoliła Tobiasowi wysforować się naprzód. Tobias był pochłonięty wsłuchiowaniem się w odgłosy w swojej głowie. Kierował koniem bezwiednie, a zwierzę było posłuszne i zaczęło poruszać się töltem. Mijali pola i przecięli teren wyrębiska, gdzie trzeba było umiejętnie lawirować, gdyż ziemia była pokryta gałązkami i wiechami i można było wpaść w jakąś niewidoczną wyrwę. Potem wjechali w piaszczysty leśny dukt, gdzie przeszli we wściekły galop. Ingelize deptała mu po piętach, goniąc go tak zawzięcie, że zwierzęta toczyły pianę.

Dzień był spokojny i zimny. Żadnych kolorów na niebie, przezroczystym jak unosząca się mgiełka. Gromadka kawek zerwała się z koron drzew, unosząc się nad nimi z gniewnym wrzaskiem. Tobias odwrócił się w stronę Ingelize; była teraz blisko, powiew wiatru spowodował, że łzawiły jej oczy.

Czy zaczęła odczuwać strach?

Powinna była się zaniepokoić, gdy zbliżali się do Urwiska. Powinna była zacząć coś podejrzewać i zatrzymać się. Przystanąć i zadowolić się gestem w stronę punktu widokowego: „Tam zwykle robimy przerwę, ale dziś wracamy do domu, jutro przyjedziemy tu z grupą”.

Mogła tak powiedzieć.

A jednak tego nie zrobiła.

Cały czas trzymała się tuż za nim i nawet nie próbowała zwolnić tempa – i nie dało się już powstrzymać tego, co miało się zdarzyć.

Przywiązali konie w bliskiej odległości od siebie. Ingelize zdjęła podłużną torbę przytroczoną do siodła i podeszła do pobliskiego pniaka. Rozłożyła obrus, wyjęła termos i kilka wybrzuszonych jednorazowych kubków. Milczała, co później wydało mu się dziwne, bo przecież na ogół buzia jej się nie zamykała.

Tobias też nic nie mówił. Wziął od niej puszkę z kawą, nasypał po trzy łyżeczki do kubków, zalał wodą.

Ingelize siedziała w kucki.

– Trzeba będzie uważać, żeby nikt nie podchodził na sam skraj – powiedziała po wypiciu kawy. – Gleba jest tam bardzo gąbczasta i z roku na rok coraz bardziej nadwątlona.

Pokiwał głową. Nie spuszczał z niej oka.

Widział, jak wstaje i robi kilka kroków.

Sucha, pożółkła trawa.

On też wstał.

– Dotąd i ani kawałka dalej – oznajmiła i odwróciła się do niego plecami.

Był blisko, jego ręce były nagie, bo zdjął rękawice.

Przez materiał czerwonej kurtki poczuł jej kręgosłup. Gdy spadała, nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

ZDJAŁ kask i wstrzymał oddech. Dźwięk w głowie ustał. Stał tam w przyciasnym stroju jeździeckim Jensa Moberga, nie słyszał już tego odgłosu i był zupełnie sam. Z wyjątkiem koni, które prychały i parskwały, szarpały rzemieniami. Uświadomił sobie, że trudno będzie odstawić je do domu, i to jak cholera, bo zwierzęta się wręcz nie znosiły. Powolnymi ruchami spakował z powrotem termos i kubki do torby.

Dźwięk w głowie ustał, lecz zastąpił go ból. Rozprzestrzenił się w głąb od samego czoła, a przy każdym poruszeniu głową Tobiasowi pojawiały się mroczki przed oczami.

– Ingelize! – wykrztusił zdławionym głosem. – Ingelize!

Położył się na ziemi na brzuchu i podciągnął się na skraj urwiska. W oddali majaczyły zarysy Skamön. Spoglądał dłuższą chwilę w stronę horyzontu, zanim odważył się popatrzeć w dół. Ból w okolicy kości czołowej pulsował.

Nie zobaczył jej od razu, widział tylko ślady po upadku. Jej ciało pociągnęło za sobą kamienie i gałęzie, złamało nawet małą brzoźkę. Tobias podczołgał się do przodu, otworzył usta i ponownie wymówił jej imię.

Po chwili jego wzrok wyłowił coś czerwonego na samym dole, przy skałach. Była to kurtka Ingelize. Zorientował się, że z oczu płyną mu łzy. Musi podpełznąć z powrotem, usiąść i otrzeć łzy rękawem. Wysmarkał się w palce, które zaraz wytarł o ziemię. Wrócił do poprzedniego punktu na samym skraju. O, jest, teraz widział ją wyraźnie. Leżała pomiędzy skałami w dziwnej, wykręconej pozycji. Na plecach, z głową odrzuconą do tyłu. Nie poruszała się.

Nie zabrał ze sobą telefonu. Zostawił go w domu Ingelize.

Nagle zaczęło mu się spieszyć. Przytroczył torbę z tyłu siodła białego konia, sprawdził, czy strzemiona są porządnie umocowane i rozpuścił cugle z kółek przy chrapach, by uwolnić zwierzę.

– Biegnij do domu – nakazał mu.

Koń zrobił kółko i pochylił szyję. Skubnął kilka źdźbeł trawy. Tobias zostawił go tam. Obwiązał sobie odpięte cugle wokół pasa i podszedł do Elfura.

Wierzchowiec skrobał kopytem w mchu. Gdy żelazo trafiło na kamień, rozlegał się dźwięczny stukot. Zwierzę prychnęło i otrząsnęło się tak mocno, że aż siodło zatrzeszczało. Zaciągnął popręg o jeszcze jedną dziurkę, wskutek

czego Elfur obnażył swe długie, żółte zęby i próbował go capnąć. Uderzył konia pięścią w bok i krzyknął.

Zwierzę ruszyło, zanim zdążył usadowić się porządnie w siodle, więc przez chwilę miał wrażenie, że zaraz spadnie. Odzyskał jednak kontrolę. Wzniesienie było strome, musiał regulować tempo, by wierzchowiec za bardzo się nie rozpędził. Kątem oka widział konia Ingelize, który podążał w pewnej odległości za nimi.

Dotarł na miejsce, nie natykając się po drodze na nikogo. Zsiadł i wprowadził spienionego, zdyszanego Elfura do boksu. Snær dołączył do nich, został na trawniku i zaczął się paść.

– Halo – usłyszał dziewczęcy głos.

Tobiasz wzdrygnął się, sądził, że jest sam.

Dziewczyna podeszła do niego. Była nieco starsza od Klary, miała jasne, pofalowane włosy opadające na kołnierzyk.

– Zdarzył się wypadek – rzucił szybko. – Masz przy sobie telefon?

Zagryzła dolną wargę.

– Masz?! – wrzasnął.

– Nie.

– Jasna cholera! Musimy zadzwonić po pomoc. Chodzi o Ingelize. Spadła z Urwiska.

– Niemożliwe! – Dziewczyna stała z otwartymi ustami, dopiero teraz zobaczył, że nosi aparat, widział nawet resztki jedzenia tkwiące pomiędzy metalowymi pierścieniami.

– Biegnij do chałupy! – zawołał. – Dzwon pod sto dwanaście, niech przyjeżdżają w te pędy!

Zauważył, że dziewczyna się waha, że wolałaby, żeby sam to zrobił. Podniósł rękę we wściekłym geście.

Wtedy pobiegła.

W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl, jedna irracjonalna myśl: umowa. Gdyby podpisali tę pieprzoną umowę, mógłby czuć się bezpiecznie. Dzięki temu mógłby udowodnić, że przyjechał, by pomóc Ingelize i pisać swoją nową książkę.

Że nie chodziło o nic innego.

Wszedł pospiesznie do biura. Wyszarpnął jakąś kartkę papieru i włożył ją do maszyny. W głowie miał pustkę.

Pochylił się do przodu i zerknął w kierunku domu. Dziewczyny nie było



widać. Koniuszki jego palców zaczęły śmigać po klawiaturze.

*Umowa, napisał.*

Reszta poszła jak po maśle.

Ja, Ingelize Moberg, zatrudniam w dniu dzisiejszym na pół etatu w charakterze pomocnika w mojej firmie jeździeckiej Tobiasa Elmkvista. Wynagrodzenie miesięczne wyniesie siedem tysięcy koron.

Östra Kvarnberga, 10 października 2001 roku

Ingelize Moberg

Znalazł jej podpis w terminarzu. Wyciągnął kartkę z maszyny i położył ją na stronie z podpisem, po czym chwycił za długopis i skopiował go. Zrobił to bez zastanowienia, bez wahania i był zadowolony z efektu. Szybkim ruchem zgiął kartkę wpół i umieścił ją w kieszeni na piersi kraciastej koszuli Jensa Moberga.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi. W progu stanęła dziewczyna. Blond włosy były rozczochrane, wyglądała, jakby była chora. Nie słyszał, że nadchodzi.

– Zamknięte – jęknęła. – Drzwi są zwykle otwarte, ale akurat nie dziś.

Walnął pięścią w stół.

– Kurza dupa, przecież mówiła mi, że ostatnio zaczęła zamykać drzwi na klucz.

– Co zrobimy? – dziewczyna płakała, a on miał ochotę ją spoliczkować.

– Mój telefon jest właśnie w domu. Przebierałem się tam. No a teraz nie dostaniemy się do niego. A gdzie mieszkasz?

– Koło Konsumu.

– Wskakuj w te pędy na rower i szukaj telefonu. Pospiesz się, do jasnej cholery, potrzebujemy natychmiast pomocy. Ingelize spadła z Urwiska i leży na brzegu pomiędzy skałami.

Pobiegła przez podwórze, pochylona. Stał i patrzył za nią, jak wskoczyła na rower tak szybko, że omal nie upadła, jak odzyskała równowagę i popedałowała.

Czuł się, jakby miał w ustach klej.

– JESTEŚ PEWIEN, że dasz radę, Carlu Sigvardzie?

Sabina umieściła przed oparciem poduszkę i pomogła mu ostrożnie zająć miejsce przy biurku. Postanowił bowiem przyjrzeć się trochę rachunkom, nie chciał obarczać jej jeszcze papierkową robotą.

Nie był w stanie wysiedzieć zbyt długo, bo zaczynało go boleć biodro. Musiał robić częste przerwy.

– Co z kopertami do żyra pocztowego? – zapytał zmartwiony. – Wiesz, czy zostały jeszcze jakieś?

– Pewnie, przyniosę.

Stos faktur znacznie urósł. Przewertował je na chybił trafił i zauważył, że w wielu przypadkach terminy płatności już dawno minęły. Działo mu to na nerwy, bo do tej pory zawsze tego pilnował.

Sabina stała za jego plecami. Pochyliła się i pocałowała go w kark.

– Wygodnie ci? – zapytała, kładąc na biurku kilka żółtych kopert.

– Tak, dziękuję.

– Ciekawe, ile jeszcze będziemy dłubać w tych blankietach. Przecież teraz wszystko umieszcza się w komputerach.

– Może człowiek powinien zapisać się na stare lata na kurs? – zarechotał.

Uśmiechnęła się.

– Nie jesteś aż taki wiekowy, staruszk.

– Nieee, ale myślę, że nasze pokolenie nie zostanie objęte komputeryzacją.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Co innego generacja Tobiasa. On nawet pisze książki na komputerze.

– Chyba większość pisarzy korzysta teraz z komputera. Przekładał koperty, rozłożył je obok siebie.

– Może trzeba go zapytać, co sądzi na ten temat – zasugerował. – Czy w ogóle jest sens, by taki stary ramol jak ja kupował sobie komputer.

– Widziałam ogłoszenie w „Correnie” – przypomniała sobie. – Można kupić cały pakiet za dwadzieścia tysięcy. Ale do tego dochodzi jeszcze oczywiście VAT.

– Pakiet jak pakiet. Trzeba jeszcze umieć z tego korzystać. Tak żeby urządzenie nie stało tylko i nie zagracało.

– To porozmawiaj z Tobiasem. Zaprośmy go kiedyś na kolację.

– Kurczę blade, żebyś wiedziała, że tak właśnie zrobimy.

Siedział i podpisywał polecenia zapłaty, gdy na podwórze zajechał samochód. Toyota, stwierdził, i pochylił się w stronę okna, żeby lepiej widzieć. Z samochodu wysiadła obca kobieta. Zarzuciła na ramię plecak mikroskopijnych rozmiarów, przystanąła na chwilę, jakby nie wiedziała, co dalej robić.

Frett zaszczekał w kuchni.

– Sabina, mamy gościa! – zawołał.

Słyszał, jak poszła otworzyć drzwi, jak szczeniak wyskoczył na podwórze, ujadając dziko i zawzięcie. Potem głosy obu kobiet, ich uprzejme, wypowiedane z ociąganiem repliki.

Pochwyił kule i udało mu się odsunąć niezgrabne biurowe krzesło, żeby wstać. Był kwadrans po jedenastej przed południem. Znajdował się w połowie drogi do kuchni, gdy Sabina z kobietą weszły do domu. Nieznajoma zdjęła buty.

– Nie trzeba – próbowała ją powstrzymać Sabina.

Kobieta uśmiechała się nerwowo. Podeszła bosą do Carla Sigvarda. Położyła swą dłoń na jego ręce spoczywającej na uchwycie kuli.

– Nazywam się Marit Stenhägg – przedstawiła się. – Jestem partnerką Tobiasa. – A pan... pan musi być jego ojcem.

Potem przy kawie powiedziała, że wyjechała z domu wcześniej rano.

– Naszła mnie taka ochota, by zobaczyć, jak jest tutaj, w Kvarnberdze. Tobias mi sporo opowiadał. On jednak nie wie, że tu jestem, to będzie niespodzianka.

– No i co, zgadza się?

– W jakim sensie?

– To, co Tobias opowiadał.

– Chyba nie wszystko – odparła cicho.

Miała drobną, lalkowatą twarz ze spiczastym podbródkiem. Gdy się witali, poczuł, że ma spocone ręce. Biedne dziewczę, wyglądała naprawdę żałośnie.

– Tobias nie mieszka tym razem u nas – powiedział z ociąganiem.

Przełknęła ślinę i spuściła wzrok.

– W każdym razie miło zobaczyć, że jego ojciec czuje się lepiej – wymamrotała.

– Zobacz pani! Wkrótce całkowicie odzyskam formę.

– Jasne, jasne. Lepiej daj sobie trochę na wstrzymanie. – Sabina podniosła talerz z drożdżówkami cynamonowymi i poczęstowała Marit,

która ugryzła tylko malutki kęs i od razu odłożyła ciastko.

– Wydawało mi się, że coś się stało – wyszeptała. – Że Tobias właśnie dlatego tu przyjechał.

– A co miało się stać? – Carl Sigvard napotkał ponad stołem wzrok Sabiny.

– Nam się wydaje, że po prostu postanowił tutaj pisać. Wynajął dom, musiała pani go zresztą mijać – taki biały, piętrowy, tuż przed skrzyżowaniem do nas.

– Wynajął dom? – powtórzyła kobieta.

– No i miał jeszcze pracować dla Ingelize. Przy koniach. Chodzi o Ingelize Moberg. Ma konie islandzkie i prowadzi taką szkółkę jeździecką.

Kobieta spuściła głowę. Skubała nerwowo skórę przy paznokciu, coraz bardziej ją szarpiąc. Miał ochotę poprosić, by przestała, takie drobne ranki pienińsko bołą, zanim się zagoją. Czuł narastający gniew. Pieprzony młokos, nie ma za grosz przyzwoitości. Taka wdzięczna, milutka dziewczyna.

– Musi pani z nim porozmawiać – zasugerował. – To na pewno jakieś nieporozumienie. Temu chłopakowi chodzi tyle rzeczy po głowie, czasem żyje we własnym świecie. To chyba typowe dla pisarzy, trochę się różnią od zwykłych ludzi. Takich jak my.

Zadzwoił telefon. Sabina odebrała. Nie mówiła zbyt wiele, głównie pomrukiwała, stojąc z odwróconą głową. Gdy odłożyła słuchawkę, jej mina nie wróżyła nic dobrego.

– O co chodzi, Sabina? – zapytał. Ukłucie niepokoju rozeszło się aż po same dłonie.

Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Chwycił ją za ramiona, potrząsnął.

– Sabina, mówże, co się stało?

Utkwiła wzrok gdzieś w suficie i powiedziała osłabionym, łamiącym się głosem:

– To takie... potworne. Dzwoniła Maria Vesterberg. Chodzi o Ingelize. Spadła z Urwiska, nie żyje.

DRZWI wejściowe nagle się otworzyły, nie wiedział, jakim sposobem. Wszedł do środka po swoje ubrania i przebrał się. Na podwórzu zaroilo się od ludzi. Dwa samochody policyjne, kilkoro sąsiadów, same nieznane osoby.

Gdy dziewczyna odjechała, zajął się końmi. Rozsiodłał je, oporządził i napoił, po czym wprowadził je do boksów. Resztą miała zająć się dziewczyna, która najlepiej wiedziała, co jeszcze trzeba zrobić.

Usiadł na schodach. Pojawił się kot, który ocierał się o niego i mruczał. Wtedy Tobias znowu się rozplakał, głośno i zawodząco, tak głośno, że niemal sam przestraszył się tych odgłosów. Kot przyglądał mu się przez chwilę, zanim czmychnął za węgiel domu. Tobias wypalił kilka papierosów. Rozpiął spodnie w pasie, bryczesy były za ciasne w kroku, uwierały i dokuczały mu.

Gdy siedział na schodach, przyjechała rowerem inna dziewczyna, starsza od tamtej. Widział po jej minie, że wie, co się stało.

– Jak się nazywasz? – zapytał i poczuł, że zakłuło go mocno w piersiach od gwałtownego szlochu. Dziewczyna miała czerwone obwódki wokół oczu.

– Emma.

– Pomagasz tu przy koniach?

Skinęła głową na potwierdzenie.

– Emmo, powinnaś być teraz silna. Musisz nadal opiekować się zwierzętami. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Pociągnęła nosem.

– Tak...

– Byliśmy na przejażdżce, wzięliśmy Elfura i Snæra. Odprowadziłem je do boksów i oporządziłem. Ingelize nie zdążyła mi natomiast powiedzieć nic na temat karmy i innych rzeczy.

Nie był w stanie dalej mówić. Oparł czoło o ścianę i łkał sucho i urywanie. Emma też płakała.

– Ona była taka dobra... taka miła, to takie niesprawiedliwe – zaszlochała.

– Tak.

– Co z nią teraz zrobią?

– Zajmą się nią. Umyją ją i ładnie ubiorą.

– Ale ona przecież nie żyje! – krzyknęła dziewczyna.

Podniósł się, by ją przytulić i pocieszyć.

W tym momencie na podwórze zajechał kolejny samochód policyjny.

Siedzieli w salonie Ingelize. Dwoje policjantów, kobieta i mężczyzna. Kazali mu opowiedzieć, co się stało.

– Mieliśmy się z nią spotkać dziś po południu – oznajmił Jan Collin.

Tobias skinął głową.

– Wiem, wspominała mi o tym.

Nagle poczuł, że ogarnia go głęboki, niezmacony spokój. Spokój i zarazem niesamowite zmęczenie.

– Chodziło o zaginionego człowieka – ciągnął Collin.

– O tym też słyszałem. Szukacie Hardy’ego Lindströma, prawda?

– Owszem. Zamierzaliśmy też porozmawiać o nim z panem. Widział się pan z nim przecież tego samego dnia, kiedy najwyraźniej zniknął. Jeśli dobrze pamiętam, pracowaliście razem przy przewozie zwierząt. Ale o tym pomówimy później. Za dużo tego jak na jeden dzień.

– Dziękuję – odparł Tobias.

– Spróbujmy zrekonstruować przebieg zdarzeń, dobrze? Jeździł pan konno z Ingelize Moberg?

– Zgadza się.

– Skąd ten pomysł? – Kobieta obdarzyła go współczującym spojrzeniem.

– Miałem właśnie zacząć pracować dla Ingelize. Chce, żeby... chciała, żeby ktoś ją odciążył. To był pierwszy dzień mojego zatrudnienia. – Zamilkł i zaczął masować sobie skronie.

– Boli pana głowa? – zapytała policjantka.

– Tak... strasznie.

– Zążył pan coś przeciwbólowego?

– Nie, nie mam nic przy sobie.

– Pójdę sprawdzić, czy nie ma czegoś w szafce w łazience.

Gdy się podniosła, zobaczył, że ma większy tyłek, niż mu się wydawało.

– Często miewa pan bóle głowy? – zapytał Collin.

– Gdy jestem zestresowany.

– No tak, to typowa sytuacja stresowa.

Czekali w milczeniu na kobietę, która wróciła szybko z dwiema tabletkami alvedonu. Nalała wody do szklanki, podała mu.

– Dziękuję. – Sięgnął do kieszeni i wyjął umowę. Pamiętał wcześniej o przełożeniu jej do kieszonki swojej koszuli.

– To ten dokument – wyjaśnił. Collin odebrał go od niego i przeczytał,

po czym skinął głową.

– Nie zdążył się pan zbytnio napracować – stwierdził ze smutkiem.

– Nie.

Tobias podniósł szklankę i wypił resztę wody.

– Czy udało się wam skontaktować z jej mężem? – zapytał bezdźwięcznie.

– Tak, nasi koledzy nawiązali z nim kontakt. Jens Moberg jest posłem.

– Tak.

– Po co pojechaliście na tę górę?

– To był pomysł Ingelize. Zabiera tam zwykle swoje grupy. Chciała mi pokazać to miejsce, to była po prostu próbna przejażdżka. – Urwał na chwilę. – O cholera, przecież na jutro jest zabukowana grupa, która ma jeździć konno. Musimy to odwołać.

– Oczywiście, zajmiemy się tym. A co to za grupa?

– W biurze Ingelize jest terminarz, w którym zapisywała wszystkie zgłoszenia.

Collin wstał. Obszedł pokój, przystanął na widok leżących na stole w jadalni książek. Wziął jedną do ręki, zbiór nowel.

– To pan jest autorem tych książek?

– Tak.

– Hm. *Studnie bliskości*? Przepraszam za moją ignorancję, ale co miałyby to *znaczyć*?

– Niełatwo to wyjaśnić.

– Ingelize dostała je od pana?

– Nie, kupiła je. Poprosiła mnie o dedykacje, więc je wpisałem. Dziś rano. Czyli w dzień jej...

– Jest pan zatem pisarzem? – zapytała policjantka.

– Tak.

– Jak panu idzie?

– Tak sobie.

– Pana ojciec wspominał, że napisał pan powieść policyjną.

– Owszem. Nosi tytuł *Noc*, jest nawet w wydaniu kieszonkowym.

– Musimy ją przeczytać, prawda, Janne?

Collin skinął głową.

– Pracuje pan nad czymś teraz?

– Miałem zamiar zaszyć się i pisać tutaj, w Kvarnberdze. Wynająłem dom od Marii Vesterberg. Zamierzałem pracować na pół etatu u Ingelize i poświęcić resztę czasu na pisanie.

– Ano właśnie. – Collin pstrykał długopisem. – Da pan radę opowiedzieć, co stało się tam na górze?

– Muszę zapalić.

– Może nie tutaj w domu – zaproponowała kobieta.

– Dlaczego nie? – rzucił jej kolega. – To już i tak nie ma znaczenia w tych okolicznościach.

Przyniósł zwykłą podstawkę od filizanki. Ostatni raz została zapewne wmyta ręką Ingelize. Ta myśl sprawiła Tobiasowi ból. Wciągnął głęboko dym do płuc. Wydmuchiwał go małymi kłębami.

– No to wróćmy do tego, co stało się na górze – zasugerował Collin.

– Zrobiliśmy tam sobie postój. Ingelize zatrzymuje się tam ze swoimi grupami. Z góry jest niesamowity widok, mówiła, że wszyscy zawsze są pod wrażeniem. Zabrała ze sobą prowiant, siedzieliśmy tam i piliśmy kawę. Rozmawialiśmy trochę o... jej firmie, o moich przyszłych obowiązkach. O tym, jak sobie to wszystko wyobrażała.

– Czy piliście na siedząco?

– Na siedząco?

– Tak.

– Nooo, chyba raczej siedzieliśmy w kucki. Dlaczego pan pyta?

– Byłem ciekaw. O tej porze roku ziemia jest raczej wilgotna.

– Zgadza się. Piliśmy na stojąco albo siedząc w kucki.

– Co zrobiliście z końmi?

– Były przywiązane do drzew.

– Co działo się potem?

– Zapytałem Ingelize, czy nie uważa, że wycieczki w to miejsce nie są zbyt ryzykowne. Mówiła mi wcześniej, że ziemia coraz bardziej się obsuwa, no bo wiadomo, erozja, więc wydawało mi się to niebezpieczne. Powiedziała, że trzeba mieć oko na klientów czy coś w tym rodzaju, a potem wstała, podeszła na skraj i jakby... stała tam i pokazywała, a ja sobie pomyślałem: o cholera, nie stój tak blisko skraju, ale ona zachowywała się, jakby chciała... No nie wiem... może podrażnić się trochę, nie wiem, no i nagle...

Wpatrywał się w nich. Oczy paliły go i piekły.

Collin pokiwał zachęcająco głową.

– Nie byłem w stanie temu zapobiec.

– Rozumiem.

Tobias zgasił papierosa i zapalił kolejnego.

– Czy byliście sobą... zainteresowani? – zapytał Collins.

– Zainteresowani?



- Czy pociągał ją pan jako mężczyzna, jak pan sądzi?
- Nie mam pojęcia.
- A ona pana?
- Skądże, ja mam przecież, do cholery, stałą partnerkę.
- Oczywiście, tak tylko pytam.
- Ona w ogóle nie jest w moim typie. Poza tym jest mężatką.
- Tak, ale przecież zdarza się, że i małżonkowie odczuwają czasem pewne pokusy.
- Do czego pan zmierza? – zapytał rozgorączkowany Tobiasz. – Wyobraża pan sobie, że goniłem ją tam na górze, żeby ją przelecieć, czy co? Myśli pan, że to przeze mnie spadła?
- Nic nie myślę. Do moich obowiązków należy sprawdzanie faktów.
- Już dobrze – rzuciła pojednawczo kobieta. – Ingelize podeszła zbyt blisko krawędzi i spadła.
- Tak.
- Jak pan zareagował?
- Pierwsza moja myśl była taka, żeby zadzwonić po pomoc. Ale nie miałem ze sobą telefonu. Do kurwy nędzy, człowiek bez przerwy łączy z tym cholernym telefonem przy sobie, ale właśnie wtedy, właśnie wtedy akurat nie wziąłem go ze sobą. Poza tym i tak nie wiadomo, czy tam na górze jest zasięg.
- No właśnie.
- No i co ja miałem zrobić? Widziałem, że leży tam na dole, ale nie miałem szans zejść na dół, a poza tym, nawet gdyby udało mi się jakimś cudem zejść, w jaki sposób mógłbym jej pomóc? Tam jest stromo, cholernie stromo. Wiedziałem przecież, że jeśli w ogóle przeżyła, musiała być poważnie ranna. Widziałem jednak, że się nie rusza, więc wziąłem konie i natychmiast wróciłem, by sprowadzić pomoc.
- Zadzwonił do nas jeden z sąsiadów – zauważyła policjantka.
- Tak. Jak wróciłem, była tu taka młoda dziewczyna, więc ją posłałem po pomoc, bo przecież zna lepiej okolicę, wiedziała, gdzie się udać, żeby zadzwonić...
- Myślę, że na razie nam to wystarczy – stwierdził Collin. – Przyda się panu teraz odpoczynek, panie Elmkvist. Jak długo zamierza pan tu zostać?
- Na razie jeszcze nie wiem.
- Ale będzie pan tu jeszcze jutro?
- Tak, oczywiście.
- Dobrze, więc pewnie jeszcze się spotkamy. Poproszę o numer pana

komórki.

Podał im numer.

Kobieta powiedziała:

– Nie wiem, czy na pewno da się dodzwonić na komórkę, w tej okolicy są kolosalne kłopoty z zasięgiem. Jutro zamienimy też parę słów z pana ojcem i z Sabiną Johansson. Mogłabym prosić, żeby pan też się wtedy tam zjawił? Około jedenastej.

Nie znalazł pretekstu, by odmówić.

TOYOTA stała zaparkowana przed domem Vesterbergów, Tobias natychmiast rozpoznał ten samochód. Siedziała w nim Marit, widać było, że marznie. Oparł rower o schody i podszedł do niej.

– Przyjechałaś tu?

– Tak – odparła krótko.

– Skarbie...

Spodziewał się, że Marit zacznie płakać. Jednak jej niebieskie oczy były zimne.

– Dlaczego mnie okłamałeś? – zapytała.

– Okłamałem?

– Dlaczego powiedziałeś, że twój ojciec czuje się gorzej?

– Przepraszam, to było bez sensu.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie oszukujesz. Spotkałam się z nimi i dowiedziałam się, że to nieprawda. Twój ojciec wcale nie czuje się gorzej.

Chwycił za klamkę, by otworzyć samochód. Drzwi były zamknięte na kluczyk.

– Okłamałeś mnie, Tobias!

– Muszę mieć spokój, żeby pisać – oświadczył. – Wydawało mi się, że cię zranię, jeśli powiem prawdę. Że uznasz mnie za egoistę.

– Niby dlaczego?

– Tak mi się zdawało. To było głupie, teraz zdałem sobie z tego sprawę.

– No tak, to było cholernie głupie! Cholernie, cholernie głupie!

– Marit, dzisiaj działy się straszne rzeczy, coś naprawdę potwornego...

Skuliła się trochę w sobie.

– Wiem, przepraszam.

– Wsiądź z samochodu, chodźmy do domu.

Przez chwilę miał wrażenie, że odmówi. Otworzyła jednak i wysiadła.

Miała ze sobą wino, trzy butelki. Wypili je wieczorem. Przesiedzieli kilka godzin na sofie, cały czas tuż obok siebie.

– Odesłałam mamę do domu – wymamrotała niewyraźnie. – Nie miałam już do niej siły, tak strasznie tęskniłam za tobą.

Wziął jej drobną, kruchą głowę pomiędzy dłonie i pocałował.

– Jedźmy do tej Tajlandii – wyrwało mu się. – Jak tylko wrócimy do domu, zadzwonimy do biura podróży i zapytamy, ile kosztuje taka wycieczka.

– Dobrze, Tobias, tak, jedźmy do Tajlandii!

Położyli się w łóżku, ciasno obok siebie. Przypomnił mu się pająk, ale był zbyt pijany, by dostrzec, czy nadal jest na suficie. Chciał ją zapytać, czy go widzi, ale uświadomił sobie pomimo zamroczenia, że byłoby to bez sensu.

Gdy zamknął oczy, zobaczył, jak ciało Ingelize przecina powietrze. Miała rozpostarte ramiona, a czerwona kurtka powiewała niczym para ogromnych, szeleszczących skrzydeł. Widział przed sobą ten obraz, gdy zasypiał, a potem zobaczył go ponownie, gdy obudził się kilka godzin później.

Nie przeszkadzało mu to już jednak. Było po wszystkim.

ZNOWU pojawiła się w ich domu. Nina glina.

Glina Nina.

Myślał o niej sporo, pamiętał jej głos i jej słowa. Siedziała i rozmawiała z nim w jego pokoju. Długo rozmawiała.

Ma wszystkie piosenki Elvisa, tak samo jak on.

– Zaśpiewam dla Niny gliny – powiedział do matki, gdy zszedł na śniadanie. Sabina ugotowała dla niego owsiankę, do której dodała płynnego miodu. Widział, jak żółta smuga zanurza się w szarości. Wyglądało to jak smarki.

Matka zwichrzyła mu włosy.

– Co ty wygadujesz? Nina glina?

– Tak. Glina Nina.

– Musisz jeść, synku. Skoro wstałeś z łóżka, powinieneś wziąć też prysznic. I nie zapomnij się ogolić.

Nie wiedział, że Nina glina miała przyjść właśnie dzisiaj. Myślał po prostu o niej, jej obraz mógł się pojawić w każdej chwili. Siedziała wtedy przy jego łóżku i rozmawiała z nim. Ma wszystkie piosenki Elvisa i dobrze je zna.

To dla niej zmusił się do jedzenia owsianki. Dwie pierwsze łyżki weszły gładko.

Potem przypomniał sobie i musiał się odchylić, żeby się nie zadławić.

– Mamo – rzucił, gdy uspokoiło mu się w żołądku.

Nie słuchała.

– Idź się teraz umyć. Będziemy mieli dziś gości. Przyjadą o jedenastej.

Nie powiedziała, kto przyjedzie, a mimo to jakby przeczuwał, o kogo chodzi. Zrobił więc, jak nakazała matka – poszedł pod prysznic i wyszorował się mydłem i szamponem.

– Na występach trzeba być schludnym – mawiał Hardy. – Musisz wyglądać świeżo, Adam, bo jak nie, będziesz wysyłał niewłaściwe sygnały. Babki nie lubią, jak facet cuchnie jak jakaś małpa. Spójrz na to zdjęcie! Tak wygląda Elvis.

Podał mu okładkę płyty. Elvis ze swoją gitarą. Jego policzki promieniały świeżością.

– Widzisz, jaki on jest zadbany? Też musisz wyglądać jak Elvis!

Hardy był jego menedżerem.

– Zrobię z ciebie prawdziwego big stara, Adam. Ale musisz mnie

słuchać, we wszystkim.

Stał pod prysznicem, osłabiony, bez siły. Nie rozpoznawał swojego ciała. Jego brzuch znacznie zmalał – tak to jest, gdy człowiek nie je. Widział swoje przyrodzenie i stopy. Pomyślał o butach, które dostał od Hardy’ego. Cisnęły tak mocno, że nie był w stanie w nich wytrzymać.

Ogolił się, nie patrząc w lustro.

Czerwone spodnie ze srebrnymi galonami zrobiły się za duże. W gniewie cisnął nimi o podłogę. Stał i tupał na dywanie, wciskając go w deski. Nagle zobaczył przerzucony przez krzesło pas. Wtedy złość spłynęła z niego. Podniósł spodnie i przeciągnął pasek przez szlufki. Jeśli zaciągnie go do przedostatniej dziurki, spodnie nie opadną.

Przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Srebro połyskiwało niczym rybia łuska.

Usłyszał samochód i rozpoznał jego odgłos. To ten sam, którym przyjechała poprzednim razem. Samochód policyjny. Nazywała się Nina i była policjantką. Umiała prowadzić samochód, którym przyjechała.

Zaczęła swędzieć go skóra na nogach. Podciągnął nogawki i zaczął się z całej siły drapać. Maleńkie, wysuszone fragmenty skóry opadały na podłogę. Rozejrzał się po pokoju. A co będzie, jeśli ona tu przyjdzie? Może powinien pościelić łóżko.

Zaśpiewam, pomyślał, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnej melodii. Zawsze musiał rozruszać go Hardy. Nucił pierwsze słowa i wtedy mu się przypominało.

Hardy był jego menedżerem.

Zadygotał i znowu się podniósł. Podszedł do garderoby. Włosy były nadal mokre po prysznicu.

– Nic nie szkodzi, Adam, – najważniejsze, że są świeżo umyte. Użyj trochę pianki, będą fajnie lśnić i błyszczeć. Masz w ogóle jakąś piankę? Co, twoja mama też nie ma? No tak, będę musiał ci przynieść.

Teraz też nie miał pianki. Ale włosy były umyte i czyste.

Otworzył drzwi garderoby i wszedł do środka. Wisiały tam na wieszakach wszystkie jego ubrania. Ciuchy Elvisa i te na co dzień. Dżinsy i eleganckie czarne spodnie. Marynarka i koszule. Na podłodze stały pudła i kartony. Miał w nich swoje rzeczy. Te, którymi lubił się zajmować.

Nowy pies ujadał wściekle na dole. Słyszał też głosy, które ledwo rozpoznawał. Do pokoju sączył się aromat kawy, który go osłabiał, pozbawiał sił. Nie tolerował teraz żadnych zapachów, podobnie jak jedzenia.

Big star, pomyślał, powtarzał sobie to słowo niczym mantrę.

Schował go głęboko w garderobie, za pudłem z pluszakami. Brał je ze sobą do łóżka dawno temu, gdy był dzieckiem. Niekiedy wyciągał je i dotykał ich futerek. Dobrze im było tam w pudełku. Spały sobie, gdy ich nie potrzebował.

Głęboko za pudłem ukrył kapelusz Hardy'ego. Po tym wszystkim nie był w stanie na niego patrzeć. To był pierwszy raz. Szumiało mu w uszach, gdy wyciągnął go na światło dzienne. Stał w oknie, dach obory połyskiwał lekko w słońcu. Stał i wpatrywał się w kapelusz Hardy'ego Lindströma i w brunatne plamy.

Nina glina, pomyślał. Obiecał, że zaśpiewa dla niej. Nie pamiętał ani melodii, ani słów. Stał przy oknie, liście na drzewach skrzyły się żółtymi odcieniami.

Podniósł kapelusz, włożył go sobie na głowę. Był za mały, wiedział, że tak będzie. Przyjrzał się przeciwz głowie Hardy'ego, leżącej w czerwonej kałuży krwi, widział ją oderwaną od ciała, niewielką.

Jego mama spłukała potem wszystko wodą. Ściany, a nawet biurko.

Nie odważył się wtedy jej pokazać.

Na podwórzu zajechał kolejny samochód. Toyota, ta sama, która przyjechała wczoraj. Leżał skulony w korytarzu na górze i wyglądał przez skośne okienko. Kobieta z plecaczkiem. Nie wiedział, kim jest, ale też nie był tego wcale ciekaw.

Dziś toyota wróciła. Szczeniak ujadał. Pomyślał o oku, o oczach Hardy'ego, i o tym, jak na jego brodzie lśniła zastygła krew.

Koniuszki jego palców były suche i lodowato zimne.

Zejdzie teraz na dół. Włoży kapelusz i jeśli będzie stąpał delikatnie, stawiał drobne kroki i trzymał się poręczy, kapelusz nie spadnie. Dojdzie tak aż do samego salonu.

Siedzieli tam na dole, słyszał ich, słyszał ich głosy.

Ona tam była. Nina glina. Chciał dla niej zaśpiewać, tak jak obiecał.  
Nie pamiętał jednak ani słów, ani muzyki.  
Szukała Hardy'ego, który zginął.  
To pamiętał.  
I teraz opowie jej o wszystkim.  
A ona będzie z nim rozmawiać i go słuchać.



## **Podziękowania**

Chciałabym podkreślić, że osoby i wydarzenia opisane w niniejszej książce są wytworem mojej fantazji i że ewentualne podobieństwa do rzeczywistości są wynikiem czystego zbiegu okoliczności. Pragnę również skorzystać z okazji i podziękować osobom, które pomogły mi w zbieraniu materiałów, mianowicie rodzinom rolników: Göranowi i Yvonne Nilssonom oraz Arne i Elsie Nilssonom. Dziękuję także profesorowi Olle Matssonowi, byłemu inspektorowi policji Hansowi-Ericowi Serganderowi, Gunnarowi i Åsie Fritz-Crone, Brorowi Sköldowi, Lorenzowi Berglundowi oraz pracownikom Södertälje Stadsbibliotek (Biblioteki Miejskiej w Södertälje).

Za pomoc i konstruktywne uwagi podziękowania należą się również mojemu mężowi Janowi, a także moim córkom Helenie i Hannie, które czytały i komentowały manuskrypt.

*Sztokholm, wiosna 2002 roku*  
*Inger Frimansson*

## Przypisy

[ ← 1 ]

*Szw. frett* – fretka.

[ ← 2 ]

Skamön – Wyspa Wstydu.

[ ← 3 ]

Allemansrätten (dosł. prawo każdego człowieka) – stosowane w Szwecji i w innych krajach skandynawskich zwyczajowe prawo swobodnego dostępu do przyrody. Zgodnie z nim każdy człowiek może korzystać z lasów, zarówno państwowych, jak i prywatnych, zbierać w nich grzyby, jagody i kwiaty, chodzić po górach, pływać w rzekach czy jeziorach. Turysta może wszędzie rozbić namiot, również na terenie prywatnym, pod warunkiem że jego obecność nikomu nie przeszkadza.

[ ← 4 ]

W tygodniu poprzedzającym 1 maja szwedzcy uczniowie sprzedają plastikowe kwiatki, zwane majowymi. Środki uzyskane ze sprzedaży przeznaczane są na pomoc dla dzieci chorych i niepełnosprawnych. Tradycja ta datuje się od 1907 roku, kiedy to powstało Krajowe Stowarzyszenie „Kwiaty majowe” (Förstamajblommans riksförbund).

[ ← 5 ]

Program literacki, którego nazwa nawiązuje do tytułu najważniejszej powieści Augusta Strindberga.

[ ← 6 ]

Bohaterowie książek Henninga Mankella, Håkana Nessera i Åke Edwardsona.

[ ← 7 ]

Pierwsze, niepłatne dni zwolnienia.

[ ← 8 ]

Nazwa nawiązująca do złota płatkowego używanego między innymi do zdobienia grzbietów książek.

[ ← 9 ]

”Niebiesko-żółte” – nawiązanie do barw szwedzkiej flagi.

[ ← 10 ]

Słowa znanej piosenki Ulfa Pedera Olroga Se Sundbyberg (Zobaczyć Sundbyberg).

[ ← 11 ]

Malexander – miejscowość w Östergötlandzie, gdzie w 1999 roku doszło do głośnego zabójstwa dwóch policjantów.